

POWRÓT DO GRYFA

Marcin Mortka

POWRÓT
DO
GRYFA

Książki Marcina Mortki w Wydawnictwie SQN

Drużyna do zadań specjalnych

Przed wyruszeniem w drogę
Nie ma tego Złego
Głodna Puszcza
Skrzynia pełna dusz
Powrót do Gryfa
Koszyczek dla Doli

Morza Wszeteczne

Morza Wszeteczne
Wyspy Plugawe
Zaułki St. Naarten

Straceńcy Madsa Voortena

Martwe Jezioro
Druga Burza
Mroźny szlak
Utracona godzina
Widmowy Zagon

Pas Ilmarinena

Maleficjum

Karaibska odyseja



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

POWRÓT DO GRYFA

Marcin Mortka



Kraków 2023

*Serdecznie dziękuję Mateuszowi Zanto,
który podsunął mi pewien bardzo ciekawy pomysł fabularny
na Poznańskich Targach Książki wiosną 2023 roku*

SPIS TREŚCI

Okladka

Strony tytułowe

Dedykacja

Mapy

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Opowieść ze Świetlistej Puszczy

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Opowieść z rubieży Wichrowin

Rozdział siódmy

Opowieść z Gwiżdżących Gór

Rozdział ósmy

Opowieść z Wichru

Opowieść z Gryfa

Rozdział dziewiąty

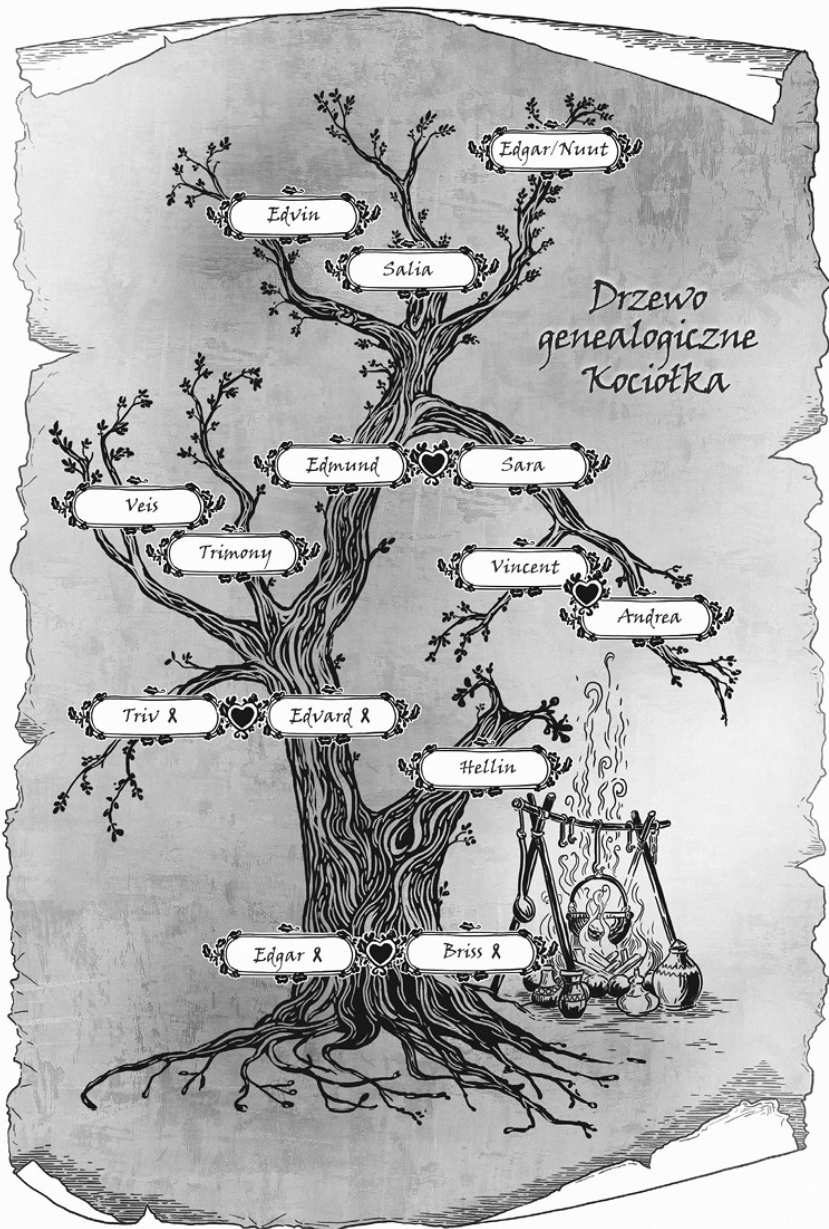
Rozdział dziesiąty

Opowieść z Sokolnika

Rozdział jedenasty

Epilog

Strona redakcyjna



Drzewo genealogiczne Kociotka

Edgar/Nuut

Edvin

Salia

Edmund

Sara

Veis

Trimony

Vincent

Andrea

Triv &

Edvard &

Hellin

Edgar &

Briss &



Bagna

Tu będzie
staw rybny

Pasieka
Eliaha

Twaróg

Łąka

Kuchnia Gramma

Wędzarnia

Warsztat
Powrózniczy

Kurnik

Stodoła

Sad

Pola
Ziemiaków

Dwór

KARCZMA

Katapulta

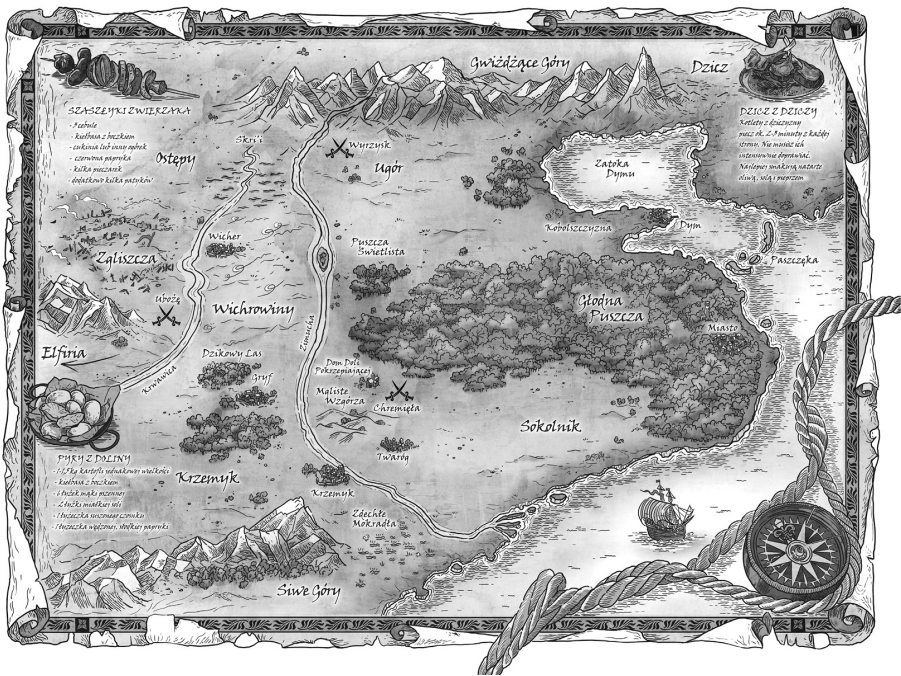
Studnia

Stajnie

Główna
Brama

Okolice
Gryfa

Dzikowy Las



SZASZELNY ZWIĘZANIA

- Szabla
- Kuchnia i kuchnia
- Ciekawostki lub inny opisek
- Ciężka praca
- Właściwa praca
- Właściwa praca

DZIECI Z DZIECI

Kuchnia i kuchnia
 Kuchnia i kuchnia
 Kuchnia i kuchnia
 Kuchnia i kuchnia
 Kuchnia i kuchnia
 Kuchnia i kuchnia

PIRZY Z DALIN

- Kuchnia i kuchnia
- Kuchnia i kuchnia
- Kuchnia i kuchnia
- Kuchnia i kuchnia
- Kuchnia i kuchnia
- Kuchnia i kuchnia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znowu śpiewały.

Chóralny skrzek z dziesiątek gardzieli przenikał przez zbudowane z dębowych belek i uszczelnione mchem oraz gliną ściany karczmy „Pod Kaprawym Gryfem”, naszego domu i jednocześnie interesu. Przedzierał się przez trzask ognia w kominku oraz rytmiczny stukot noża o deskę i całkiem zagłuszał cichy szelest, z jakim płatki śniegu opadały na parapet za oknem – swego czasu mój ulubiony odgłos, jakże rzadko słyszany w zatłoczonej na ogół karczmie. Przez moment próbowałem ignorować zamieszanie i pracowicie stawiałem literę za literą, ale wnet w chór głosów wdarły się uderzenia bębna. Zaciśnąłem zęby i próbowałem pisać dalej, ale już dwa słowa później na arkuszu pergaminu rozlała mi się plama atramentu.

– Jasna cholera! – warknąłem i najostrożniej jak umiałem starłem ją kciukiem.

– Mama to mówi... – zaczął siedzący po przeciwnej stronie stołu Nuut, ale przerwałem mu pośpiesznie:

– Och, ja doskonale wiem, co mówi mama. Słyszę to ostatnio dość często. A co ty tu właściwie robisz?

Spojrzałem na synka przenikliwie, ale ten jedynie wzruszył ramionkami i wyduł usta.

– Nic – powiedział. – Siedzę sobie.

Szeroko otwarte błękitne oczy, rozczochrane jasne włosy i okrągła buzia, mieniąca się złotem w blasku ognia w kominku, czyniła go podobnym do psotnego chochlika z bajek. Było to skojarzenie całkiem trafne, bo Nuut w istocie wiele większy od chochlika nie był, a wrodzona pomysłowość, potężniejąca z dnia na dzień wyobraźnia i całkowita nieznajomość prawideł rządzących światem zamieniały go w łobuza, jakiego moja karczma jeszcze nie widziała.

W sumie powinienem więc się cieszyć, że Nuut przynajmniej przez chwilę siedzi nieruchomo – mógłby przecież, dla przykładu, próbować wepchnąć Paprocha do studni lub uruchomić rzekomo dokończoną katapultę Gramma – ale ojcowski instynkt rozbijał dzwonek alarmowy.

– Siedzisz sobie – powtórzyłem. – A czemu?

– Bo myślę.

Dzwon kołysał się coraz szybciej.

– Myślisz? A o czym? – spytałem, nie zdając sobie kompletnie sprawy z tego, że nagle zacząłem mówić nieco wyższym głosem. – Pewnie coś planujesz? Psotę nową wymyślasz? Od razu chciałem ci powiedzieć, młody człowieku, że nie wolno wyciągać narzędzi wujka Gramma ani pukać do pszczół wujka Eliaha! Zwłaszcza zaś owymi narzędziami!

– Ale ja o wujku myślę – rzekł poważnie Nuut i pokazał mi kości z dziwacznymi symbolami, którymi czasem bawił się Gramm. – Bo znalazłem dzisiaj. W budzie Paplocha.

– Och, nie zgub ich. – Złagodniałem. – Wujek Gramm bardzo je lubi, choć nie wiem dlaczego. Za nim tęsknisz, tak?

– Nie. Za wszystkimi. Bo wujek Zychłoń tak fajnie opowiada, a wujek Eliah pokazuje dziwne zeczy na palcach, a wujek Glamm pluje i zawsze tłafia. Nie ma wujków i jest nuda. Kiedy włóczę? Gdzie oni są?

Wsunąłem łabędzie pióro do kałamarza i westchnąłem.

– Nie wiem, synku – odpowiedziałem. – Ale myślę, że za tydzień już będą.

– A ile to tydzień? – Nuut się ożywił.

– Kilka dni.

– Cyli więcej niż godzina?

– Troszkę.

– Do dupy – bąknął Nuut i zwiesił głowę.

Naszła mnie ochota, by po ojcowsku zbesztać go za używanie wulgarnego słownictwa, ale moją tyradę musiałyby zwięździć tradycyjne pytanie: kto cię tego nauczył? – a ja dobrze wiedziałem, kto za tym stoi. Bez wątplenia któryś z owych wujków, za którymi mój syn tak bardzo tęsknił, a o których ja się nieustannie martwiłem.

– Nie przejmuj się – powiedziałem z udawanym ożywieniem. – Skocz może do babci i... Albo nie, do babci to może nie zaglądać. Może akurat się modli z ojczulkiem Vitalisem albo co. Nie mógłbyś się pobawić z Salią i Edwinem? Tak żeby chociaż ktoś cię miał na oku?

– Salia i Edwin posli po chlust – odparł Nuut. – Mama powiedziała, że mi nie wolno, bo włązę na dzewa.

– Poszli po chrust? – Zamrugalem i spojrzalem przez okno. Między zawijasami szronu widziałem niebieskawy odcień nadciągającego zmroku. – Kiedy?

– Tydzień temu. Albo dwa – dodał Nuut po namyśle, drapiąc się po głowie.

Pieśń, nieustannie wdzierająca się do Gryfa wszystkimi możliwymi szczelinami, zaczęła z wolna wnikać mi do głowy. Dudnienie bębna i chóralne wrzaski przyprawiały mnie o coraz bardziej bolesne łupanie pod czaszką.

– Sara? – odezwałem się, wstając.

Wtedy uświadomiłem sobie, że od jakiegoś czasu nie słyszę stukotu noża, który jeszcze chwilę temu dobiegał z kuchni. Sara stała na progu, oparta plecami o framugę, z ramionami założonymi na piersi, i wpatrywała się we mnie. Jej spojrzenie zwiastowało, że czeka nas poważna rozmowa. Nie wyczytałem w nim gniewu, pretensji czy żalu, co jednakże tylko zaostrzyło mój niepokój. Sara miała bowiem nieobecny minę, a to oznaczało, że gruntownie przemyślała jakiś temat i miała już wyrobione zdanie, pozostało jej tylko dobranie słów na początek.

Co gorsza, dobrze wiedziałem, co zaraz usłyszę. Zanosilo się wszak na tę rozmowę od kilku dobrych dni.

– Sara, gdzie są Salia i Edwin? – spytałem, udając wzburzenie. – Powinni być już w domu. Nie znoszę, gdy się włóczę o zmroku po dworze!

Sara westchnęła ciężko, wytarła ręce w fartuch i usiadła po przeciwnej stronie ławy. Nuut odruchowo wtulił się w jej ramię, jakby już wymyślił jakąś psotkę i starał się zawczasu zapewnić sobie przychylność mamy.

– Salia i Edwin są u goblinów – powiedziała moja żona powoli, patrząc na padający śnieg. – Nie trzeba więc się o nich martwić. Co nadaje naszym nowym sąsiadom pewną wartość. Jak się tak porządnie zastanowić, w zasadzie jedyną.

Strzeliło w kominku, aż iskry posypały się na kamienną posadzkę.

– No, nie przesadzałbym. – Kurczowo uczepiłem się strzępka pozytywu. – Współplemieńcy Zwierzaka są bardzo przyjaźni i życzliwi, choć mało kto umie cokolwiek powiedzieć po naszymu, i dobrze, że dzieciaki spędzają wśród nich czas. Poznają inną kulturę, dzięki czemu...

– Inną kulturę – powtórzyła Sara. – Trzy gobliny zabłąkały się dziś do kuchni. Przyniosły wody ze studni i narąbały drewna, co w sumie byłoby miłe, gdyby nie opluły przy tym podłogi. Potem jeden z nich pogryzł na kawałki moją ulubioną drewnianą miskę, a drugi zlizał pająka ze ściany.

– No... no, tak. Są różni. Bywa, że...

– Przestań bredzić – przerwała mi żona. – Jak długo to jeszcze potrwa?

– Co? Co potrwa?

– Na Dolę, Edmund. Udawanie głupoty jest jeszcze gorsze od samej głupoty, a więc oszczędź mi, błagam cię, tych popisów. – W spojrzeniu mojej żony błysnęła stal. – Zadałam ci bardzo prozaiczne pytanie i domagam się prostej odpowiedzi. Jak długo plemię Zwierzaka będzie mieszkać w okolicy Gryfa?

Plemię Zwierzaka, zamieszkujące jak dotąd bagna Skri'i, przywędrowało w nasze okolice jakieś trzy tygodnie temu, o czym sam Zwierzak wiedział zawczasu i czego najwyraźniej nie mógł się doczekać. By zapewnić godziwy byt swoim pobratymcom, postanowił zrobić część naszej drużyny w napad na bank, a później, gdy to nie wyszło, całymi dniami na dachu Gryfa wyczekiwał ich nadejścia.

Uważałem Zwierzaka za serdecznego przyjaciela, a przywiązanie do rodzinnego plemienia miałem za cechę godną podziwu i naśladowania, ale naprawdę dałbym dużo, żeby ta cholerna paskuda uznała za stosowne uprzednio podzielić się informacją o ich przybyciu z kimkolwiek. Może życie ułożyłoby się wówczas nieco inaczej? Może przekłeta banda plujących na okrągło przybłąd rozłożyłaby się obozem gdzieś indziej? Może nie słyszelibyśmy ich śpiewów i walenia w bębny w losowych momentach doby, w tym również w samym środku nocy? Może podróżni nie zaczęliby omijać Gryfa szerokim łukiem w obawie przed bandą skandujących niezrozumiałe słowa, skaczących wokół ogniska istot?

Był środek zimy i do Dnia Zstąpienia Doli zostało jeszcze tylko kilka tygodni. O tej porze ruch na traktach zawsze był niewielki i bywało, że do karczmy zaglądali tylko miejscowi, ale nigdy wcześniej się nie zdarzyło, by przez dziesięć bitych dni nie odwiedził nas dosłownie nikt. Co więcej, widziałem podróżnych, którzy przejeżdżali nieodległym traktem. Niektórzy przyspieszali jeszcze na drodze, najwidoczniej ostrzeżeni przez znajomych, ale kilku dosłownie zawróciło sprzed bramy i zwało w popłochu. Wyglądało na to, że plotka o plemieniu dzikusów, które zamieszkało w okolicy Gryfa, niesie się coraz dalej i potężnieje z każdą chwilą, a reputacja Gryfa kruszy się i osypuje.

– Szlag by to wszystko trafił – bąknąłem, nie znajdując odpowiedzi.

Bo przecież wcale nie pozostawałem w tej sprawie bierny. Do goblinów udałem się natychmiast po tym, jak Zwierzak dostrzegł je z dachu. Powitałem je uroczyście jako krewnych mego przyjaciela i wskazałem im miejsce na obóz, co było pierwszym błędem. Tego samego wieczoru, chcąc dowiedzieć się czegoś o okolicznościach tak niezwyklej wizyty, zaprosiłem na wieczerzę starszyznę plemienną, co okazało się kolejnym błędem. Półprzytomny z radości Zwierzak

nie zdołał bowiem mnie ostrzec, że pojęcie starszyny wśród goblinów nie istnieje, przez co na wieczerzę przyszli wszyscy.

Dosłownie wszyscy. Podłogę szorowałem do wieczora następnego dnia, bo Sara oznajmiła, że nie ma najmniejszego zamiaru w tym uczestniczyć, po czym zatrzasnęła się w sypialni.

Następne dni pokazały mi, że na tle innych goblinów Zwierzak jest bardzo postępowy i przez lata spędzone wśród ludzi przyswoił sobie wiele umiejętności całkowicie rodakom obcych. Żaden z przybyszów, dla przykładu, nie potrafił skupić się długo na jednej czynności, chyba że miało to bezpośredni związek z rzemiosłem, zabawą czy podstawowymi funkcjami życiowymi. Sędziwa goblinka, która przypuszczalnie odgrywała w plemienu rolę przywódczyni, bardzo szybko znudziła się rozmową na temat okoliczności, które zmusiły ich do opuszczenia Skri'i, podobnie zresztą jak sam Zwierzak, którego zmusiłem, by tłumaczył moje słowa. Goblinka, zaklasyfikowawszy mnie jako beznadziejnego nudziarza, zajęła się wierceniem dziur w przeznaczonym na fujarkę kawałku drewna, a Zwierzak od tej pory zaczął zwiewać na mój widok. Nie zraziłem się tym i podejmowałem coraz to kolejne próby nawiązania kontaktu z goblinami, ale ci nie rozumieli naszej mowy albo po prostu nie chciało im się rozmawiać. Zagadnięci, wskazywali mi miejsce przy sobie i pozwalali, bym pomagał im w naprawianiu sieci rybackiej czy urabianiu gliny, ale do rozmów się nie kwapili. Dobrze wiedziałem, że gobliny, w przeciwieństwie do ludzi, dysponują unikatową umiejętnością doświadczania chwili obecnej, przez co ledwo pamiętają przeszłość i niechętnie rozważają przyszłość, ale nie sądziłem, że może to uczynić kontakt z nimi tak skomplikowanym.

– To nie jest odpowiedź – stwierdziła Sara.

– Wiem! – wybuchnąłem. – Oni są... Oni są jak rój szerszeni, który co prawda nie kąsa i samą obecnością przegania osy, ale tak bzyczy, że zasnąć nie można, a sąsiedzi trzymają się z daleka! Ale... ale jak ja mam z nimi rozmawiać? Wala w te bębny, drą mordy, skaczą albo śpią. Kiedy chcesz z nimi rozmawiać, uśmiechają się, klepią cię po plecach i powtarzają słowa, które im się podobają! Nikt z nich nie zna naszej mowy, a nawet gdyby znali, to i tak gównem by nam z tego przyszło, bo te przekłete bagnowacze nie zdają sobie sprawy z tego, że czeka nas jutro! Jak ja mam się dowiedzieć, kiedy się stąd wyniosą?

– Tego się spodziewałam – oświadczyła moja żona i wstała.

Również się poderwałem.

– Czego konkretnie? – spytałem ze złością.

– Że rozłożysz ręce i zaczniesz się tłumaczyć.

– A co takiego twoim zdaniem powinienem zrobić? W tydzień nauczyć się ich mowy? Albo wpoić im poczucie czasu? Saro, nawet Nuut nie odróżnia godziny od tygodnia!

– Moje oczekiwania były najwyraźniej zawyżone. – Ruszyła w stronę drzwi. – Bo spodziewałam się, że wstaniesz, wyjdiesz i rozwiążesz problem. Biadolenia to już się w życiu nasłuchałam i wiem, że naprawdę niewiele daje.

– Nie da się rozmawiać z goblinami! – wrzasnąłem na skraju rozpacz. – Próbowałem! To niemożliwe!

– Niemożliwe, tak? – Sara uniosła brew i zdjęła z haka podbity futrem płaszcz. – Urodziłeś kiedyś dziecko? Idziemy, Nuut.

– Do goblinów? – Zachwycony chłopiec poderwał się z miejsca.

– Oczywiście. Pokażę ci, mój mały, jak się załatwia problemy, które dorośli, zahartowani bojownicy o wolność Doliny, uważają za niemożliwe do rozwiązania.

– Poczekajcie! – zawołałem. – Idę z wami!

Sara szła celowo powoli, niby po to, by trzymany za rękę Nuut mógł nadażyć, ale przeczuałem, że chce mi zademonstrować, że wcale nie powodują nią żadne emocje, a problem, o który ja się rozbiłem, ona rozwiąże z marszu. Podążałem za nią, dopinając w pośpiechu kożuch i naciągając futrzaną czapkę, i przeklinałem wściekle pod nosem, oczywiście nie na tyle głośno, by usłyszał to synek.

Walenie w bębny z każdą chwilą stawało się głośniejsze, ale drogę wskazywało oczywiście ogromne ognisko, wokół którego, jak co noc, podrygiwały ciemne, niskie i nieco pokraczne postacie. Wokół tancerzy zaś zebrał się krąg pozostałych, który nucił melodię bez słów bądź klaskał. Rytuał, który odprawiali dosłownie co noc, wydawał mi się z początku piękny i magiczny. Teraz, po upływie kilkunastu dni, miałem ochotę złapać za kij i rozpędzić tę przekłętą bandę na cztery strony świata.

– Co mnie, kurwa, naszło, by wpuszczać tu te gobliny – mamrotałem do siebie. – Horda pieprzonych mułojadów, które ledwie pamiętają własne imiona! Ja pier...

– Tata, co mówisz? – Oczka Nuuta błyszczały spod wielkiej, futrzanej czapy.

– Nic. Nic takiego.

Pierwsze gobliny zauważyły nas z daleka i ruszyły ku nam pędem, wzniesając śnieżną kurzawę. Wnet otoczyły nas ze wszystkich stron, zachwycone i rozchichotane.

– Tawibny! – Jeden z nich, mężczyzna z długimi warkoczami, na końcu których grzechotały drobne czaszki, zaklaskał.

– Tawibny! – powtórzyła goblinka w barwnej chuście na głowie, tupiąc i podskakując.

– Tawibny! – krzyknęły pozostałe.

Ich jasne oczy błyszczały, a na szerokich twarzach z niskimi czołami, ostrymi nosami i wydatnymi kośćmi policzkowymi widniały rumieńce. Wydawali się rozradowani jak nigdy i choć minutę temu nienawidziłem ich z całego serca, naraz znów poczułem do nich sympatię. Gobliny zaś jakby to wyczuwały – zaczęły nas łapać za ręce i ciągnąć za sobą.

– Dobrze, w porządku, cieszę się – powiedziała Sara, próbując się uwolnić. – Nie będziemy wam przeszkadzać w zabawie, moi drodzy. Wiem, że jest późno na rozmowy, ale chcemy ustalić jedną sprawę, krótką i zasadniczą. Kiedy wyjeżdżacie?

– Tawibny! – zapewnił ją z powagą bezzębny staruszek i zaklaskał.

– Tawibny! – krzyknęły inne gobliny. Dwa z nich z uporem ciągnęły Sarę w stronę ogniska, a dwa inne wślizgnęły się za nią i pchały ją naprzód. Któryś pochwyił chichoczącego Nuuta, a inny złapał mnie za ramię.

Muzyka nabierała tempa, tancerze wirowali wokół płomieni, a reszta klaskała i skandowała jedno, niezrozumiałe dla mnie słowo. Migotliwy blask ognia w regularnych odstępach czasu przecinały olbrzymie, roztańczone cienie. Gobliny tańczyły z niewysłowioną precyzją.

– Nigdzie nie idę! – opierała się Sara, nadal próbując się uśmiechać. – Rozmawiać chcę. Kiedy wyjeżdżacie? Kiedy ruszacie w drogę?

Wypowiadała każde słowo bardzo powoli, jakby to mogło goblinom pomóc w zrozumieniu. Te jednak nie słuchały jej wcale i z uporem pchały nas naprzód.

– Puśćcie mnie! Nie mam ochoty z wami tańcować! Chcę, żebyście sobie poszli! Rozumiecie mnie? Idźcie sobie stąd!

– Tawibny! – wrzasnęły gobliny chórem, a tancerze wokół nieodległego ogniska odpowiedzieli im głośnym okrzykiem. Któryś zatańczył przed nami, wymachując łopoczącą pochodnią, inny przeskoczył nad płomieniami, wywołując wiwaty reszty, a ja złapałem się na tym, że naprawdę nie jestem już zły. Ten przeklęty taniec goblinów miał w sobie coś, co oddalało troski zarówno przeszłości, jak i przyszłości, a w to miejsce pozwalało wydobyć nieco beztroski z chwili bieżącej.

– Przestańcie mnie ciągnąć! – W głosie Sary pojawił się niepokój. – Nie chcę iść z wami. Zresztą, ja was w ogóle tu nie chcę! Idźcie sobie! Ruszajcie w drogę!

Kiedy wyruszacie?

Korciło mnie, by powiedzieć „a nie mówiłem?” czy też zrobić jakąś aluzję do jej uwagi o bohaterach Doliny, ale doświadczenie życiowe nauczyło mnie, że byłaby to najgorsza ze wszystkich reakcji. Chichotałem więc w duchu do woli, ale na zewnątrz przybrałem należytą zaniepokojoną minę i cierpliwie pozwalałem, by gobliny wlekły nas naprzód. Byłem przekonany, że nie dzieje się nic złego, i czułem, że w zasadzie w każdej chwili możemy im uciec, ale w sumie ciekawiło mnie, co tym razem strzeliło im do głów.

– Zwierzak! – Sara krzyczała coraz bardziej piskliwie. – Gdzie jest Zwierzak? Zwierzak, chodź tu i wytłumacz tym baranom, by zwiłali manatki! Edmund, gdzie jest Zwierzak?

– Nie widziałem go od paru dni! – odkrzyknąłem. – Mówiłem ci!

W oczach mojej żony błysnęła frustracja. Przeczuałem, że zaraz eksploduje i ofuknie mnie o to, że nie wiem, gdzie się Zwierzak podziewa, albo o coś równie absurdalnego, ale z opresji uratowali mnie Edwin i Salia.

– Mamo! Tato! – wołali, biegnąc ku nam od wielkiego ogniska. Oboje byli zarumienieni i roześmiani, a Salia miała nawet na głowie barwną goblinską chustę. – Wreszcie jesteście!

Salia wskoczyła mi w ramiona z takim impetem, że o mało się nie przewróciłem na śnieg, a Edwin złapał Sarę za ręce i okręcił ją wokół własnej osi. Gobliny odskoczyły i klaskały, podrygując w rytm bębnow. Muzyka dudniła radośnie.

– Gdzie wyście się podziewali? – zbeształa ich odruchowo Sara. – Salia, co ty masz na głowie? Przecież zmarzniesz!

– Tawibny! Tawibny! – skandowały gobliny.

– Edmund! – Sara spojrzała na mnie z mieszaniną rozpacz i desperacji. – O co im, do cholery, chodzi?

– Pojęcia nie mam! – przyznałem. – A więc pozwólmy się im zaprowadzić tam, gdzie nas ciągną! Coś czuję, że w przeciwnym razie nie dadzą nam spokoju.

– Tata ma rację! – Salia wesoło podskakiwała. – Musicie to zobaczyć!

– Nie macie pojęcia, co te gobliny wymyśliły! – dodał Edwin.

Sara westchnęła z udręką i poddała się woli otaczającego nas tłumy, rosnącego z każdą chwilą.

– Ta! Wib! Ny! – wołały chórem i klaskały, ciągnąc nas i popychając jednocześnie, a my szliśmy bezwolnie, brnąc w śniegu do połowy łydek. Po chwili minęliśmy kuźnię Gramma, a potem pasiekę Eliaha. Blask ogniska słabł z każdą

chwilą, aż w końcu jedynym źródłem światła stały się trzymane przez gobliny pochodnie.

Kilkanaście kroków dalej na białej, skrzącej w blasku płomieni polaci śniegu zamajaczyła ogromna, czarna, niemalże kwadratowa plama, za którą piętrzyły się pagórki, których tam wcześniej nie widziałem. Zamrugalem z niedowierzaniem i przyspieszyłem, a po kilkunastu krokach stanąłem na krawędzi wielkiego wykopu o głębokości przynajmniej dwóch metrów. Nasza asysta naraz ucihła i wszystkie gobliny wbiły wzrok we mnie i w Sarę.

– Tawibny – oznajmił z powagą goblin-staruszek.

I wtedy mnie olśniło.

– Staw rybny – wykrztusiłem. – Te dranie wykopały nam staw rybny. W sumie wolałem saunę, ale może być. Staw rybny. Nie wierzę.

Pokręciłem głową oszołomiony. Nie miałem pojęcia, jak tego dokonali – srogi mróz wszak trzymał od dwóch tygodni – ale z drugiej strony byli przecież bagiennym plemieniem i zapewne doskonale radzili sobie z każdym rodzajem podłoża. Spojrzałem na Sarę, która przygryzała wargę, ze wszystkich sił usiłując utrzymać niechętną minę.

– Czyli trzeba było aż plemienia goblinów, by zrobić to, czego wam się od roku nie udało? – burknęła z udawaną opryskliwością. – Banda leni.

– Staw rybny – powtórzyłem i pokręciłem głową. – Będziemy mieli prawdziwy staw rybny.

– Tawibny! – pokiwał staruszek głową.

– Tawibny! – wrzasnęła cała reszta z entuzjazmem, klaszcząc, podskakując i padając sobie w objęcia. Wiedziałem, że w ten oto przedziwny i nieoczekiwany sposób plemię Zwierzaka chciało nam podziękować za uciążliwą gościnę i niespodziewanie urzekła mnie ich szczerą radość. Gniew i pretensje nagle wyparowały. Złapałem nadal boczącą się Sarę za rękę, zatupałem i wykrzyknąłem z entuzjazmem:

– Tawibny!

– Tawibny! – zawyły gobliny.

– Edmund! – wrzasnęła Sara. – Co ty robisz, do cholery?

Nie zwracałem uwagi na jej protesty. Trzymając mocno jej dłoń, pobiegłem w kierunku ogniska, wokół którego nadal trwały dzikie tańce. Obok podskakiwał Nuut, za nami biegli Salia i Edwin, a dalej cała reszta naszej asysty. W mig wmiszaliśmy się w krąg tancerzy, co ci powitali piskami radości. Czulem, jak Sara mięknie, aż wreszcie sama ulega atmosferze chwili, a na jej zaróżowionej od biegu i mrozu twarzy pojawia się nieśmiały uśmiech. Chwilę później oparła

dłoń na moim ramieniu, a ja objąłem ją w pól i zawirowaliśmy w tańcu jak za młodu.

Ogień huczał, bębny dudniły, świat płasał wokół nas. Przemknął mi gdzieś Nuut, przytupujący za rozpromienioną starą goblina w barwnej chuście, dojrzałem w przelocie Salię, skaczącą wesoło z młodą rodaczką Zwierzaka, i Edwina, który wmieszał się w tłum wojowników i wraz z nimi klaskał do rytmu, ale skupić się mogłem jedynie na twarzy Sary i jej błyszczących oczach, w których na próżno było szukać wcześniejszych pretensji.

Jej usta nagle drgnęły. Nie musiałem słyszeć, by wiedzieć, co chce powiedzieć.

– Wariat z ciebie.

– Skoro działa, nie spodziewaj się zmian – odpowiedziałem i nachyliłem się, by pocałować jej ciepłe, wilgotne usta.

Sara bynajmniej nie miała nic przeciwko. W głębi serca czułem, że kryzys minął.

Całowaliśmy się delikatnie, z czułością, jak zawsze wtedy, gdy chcieliśmy sobie nawzajem podziękować za każdą przeżywaną wspólnie chwilę. Chyba się przy tym zatrzymaliśmy. Chyba też się troszkę zapomnieliśmy, bo nagle zdałem sobie sprawę, że ucichły zarówno bębny, jak i rytmiczne pokrzykiwania całego plemienia. Niechętnie przerwałem pocałunek i rozejrzałem się dookoła.

Gobliny obojga płci stały nieruchomo i wpatrywały się w nas szeroko otwartymi oczami, a niektóre rozdziawiły przy tym usta. Zapadła cisza tak głęboka, że słyszałem jedynie trzask płomieni. Skądś pojawiła się Salia, a po niej Edwin, ciągnący Nuuta za rękę.

– Musicie tak przy innych? – syknął. – Przecież to obleśne!

– I gobliny się gapią! – dodała z niepokojem Salia. – Chyba zrobiliście coś nie tak.

– Edmund? – szepnęła Sara z niepokojem. – Co tu się dzieje?

– Nie mam pojęcia – powiedziałem zgodnie z prawdą. – Ale chyba nic złego...

W oczach goblinów widziałem bowiem mieszaninę zdziwienia, fascynacji i niedowierzania. Cisza przeciągała się jeszcze przez chwilę, aż któraś z goblerek podeszła do nas i powiedziała coś szybko we własnej, całkowicie dla nas niezrozumiałej mowie. Gestykulowała przy tym obficie, wskazując nasze twarze czy też może...

Usta?

Sara rozgryzła ją jako pierwsza.

– Jej chyba chodzi o to, że się całowaliśmy! – wyszeptala.

– A nie mówiłem? Faj! – skrzywił się Edwin.

Goblinka podeszła bliżej, szczerze zafascynowana, i powiedziała jeszcze kilka słów, a potem wykonała obiema dłońmi gest, jakby chciała przybliżyć nasze głowy do siebie.

– Że co? – zdumiała się Sara. – Mamy to zrobić jeszcze raz?

Pocałowała mnie przelotnie w usta.

– Tak? O to ci chodziło?

Goblinka pokiwała z entuzjazmem głową, a potem powtórzyła swój gest.

– Jeszcze raz, tak? Dłużej?

Nie był to szczególnie autentyczny pocałunek, bo świadomość, że obserwuje nas całe plemię goblinów, odarło chwilę z resztek intymności, ale obserwatorom wystarczył on w zupełności. Gdy nasze usta się rozłączyły, wybuchła oszałamiająca wprost wrzawa, po czym bębny znów zawibrowały, a gobliny puścili się w dziki tan. Tym razem jednak trudno się było w ich pląsie doszukać jakiegokolwiek harmonii, bo tancerze co chwila przerywali dzikie podskoki, by przypaść do kogokolwiek, wymienić namiętny pocałunek i znów puścić się w tan. Ewidentny brak doświadczenia i celności rekompensowali sobie entuzjazmem, a kolorytu scenie dodawał fakt, że różnice płci czy wieku nie stanowiły dla goblinów żadnej przeszkody. Przyglądaliśmy się temu z niedowierzaniem i fascynacją.

– Czy to możliwe... – Sara odkasznęła. – Czy to możliwe, że oni nigdy... nigdy wcześniej się nie całowali?

– Trudno w to uwierzyć, ale... chyba nie – bąknąłem.

– I po coście im to pokazywali... – mruknął Edwin.

Wszyscy chyba mieliśmy już dość wrażeń jak na jeden wieczór. Dyskretnie wymknęliśmy się z kręgu goblinów, które właśnie przechodziły gwałtowną rewolucję obyczajową, i pobiegliśmy, śmiejąc się i żartując, do karczmy. Gdzieś zniknęła złość, wyparowały pretensje i nikomu nie przeszkadzały już ani hałaśliwe towarzystwo w sąsiedztwie, ani całkowity zastój w interesach. Siedzieliśmy w piątkę przy ogniu, piliśmy herbatę z miodem i rozmawialiśmy wesoło, aż dzieciaki zaczęły ziewać, a Nuut zasnął.

Jak się później miało okazać, była to ostatnia spokojna chwila na długo.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jako karczmarz przywykłem do tego, że bladym świtem budzi mnie głośnie walenie do bram. Sara mruknęła coś sennie i naciągnęła sobie koc na głowę, ale nie miałem nic przeciwko – już dawno odkryłem, że im dłużej śpi, tym łatwiej nam się później rozmawia. Posykując, przebiegłem po lodowato zimnej podłodze, wskoczyłem w stojące przy drzwiach buty, ostrożnie uchyliłem drzwi i wyslizgnąłem się na schody, w pośpiechu naciągając na siebie podbitą futrem kurtkę. Serce zabiło mi mocniej na myśl o tym, że być może wrócił któryś z moich przyjaciół, ale już po kilku krokach przypomniałem sobie, że każdy z nich zapewne skorzystałby z bocznej furtki.

Zakląłem więc wściekle i chwyciłem tęgą lagę, którą na wszelki wypadek zawsze trzymałem przy drzwiach karczmy. Owinąłem szyję grubym szalem, naciągnąłem na głowę czapę, a na dłonie rękawice, ująłem lagę mocniej i wyszedłem na dwór.

W nocy przyprószyło i ubłocony bruk podwórza pokryła warstewka bieli. Powleczone szronem jabłonki wydawały się wręcz nierzeczywiste, jakby przeniesione ze snów o lepszych czasach. Mrok nocy powoli ustępował różowi poranka, coraz śmieiej rozlewającemu się na wschodnim horyzoncie.

Walenie w bramę stało się o wiele głośniejsze.

– Panie Edmundzie! – Ktoś sapał głośno po drugiej stronie. – Panie Edmundzie, otwierajcie!

Głos wydał mi się znajomy, ale zapomniałem o nim natychmiast, bo w tej samej chwili zza budynku karczmy dobiegło głośnie łupnięcie połączone z trzaskiem pękającego lodu, po czym rozległ się plusk wody.

Znieruchomiałem. Plusk wody?

Przez moment zastanawiałem się, czy aby się nie przesłyszałem. Przecież na terenie wytyczonym przez stary, rozpadający się mur Gryfa nie było nikogo poza moją rodziną, która, o ile było mi wiadomo, smacznie spała. Któż więc mógł myszkować za zabudowaniami?

Mróz był tak ostry, że oczy mi zwilgotniały. Przetarłem je dłonią w futrzanej rękawicy, a potem ująłem palkę mocniej i zacząłem się skradać w kierunku źródła dźwięku. Stawiałem kroki ostrożnie, jak najciszej, próbując wyciągnąć jak najwięcej informacji z tego, co usłyszałem, co łatwe nie było, bo serce znów biło mi mocno, a w skroniach szumiała krew. To, co wyłapałem, sensu wielkiego nie miało.

Chrzęst przypominający stuknięcia kęsów lodu. Nieco głośniejszy, jak gdyby kawał lodu wylądował na ziemi. Dwa chluśnięcia, prychnięcie, kolejne chluśnięcie i przekleństwo w nieznanym mi języku.

Przesuwając się powoli wzdłuż ściany karczmy, dotarłem do rogu, a to, co za nim ujrzałem, wprawiło mnie w osłupienie. Przy beczce, która zbierała deszczówkę, stał bowiem rozebrany do pasa Eliah, w pełni pochłonięty oblewaniem się lodowatą wodą. Przez moment mnie nie widział, zajęty wcieraniem jej sobie w policzki, dzięki czemu nie dostrzegł, że odruchowo mocniej otuliłem się kożuchem.

– Eliah? – bąknąłem z niedowierzaniem.

Elf przestał trzeć twarz i spojrział na mnie ze stoickim spokojem.

– Tak – powiedział i powrócił do czynności pielęgnacyjnych.

Ulga i zaskoczenie walczyły we mnie o lepsze.

– Chłopie, jak ja się cieszę, że cię widzę! – wyrzuciłem z siebie. – Nie żeby tutaj coś się działo, nie! Poza przybyciem tej bandy goblinów nie wydarzyło się kompletnie nic, ale martwiłem się o was i...

Urwałem, bo elf wsadził głowę do beczki, a potem wyrwał ją z głośnym prychnięciem i potrząsnął, rozbryzgując wodę naokoło.

– ...i zastanawiałem się, czy wszystko u was gra – dokończyłem. – Mogłeś na przykład zapukać do drzwi! Zrobiłbym ci coś ciepłego do jedzenia i może zagrzał ci wody w balii.

Elf znieruchomiał na moment i spojrział na mnie z rozbawieniem, po czym powrócił do wyżymania wody z włosów. Moją uwagę na moment zaprzętnęły strużki wody ściekające po jego nagim, muskularnym torsie, które przyprawiły mnie o dreszcz, przez co dopiero po chwili zauważyłem, że elf wyciąga sobie żdzbla słomy z włosów. Mój wzrok powędrował ku pobliskiej stajni, po czym radość zastąpiła podejrzliwość.

– Aha, zdążyłeś się przespać? Czyli do Gryfa dotarłeś już wczoraj wieczorem?

– Przed południem – wyjaśnił elf i znów zanurzył głowę w lodowatej wodzie.

Wystarczyła ta krótka chwila, by podejrzliwość zamieniła się w złość.

– Zaraz – warknąłem. – Zaraz, Eliah. Od tygodni razem z rodziną czuwamy przy oknach i wypatrujemy waszego powrotu! Dzieciaki co chwila wypytują, kiedy wrócą wujkowie, a ja skupić się na robocie nie mogę, bo bez przerwy myślę, czy coś się wam złego nie stało, a ty, kanalio jedna, wracasz do Gryfa i nawet przywitać się nie przyjdiesz? Do drzwi nie zapukasz? Kolacji z nami nie zjesz? W cholernej stajni się zasztywasz?

– Musiałem do pszczół zajrzeć – burknął Eliah. Zdjął z gwoździa koszulę i naciągnął ją na mokre, parujące ciało.

– Do pszczół? Niech cię szlag, Eliah! Pszczoły, o ile mi wiadomo, śpią!

Nad sobą usłyszałem skrzypnięcie otwieranego okna. Nad zasypanym śniegiem parapetem pokoiku na piętrze pojawiło się mocno zaspane oblicze kapłana Vitalisa, byłego doradcy króla Rotgiera. Jego chudy, osobliwie włochaty tors był nagi.

– Skoro już o śnie mowa – wychrypiał staruszek, zmiatając brodą śnieżny puch – wymienilibym jeszcze parę osób, którym na nim zależy. Na przykład ja i twoja...

Błyskawicznie ulepiłem śnieżką kulę i cisnąłem nią w Vitalisa, który schował się z zaskakującą zwinnością.

Z głębi zajmowanego przez niego pokoiku dobiegł cichy kobiecy głos, co mogłem skwitować tylko ciężkim westchnieniem. Sędziwy Vitalis, kapłan mężny i bywały, a przy tym bezgranicznie oddany Doli, całkiem zawładnął sercem mojej teściowej.

W sumie trudno się dziwić. Były doradca króla Rotgiera już w drodze do Gryfa zaznaczał, że uważa swą służbę Dolinie za zakończoną i chciałby wreszcie zacząć korzystać z życia, ale myślałem, że poprzestanie na płądrowaniu nam spiżarni. Jadł i pił za trzech i w ciągu tygodnia wyhodował sobie okrągłutki brzuszek, ale nie zapomniał przy tym o swoim powołaniu, czym całkiem zauroczył Andreę. Ta szybko zapomniała o Urgo, a jej uniesienia religijne wnet weszły na zupełnie nowy poziom, by z czasem przejść z religijnych w inne, bardziej przyziemne. Od paru dni Vitalis mieszkał z moją teściową w jednej izbie, skąd wieczorami dobiegały odgłosy co najmniej inspirujące. Nie powinienem w zasadzie narzekać, bo Andrea stała się o wiele mniej dokuczliwa, a do tego nierzadko przylapywałem ją na tym, że uśmiechała się do siebie, ale... Cóż, pewnie wychodziłem na hipokrytę, ale na myśl o ich zbliżeniach brały mnie dreszcze.

– Cóż to za zachowanie! – obruszył się Vitalis, pojawiwszy się ponownie przy oknie. – Edmundzie, wypraszam sobie taką postawę! Jestem świętym mężem i...

Zatrzasnął okiennice dosłownie na uderzenie serca przed tym, jak kolejna śnieżka zdzieliła go prosto między oczy. Odwróciłem się w stronę Eliaha, by wyładować na nim resztę złości, ale elf ruszył już z powrotem w stronę stajni.

Zaskoczyło mnie to. Nazywanie Eliaha typem aspołecznym było niedopowiedzeniem, bo elf nie tyle ignorował normy społeczne, co wręcz nie był świadom ich istnienia. Gdyby nie to, że łączyła nas głęboka, niezachwiana przyjaźń, już dawno uznałbym go za zwykłego czubka i trzymał się od niego z daleka z obawy przed tym, że tocząca go szajba jest zaraźliwa. Podobne zachowania nie powinny mnie więc dziwić, ale tym razem wyczuwałem w jego postawie coś nowego. Coś obcego.

Czwórka moich najbliższych przyjaciół – Żychłóń, Gramm, Eliah i Urgo – rozjechała się po Dolinie, by odnaleźć i zabezpieczyć dusze trolli, czarne grudki, które zamieniały wojowników w owładnięte bezrozumną furią maszyny do zabijania. Sekret dusz został dobrze ukryty, ale ostatnimi czasy zaczęli się nim interesować najgroźniejsi znani nam agenci Złego, Trójcy Grzesznicy, przez co w dobrze pojętym interesie Doliny dusze należało na powrót ukryć albo zgoła zniszczyć. Tym, który swego czasu zgromadził ich najwięcej, był król Rotgier, dziad książąt Ruperta, Fryderyka, Nikodema i Stefana oraz księżnej Yanny, który przy wsparciu krasnoludów pokonał reję trolli Vahana Biczyska pod Chremięgą. Król jakoś nie zapisał się w annałach jako władca szczególnie bystry czy przenikliwy, ale na szczęście w porę zdał sobie sprawę z niszczycielskich właściwości dusz. Podzielił więc swój łup na czworo i ukrył go w czterech miejscach w Dolinie, których lokalizację poznaliśmy podczas ostatniej wyprawy.

Eliah wziął na siebie zadanie sprawdzenia jednego z tych miejsc – Świetlistej Puszczy.

Był to las znajdujący się niemalże w samym sercu Doliny, słynący głównie z tego, że latem stawał się ośrodkiem pielgrzymek elfów z leżącej kilkadziesiąt mil dalej Elfirii. Mało kto zadawał sobie pytanie, po co właściwie elfy tam zmierzają – mieszkańców Doliny o wiele bardziej intrygowało to, że na czas owych wypraw elfy porzucały wszelkie ograniczenia natury towarzysko-płciowej i obdarzały swymi wdziękami każdego, kto się napatoczył. Pielgrzymki te, z racji swego charakteru zwane Chędożynkami, odbywały się jednak w czerwcu i z tego, co wiedziałem, elfy nie mieszkaly w Świetlistej Puszczy na stałe. W Dolinie

zamieszkiwały jedynie osadę zwaną Gorczyca, choć po masakrze, którą podczas Waśni urządził im niejaki hrabia Henryk Davlon, nie było ich tam wiele.

Elijah zachowywał się dziwnie, oschlej niż zwykle, jakby nadal usiłował przepracować jakieś wydarzenia. Czyżby przeżył coś nieprzyjemnego na trakcie? Czyżby spotkał kogoś w Świetlistej Puszczy?

Patrzyłem, jak odchodzi do stajni, wiążąc mokre włosy w koński ogon, i westchnąłem ze złością. Wiedziałem, że nie było sposobu, by zmusić drania do mówienia. Od dawna przeczuwałem, że Elijah skrywa niejedną gorzką tajemnicę, ale pomimo lat znajomości nigdy nie zdradził nam dosłownie niczego.

– Panie Edmundzie! – Od bramy niesło się coraz bardziej płaczliwe wołanie. – Otwórzcie! Otwórzcie! Bieda nam nastąpi!

Nagle przypomniałem sobie o gościu pod bramą.

– Bieda? – mruknąłem z niepokojem. – Jaka znowu bieda?

Podniosłem lagę i ruszyłem szybkim krokiem ku bramie, po czym wbiegłem po zaśnieżonych stopniach i spojrzałem z góry na wołającego. Po drodze połączyłem głos z imieniem, nie byłem przeto zaskoczony widokiem niejakiego Szmyrgła, osobnika pochodzącego z sąsiedniej wsi Rympał, który często do Gryfa zaglądał, ale nigdy nie obudził ani odrobiny mego zaufania. Ciągnęła się bowiem za nim woń człowieka, który podejmie się zrobienia dosłownie wszystkiego, o ile nie będzie go to kosztować zbyt wiele wysiłku, obieca wszystko, z czego będzie mógł się wyłgać, i powie wszystko, pod warunkiem że zdoła w porę schować się za czyimiś plecami. Wszystkie te cechy maskował żabim uśmiechem, płaczliwym tonem i umiejętnością wykonywania kilkunastu ukłonów na minutę. Innymi słowy, w promieniu wielu mil nie znalazłoby się człowieka równie śliskiego, przewrotnego i odstręczającego.

– Czego chcesz, Szmyrgiel? – zawołałem. – Zwłaszcza o tej porze, co?

– Och, panie Edmundzie! – Przybysz rymnął na kolana i złożył dłonie jak przed kapłanem Doli. – Bieda, ogromna bieda!

– „Panie Edmundzie” – zadumałem się na pokaz. – Cóż za wstrząsająca zmiana. Wszak ostatnio, gdy dopisał ci grosz, wołałeś na mnie: „Ej, Edmund, czy jak cię tam mać nazwała”, a później, gdy już zainwestowałeś ów grosz w piwo, słyszałem coś na kształt: „Ty, gruby! Nalałbyś szefowi, co?”

– Och, panie Edmundzie złościutki! – Szmyrgiel chwiał się na kolanach. – Przecież to nie ja! Ja bym nigdy niczego złego o was nie powiedział! Gdzieżbym tam ja, panie kochany?

– Czego chcesz, Szmyrgiel?!

– Wpuśćcie, to wam powiem.

– Poszedł stąd. I głowy mi nie zawracaj.

– Powiem. Powiem! Wszystko powiem! – Szmyrgiel niemalże płakał. – Tylko obiecacie, że mnie, nieszczęsnego, nie porzucicie!

Powiało i chłód wdarł mi się pod szal, znów przeszył mnie dreszcz. Jednocześnie wydawało mi się, że gdzieś daleko zamigotały odległe, niewyraźne ogniki. Służyłem w wojsku podczas Waśni i parokrotnie widziałem już podobny obraz – gdzieś płonęły zabudowania.

Jedyną wsią, która widać było z murów Gryfa, był Rympał.

Spojrzałem uważnie na Szmyrgła i podjąłem decyzję. Kilka uderzeń serca później byłem już na dole i otwierałem boczną furtkę.

– Właż – warknąłem. – Tylko się nie drzyj za głośno.

*

Szmyrgiel jadł dokładnie tak, jak żył, co było dla mnie widokiem nie do zniesienia. Odwróciłem się więc i ukucnąłem przy kominku, gdzie przez moment zajmowałem się dorzucaniem drew do ognia, próbując zignorować siorbanie i ciamkanie niespodziewanego gościa. W końcu odwróciłem się, przekonany, że ten już się uporał z miską owsianki.

Niestety, za wcześnie. Szmyrgiel wprawdzie wydlubał już resztki owsianki z miski, przystąpił jednak do skrupulatnego oblizywania palców.

– Przezań, Szmyrgiel – westchnąłem. – Natychmiast przezań, bo odruchowo zaczynam się zastanawiać, co wcześniej obłapiałeś. I mów o wszystkim, czego byłeś świadkiem.

– A znalazłoby się jeszcze trochę tej wspaniałej owsianeczki? – zapytał skruszonym tonem gość. – Nie wzgardziłbym jajeczniczką, rzecz jasna, zwłaszcza...

– Co się stało w Rympale, Szmyrgiel? – warknąłem.

– Gdzie? – Przybysz z Rympału zamrugnął parokrotnie, jakby pełen żołądek zamazał mu wszelkie wspomnienia.

– Widziałem ognie. Rympał się pali czy co?

– Eee... nie... to znaczy tak. Chyba tak. Możliwe, bo strasznie źli byli! – Szmyrgiel zamachał rękami.

– Kto? – syknąłem, ledwie panując nad emocjami. – Kto się rozeźlił?

– Werbunkowi! – wyjaśnił Szmyrgiel.

– Werbunkowi? – Wybałuszyłem oczy. – Księżę Stefan do wojska zaciąga?

– Nie, nie Stefan. Insze imię krzyczeli. Fryderyk, zda mi się.

Odebrało mi mowę na moment.

– Co takiego? Książę Fryderyk? Przecież... Na pewno nie Stefan?

– Na pewno. Przecie bym zapamiętał. A piwa dacie, panie Edmundzie złościutki? Dobrze kiedyś takie u was piłem...

Machnąłem ręką, by na moment się zamknął, i skupiłem się na gonitwie myśli w mojej głowie. Fryderyk? Książę Fryderyk przeprowadzał werbunek do wojska w okolicy Gryfa? Jakim to prawem? Przecież te ziemie od lat należały do Stefana... Czyżby więc książęta skoczyli sobie do gardel?

Przygryzłem wargi. Sama w sobie walka między Stefanem i Fryderykiem byłaby dla naszych okolic wielką tragedią, ale ja, w przeciwieństwie do Szmyrgła i wszystkich innych ludzi, znałem jeszcze jeden ponury sekret Fryderyka, przez który takowe starcie zyskiwało znacznie poważniejsze konsekwencje.

– Panie Edmundzie kochany, dobrze zrobił, że się do pana udał, oj, dobrze. – Szmyrgiel czknał. – Tak że się tych werbunkowych wystrychał, rety. Gdzie mnie, spokojnemu człowiekowi, do wojska iść!

Zamlaskał przy tym i pokręcił głowę z niedowierzaniem, jakby nie mógł się nadziwić niesprawiedliwości świata. Zebrało mi się na ciętą ripostę, ale w tej samej chwili moją uwagę przyciągnął ruch na schodach. Sara, wciąż w koszuli nocnej, na którą narzuciła wełniany sweterek, schodziła w dół, ziewając przeciągle. Część napięcia natychmiast mnie opuściła, bo kochałem jej wygląd zaraz po przebudzeniu równie intensywnie, jak ona go maskowała.

– Na Dolę, Edmund – wymamrotała. – Kto się tak wydzierał? Obedrę gnojka ze skóry, bo to pierwsza noc bez tych przeklętych bębnow i...

Wtedy dostrzegła Szmyrgła i zatrzymała się w pół kroku, a na jej twarzy pojawiło się obrzydzenie. Odruchowo otuliła się mocniej sweterkiem.

– A ten co tu robi?

– Szanowna pani Edmundowa! – Nieproszonego gościa zerwał się i powitał ją czymś, co w jego mniemaniu przypominało ukłon. – Pani mąż użył mi gościny, bom głodny i potrzebujący...

– Dobrze, że już nie jesteś. – Odwróciłem się ku niemu. – Wynocha stąd.

– Ale... – Szmyrgiel zamlaskał nerwowo. – Ale jakże to tak?

– Spadaj stąd. Werbunkowi już sobie pojechali.

– A... – Szmyrgiel zerknął z narastającym przerażeniem na drzwi. – A jeśli nie?

Ująłem mocniej pogrzebacz, co dla człowieka jego pokroju stanowiło wyraźny i zrozumiały sygnał. Burknął coś pod nosem, podszedł do drzwi, zerknął jeszcze raz spode łba i wyślizgnął się na zewnątrz, wpuszczając do środka powiew chłodu. Płomienie w kominku zatańczyły z sykiem.

– Co się dzieje? – spytała cicho Sara, podchodząc bliżej.

Była cudownie wprost rozczochrana, ale w jej wzroku nie było ani odrobiny zaspania. Patrzyła bystro i uważnie, a ja wiedziałem, że w takich chwilach jest w stanie przejrzeć każde kłamstwo, choć mi nawet nie przyszło do głowy, by ją wprowadzić w pole. Nie w takiej sprawie.

– Nie wiem – mruknąłem i dorzuciłem szczapę do ognia. – Ten padalec twierdzi, że w Rympale pojawili się wysłannicy księcia Fryderyka, którzy wcielają ludzi do wojska.

– Fryderyka? – Sara otworzyła szeroko oczy i zasłoniła usta dłonią. – Nie Stefana?

– Wydawało mi się, że z daleka dostrzegam jakieś pożary – powiedziałem, nie patrząc na nią. – Stefan nie paliłby własnych włosów. Niewykluczone, że dzieje się coś niedobrego.

– Kolejna Waśń? – Sara powoli, lekko drżąc, nabrała tchu.

– Nie wiem. – Przygryzłem wargę. – Może. Równie dobrze ten pieprzony Szymrgiel mógł dostrzec pożar jakiejś stodoły i wcisnąć mi historyjkę o poborze w Rympale, by móc się za darmo nażreć. Posłuchaj. – Ująłem jej ciepłe dłonie. – Nam nic nie grozi. Nie wiemy, czy doszło do jakichś działań wojennych, ale jeśli rzeczywiście tak się stało, nikt nie jest na tyle głupi, by atakować karczmy. Miejsca takie jak Gryf są zbyt cenne.

– Na pewno? – Sara wpatrywała się we mnie z nadzieją.

Jakoś wytrzymałem jej wzrok.

– Wiem, co mówię – oświadczyłem, choć moje dotychczasowe doświadczenie wcale nie dawało mi pewności. – Mimo to obudź dzieci i daj im coś do jedzenia, a ja osiodłam konia i podjadę do Rympału. Może się dowiem czegoś więcej.

– Ale zostaw konia w lesie jeszcze przed wsią – powiedziała ostro Sara. – I przekradnij się do niej ścieżkami Żychłonia. I żadnego ryzyka, jasne?

– Żadnego – obiecałem żonie mocnym głosem, co stanowiło szczyt moich umiejętności aktorskich.

Podszedłem do szafy w kuchni, gdzie trzymałem broń. Zapinając pas z mieczem, przekląłem swojego pecha. Tęskniłem za moimi towarzyszami i martwiłem się o nich, ale w tej chwili po prostu mi ich brakowało. Bo z tą zgrają u boku każde niebezpieczeństwo tego świata przestawało wydawać się nawet w połowie tak groźne.

Odwykłem od tego, pomyślałem ze złością, dobierając sztylet. Odwykłem od działania samotnie.

Ba, nie umiałem tego robić. Nagle poczułem się opuszczony – bez kwaśnych min Eliaha, głupkowatego uśmiechu Zwierzaka, spokojnych spojrzeń Urgo, ciętych komentarzy Gramma i burknięć Żychłonia stawałem się człowiekiem zagubionym, marną jedną szóstą idealnej kompozycji.

Niestety, Dola zażyczyła sobie, byśmy się rozstali. Gramm udał się na północ, ku Gwiżdżącym Góróm, Żychłoń wędrował przez Wichrowiny, Urgo skierował się do Sokolnika, Zwierzak, który kręcił się przy Gryfie, zniknął kilka dni temu, a Eliah, który wrócił wczoraj, najwyraźniej musiał przeleżeć jakąś traumę w sianie. Na myśl o elfie zrobiło mi się nieco raźniej.

– Właśnie – mruknąłem, dopiąwszy przesywanicę. – Przecież jest Eliah. Wywęlekę go z tej stajni, by się na coś przydał, a potem może sobie leżeć choćby do Nocy Zstąpienia Doli.

Pokrzepiony tą myślą wyszedłem z powrotem do głównej izby, gdzie ujrzałem Vitalisa pogrążonego w cichej rozmowie z Sarą. Słyszając moje kroki, stary kapłan zerknął na mnie i wyprostował się. Z jego chudych barków zwisał ciepły płaszcz z kapturem, a sękata dłoń zaciskała się na tęgiej palce. Na piersi nosił symbol kapłanów Doli.

– Siodłać konia będziesz? – spytał, unosząc brew.

– Próbowałem go kiedyś namówić, by sam to zrobił, ale jak dotąd nie dał rady – burknąłem.

– Aleś ty dowcipny! – skrzywił się starzec. – Już chyba wolę, jak rzucasz śnieżkami we mnie i twoją teściową.

– Co takiego? – zainteresowała się Sara. – Edmund, czy tobie do reszty...

– Nie przejmuj się nim, moja droga – rzekł kapłan. – Natrę mu uszu po drodze. Osiodłaj dwa konie, chłopcze, bo jadę z tobą.

Vitalis budził we mnie na przemian sympatię i niechęć. Od przyjazdu do Gryfa przeważała raczej ta druga, ale na myśl o tym, że byłby gotów wybrać się na zwiad razem ze mną, poczułem gwałtowną ulgę, którą skwapliwie zamaskowałem. Spojrzałem na niego z udawaną niechęcią i oświadczyłem:

– Dam sobie świetnie radę. Nie trzeba mi niańki.

– Wiem, że ci nie trzeba. – Kapłan zaśmiał się sucho. – Natomiast jeśli do owego Rympału zawitały kłopoty, sam ich nie powstrzymasz. Ja zaś – dotknął symbolu Doli – mam pewne szanse.

Cóż, trzeba było przyznać mu rację. Dola była najważniejszym i od pewnego czasu jedynym bóstwem Doliny, a kapłani dzierżyli wielką władzę, nierzadko wywierając wpływ na świeckich rządzących. Wydawało mi się, że nawet skandal z Głoscielem Goderusem, który mocno zbłądził z kapłańskiej ścieżki, w żaden

sposób świątyni Doli nie zaszkodził, gdyż wiara zbyt mocno zakorzeniła się w sercach i duszach mieszkańców Doliny.

Niechętnie skinąłem głową.

– Może i racja – mruknąłem. – Osiodłam dwa konie.

W tej samej chwili drzwi uchyliły się i do środka zajrzał Szmyrgiel.

– Czy ja cię właśnie stąd nie wypieprzyłem? – warknąłem. – Drogi do bramy nie możesz znaleźć?

– Żeś mnie pan w sprawie tych werbunkowych okłamał, panie Edmundzie złościuteńki! – wybełkotał pospiesznie Szmyrgiel i wślizgnął się do środka, by pocałować na czworakach w stronę najbliższej ławy.

– Co z nimi?

– Bo oni wcale sobie nie poszli! Pod drzwiami stoją! – oświadczył już silniejszym głosem, ledwie widoczny w ciemnym kącie.

– Edmund? – Zza niedomkniętych drzwi dobiegło stłumione wołanie. – Edmund zwany Kociołkiem?

Sara wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi, szklistymi z przestraczu oczami. Wiedziałem, że bez względu na wszystko powinienem podejść do niej i zapewnić, że nie ma powodu do obaw, ale na myśl o tym, że jakieś przybłędy wdarły się na dziedziniec mojej karczmy i miały czelność wołać mnie po imieniu, trafił mnie szlag. Wycodziłem głucho jakieś przekleństwo i w kilku krokach znalazłem się przy drzwiach.

Z chwilą gdy przestąpiłem próg, ów gniew nagle ostygł na tyle, bym zrozumiał, że życie takie, jakim znałem je do tej pory, przypuszczalnie dobiegło końca.

Stojący przede mną mężczyzna był ode mnie wyższy i rośniejszy, a żelazny, powgniatany napierśnik z ogromnymi naramiennikami czynił go jeszcze potężniejszym. Dla kontrastu nie nosił hełmu ani nawet czapki, przez co jego całkowicie łysa czaszka była zaróżowiona od chłodu. Na jego długich, niemalże kobiecych rękach osiadł białawy szron, a spojrzenie, którym mnie obdarzył, było równie zimne, jak powietrze tego poranka. W krzywym uśmiechu, który oszpecił jego oblicze, również ciepła się nie dopatrzyłem.

– Wydawało mi się, że będziesz ciut większy – mruknął łysy olbrzym. – A wam, chłopaki?

– No – burknął żołnierz w szerokim skórzanym kapeluszu. – Mały jakiś.

– Grubawy – zauważył inny, który stał w rozkroku z kuszą.

Dzikie wzburzenie wyparowało w mgnieniu oka, ustępując zdrowemu rozsądkowi, który dokonał błyskawicznej analizy. Łysy rycerz w napierśniku.

Pięciu knechtów, w tym dwóch z kuszami. Usmolone twarze, pęta przy pasach, głębokie skaleczenie na policzku jednego ze zbrojnych, siniak na czole innego.

I tuniki z fioletowym kielichem, znakiem księcia Fryderyka.

Durny Szmyrgiel jednak się nie pomylił, przeszło mi przez myśl. Ludzie księcia Fryderyka prowadzą nabór na ziemiach Stefana. Co tu się, na Dolę, wyprawia?

– Kim jesteście? – warknąłem, robiąc krok ku obcemu. – I co tu robicie?

– Wypełniamy wolę miłościwie nam panującego księcia Fryderyka – oznajmił łysy z niemalże autentycznym oburzeniem. – Który to książę kazał nam ogłosić obowiązek poboru we wsiach Rympał, Rżysko i Taradejka.

– A od kiedy to książę Fryderyk ma cokolwiek do powiedzenia na tych ziemiach? – spytałem głośno, niemalże wyzywająco, biorąc się pod boki.

– Rety, nie wiem. – Na obliczu rycerza tym razem pojawił się smutek, natychmiast zastąpiony szczerą radością. – Aż tak bardzo to się polityką nie interesuję. Na szczęście jego książęca mość z całkowitą pewnością wyjaśni ci wszystko osobiście, bo przykazał mi, bym cię czym prędzej zabrał na Krzemyk.

– Co takiego? – Zmarszczyłem brwi z niedowierzaniem.

– Stolicę zobaczysz, mości Kociołku! – zaśmiał się rycerz. – U samego księcia będziesz gościł! Wiem, że Fryderyk jest wielce twojej osoby ciekaw. Chce, dla przykładu, o jakimś spotkaniu w dworku myśliwskim księcia Ruperta pogadać. Szczegółów nie znam, bom, jak rzekł, niepolityczny, ale musi to ważna sprawa być, bo książę raczy na to wspomnienie pluć i paraskać.

Po plecach spłynął mi lodowaty dreszcz i nagle pozazdrościłem Szmyrgłowi ukrytemu w cieniu pod ławą. Doskonale wiedziałem, o czym łysy osiłek mówi. Dworek myśliwski Ruperta był miejscem tajemniczego spotkania między Trójką Grzeszniczką, agentką Złego sprzymierzoną z księciem Fryderykiem, a samym Rupertem, jego żoną Marianną i córką Matyldą. Owocem owego spotkania miał być traktat scalający Krzemyk z Sokolnikiem oraz cementujący ową umowę ślub Matyldy z Ignacym, synem Fryderyka. Naszym staraniem wysiłki Złego spełzły na niczym, do ślubu nie doszło, a Rupert zrozumiał, jak mało brakowało, by stał się zabawką w rękach Złego.

Ja zaś pojąłem, że Złe zapuściło korzenie znacznie głębiej, niż sądziłem – zawładnęło bowiem Fryderykiem, najstarszym i najmądrzejszym z synów Rodryka, władcą księstwa Krzemyk.

Pytanie brzmiało: i co ja, kucharz i karczmarz, miałem z tą wiedzą począć?

Prawdę znali wszak pozostali władcy Doliny i to oni powinni wyciągać odpowiednie wnioski, tym bardziej że na przestrzeni minionych kilku miesięcy

każde z nich musiało się zmierzyć z intrygami Złego. To oni odpowiadali za przyszłość Doliny i spokój swoich poddanych, oni, a nie ja, zapracowany gospodarz i znękany mąż i ojciec trójki dzieci! Najwidoczniej jednak nie uznali za stosowne nawet kiwnąć palcem, a ja nie dość, że ich już przed owymi intrygami wybroniłem, to jeszcze teraz musiałem mierzyć się z zemstą Fryderyka?

Jasna cholera, pomyślałem z narastającą rozpaczą. Tylko tego mi brakowało. Mam nadzieję, że dzieciaki śpią i nie będą patrzeć na to, jak ich tatę wiążą jak prosiaka.

Cieszyłem się tylko z tego, że nie zdążyłem obudzić Eliaha. Mój przyjaciel był znakomitym wojownikiem, ale nawet on nie byłby w stanie poradzić sobie z szóstką zbrojnych, tym bardziej że któryś z nich mógłby mi w każdej chwili wpakować belt w oczodół.

Odsiecz jednak przybyła, choć z nieoczekiwanego kierunku. Usłyszałem skrzypnięcie zawiasów i trzask zamykanych drzwi, a potem kroki na śniegu. Stojący przede mną rycerz uniósł brew z niedowierzaniem.

– Dola nakazuje wam schować oręż, szlachetni przybysze! – W mroźnym powietrzu poniósł się donośny, uroczysty głos Vitalisa. – Wszak wszelkie spory można rozstrzygnąć przy stole, w atmosferze zrozumienia i szacunku! Dola uczy, że żaden gwałt nie przystoi ludziom, którzy liczą na błogosławieństwo...

– Spory? – przerwał mu z rozbawieniem łysy rycerz. – Przecież ja, dziadku, z nikim tu sporu nie mam. Ja tylko rozkazy wykonuję.

– Dziadku? – warknął Vitalis.

Zerknąłem w bok i ujrzałem święte oburzenie w jego zmrużonych oczach. Twarz, na ogół rozpromieniona, była teraz definicją kaznodziejskiej surowości, a rozwichrzona broda sprawiała, że stary kapłan wydawał się nieobliczalny w swoim gniewie.

– Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy urągają świętym mężom? – huknął z takim przekonaniem, że sam odruchowo cofnąłem się o krok. – Wiesz, jaki los pisany jest tym, którzy lżą Dolę i jej wiernych służących wraz z nią?

Mierzył drżącym palcem w napierśnik rycerza, który powoli pokręcił głową.

– No właśnie, cholera, nie wiem – powiedział skarżącym się tonem. – Ja w ogóle, okazuje się, niewiele wiem.

– Przeklinam cię! – zawył Vitalis, unosząc obie dłonie. – Przeklinam! Dolo, przybądź i rozszarp duszę tego plugawca!

– Duszę ma znaleźć, co? – Łysy odezwał się tonem, w którym czaiło się coś mrocznego. – Toś właśnie przydzielił, dziadku, Doli niezłą robotę.

– Mogę, Mocarz? – spytał żołnierz w kapeluszu.

– Się nie krępuj.

Knecht nagle poderwał włócznię, o którą się wspierał, zakręcił nią młyńca, aż powietrze zahuczało, i z całej siły uderzył kapłana w czaszkę. Rozległ się suchy trzask, po czym Vitalis osunął się na zdeptany śnieg. Patrzyłem na to z niedowierzaniem, bezwolny i sparaliżowany strachem. Na skraju świadomości zanotowałem, że z karczmy dobiega stłumiony wrzask Andrei, a potem odgłos szamotaniny, ale moją uwagę w pełni pochłonął teraz przybysz zwany Mocarzem. Patrzył na mnie i uśmiechał się kpiąco, jakby nie przejmował się wcale tym, że z jego rozkazu podwładny dopuścił się świętokradstwa.

– To jak będzie, mości Edmundzie? – zapytał. – Dobrowolnie skorzystasz z książęcego zaproszenia czy ciebie też trzeba najpierw w mordę strzelić?

*

Nigdy nie darzyłem Rympału przesadną sympatią, czemu nie należało się dziwić, bo mieszkańcy wsi również jakoś za sobą nie przepadali. Każde z kilkunastu rypalskich gospodarstw było skłócone z przynajmniej dwoma innymi i z podobną liczbą sprzymierzone, a skomplikowaną siateczkę wzajemnych sympatii i animozji – zmieniających się zresztą w dość ostrym tempie – rozumiał tylko miejscowy kapłan Doli, udręczony i wiecznie załamujący ręce grubasek o imieniu Rumianek. Apele o miłość wobec siebie, wygłaszane z ambony wioskowej świątyni, były jednakowoż jedyną stosowaną przez niego metodą mediacji, przez co konflikty kwitły w najlepsze, a niektóre osiągały punkt kulminacyjny w sobotnie wieczory na dziedzińcu Gryfa. Rympalanie po paru głębszych prali się po gębach z niepojętą pasją, a bywało, że narobili w obejściu wielu szkód, co wcale mojej życzliwości do nich nie zwiększało. W tej wsi kryło się coś inherentnie chaotycznego, a Rumianek, który również nie stronił od piwa, w chwilach podchmienia powtarzał, że skupiło się tam całe szaleństwo z okolicy. Nie przesadzał, bo mieszkańcy sąsiadujących z Rympałem Rżyska i Taradejki dogadywali się ze sobą bardzo dobrze i nie wszczynali idiotycznych burd.

Teraz jednak mogłem tej wsi jedynie współczuć.

Złowieszczy smród dymu, zatruwający chłodne powietrze świtu, czułem na długo, zanim dojechalśmy do Rympału. W odpowiedzi na moje pytania Mocarz śmiał się tylko głośno i pytał, czy jechałem kiedyś prawdziwą karocą. Ironię rozumiałem, gdy ujrzałem zaprzężony w dwa mocne konie furgon, stojący na

środku traktu biegnącego między gospodarstwami. Wyposażono go w zamknięte na kłódkę drzwi oraz niewielkie zakratowane okna, z których dobiegały stłumione jęki, przekleństwa i wyzwiska. Czasem furgon dygotał na resorach, gdy któryś z uwięzionych w środku mężczyzn ze wszystkich sił atakował drzwi, co jednak nie przeszkadzało w rozmowie trzem uzbrojonym po zęby strażnikom. Inni wlekli właśnie skrępowaną, szamoczącą się kobietę, która co rusz pluła krwią i usiłowała się wyrwać oprawcom. Ze sztachet przewróconego płotu podnosiła się właśnie inna, oszołomiona po ciosie w bok głowy. Gdzieś tliła się strzecha, skądś dobiegał płacz dzieci, gdzieś rozlegały się histeryczne wrzaski staruszki.

Ze świątyni, ostatniego budynku w historii wsi, który jej mieszkańcy wznieśli wspólnymi siłami – a przy tym na tyle wielkiego, by pomieścili się w nim, nie stykając się barkami – pozostały jedynie szerniałe, dymiące fundamenty. Na zdeptanym śniegu przed kamiennymi schodkami leżał nieruchomy Rumianek z rozrzuconymi szeroko rękami, a wokół jego głowy widniała kałuża zastygłej już krwi.

Nie mogłem wprost w to uwierzyć i nigdy, choć widziałem w życiu prawdziwe okropności, nie poczułem tak wielkiej grozy. Minęła dłuższa chwila, zanim przebiła się przez nią pierwsza przytomniejsza myśl, która zresztą jedynie owo przerażenie rozdmuchała.

Bo wszyscy żołnierze we wsi nosili fioletowy kielich Fryderyka.

– Mocarz! – zawołał wysoki żołnierz z wydatną grdyką, który oderwał się od rozmowy z kamratami przed furgonem i podbiegł do łysego rycerza. – Jesteśmy gotowi do wyjazdu.

– Ilu macie? – Mocarz rozglądał się po zabudowaniach.

– Piętnastu. Pełen wóz! – zameldował żołnierz.

– Ciekawe, jak się powiedzie tym, których wysłaliśmy do Rżyska i Taradejki – zadumał się Mocarz. – Wygląda na to, że jeśli się uwiniemy, pojutrze pod wieczór powinniśmy być w Krzemyku. Widzicie, mości Kociołku? – Odwrócił się ku mnie i uniósł rzadką brew. – Zabudowania całe, gwałtów prawie żadnych, a obite gęby prędzej czy później się zagoją. Ludzkie z nas chłopaki, musisz przyznać. Przedstawiliśmy im – wskazał furgon – sensowną ofertę pracy łącznie z wysokością żołdu i teraz dajemy im czas, by się z nią oswoili. Bo przecież nie wypada się wypiąć na szczodłą ofertę księcia Fryderyka.

Koń, na którym mnie posadzono, prychnął głośno i potrząsnął łbem, jakby nawet on dostrzegł zimny cynizm w głosie rycerza. Mnie zaś wściekłość znów odebrała zdrowy rozsądek. Zapomniałem, że siedzę na obcym koniu, z dłońmi

związanymi za plecami. Prychnąłem głośno i ruchem głowy wskazałem spaloną świątynię i leżącego w błocie kapłana.

– A to co? – wycedziłem.

– To – rycerz uniósł drugą brew – nieco inna historia. Pamiętacie może, mości Kociołku, jak to dziad miłościwie panującego nam księcia Fryderyka, król Rodryk, przegonił z Doliny wszelką magię, bo uznał ją za szkodliwą? Otóż książę Fryderyk doszedł do wniosku, że prawdziwie szkodliwa jest jednakże religia. Mi to akurat obojętne, bo jak już wiesz, polityka to nie moja broszka, ale książę, czego jestem pewien, z pewnością przekona cię do swej racji.

– Zabiliście ojca Rumianka! – warknąłem, z trudem powstrzymując łzy. – To też wola księcia?

– Książę – zadumał się Mocarz – pozostawił mi w tej sprawie wolną rękę. A ja naprawdę nie lubię, jak ktoś się drze i pluje.

– Jada wozy z Rżyska i Taradejki! – zawołał inny żołnierz.

Mocarz rozpromienił się i klasnął w dłonie w ciężkich rękawicach.

– Wspaniale! – zawołał. – Ruszamy więc w drogę!

*

Jakaś część mojego umysłu zdołała dokonać oceny sytuacji.

Wiedziałem, że podróżowałem teraz w karawanie, składającej się z trzech ciężkich furgonów, z których każdy mógł pomieścić nawet do kilkunastu chłopów. Ich ciężar zwiększał woźnica i przynajmniej dwóch, trzech knechtów z kuszami, przez co brnęły ciężko w świeżym śniegu, z trudem wleczone przez posapujące z wysiłku konie. Eskortę karawany uzupełniało kilku piechurów z kuszami, a czoła i tyłu broniło paru jeźdźców. Razem naliczyłem około trzydziestu zbrojnych.

Gdziekolwiek spojrziałem, widziałem tuniki z fioletowym kielichem.

Od granic Krzemyku, władztwa księcia Fryderyka, dzieliło nas kilkadziesiąt mil, a mimo to żołnierze Mocarza emanowali pewnością siebie i zadowoleniem. Śmiali się głośno, raczyli się trunkiem z bukłaków i obsypywali niewybrednymi dowcipami przewożonych w furgonach więźniów, którzy to domagali się uwolnienia, to znów tłukli pięściami o drzwi i ściany. Nie zauważyłem, by ktokolwiek z przybyszów choćby rozglądał się na boki. Fryderykowa wyprawa zachowywała się jak u siebie.

Co tu się dzieje? – myślałem. Co oni tu robią?

Między piątką rządzących Doliną książąt panowało coś na kształt niewyraźnego *status quo*. Jak dotąd ten, który próbował zapanować nad innym, spotykał się ze zdecydowaną reakcją wszystkich pozostałych, a na przejęcie kontroli nad dwojgiem nikt nie miał siły. Tymczasem przez ostatnie miesiące byłem świadkiem tego, że ów chwiejny układ próbowano przynajmniej dwukrotnie naruszyć. Najpierw Yanna, Stefan i Rupert spotkali się w tajemnicy w Gryfie, by ustalić jakieś porozumienie, a potem Fryderyk rękami Trójkiej Grzeszniczki – lub na odwrót – postanowił przejąć władzę nad księciem Rupertem i jego rodziną. Najwidoczniej więc doszło do kolejnych przesunięć, które dały przewagę Fryderykowi.

A pomysł miał kapitalny, myślałem z goryczą, wpatrując się w szerokie plecy Mocarza.

Żadne z księstw Doliny nie imponowało wielkością, a ich ludność z pewnością nie przekraczała kilkunastu tysięcy. Urowadzenie gromady potencjalnych rekrutów zwiększało szanse Fryderyka i jednocześnie odbierało przewagę Stefanowi, zmuszając go do działania, na które nie był przygotowany.

Na pewno będzie chciał się jakoś Fryderykowi odpłacić, i to szybko, zanim Rupert czy Yanna podejmą jakąkolwiek decyzję – tym bardziej że okazując bierność, wyszedłby w ich oczach na słabeusza.

A co ze Złem, które najprawdopodobniej już dawno się zagnieżdżyło w Krzemyku? Dlaczego ludzie Mocarza bez wahania bili kapłanów i spalili świątynię? Co z duszami trolli, o które w Dolinie toczyła się cicha batalia? Czy Fryderyk wiedział coś na ich temat? A może zgromadził już zapas, który pozwalał mu drwić z pozostałych przeciwników?

Wyglądało na to, że nie było co dłużej udawać. Do Doliny zawitała wreszcie wojna, i to taka, której obawiałem się najbardziej – wojna między ludźmi, którymi steruje Złe.

W brzuchu burczało mi z głodu, ale byłem zbyt zaniepokojony i przybity, by zwrócić na to uwagę. Przed oczami nadal miałem spalone resztki świątyni Doli i nieruchome ciało Rumianka, wciąż pamiętałem cios, który posłał na śnieg Vitalisa, a w uszach rozbrzmiewał mi kobiecy płacz i wrzask. Myśli zaś bez reszty wypełniało mi wspomnienie przerażonej Sary na chwilę przed tym, zanim zamknąłem drzwi i wyszedłem na dziedziniec.

Wojna, myślałem. I to ja jestem jej pierwszą ofiarą. Ja, Edmund zwany Kociołkiem, karczmarz i kucharz, od miesięcy uporczywie wciągany przez Dole do polityki. Nie, to nie tak powinno być. Przecież dziś miałem wziąć Salię, Nuuta

i Edwina na ryby, a potem ugotować bigos. Kompletnie mi to wszystko nie pasuje. Kompletnie!

Nisko nad naszymi głowami wisiały chmury, szare i zimne jak obojętność władcy, zwiastujące, że lada moment znów czekają nas opady śniegu. Zmierzałyśmy na zachód pomniejszym szlakiem kupieckim, który wił się między wzgórzami porośniętymi jodłowym borem. Żołnierze Fryderyka nadal popijali i dowcipkowali, ale niektórych już ogarnęło znużenie. Kilku jeźdźców zwiesiło nisko głowy, ktoś domagał się miejsca na wozie, co spotkało się z serią propozycji, gdzie może wsadzić sobie głowę. Nad szczytami ośnieżonych drzew leciał samotny kruk.

Byliśmy sami. Całkowicie sami. Nie było skąd wypatrywać ratunku.

Mój wzrok padł na rycerza, który jechał przede mną.

– Hej, Mocarz! – zawołałem.

Rycerz drgnął i poderwał wysoko głowę, jakby i on uległ zmęczeniu. Obrócił się ku mnie, mrugając spiesznie.

– Czego?

– Możesz mi poluzować więzy?

– A czemuż to? – zdziwił się i ziewnął.

– Bo strasznie piją mnie w nadgarstki.

– Aha. Otóż nie. Nie mogę.

– No dobra. A możesz mi powiedzieć, co się właściwie dzieje? Co my teraz robimy?

– Jedziemy konno – odparł, co wzbudziło rechoty eskorty.

– Ale dlaczego? Dokąd? – dopytywałem. – Jak to się dzieje, że działacie kilkadziesiąt mil od własnych granic? Czyżby Stefan uznał wyższość Fryderyka? Zachorował? Nie żyje może? Powiedz mi coś, bo mam mętlik w głowie. Muszę to sobie jakoś poukładać.

Mocarz zaśmiał się bez wesołości.

– Ostrzegano mnie przed tym – powiedział i znów ziewnął.

– Przed czym?

– Kociółek, nie rób ze mnie idioty – prychnął rycerz. – Politykę, jak wiesz, zostawiam innym, ale z wydarzeniami w Dolinie jestem na bieżąco i wiem, że nieźle ziółko i masz chwackich kompanów. Słyszałem o waszych akcjach w Dymie i w letnim dworku Ruperta, wiem, że działaliście w Sokolniku i w Głodnej Puszczy. Ponoć uwolniliście Stefanową Matyldę, porwaliście Yannę i upokorzyliście jakiegoś Głosciela, a każde z książąt Doliny z wyjątkiem naszego władcy i bodajże Nikodema jest wam winne przysługę. Wyglądasz na

potulnego barana, który wychodzi z kuchni tylko po to, by się wyszczać w krzakach, ale mnie nie zwiedziesz. Mam cię, Kociołek, za niebezpiecznego, podstępnego drania i nie, nie będę poluzowywał ci więzów ani też nie będę z tobą rozmawiał. Dowiozę cię do Krzemyka i na tym moje zadanie się skończy.

– Ale nie zawadzi chyba, byś... – zacząłem, ale wtedy Mocarz zwrócił ku mnie oblicze, zaczerwienione z zimna i gniewu.

– Stul pysk! Albo zaraz znajdę garnek godny twojego miana, nasadzę ci go na łeb i zamocuję rzemieniem, żeby nie spadł!

Bywało nieraz, że w trudnych chwilach budziła się we mnie straceńcza odwaga, która w niczym nie pomagała, ale za to zmieniała sytuację trudną w beznadziejną. Tego zimowego poranka na trakcie między Rympałem a granicą Krzemyku intensywność owego irracjonalnego męstwa zaskoczyła nawet mnie samego.

– Garnek na głowie! – zapiszczałem. – Przecież w czymś takim zlecę z konia, rozwałę sobie łeb i zacznę bredzić od rzeczy, a wtedy ksiązę Fryderyk spyta: a któż to tak zmaltretował mości Kociołka, z którym chciałem rozmawiać o religii i polityce? Przecież z człowiekiem gadać się nie da! Zaraz, czyżby Mocarz? Oj, mości Mocarzu, bardzo mnie rozczarowałeś, a więc skazuję cię na przypalenie fiuta. W wypadku gdyby potwierdziły się plotki i rzeczony fiut okazał się rozmiaru kijanki, proszę o wbiecie pogrzebacza w...

Trzeba było przyznać, że Mocarz potrafił przyłożyć, bo nie tyle spadłem z siodła, co z niego wyfrunąłem, a momentu upadku na śnieg zgoła nie zarejestrowałem.

– Mocarz, ja żartowałem – wystękałem, badając językiem zęby. Na szczęście wszystkie nadal tkwiły na miejscu. – Nikt nie plotkuje o tobie ani o twoim przyrodzeniu. Ja powtarzam jedynie to, co śpiewają wędrowni minstrele, i to głównie ci kiepscy. Nie masz pojęcia, z czym się rymuje słowo „mocarz”.

– Tak? – Ociekający ironią głos Mocarza dobiegał z góry. Świat nadal był rozmyty, ale widziałem pęciny konia, który zatrzymał się tuż przede mną. Nie było wątpliwości, że to rumak krzemycyckiego rycerza. – Z czym?

– Mocarz, Mocarz, kijankę pokaż! – zawylem.

Tu i ówdzie rozległy się chichoty, ale ktoś przytomnie stwierdził:

– Mizerny ten rym.

– Bo, jak wspomniałem, pieśń jest popularna wśród kiepskich bardów – wyjaśniłem i spróbowałem się podnieść, ale wtedy Mocarz znów na mnie najechał konno. Padłem w śnieg.

– Kijanka, tak? – zagrzmiał z siodła. – Twoja żona wydawała się zadowolona, gdy ją ostatnio rznąłem!

Eskorta zarżała posłusznie.

– Spójrz na siebie, Mocarz – wybełkotałem. – Tylko popatrz na siebie. Wielki chłop, zacna zbroja, groźna mina. Ktoś by pomyślał, że zdążyłeś już dorosnąć i w ogóle, ale gdzie tam... Nadal sobie gołe przed snem wyobrazasz, co?

– Chyba za słabo ci przyłożyłem.

– Nie, w porządku, było w sam raz. Już wiem. Mocarz jesteś i wszyscy to wiedzą, ale trzeba im przypominać! Zaraza, chłopie – dźwignąłem się do pozycji siedzącej, co ze związanymi rękami nigdy nie było łatwe – innych przydomków nie było? Nie przyszło ci do tej łysej łepetyny, że jeśli rosły chłop każe się innym nazywać Mocarzem, to może wcale nim nie jest?

Ten zaklął wściekle i jeszcze raz natarł na mnie koniem, więc znów padłem na śnieg.

– Kiszka, podnieś go – warknął.

– Kiszka? Na serio masz człowieka, na którego wołają Kiszka? Nie boli cię to, że ksywa byle knechta ma swoje uzasadnienie, a ty musiałeś coś sobie wymyślić, by poczuć się lepiej?

Tym razem ktoś mnie zdzielił w plecy, przypuszczalnie drzewcem włóczni. Zabolalo tak, że aż mi się zrobiło ciemno przed oczami. Ledwie zarejestrowałem, że zaryłem twarzą w brudny śnieg, a ktoś, zapewne ów Kiszka, właśnie zeskokczył z konia. Usłyszałem rozmyty, odległy chrzęst ciężkich butów, a potem ciche stęknienie. Kroki urwały się nagle. Przygniotło mnie coś ciężkiego. Tuż obok mojej głowy opadła w śnieg bezwładna ludzka ręka, a za nią znieruchomiał hełm.

– Kiszka – stęknąłem z trudem. – Mocarz kazał ci mnie podnieść, a nie sprawdzać, czy dobrze się na mnie leży...

W tym momencie ktoś wrzasnął z przerażenia. Ktoś wykrzyknął rozkaz, rozległ się tupot pospiesznych kroków i grzmot kopyt, szcęknęła kusza, po niej druga, a potem poniosły się wrzaski przerażenia i bólu. Obróciłem głowę najmocniej jak mogłem i teraz widziałem już, że z szyi człowieka, którego brałem za Kiszkę, sterczy krótka strzała z białą brzechwą.

Znałem takie strzały.

Wokół mnie rozszalał się chaos. Kątem oka widziałem knechta, który wychyla się zza furgonu, by wypuścić bełt z kuszy, ale pada, przeszyty dwoma grotami. Widziałem innego, który upadł na skrwawiony śnieg, i jeszcze innego, który wydał z siebie dziki ryk i runął z wzniesionym toporem w stronę skraju lasu. Zginął niemalże natychmiast, przeszyty kilkoma strzałami. W cieniu rzucanym

przez przydrożne jodły to pojawiały się, to nikły drobne, krępe sylwetki, które napinały niewielkie łuki, słały w żołnierzy ze znakiem fioletowego kielicha grad strzał, a potem znikwały, nim dopadł je któryś z beltów. Ten i ów z krzemickich nadal zrywał się do szaleńczej szarży, ale nikomu nie udawało się przebiec więcej niż kilka kroków.

– Tak trzymać! – darłem się, usiłując się wygrzebać spod trupa Kiszki. – Brawo! Bić sukinsynów!

Nie do końca wiedziałem, co właściwie chcę zrobić, ale nie przyszło mi do głowy, że w pozycji leżącej, i to nakryty trupem, jestem absolutnie bezpieczny. Na szczęście Dola, która darzy szczególnym upodobaniem pijaczków, żaków i słabujących na umyśle, objawiła się pod postacią konia, który zdzielił mnie kopytem w głowę i zatrzymał moje wysiłki.

*

Pierwszym, co zobaczyłem, był szeroko uśmiechnięty stary goblin z piórami wplecionymi w siwe warkoczyki i zmarszczkami ciągnącymi się aż na skronie. Pomógł mi usiąść, po czym przyjrzał mi się uważnie, jakby badał, czy moja twarz nie ucierpiała w starciu, a potem pocałował mnie prosto w usta.

– Tawibny? – spytał z troską.

W głowie łupało jak rzadko kiedy, ale wiedziałem, że goblin rozpoczął znajomość nie tak, jak należało.

– Co? – parsknąłem. – Co chcesz? Na Dolę, weź mi lepiej więzy rozetnij...

Obróciłem się nieco, co wywołało kolejną falę bólu, ale staruszek zauważył więzy. Wyciągnął nieprzyjemnie długi nóż i zabrał się do piłowania sznura, a ja zyskałem okazję, by rozejrzeć się dookoła. Wszędzie zalegały trupy żołnierzy z fioletowymi kielichami, a wśród nich uwijały się gobliny obu płci, które odzyskiwały swoje strzały lub z zaciekawieniem przetrząsały sakwy bądź sakiewki. Kilka z nich z zaintrygowaniem obwąchiwało podniesiony ze śniegu bukłak, inne zaś niepewnie próbowały złapać włóczące się na pobojowisku konie.

– Tawibny! – zawołał inny goblin, muskularny mężczyzna z kolczykami w uszach i białą kreską wymalowaną na czole. Przypadł do mnie i pocałował mnie z taką pasją, że o mało się z powrotem nie przewróciłem.

– Dobra, dobra! – Odepchnąłem go w panice i zerwałem się na równe nogi. Zatoczyłem się, ale zdołałem zachować równowagę. – Ja też się cieszę, że cię widzę. Co wy tu robicie? Znaczy się, bardzo się cieszę, że się spotykamy, ale... Czy jest tu Zwierzak?

Zgromadziło się wokół mnie kilkoro spośród moich wybawicieli, którzy chyba też mieli ochotę na buziaka, ale powstrzymałem ich wymownym gestem. Wszyscy mieli rozradowane, ale zaskoczone miny, co zdradziło mi, że wcale nie spodziewali się mnie tu zastać. Przeprowadzili więc swój niespodziewany atak na karawanę księcia Fryderyka z powodów znanych tylko sobie, a ja nie miałem szans ich poznać, bo żaden z tych obwiesi nie znał ludzkiej mowy, a Zwierzak znikł jak kamień w wodę.

Moje przemyślenia przerwało gwałtowne brzęknięcie, gdy tęga goblinka grzmotnęła zdobycznym toporem w zamek najbliższego furgonu. Włożyła w cios niemało siły, bo kłódka spadła w błoto, a drzwi stanęły otworem. Pierwszym, który wyskoczył z furgonu, był...

– Zwierzak! – wrzasnąłem i rzuciłem się biegiem w kierunku przyjaciela.

Zwierzak rozglądał się dookoła rozradowanym wzrokiem, a na mój widok podskoczył i pomachał mi ręką. Ja, nie tracąc czasu, roztrąciłem jego pobratymców i złapałem drania w objęcia.

– Kociołek! – wykrzyknął goblin z zaskoczeniem.

– Zwierzak! – wycedziłem przez zaciśnięte zęby, a potem postawiłem go na ziemi i zacząłem pospiesznie zawiązywać linę na jego pasku.

– Co ty robisz? – Goblin wybałuszyl oczy. – Kociołek, ja... ja przepraszam, ale my się nie całujemy! Jakoś nikt dotąd na to nie wpadł i wszyscy są zachwyceni. Obiecuję, że nie będę ani ciebie...

– Mówi się całujemy! – warknąłem, kończąc węzeł. – A wiąże cię, cholero jedna, żebyś mi więcej nie uciekł! Jestem wam dozgonnie wdzięczny za wykopanie stawu i za ocalenie życia, ale chcę wreszcie wiedzieć, o co tu chodzi! Po co tu przyjechaliście! Czemu wystrzelaliście Krzemykowych! I w ogóle, kurwa! O co tu chodzi, Zwierzak? Już ja cię, zgago, nie wypuszczę. Będziesz tłumaczył!

– N-no – bąknął zaskoczony Zwierzak. – No dobra. Ale może później, co?

Miał rację. Z furgonu zeskakiwali właśnie ludzie porwani przez Mocarza i jego oddział. Patrzyłem na rozczochranych mężczyzn w podartych ubraniach, niekiedy z pokiereszowanymi twarzami, którzy rozglądali się niepewnie, niekiedy ze strachem. Żaden z nich nigdy nie widział całego plemienia goblinów, które, trzeba przyznać, prezentowały się teraz dziko i groźnie. Zapewne niejeden zadawał sobie pytanie, czy przypadkiem nie znalazł się w większych tarapatach, a ten i ów rozglądał się już za bronią.

Byłem jedynym, który mógł załagodzić sytuację.

– Hej, dobrzy ludzie! – zawołałem, idąc w ich stronę. – Nie bójcie się, to przyjaciele. Może i trochę dziwni, ale przyjaciele. Nic wam nie grozi. Jesteście wolni! Wracajcie do domów!

ROZDZIAŁ TRZECI

Oczywiście wcale nie chciałem pętać Zwierzaka.

Nie tak się postępuje z przyjaciółmi, a poza tym nie było przecież takich więzów, którymi można było zatrzymać goblina na dłużej. Pośród wielu talentów Zwierzaka znalazła się bowiem niemalże unikalna umiejętność wyplątywania się lub wyślizgiwania z niemalże wszystkich znanych mi rodzajów okowów, zwłaszcza teraz, gdy działo się wokół niego mnóstwo rzeczy, a on koniecznie chciał wziąć udział w każdej. Miałem zamiar jedynie dać mu wymownie do zrozumienia, że zasłużyłem na nieco wyjaśnień i odrobinę współpracy, ale chyba trzeba było obrać ostrzejszą politykę, bo Zwierzak całkowicie zignorował moje potrzeby i zniknął jakieś pięć minut po rozbiciu eskorty karawany.

Razem z całym plemieniem, co należy podkreślić.

Nie widziałem szczegółów, gdyż pomagałem wysiąść z furgonu najbardziej poszkodowanym z niedoszłych rekrutów księcia Fryderyka. Wyglądało na to, że z mieszkańców Rympału w istocie wyszły rogate dusze i musieli się knechtom ostro postawić, bo w przeciwieństwie do chłopaków z Rżyska czy Taradejki niejeden solidnie oberwał, a dwóch nie umiało nawet podnieść się o własnych siłach. W każdym razie zanim wszedłem do furgonu, by pomóc wynieść najbardziej poszkodowanego, gobliny zbiły się w ciasną gromadkę i rozprawiały o czymś gorączkowo, a gdy wyskoczyłem na zewnątrz, popędziły gdzieś drogą, wzbijając śnieżną kurzawę.

– Zwierzak, zapłacisz mi za to! – mruknąłem ze złością, ale ta wyparowała w jednej chwili, bo wnet zrozumiałem, ile pracy mnie czeka.

Nieprzyjemności, jakie chłopakom z Rympału zafundowali knechci Fryderyka, i widok wojowników z goblńskiego plemienia najwidoczniej wytrząsnęły z nich wszelką zapalczliwość. Stłoczyli się wokół mnie, podtrzymując się nawzajem

i wpatrując się we mnie z nadzieją świadcząca o tym, że potrzeba im kogoś, kto odczyni zły czar. Niespodziewanie stałem się więc kimś w rodzaju przywódcy, za czym nie przepadałem, ale jako tako umiałem sobie z tym poradzić.

– Wszyscy do mnie! – huknąłem, przyciągając uwagę również ludzi z Rżyska i Taradejki, w tym i tych, którzy już zawracali ku rodzinnym wsiom. – Wy dwaj też! – wrzasnąłem do chłopaków, którzy już zaczęli wyszarpywać sobie z rąk zdobyczny miecz. – I to w tej chwili, zajęcze pytki! Te sukinsyny – wskazałem najbliższego trupa – zaskoczyły was dlatego, że niczego się nie spodziewaliście. Nie możecie dopuścić, by znów do tego doszło, a więc od tej pory działamy wspólnie!

– Bo niby co? – warknął jakiś mężczyzna o hardej twarzy i krótko ściętych, siwych włosach. – Czemu niby mam słuchać jakiegoś karczmarza?

– Bom, w przeciwieństwie do ciebie, naoglądał się wojen bardziej, niżbym sobie życzył – odpowiedziałem głośno, by wszyscy mnie usłyszeli. – A także dlatego, że przyjmę pod swój dach każdego, kto ucierpiał z rąk tych psich mord.

Moim słowom odpowiedziały pomruki aprobaty, a siwowłosy skinął oszczędnie głową.

– Widzę tu szesnastu poległych – ciągnąłem. – Szesnastu z trzydziestu. Uznać więc należy, że gdzieś w pobliżu włóczy się jeszcze banda żołdaków, którzy lada chwila się przegrupują, a potem zapragną zemsty! Chcecie wystawić im się na cel?

Kilku najbliższych pokręciło głowami z przestrachem i niedowierzaniem, co oznaczało, że wcale o tym nie pomyśleli, a inni spojrzeli z obawą na zaśniewiony las. Ktoś zaklął ze złością, ktoś inny westchnął.

– Tym bardziej powinniśmy spieszyć do wsi! – warknął siwowłosy.

– Pewnie – przytaknąłem. – Ale zróbcie to z głową.

Wyznaczeni przeze mnie ludzie zebrali wszelką broń, łącznie z nożami i kołczanami pełnymi beltów, którą skrupulatnie podzieliłem między trzy wsie. Inni ściągnęli trupy na pobocze i wyłapali konie, a także – na wszelki wypadek – zerwali z poległych tuniki z fioletowymi kielichami, które spakowałem do sakwy. Opatrzyliśmy rannych, po czym wszystkie trzy grupy, pożegnawszy się wylewnie, ruszyły pospiesznie ku swoim wsiom, prowadząc zdobyczne wierzchowce i furgony.

Ciężkie chmury, które zdawały się wisieć coraz niżej nad czubkami drzew, wreszcie uwolniły śnieg, którego spodziewałem się od rana. Wirujące w powietrzu drobinki wnet zmieniły się w wielkie, wilgotne płatki, co skróciło widoczność do marnych kilkuset kroków, przez co o mały włos nie przegapiłem

odbijającego na zachód traktu, którym mógłbym wrócić do Gryfa. Obawa o rodzinę nie dawała mi spokoju i już się odwróciłem do rympana, by spytać, czy dadzą sobie radę sami, gdy niespodziewanie na szlaku pojawiły się dwie sylwetki jeźdźców.

Zaniepokojony złapałem za miecz.

– Ktoś jedzie! – syknął któryś z niedoszłych żołnierzy księcia Fryderyka.

Ku nadjeżdżającym, pochylonym w siodłach, zakutanym w oblepione śniegiem płaszcze, wymierzono szereg ostrzy włóczni, toporów i beltów z kusz.

– Nie strzelać! – krzyknąłem pospiesznie. – I nie bić – dodałem ciszej. – Nie chcecie mieć chyba niewinnego człowieka na sumieniu, co?

Któryś z kuszników opuścił broń, inny pochylił nieco włócznię, ale kilkanaście par oczu z nieufnością śledziło nadjeżdżających, dopóki nie odetchnąłem z ulgą.

– To swój! – zawołałem. – Swój!

– Kociołek? – wykrzyknął ktoś przez śnieżycę. – To ty czy mi się do reszty we łbie pomieszało?

– Musiałbyś najpierw coś w niej mieć! – odkrzyknąłem. – Bywaj tu, Vitalis!

Sędziwy kapłan popędził konia i podjechał bliżej, prostując się w siodle. Wtedy zauważyłem, że drugim jeźdźcą jest Szmyrgiel, skrupulatnie skrupowany, sprawnie zakneblowany i mocno markotny. Do włosów i rzadkiej brody lepił mu się śnieg, ale mimo to dostrzegłem, że ma pod okiem sporego siniaka. Na mój widok najeżył się jeszcze bardziej i odwrócił głowę.

– Nic ci nie jest, Vitalis? – spytałem z troską.

– Gdzie tam! – zaśmiał się kapłan, choć z wymuszoną wesołością. – Porządnie mnie zdzielił, żołdak jeden, ale trzeba czegoś więcej, by wytłuc duszę z takiego gagatka jak ja.

– I całe szczęście – uśmiechnąłem się z ulgą. – W domu wszystko dobrze?

– Trudno powiedzieć. – Widziałem, że futrzaną czapę naciągnął na gruby opatrunek, a wzrok nadal miał szklisty. Mówił jednak mocnym, energicznym głosem. – Głównie przez to, że twoją żonę szlag trafia średnio raz na kwadrans. Na szczęście złapała tego tam – ruchem głowy wskazał Szmyrgla – jak szukał czegoś w kuchni. Na Dolę, Kociołek, byś ty to widział...

– Widziałem. Nieraz.

– Wiedziony litością zabrałem nieboraka do swoich, bo Andrea również miała ochotę komuś przyrznać, a pewnie wiesz, że ognista z niej kocica, ognista!

– Tak, tak, oczywiście. Ho, ho, dobrze cię widzieć, Vitalis – wybełkotałem, ze wszystkich sił dążąc do zmiany tematu. – Trzeba by naszego jeńca oswobodzić, a potem...

– Nie dałoby rady – odezwał się powoli któryś z rympalan, mierząc Szmyrgła ciężkim spojrzeniem – byście sobie tego Szmyrgła zatrzymali?

– Absolutnie nie – mruknąłem i podszedłem do konia, na którym siedział. Gestem dałem mu znać, by zszedł, a potem wyszarpnąłem mu knebel.

– Och, panie Edmundzie złociuteńki, co za bieda... – zaczął Szmyrgiel, ale nie pozwoliłem mu na lament.

– Zamknij gębę, bo ci to wetknę z powrotem – pogroziłem.

– Ale te więzy... Panie, mnie, dobrego człowieka, jak świniaka prowadzić będziecie?

– Dokładnie tak. Bo przeżyłem przed momentem straszliwą chwilę i masz być w pobliżu, jak zapragnę komuś przyłożyć – oświadczyłem i wspiąłem się na siodło, nie bacząc na przerażenie w oczach wioskowego cwaniaka.

– W porę żeś się tu zjawił – powiedziałem do Vitalisa. – W sąsiedniej wsi zwolniła się prebenda. W dość gwałtownych okolicznościach. Chcesz pomóc tym ludziom?

Kapłan skinął głową, a ja podjechałem bliżej do uwolnionych.

– Nasze ścieżki się tu rozchodzą – powiedziałem. – Oto mój przyjaciel, kapłan Doli o imieniu Vitalis. Zatoszczy się o was, gdy ogarnie was zwątpienie, a gdy zachce wam się piwka, wtedy ja go zastąpię.

Rozległy się śmiechy, a ten i ów pokiwał z aprobatą głową. Vitalis zsunął się z siodła, jakby chciał w ten sposób pokazać rympalanom, że staje się jednym z nich. Zły czar zniknął.

– Uważajcie na siebie – powiedziałem, zawracając konia. – Wracajcie do siebie i zatroszczcie się o wasze rodziny. Do zobaczenia w Gryfie!

*

Koń, na którego Vitalis posadził Szmyrgła, był starzejącą się chabetą, która już dawno wywalczyła prawo do godziwej emerytury i kompletnie nie rozumiała niepokoju, nakazującego mi gnać w kierunku karczmy. Na kopniaki w bok reagowała oburzonym prychnięciem i z przyzwyczajenia przebiegała kilka kroków, po czym przypominała sobie, że jest dostojnym zwierzęciem, któremu należy się szacunek. Wówczas zwalniała i celowo szła powoli, by zademonstrować jeźdźcowi, kto tak naprawdę potrzebuje kogo, a gdy manifestacje ją znużyły i wracała do zwykłego tempa, znów nabierałem ochoty, by ją popędzić. Cykl powtórzył się jeszcze parokrotnie, a gdy zrozumiałem, że szybciej dotrę do Gryfa pieszo, w cieniu drzew dojrzałem samotną sylwetkę.

Tym razem rozpoznałem ją od razu.

Zmusiłem durną chabętę, by podbiegła raz jeszcze, a gdy znów zaczęła się boczyć, zsunąłem się z siodła.

– Eliah – mruknąłem. – Co u ciebie słyhać, chłopie? Wypałeś się porządnie? Odpocząłeś sobie? Wybacz, że nie serwowałem dziś śniadania, ale porwano mnie i...

Spojrzałem na nieruchomą, ocienioną kapturem twarz elfa i przypomniałem sobie, że sarkazm, podobnie jak inne emocjonalne formy komunikacji, jest mu całkowicie obojętny.

– Jeśli chciałeś mi w czymś pomóc, spóźniłeś się. – Złapałem konia za uzdę. – Sprawę załatwił Zwierzak i jego całusni popaprańcy. Chodź do karczmy. Zrobiłem świetny smalec...

– Kociołek? – jęknął trzeci głos.

Zamarłem i powoli odwróciłem się w jego kierunku.

Mocarz leżał na boku, skrępowany jak prosiak, przemarznięty na wskroś i drżący na całym ciele. Śnieg oblepił niemalże całą jego głowę, a nieliczne widoczne fragmenty skóry były całkiem sine.

– Kociołek, pomocy – wymamrotał niemalże nieruchomymi wargami.

Patrzyłem na niego i czułem, jak w moim sercu rozlewa się coś zimnego i nienawistnego. Podeszedłem powoli i ukucnąłem przed nim, opierając łokcie o kolana.

– Wywlokłeś mnie z domu na oczach rodziny – powiedziałem niskim głosem, pozbawionym jakichkolwiek emocji. – Uderzyłeś mego przyjaciela, kapłana Doli. Pozwoliłeś, by twoi ludzie zabili innego. Spaliliście świątynię. Dopuściłeś się porwań, pobić i niszczenia mienia, a teraz domagasz się, bym ci pomógł, tak? Od początku naszej znajomości mam cię za podłego łajdaka, ale sądziłem, że może jednak masz choć odrobinę honoru!

– On... on mnie zabije – wymamrotał Mocarz. – Tak jak... jak tamtych.

Wstałem i spojrzałem pytająco na Eliaha. Elf wzgardliwie wzruszył ramionami.

– Nie – powiedziałem ostrzej, niż chciałem. – Nie zbywaj mnie. Jakich tamtych?

– Nie wiem – odparł z niechęcią Eliah. – Przecież nie pytałem o imiona. Wiem tylko, że szli razem z tym tutaj. – Trącił stopą oblepiony śniegiem napierśnik Mocarza. – W stronę Gryfa.

Zacisnąłem powieki tak mocno, że zalała mnie całkowita ciemność i aż się zachwiałem. Odruchowo oparłem dłoń na barku elfa i ze zdumieniem

zarejestrowałem, że ten się nie cofnął. Chyba zrozumiał, co właśnie sobie wyobraziłem.

Musiał to rozumieć od samego początku. To dlatego wyszedł z karczmy w las. Strzegł mojej rodziny.

Otworzyłem oczy i spojrzałem prosto w brązowe źrenice elfa. Ten pokręcił lekko głową, jakby chciał rzec: nic nie mów. Wiesz, że źle znoszę wylewność, prawda?

Skinąłem i nie powiedziałem ani słowa. Zamiast tego raz jeszcze nachyliłem się nad Mocarzem.

– Zmierzałeś do Gryfa, tak? – spytałem cicho. – Cóż, dobrze. Niech ci będzie. Skoro tak bardzo tego chcesz, zawieziemy cię tam.

*

Trochę to wszystko potrwało.

Trzeba było przecież dotrzeć do Gryfa, co w szalejącej śnieżycy i na niechętnym do współpracy koniu wcale łatwe nie było. Trzeba było wyściskać chorą z nerwów Sarę i zapewnić, że moje życie ani przez moment nie znalazło się w niebezpieczeństwie. Trzeba było zapewnić Andreę, że Vitalis wreszcie odnalazł swoje właściwe powołanie, przeżyć entuzjastyczne powitanie dzieciaków, które na szczęście wizytę Mocarza przespały i o niczym nie miały pojęcia, i wreszcie przygotować ten nieszczęsny bigos.

Przez cały ten czas Eliah zamieniał kuźnię Gramma w tymczasowe więzienie dla Mocarza.

Minęło więc sporo czasu, zanim się w końcu spotkaliśmy. Elf wrócił do izby, gdy na dworze już zapadał zmierzch, a w kominku trzaskał wesoło ogień. Spojrzeniem zapewnił mnie, że jeniec jest bezpieczny. Kolację zjedliśmy w milczeniu, odzywając się jedynie półsłówkami, a gdy miski były już czyste i z koszyka zniknęły ostatnie kromki chleba, wzruszona, pochlipująca cicho Andrea zabrała dzieciaki na górę. Ja zaś zagrzałem nieco miodu i postawiłem kubki przed Eliahem i Sarą.

– Na Dolę, Edmund... – Dłonie Sary, zaciśnięte na parującym kubku, nadal lekko drżały. Zerknęła na schody, by upewnić się, że dzieciaki nie podsłuchują, a potem zerknęła na mnie. – Co się tam działo? Gdy zobaczyłam, jak cię wiążą i zabierają, myślałam, że świat się skończył.

– Przestań. – Upiłem łyk. – Ja naprawdę ani przez moment nie byłem w niebezpieczeństwie.

– Nie, to ty przestań – prychnęła moja żona. – Nie jestem dzieckiem. Opowiadaj, co tam się wydarzyło.

Westchnąłem ciężko i w kilku prostych zdaniach przedstawiłem jej całą prawdę o tym, czego dokonali ludzie Mocarza, potem plemię Zwierzaka, a na końcu Eliah.

– Zdaje się – powiedziała Sara, wpatrzona w płomień – że czasy świętego spokoju już odeszły.

– Nie wiem – mruknąłem, pocierając czoło. – Ciemne chmury wzbierają nad Doliną od dawna. Może, zaraza, rzeczywiście ma się na wojnę. Oby nie ze Złem.

Eliah uśmiechnął się niewesoło i zamoczył usta w miodzie.

– Mamy nad Złem pewną przewagę – dodałem, spoglądając na elfa. – Prawda? Ten odetchnął ciężko.

– Chcecie wiedzieć, jak się skończyła moja wyprawa do Świetlistej Puszczy? – spytał cicho. – Dobrze. Posłuchajcie.

OPOWIEŚĆ ZE ŚWIETLISTEJ PUSZCZY

Śnieg spadł niedawno i pokrył cienką warstwą zmarznięte runo bukowego lasu. Eliah pokręcił lekko głową i wyduł wargi, a potem spojrział w górę. Między nagimi gałęziami wyniosłych, rozłożystych buków sunęły ciężkie, nabrzmiate chmury, a podmuchy wiatru były nieprzyjemnie mroźne.

Wyczuwał w powietrzu zapowiedź rychłej śnieżycy.

W innych okolicznościach Eliah nie miałby nic przeciwko temu. Lubił śnieg, gdyż ten niósł ze sobą przedziwną ciszę, a ta dobrze wpływała na jego wiecznie niespokojną duszę. Śnieżycą zalewała świat kojącą bielą, przepędzała ludzi, dzięki czemu mógł się rozkoszować samotnością wśród drzew, a do tego przepętniała powietrze cudownym, świeżym zapachem.

Tak, jego zdaniem śnieg miał zapach, choć Eliah nie podzielił się tym faktem z nikim, nawet z przyjaciółmi z Gryfa. I tak by nie zrozumieli, a on nie lubił długo gadać.

Tego dnia jednak pogoda mogła pokrzyżować jego plany. Warstwa bieli mogła przecież całkowicie udaremnić dalsze poszukiwania.

Eliah zaklął bezradnie.

Swego czasu, gdy jeszcze uczestniczył w Zesłaniach, dobrze poznał Świetlistą Puszcę i zapamiętał ją jako niewielki las. Wydawało mu się też, że znał lokalizację każdego ze zrujnowanych kamiennych dworków, gdzie często chronili się Zesłańcy, ale od wczoraj natrafił na dwa całkowicie sobie nieznane, a w nich odnalazł dziesiątki nowych kryjówek. Co więcej, nie mógł się ograniczać do samych budowli. Ten, który schował tu skrzynię z duszami, mógł ją przecież wsunąć do dziupli, zagrzebać w wykrocie, zakopać na polance czy przywiązać do gałęzi wysoko nad jego głową.

Jak on miał znaleźć skrzynię w lesie? Tym bardziej że mogła to przecież być malutka szkatułka lub niewielki worek.

Elf Eliah był być może jedynym tropicielem w całej Dolinie, który potrafiłby tej sztuki dokonać. Wszak rozumiał las jak nikt inny. Wystarczyła chwila skupienia, by uruchomił się jego niezwykły zmysł, który pozwalał wnikać w puszczańską duszę. Poznawał wtedy terytoria łowieckie najgroźniejszych bestii. Wiedział, czy któraś z nich już na niego dybie. Dowiadywał się, gdzie szukać najbliższych ścieżek, gdzie ciągnęły się bagna i gdzie powinien szukać zbiorników wody. Przy dłuższym skupieniu umiał nawet zlokalizować w ten sposób wybrane przez siebie ziola.

Oczywiście, jego niezwykły dar pozwalał mu również odkryć wszystko, co nie należało do materii lasu, a więc drogi, mosty czy budowle.

Sęk w tym, że w Świetlistej Puszczy wprost się od nich roilo. Eliah nie miał pojęcia, kto zamieszkiwał kiedyś tę okolicę i dlaczego ją opuścił, ale dawni mieszkańcy zadbali o swe wygody. Wędrując po lesie, elf co rusz natrafiał na porośnięte mchem resztki dróg, ledwie widoczne wśród zarośli drogowaskazy, niknące w bagniskach mosty czy też rozliczne, stopniowo pożerane przez roślinność budowle. Z tych zadaszonych korzystali przecież podczas Zesłań.

Robiło się coraz ciemniej i konary drzew wydawały się wręcz czarne na tle stalowoszarego nieba.

– Szlag by to trafił – mruknął, a potem postanowił podjąć jeszcze jedną próbę.

Nabrał tchu i oczyścił umysł ze wszystkich myśli. Skupił się na otaczającym go lesie i powoli, ostrożnie wniknął myślami w jego materię, by po raz kolejny tego dnia spróbować odnaleźć obce w niej elementy. Jak zwykle natrafiał na całe mnóstwo. Opleciony zeschniętym bluszczem słup. Spróchniała ławeczka przy częściowo zamrożonym strumieniu. Ledwie widoczne kamienne stopnie wbite w zbocze pagórka.

Elf zacisnął zęby i skupił się na elementach świeższych, niezawładniętych jeszcze przez las. Obracał się wokół własnej osi, niepomyślnie otaczający go świat, gdy niespodziewanie jego szósty zmysł wychwycił czyjąś obecność.

Zaskoczony, o mało nie przerwał skupienia. Wytężył myśli i po chwili miał już niemalże pewność, kogo odkrył.

– A to ci dopiero – szepnął.

Jego szósty zmysł pozwalał mu wykrywać żywe istoty, ale z ich identyfikacją bywały problemy, chyba że te wyróżniały się ważnymi cechami. Umiał więc stwierdzić, czy natrafiał na rosochała, leśnego smoka, niedźwiedzia czy łosia, ale nie potrafił odróżnić człowieka od elfa czy kłobuka. W tym przypadku jednakże nie miał ani cienia wątpliwości.

Istota, którą odnalazł, była prastara, ale emanowała spokojem, dzięki czemu niemalże idealnie wtapiała się w puszczańską harmonię. Eliah odniósł jednak wrażenie, że jej równowagę zakłóca coś obcego i niepożądanego.

Czyżby ból? Cierpienie?

Skrzywił się nieświadomie i przerwał koncentrację. Mrugając, rozejrzał się po lesie, nieco rozmazanym, jak zwykle po dłuższej chwili skupienia. Jego niepokój wzrósł.

Wtedy butem zawadził o coś, co wystawało ze zmarniałego, zmarzniętego mchu.

Od razu wiedział, że nie jest to patyk. Nachylił się, zsunął z dłoni wełnianą rękawiczkę i podniósł znaleźisko. Była to metalowa, zaostrzona szpila, nieco dłuższa od jego środkowego palca i nieco zardzewiała. Obok znalazł kolejną, a potem nadgniłą pochwękę. W krzakach zaś natrafił na sztylet.

Jego twarz stężała, a oczy się zwężyły. Znał te wszystkie przedmioty. Doskonale je znał.

Pokiwał głową, bo niektóre elementy układanki wskoczyły na miejsce.

– Skurwiele – syknął, a potem schował znalezione przedmioty do sakwy podróźnej i w resztkach światła dziennego ruszył szybkim krokiem przed siebie.

Tam, gdzie płonęło ognisko.

Zauważył je już trzy dni temu, tuż po dotarciu do Świetlistej Puszczy. Przez dłuższą chwilę obserwował z ukrycia siedzących przy nim elfów, ale doszedł do wniosku, że ich los jest mu obojętny, chyba że któryś z nich celowo bądź przez przypadek przeszkodzi mu w poszukiwaniach. Teraz jednak zmienił zdanie. Pojawiły się bowiem sprawy, które koniecznie musiał z nimi omówić.

Między drzewami spadały już pierwsze płatki śniegu, gdy Eliah wypatrzył wśród mroku ognisko. Zbliżał się bezszelestnie, przemykając z jednej plamy cienia do drugiej, aż ukucnął za koroną przewróconej wiatrem sosny i wyjrzał zza niej ostrożnie. Migotliwy blask płomieni padał na kamienną fasadę zrujnowanego dworku. O dach budowli wspierało się inne przechylone drzewo, ale kalenica wytrzymywała ciężar, a dziury w dachu załatano wiązkami gałęzi. Otwór drzwiowy został zasłonięty kilkoma zbitymi byle jak deskami, a w oknach wisały koce, dzięki czemu dworek wydawał się dość dobrym schronieniem przed nadchodzącym mrozem.

Trzech elfów jednakże wolało rozpalic ogień na otwartej przestrzeni, co dla Eliaha nie stanowiło żadnego zaskoczenia. W jego ojczyźnie żyło się, jadło i pracowało pod gołym niebem, a schronienia szukało się dopiero podczas niepogody. W Elfirii budowano więc domy lekkie, pełne otwartych korytarzy, wielkich okien, balkonów i zadaszeń, gdyż każdy elf ponad wszystko cenił sobie przestrzeń. Nawet przygraniczne zamki nie były pozbawione tychże elementów, ale w razie potrzeby elfy umiały zatrzasknąć bramy na długie miesiące.

W tej konkretnej sytuacji Eliah bardzo się z owej cechy swoich rodaków ucieszył.

Podniósł się i, nie czyniąc już tajemnicy ze swej obecności, ruszył ku trójce rozmawiających cicho elfów.

Jako pierwszy dostrzegł go postawny mężczyzna o podwójnej bliźnie na prawym policzku. Poderwał się i chwycił za włócznię, a wówczas podniósł się również ten, który siedział po jego prawicy, niski osobnik o garbatym nosie i wysuniętej do przodu szczękę, która przydawała mu wyglądu tępej dzikości. Trzeci, o podgolonych bokach i włosach zaplecionych w ciasny warkocz, zauważył go jako ostatni i parsknął śmiechem. Machnął dłonią ku pozostałym dwóm.

– Odlóźcie broń. Przecież to jeden z nas.

– Pokój duchom – oświadczył Eliah, podchodząc bliżej, i rozciągnął usta w uśmiechu. Miał nadzieję, że tamci odbiorą go jako szczery i życzliwy.

– Pokój duchom – odparł Podwójna Blizna.

– Niech wędrują swobodnie – dodał Wysunięta Szczęka pozornie przyjaznym tonem i pokazowo wsunął sztylet do pochwy, choć nie spuszczał z Eliaha wzroku. – Siadaj, przybyszu – dodał i przesunął się nieco w bok.

Każdy człowiek patrzący na grupkę elfów prędzej czy później dochodził do wniosku, że ci stanowią rodzinę lub są połączeni intymnymi relacjami. Mieszkańców Elfrii cechował bowiem niemalże całkowity brak poszanowania przestrzeni osobistej, a trójka nieznanym w sercu Świetlistej Puszczy do wyjątków nie należała. Gdyby Eliah zasiadł we wskazanym mu miejscu, ocierałby się ramionami o Podwójną Bliznę i Wysuniętą Szczękę.

Eliah nie cierpiał tego. Ze wszystkich sprzeczności na świecie najbardziej irytowało go to, że jego rodacy nie przepadali za tłoczeniem się w zamkniętych pomieszczeniach, ale lgnęli do siebie, gdy znajdowali się na otwartej przestrzeni.

– Wybaczcie – mruknął i usiadł na pieńku naprzeciwko całej trójki. – Od lat mieszkam wśród ludzi i przyjąłem ich zwyczaje.

– Wśród ludzi! – zaśmiał się Podgolony Łeb. – Cóż to za nieszczęście ci się przytrafiło?

– Nieszczęście? – mruknął Eliah i oparł nadgarstki na kolanach. Przyglądał się każdemu z obcych z uwagą. – Ktoś mógłby rzec, że prawdziwym nieszczęściem jest mieszkanie w kamiennej norze w środku splamionego zbrodnią lasu.

Nie uszło jego uwadze to, że Podwójna Blizna przygryzł lekko wargę, a Wysunięta Szczęka umknął spojrzeniem w bok. Podgolony Łeb jednakże znów tylko parsknął śmiechem.

– Zaiste, różni nas definicja nieszczęścia – oznajmił. – Masz nas za ofiary losu, co? My jednakże jesteśmy wolni i nie wyrzekliśmy się naszej tradycji. Ty zaś sam przyznajesz, że zachowujesz się już jak człowiek. Co jeszcze więc robisz tak jak oni, co? Zdradzasz imię byle komu? Ściskasz im te brudne łapy?

– Kłaniasz się Doli? – prychnął zjadliwie Podwójna Blizna.

– A może jeszcze zamykniesz drzwi, kiedy chcesz sobie pochędożyć? – zadrwił Wysunięta Szczęka.

Eliah nie odpowiedział. Wpatrując się w płomienie, uniosł nad nimi dłonie, jakby chciał rozgrzać skostniałe palce.

– Robię to, co chcę – powiedział, wydając się zahipnotyzowany przez ogień. – I nie robię tego, czego nie chcę.

– Naszym towarzystwem, zda mi się, gardzisz – stwierdził Wysunięta Szczęka. W jego długich, chudych palcach pojawił się nagle sztylet, który odbił blask ognia. – To czego tu szukasz?

Eliah podniósł głowę i spojrzał prosto na niego. Broni wydawał się nie dostrzegać.

– Szukam szkatułki z duszami trolli – powiedział. – Może skrzyni, może worka, sam nie wiem. Chodzi o czwartą część wszystkich, które król Rotgier i przywódca krasnoludzkiego kontyngentu Trisk zebrali po bitwie pod Chremięgą wiele lat temu. Ponoć znajduje się tutaj, w Świetlistej Puszczy, ale szukam jej od trzech dni i na razie nie natrafiłem na żaden ślad.

Jego uważny wzrok przesuwiał się teraz od jednego do drugiego. Trójka elfów oczywiście próbowała maskować emocje, ale uwadze Eliaha nie uszło, że w oczach każdego z nich błysnęło zaskoczenie.

Pojęcia o tym nie mają, przeszło mu przez głowę.

– Rozumiem, że nic o tym nie wiecie – powiedział. – Cóż, trudno. Nie spodziewałem się, że mi pomożecie.

Podwójna Blizna pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie wiem, kim jesteś, ale coś mi się wydaje, że na łeb ci padło – warknął i pochylił się ku Eliahowi. – Od trzech dni się tu włóczysz, co? Od trzech dni i żaden z nas cię nie widział?

W zimnym uśmiechu Eliaha pojawiła się ledwie dostrzegalna drwina.

– Skupiłeś się nie na tych słowach, co trzeba.

– Bo on zawsze był durniem – prychnął Podgolony Łeb i znów się zaśmiał nerwowo. – Czym są te całe dusze trolli, co? Słyszałem jakieś legendy, ale uznałem to za bzdury wymyślane przez ludzi. To fakt? Można coś na tym zarobić?

– A jakie ma to dla ciebie znaczenie? – wycedził Eliah, wpatrując się prosto w niego. Nadal grzał dłonie nad ogniem, ale w jego spojrzeniu kryło się wyraźne wyzwanie. – Przecież i tak nie opuścisz już nigdy Świetlistej Puszczy. Po co ci pieniądze?

Podgolony Łeb prychnął, udając wzgardę, ale Eliah miał wrażenie, że zaschło mu w ustach.

– Mój towarzysz ma rację – powiedział, wskazując ruchem głowy Podwójną Bliznę. – Na łeb ci padło. Po co mi pieniądze? – powtórzył pytanie z wzgardliwym śmiechem.

– Na nic wam się nie przydadzą – rzekł dobitnie Eliah, znów patrząc to na jednego, to na drugiego. – Jesteście przestępcami. Sukinsynami najgorszego sortu, które w jakiś sposób przetrwały ostatnie Zesłanie i utknęły tu na zawsze. Do Elfirii boicie się wrócić, a wśród ludzi mieszkać nie chcecie. Może zanadto nimi gardzicie, a może jeszcze nie zgłodziście jak należy? Duchy jedne wiedzą, ale one się trzymają od takich jak wy z daleka.

– Nie podoba mi się to, co mówisz – wycedził Wysunięta Szczeka i wstał.

– A mi jeszcze bardziej to, co znalazłem.

W dłoni Eliaha pojawiły się znalezione przed wieczorem szpile. W drugiej pojawił się odszukany w krzakach sztylet.

– Nie wiem, jak przetrwaliście Zesłanie – ciągnął. – Ale na pewno zabiliście przynajmniej jednego eliaha...

*

– Poczekaj. – Sara położyła dłoń na nadgarstku elfa, który odruchowo cofnął rękę. Oczy mojej żony błyszczały, a ja z ulgą zrozumiałem, że opowieść elfa pochłonęła ją do tego stopnia, że zapomniała o koszmarze poranka. – Niczego już nie rozumiem. Innego Eliaha? Myślałam, że to imię!

– Teraz już tak – wyjaśnił niechętnie elf. – Zanim poznałem Kociołka i Żychłonia, była to jednakże funkcja. Eliah to w mojej mowie olcha, a mianem tym określa się zabójcę. Wedle tradycji przybijamy do pleców ofiar liście olchy za pomocą szpil.

W izbie było dość ciepło, gdyż w kominku nadal huczał ogień, ale widziałem, jak Sarę przeszył dreszcz. Wtuliła się w moje ramię, a ja pokiwałem głową, wspominając stare dzieje*.

– Mnie zaś intryguje coś innego – odezwałem się. – O jakim Zesłaniu mówisz?

Eliah milczał przez moment, bębniąc palcami w blat ławy, jakby się zastanawiał, czy może zdradzić tajemnicę.

– Chodzi o te nasze pielgrzymki – wyznał w końcu. – Wy to nazywacie Chędożynkami, bo to jedyna okazja, kiedy moi rodacy, na ogół unikający zbliżeń z ludźmi, nabierają nagle na nie ochoty. I tak was to, cholera, bawi, że nikt jakoś nigdy nie zadał sobie pytania, dlaczego tak się dzieje.

– A dlaczego tak się dzieje? – spytałem cicho.

– Duchy, które czuwają nad Elfirią, nie życzą sobie, by krew przestępców wsiąkała w ziemię naszej ojczyzny – rzekł głucho elf. – Od wieków prowadzi się ich więc do Świetlistej Puszczy, by tam ich zgładzić, a wędrowni to dla

większości ostatnia okazja, by się zabawić. Nic dziwnego, że moi rodacy przestają być wybredni.

– Jesteście przerażający – szepnęła Sara.

– Tak, jesteśmy – przyznał sucho Eliah. – Ten, który ucieknie po drodze, prędzej czy później i tak zostaje złapany, po czym trafia w ręce katów i umiera tygodniami. Ci, którzy dobrowolnie dojdą do Puszczy, mają przynajmniej szansę na ocalenie życia. Każdy z nich dostaje tępy nóż i kwadrans na ucieczkę, a potem rusza się za nimi pościg. Wśród ścigających są kandydaci na eliahów.

– I ty przez to przeszedłeś? – Sara wpatrywała się w elfa szeroko otwartymi oczami.

– Kilkakrotnie – odparł bez emocji i upił łyk stygnącego już miodu.

Moja żona znów zadrżała. Wiedziała to i owo o umiejętnościach elfa, a wielu innych rzeczy się domyślała, ale konfrontacja z jego przeszłością musiała być dla niej wstrząsem. W jej spojrzeniu widziałem teraz lęk i nagle się wystraszyłem, że po tej opowieści jej relacje z Eliahem ulegną bezpowrotnej zmianie, co byłoby nieodżałowaną stratą. Elf krył w duszy prawdziwie mroczne sekrety, ale był przecież oddanym przyjacielem, któremu byłem w stanie wybaczyć nawet największe dziwactwo.

Na szczęście, nawet jeśli takie myśli przeszły przez jej głowę, szybko je przepędziła, bo to właśnie ona spytała:

– I co było potem?

*

– *Takie mieliśmy prawo – powiedział powoli Podwójna Blizna.*

– *Zgadza się – przytaknął Eliah. – Mieliście.*

Wrzucił szpile i sztylet do ognia.

– *Ja też mam ich kilka – dodał, podnosząc wzrok na Podwójną Bliznę.*

Od początku tej krótkiej konfrontacji miał go jeśli nie za przywódcę grupy, to przynajmniej za najbystrzejszego jej członka. Nie pomylił się – Podwójna Blizna nagle wybałuszył oczy, jakby zrozumiał, dlaczego przybysz wyznał im prawdę o celu swoich poszukiwań.

Nikt z trójki Zesłańców nie miał tego spotkania przeżyć.

Podwójna Blizna zerwał się więc jako pierwszy, ale Eliah również już stał, a z szerokiego rękawa jego kurty wypadła rękojeść bicia. Palce prawej dłoni, przed momentem rozgrzane nad ogniem, ujęły ją mocno, a uderzenie serca później powietrze nad płomieniami przeciął czarny zygzak. Rozległ się suchy trzask, a potem przeraźliwe

wycie Podwójnej Blizny. Elf zatoczył się i przycisnął dłonie do twarzy, ale Eliah zdążył zauważyć, że wyrwał na jego policzku trzecią bliznę, idealnie równoległą z pozostałymi.

I biegnącą przez oko.

Na dłuższe obserwacje nie miał czasu, bo nagle wypadł na niego Wysunięta Szczęka uzbrojony w sztylet. Pchnął nim błyskawicznie, celując w brzuch Eliaha, ale ten wykonał piruet, zszedł z linii ciosu i uderzył w przeciwnika barkiem tak, że ten stracił równowagę i runął prosto w płomień ogniska. Jego ryk zlał się w przerażającą symfonię z wyciem osłepionego towarzysza. Nie bacząc na potworny ból poparzonych dłoni, próbował się jeszcze podnieść, ale Eliah nie dał mu szansy. Wskoczył i wylądował na plecach Wysuniętej Szczęki, wbijając go jeszcze głębiej w żarzące się, buchające iskrami bierwiona, a potem runął prosto na przerażonego Podgolonego Łba.

Ten zdołał wyciągnąć miecz i unieść go do ciosu, ale Eliah bez trudu uniknął opadającej klingi. Od początku odgadł, że mimo drwiącej, buńczucznej pozy, z całej trójki to właśnie on najgorzej włada orężem, i dlatego zostawił go sobie na koniec. Prześlizgnął się pod ramieniem Podgolonego Łba i wyrósł za jego plecami, po czym pchnął go na odzyskującego panowanie nad sobą Podwójną Bliznę. Obaj Zesłańcy padli na ziemię.

– Mielicie prawa – rzekł Eliah, podchodząc bliżej – i skorzystaliście z nich. Nie miałbym o to do was pretensji, choć i tak bym was pozabijał. Nie wiadomo przecież, czy głód nie zaprowadziłby was do okolicznych wiosek, wy kanalie.

Wyciągnął miecz.

– Ale za to, że zraniliście niilfhaga, czeka was śmierć o wiele gorsza.

Oszalały z bólu Wysunięta Szczęka poderwał się w końcu z ogniska i runął na Eliaha, dymiąc i wymachując płonącymi ramionami. Elf zrobił lekki unik, a potem jednym chłsańnięciem rozrząbał mu kark, po czym zwrócił się ku pozostałym.

– Oszczędź ich – rozległ się głos między drzewami.

Spółród cieni wyszedł, utykając, niilfhag. W rozedrganym blasku ognia i wśród tańczących płatków śniegu wydawał się dwakroć większy i straszliwszy.

– Ten las wchłonął już wystarczająco dużo cierpienia – dodał.

*

– I co się wydarzyło? – spytałem chwilę po tym, jak Eliah zamilkł.

– Oszczędziłem ich – odparł elf. – To znaczy zabiłem ich szybko. Nie tak, jak planowałem.

Potem, wyczuwając emocje Sary, skupił na niej spojrzenie.

– Wybacz. Nie chciałaś tego usłyszeć.

Aż się wyprostowałem ze zdziwienia. Nigdy dotąd nie słyszałem, by Eliah kogokolwiek przeproszał. Sara, równie zaskoczona jak ja, potrząsnęła rudymi lokami.

– Nie... – przyznała. – Nie chciałam. Ale usłyszałam i cóż... – Uśmiechnęła się blade. – Dobrze wiedzieć, że mój mąż może liczyć na twoją pomoc.

Kąciki ust elfa lekko drgnęły, jakby postanowił się uśmiechnąć, ale z tego zrezygnował.

– A niilfhag? – spytała.

– Opatrzyłem jego rany i pomogłem mu dojść do zdrowia – rzekł Eliah. – Myślę, że jest już gdzie indziej.

– Czy to był ten sam, którego spotykałeś wcześniej? – pytała Sara. – Ten sam, który przekazywał nauki Żychłoniowi?

Spojrzałem na nią z zaciekawieniem. Nieraz już się okazywało, że moja żona sporo wie o osobliwych istotach zamieszkujących Dolinę, i zastanawiałem się, dlaczego nigdy wcześniej jej o to nie wypytałem.

– Ten sam – odparł elf, na co Sara pokiwała głową.

– Czyli w Dolinie jest tylko jeden – rzekła z zadumą.

– Wróćmy jednak do tematu, Eliah – wtrąciłem się. – Co z duszami?

– Nie ma ich tam – oświadczył elf. – Zajrzałem jeszcze w kilka zakamarków lasu, ale bez przekonania. Zdaniem niilfhaga nigdy ich tam nie było, co zresztą potwierdza logika. Przecież ów wasz król musiał wiedzieć, że po Świetlistej Puszczy od wieków włóczą się elfy, i to z gatunku tych najpodlejszych. Raczej nie chowałby najpotężniejszej broni w takim miejscu, prawda?

– Sporo w tym racji – przyznałem. – A więc Świetlista Puszcza to ślepy zaułek.

Za oknem coś zamigotało. Podszedłem i starłem palcem szron, a wówczas ognek stał się nieco wyraźniejszy, choć co chwila jego blask przygaszały wirujące wolno płatki śniegu. Miałem pewność, że patrzę na Rympał.

– Stos – odgadłem. – Stos pogrzebowy. Pałą ciało Rumianka.

Odwróciłem się do Sary i Eliaha.

– Źle się dzieje – oświadczyłem. – Ale decydowanie o losach świata to nie nasza rola. Wyśpij się, Eliah. Jutro zabieramy Mocarza do księcia Stefana. Niech mu opowie o tym, co wymyślił Fryderyk.

Elf wstał i dopił miód.

– A jeśli będzie miał przed tym opory – powiedział z nieprzyjemnym uśmiechem – znajdę sposób, by je przelamać.

* Więcej o Eliahu i o tym, jak poznał Kociołka, dowiesz się z prequela cyklu, *Przed wyruszeniem w drogę*.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie wiem, czy w ogóle udało mi się tej nocy zmrużyć oko, bo długo leżałem, wpatrując się w ginącą w ciemnościach powalę, pochłonięty trudnymi myślami. Być może więc owe myśli płynnie przeszły w równie paskudne senne koszmary, bo gdy otworzyłem oczy, miałem wrażenie, że nie odpocząłem wcale. Z łóżka podniosłem się więc w nastroju iście paskudnym.

– To Stefan włada Wichrowinami, nie ja! – powarkiwałem, ubierając się. – Jemu właśnie okradziono księstwo z tego, co ma najcenniejszego, czyli z ludzi! A straciłby ich niechybnie, gdyby napastnicy nie narazili się przez przypadek plemieniu goblinów!

Nie zmieniłem tonu podczas pakowania najpotrzebniejszych rzeczy i napychania juków jedzeniem. Sarkałem podczas siodłania konia, troczenia koców i wybierania broni. Zamilkłem podczas jedzenia owsianki, bo Sara lubiła ciszę podczas wczesnych śniadań, ale po krótkiej chwili duszenia emocji znów trafił mnie szlag.

– To ja mam decydować o losach świata? – syczałem, szorując miskę. – Ja, kucharz i właściciel przydrożnej karczmy? Ja mam, kurwa, bronić Wichrowin? Na co idą podatki, jeśli nie na wojsko, które ma nas chronić? Ja chcę prowadzić interes! Chcę gotować i...

– Tata – odezwał się Nuut. – Chcesz pogłaskać konika?

– Później – warknąłem, nie odwracając się. – Teraz mam coś innego do roboty.

– Edmund. – Głos Sary sprawił, że temperatura w kuchni natychmiast zaczęła się obniżać.

Odłożyłem miskę, wytarłem dłonie i odwróciłem się powoli. Sara stała na progu z ramionami założonymi na piersi i wpatrywała się we mnie wzrokiem, który zamrażał wodę.

– Oczywiście, że chcesz pogłaskać konika – wycodziła i dotknęła dłonią pleców Nuuta, który stał przy niej, ściskając ulubioną zabawkę, wystruganą latem przez Gramma. Chłopczyk się rozpromienił i podbiegł do mnie, a ja uklęknałem i z całą powagą pogładziłem konika po drewnianej grzywie.

– No tak – mruknąłem. – Jak mogłem o tym zapomnieć. Przecież konika trzeba pogłaskać, żeby szybko biegał, prawda?

Przygarnąłem synka do piersi i ucałowałem w czoło, a Nuut z rozczulającą niewinnością odwrócił się i wygalopował z kuchni. Przeniosłem spojrzenie na Sarę, której wzrok nadal był chłodny.

– Posłuchaj, ja... – zacząłem, ale moja żona potrząsnęła rudymi lokami.

– Nie – powiedziała. – To ty posłuchaj mnie. Wcale mi się nie uśmiecha to, że musisz wyjeżdżać, ale wiem, że nie ma wyboru. Nadchodzą trudne dni, a księżę musi przesłuchać tego całego Mocarza. Być może sporo od tego zależy. Niemniej...

Zrobiła krok ku mnie.

– Niemniej weź się może w garść, co? Nie wiem, jak długo znów nie będę cię widzieć, i nie chcę, by moim ostatnim wspomnieniem była twoja kwaśna gęba i wymruczane pod nosem przekleństwa.

Teraz to ja skrzyżowałem ramiona na piersi.

– Kiedy ostatnio wyjeżdżałem, to ty byłaś ciężko obrażona!

– Mnie wolno. Pospiesz się, matolku. Pocałuj mnie jak należy, pożegnaj się z dziećmi i w drogę. Masz być w domu na Dzień Zstąpienia Doli. Nie chcesz chyba, bym zajmowała się wszystkimi przygotowaniami sama?

*

Pół godziny później, gdy światem nadal rządziły nocne ciemności, byliśmy już z Eliahem w siodłach. Towarzyszył nam, rzecz jasna, Mocarz, którego elf spętał z prawdziwą pasją, wyłuskawszy go uprzednio ze zbroi. Nie miałem pojęcia, jak tego dokonał, ale wystarczyło zerknąć na obitą, posiniaczoną gębę jeńca i nienawistne spojrzenia, jakimi wodził za Eliahem, by wiedzieć, że odbyło się to dokładnie tak, jak należało. W trzy konie ruszyliśmy więc na północ, ku Wichrowi, stolicy księstwa, gdzie rezydował sam Stefan, przypuszczalnie nadal nieświadom tego, co się działo w jego południowych włościach.

W naszych stronach mawiano, że nie wolno odwracać się i spoglądać na dom, który się opuszcza, by nie ściągnąć pecha. Twardo więc patrzyłem przed siebie i popędzałem konia, jakby mogło to w jakikolwiek sposób skrócić podróż. Od

Wichru dzieliło nas kilkadziesiąt mil, co oznaczało przynajmniej dwa dni w siodłach w jedną stronę, oczywiście pod warunkiem, że nie przytrafi się po drodze nic, co by nas opóźniło.

Do Dnia Zstąpienia Doli pozostały jeszcze dwa tygodnie, myślałem, wpatrując się w różowiejący blask wschodzącego słońca. Na pewno się uda. Musi się udać. To złe czasy, a ja chcę je spędzić w domu.

Trudno było o gorszą chwilę, by zostawić Sarę i dzieciaki, ale pocieszałem się tym, że przecież główne zagrożenie już zostało zażegnane. Co więcej, lada chwila do Gryfa mogła powrócić reszta mojej drużyny, a gdyby zawitało tam Złe, wstępu wzbraniałyby glify Żychłonia. Tak czy owak, należało się jednak pośpieszyć.

– Jadacie w tych stronach śniadania? – odezwał się nagle Mocarz.

Całkiem o nim zapomniałem. Odwróciłem się i parsknąłem głośnym śmiechem, bo teraz, gdy zrobiło się widniej, zauważyłem, że Eliah naciągnął mu na łysinę wielką, czerwoną czapę z białymi plamkami, którą kiedyś Andrea zrobiła na drutach dla Urgo, ale ten nigdy jej nie założył. Jeniec wyglądał jak skrzepowany, naburmuszony muchomor.

– Śniadania? – Udałem, że się zastanawiam. – Tak, owszem. Co rano.

– A planujesz może dać mi coś do żarcia? Nie jadłem nic od wczoraj rana i kiszki marsza mi grają.

– No tak. Miałeś przecież wczoraj pracowity dzień. Palenie świątyń, zabijanie kapłanów, łapanie rekrutów, pętanie karczmarzy. Nic dziwnego, że nie znalazłeś chwili, by coś przekąsić.

– Będziesz ze mnie kpił? – zasępił się rycerz.

– Będę. Chyba że mi się znudzi, wtedy spuszcze ci łomot, bo Szmyrgiel mi uciekł.

– Będziesz bił związanego, bezbronnego, zagłodzonego więźnia? – Prychnął z oburzeniem. – I to jeszcze pasowanego?

– Uhm.

Mocarz milczał przez moment, a potem postanowił zmienić taktykę.

– Kociołek, daj coś do jedzenia – jęknął. – Przecież ja zaraz z głodu zemdleję!

– To nie problem. Powlecemy cię po śniegu.

– Błagam!

– Za mało – oświadczyłem. – W moich stronach na śniadanie trzeba zapracować.

Przez nieruchome oblicze Eliaha przemknął kpiący uśmiech. Popędziliśmy konie.

Do południa pokonaliśmy Dzikowy Las, przepiękny w zimowej szacie, ale podejrzanie cichy, jakby natura pragnęła przemilczeć ludzkie szaleństwa. Słońce przebijało się już między strzępami chmur i śnieg zaczął radośnie iskrzyć, ale na wschodzie czerniały chmury, które zapowiadały kolejne, i to obfite, opady śniegu. Monotonny stukot kopyt pomógł mi wyciszyć resztki porannej złości i kryjącego się za nią niepokoju, a w to miejsce pojawiła się tęsknota.

Znowu wyjeżdżałem. Znowu nie wiedziałem, kiedy wrócę i w jakie tarapaty przyjdzie mi wpaść.

A co gorsza, Sara nie dała mi żadnej listy zakupów, pomyślałem. Czyżby i ona liczyła się z tym, że długo mnie nie będzie?

Obiecałem sobie solennie, że będę unikał wszelkich kłopotów, a po dostarczeniu Mocarza na miejsce natychmiast zawrócę i popędzę do Gryfa, całkowicie głuchy na wszelkie propozycje zaangażowania się w cokolwiek bardziej skomplikowanego niż zrobienie jajecznicy.

Co przypomniało mi, że robię się głodny.

Minęliśmy skręt do Taradałki i wnet wyjechaliśmy z Dzikowego Lasu, gdzie naszym oczom ukazała się biała równina, rozległa jak na warunki Doliny. Wiosną pojawiały się tu stada owiec, wypasane przez okoliczną młodzież, ale dziś władaly nią jedynie podmuchy wiatru oraz plamy słonecznego blasku, co rusz gaszone przez sunące szybko pierzaste chmury. W oddali widać było szarą Krwawicę, która kilkadziesiąt mil dalej na północ mijała Wichę. Wytężyłem wzrok, bo wydawało mi się, że dostrzegam na rzece jakiś ruch.

– Widzisz to, co ja? – spytałem elfa.

Eliah przez moment wpatrywał się w dal.

– Na rzece są jakieś łodzie – powiedział po chwili. – Wyładowane aż po burty. Kolorowo tam.

– Chusty – odgadłem. – To plemię Zwierzaka. Wracają na północ.

– Po co? – spytał elf.

– Po co wracają? Eliah, ja nawet nie wiem, po co oni przyjechali na południe! I nie wykluczam, że oni sami też tego nie wiedzą.

Znowu się rozzłościłem na Zwierzaka, ale minęło mi, gdy ujrzałem, że szałas pasterski, wznoszący się niedaleko skraju lasu, jest opustoszały. Tam właśnie skierowaliśmy wierzchowce.

Podczas gdy Eliah poił konie i podsypywał im obroku, ja rozpałem ogień, a potem zabrałem się do szykowania drugiego śniadania. Po szalasz rozniósł

się zapachy tak intensywne, że Mocarz, przywiązany do najgrubszego pala, aż się spoił.

– Ergh... – zaczął, ale zachłysnął się własnym ślinotokiem. – Czy dałoby radę, byście... no...

– Zamknij się – odezwał się Eliah. – Bo ci wytnę język.

Rycerz posłusznie zamknął usta. W jego oczach pojawiły się łzy wściekłości, po czym zwiesił nisko głowę w czapce z czerwonej wełny.

– Ja was... – mamrotał drżącym głosem. – Ja was wszystkich... Ja was rozszarpie, wy...

– Eliah, kanapeczkę?

– Tak – powiedział elf. – Z pasztetem. Nie, nie z tym. Z tym drugim. To z grzybkami?

Od rana nie powiedział ani słowa, ewidentnie odreagowując wczorajszą opowieść, ale zapach jedzenia uwolnił w nim nadspodziewaną gadatliwość.

– Tak, z kurkami – przytaknąłem, krojąc wielki bochen chleba. Skórka ustępowała pod naporem noża z satysfakcjonującymi chrupnięciami. – Salia nzbierała. Mam tu trochę wędzonego węgorza.

– Daj Zwierzakowi wędkę, a po godzinie spiżarnia pełna – przyznał Eliah i się oblizał. – Mój miód wziąłeś?

– Tu jest. I dżem z porzeczek.

– Cudownie. Przesunę tutaj, bo spadnie.

– Szkoda by było. Poczekaj jeszcze, pokroję cebulę.

– Będzie do jajecznicy.

– Jajecznicę też chcesz? Dobra. To dołożymy jeszcze tej kiełbaski.

– I kiszonych ogórków.

– Kiszonych?

– Nie mów, że nie wziąłeś!

– Pewno, że wziąłem. To słoik Żychłonia. Serio nie wiem, jakie zioła tam wpakował.

– A co można dać do ogórków? Koper, chrzan, czosnek, sól...

– To przekłety zielarz. Tymianku też by napchał, gdyby mu pozwolić!

Kroiliśmy, ciamkaliśmy, wzdychaliśmy, żuliśmy i rozprawialiśmy bez troski o wszystkim i o niczym. Ogień strzelał cicho, jajecznica skwierczała na podróżnej patelni, a nam robiło się coraz bardziej błogo. Z zadumą wylizałem miskę, po czym zagryzłem ogórka i powiedziałem:

– Osobiście wolę, jak ogórki kisi moja teściowa, bo...

– Przestańcie! – zawył z rozpaczą Mocarz i szarpnął się w więzach, aż cały szalał zadygotał. – Miejcie litość! Ja... ja już nie mogę na to patrzeć! Nie jadłem od ponad doby, a wy... wy obżeracie się na moich oczach! To nieludzkie!

– Możliwe – przytaknałem. – Przykro nam, że tak cierpisz. Eliah, jeszcze kielbaskę?

– Poszekajaszpszelknęąktóhąjuszszuję.

– Nie mów z pełną gębą – napomniałem elfa, a sam wycelowałem w Mocarza kielbaską. – Powinniśmy już ruszać w drogę, ale właśnie sobie przypomniałem, że moje współczucie nie ma granic. Chcesz zapracować na posiłek?

– Tak! – Rycerz przełknął ślinę. – Chcę! Będę pracować. Co mam zrobić?

– Opowiedz nam wszystko, co wiesz o działaniach Fryderyka – powiedziałem nieprzyjemnie ostrym głosem.

Mocarz wciągnął powietrze i wyprostował się. Przez moment przygryzał wargę i patrzył w bok, aż wreszcie wbił we mnie spojrzenie i oznajmił:

– Honor rycerski zabrania mi...

– W dupie mam twój honor! – warknąłem. – Ty zresztą też, bo ktoś, kto dba o wzniośle idee, nie dałby zamordować zwykłego wioskowego klechy, którego jedyną wadą było to, że nie umiał krzyżeć na ludzi! I nie pierdol mi tu o lojalności wobec władcy, bo zaraz trafisz do innego, który tygodniami będzie wypalał ci wzorki na skórze. Chcesz żreć, to mów. Nie chcesz, to nie mów. Nie będę z tobą, Muchomorek, negocjował.

– Muchomorek? – bąknął z rozpaczą więzień.

– Imię Mocarz podważałem już na długo przed tym, jak cię Eliah spętał jak świniaka, a teraz, gdy masz czapeczkę, przypominasz mi wielkiego, naburmuszonego muchomora. Zdrobnienie dodałem, bo, jak wiesz, mnóstwo we mnie współczucia. Gadasz czy mamy sprzątać?

– Nie mogę... – zaczął rycerz, co przerwałem machnięciem dłonią.

– A więc dupy mi nie zawracaj. Eliah, dojeżdż tę jajecznicę?

– Nie wcisnę już. – Elf z udręką w oczach oparł dłonie na brzuchu. – Wywalić trzeba będzie.

– Dobra, ja wywalę i umyję patelnię, a ty pozakręcaj słoiki i...

– Będę gadał! – wrzasnął histerycznie więzień, nie odrywając oczu od wynoszonej na śnieg patelni. – Będę! Wszystko wam powiem!

– No to mów – powiedziałem, siadając przy ogniu. – Ale szybko, bo marzę o tym, by się ciebie pozbyć.

Przez wzgląd na głód wypowiedź naszego więźnia była cokolwiek chaotyczna, ale zdołałem wyciągnąć z niej najważniejsze fakty. Otóż Fryderyk rzekomo od

dawna prowadził przygotowania do wojny we wsiach pod Sinymi Górami, położonymi na tyle daleko od innych księstw Doliny, że w zasadzie nikt nie zwrócił na to uwagi. Zdaniem Mocarza-Muchomorka szkolono tam żołnierzy w różnych rzeczach – w walce wręcz, strzelaniu z łuku, jeździe konnej i prowadzeniu wozów, co trochę dziwiło, a trochę śmieszyło, dopóki się nie okazało, że celem niektórych oddziałów będzie przymusowy werbunek na terenach wroga.

– A reszta? – spytałem. – Co miała robić reszta?

– Cholera wie. – Więzień, nadal wpatrzony w patelnię, wzruszył ramionami. – Wiem, że szykowano też oddziały lekkiej kawalerii, widziałem sporo łodzi, a wokół nich setki ludzi, setki!

Wysiliłem pamięć. Krzemyk nie był szczególnie dużym księstwem, a jego gospodarka zależała głównie od rolnictwa i górnictwa, choć za nic w świecie nie mogłem sobie przypomnieć, co poddani Fryderyka wydobywają. W dodatku pozycja księstwa nie ułatwiała mu rozwoju – od morza oddzielały je nieprzebyte Zgniłe Mokradła, na południu ciągnęły się suche, nieprzyjazne Sine Góry, a na przeszkodzie kontaktom z Dymem stała Głodna Puszcza. Skąd więc Fryderyk, wcale nie bardziej zamożny od któregośkolwiek z książąt Doliny, wziął pieniądze na zbudowanie armii?

Mocarz-Muchomork, który zapewne z głodu wykształcił szczątkowe umiejętności telepatyczne, dodał:

– A zapłacił za to pieniędzmi, które zrabował ze świątyni Doli w Krzemyku.

Wytrzeszczyłem oczy, a Eliah, zajęty zakręcaniem słoików, znieruchomiał.

– Szczegółów nie znam, bom nie był w stolicy – przyznał więzień. – Ale to nie sekret. Prędzej czy później wszystko i tak wyszłoby na jaw. Plotka mówi, że książę zaciągnął ogromne pożyczki na to wszystko, a potem, dosłownie na kilka dni przed pchnięciem wojsk na Wichrowiny, skonfiskował majątek kapłanom Doli, a ich samych wtrącił do więzień.

– To możliwe? – spytałem z niedowierzaniem.

Wiarę w Dolę uważałem, podobnie jak zdecydowana większość mieszkańców Doliny, za coś równie naturalnego jak oddychanie. Miałem wiele powodów, by nie przepadać za kapłanami, i świadom byłem zbrodni, za jakie odpowiadali, ale mimo to nadal nie wyobrażałem sobie Doliny bez świątyni i kapłanów.

– Chyba możliwe – rzekł więzień. – Tak mi się wydaje, bo czy w przeciwnym razie nakazałby nam palić świątynie i mścić się na kapłanach?

– Oszałał – mruknąłem do siebie. – Całkiem oszałał!

– Niektórzy by się z tobą zgodzili – powiedział jeniec. Patrzył teraz prosto na mnie i wykrzywił lekko usta, a jego wzrok był chłodniejszy od zalegającego wszędzie śniegu. Z jakiegoś powodu uznał, że zdobył przewagę moralną, co bardzo mi się nie podobało. – Nigdy jednak na głos – dodał. – Inni zaś, zwłaszcza ci, co go widują regularnie, twierdzą, że księżę nigdy nie był spokojniejszy i bardziej opanowany. Planuje wojnę, mówią, z uśmiechem na gębie.

– A nie ma przypadkiem – wtrąciłem się, czując, jak w gardle robi mi się sucho – jakiejś nowej miłości u jego boku? Kobiety, której nikt nigdy wcześniej nie widział?

– Gdzie tam – prychnął Mocarz-Muchomorek. – Nasz księżę wielce księgom oddany i za kieckami się nie ogląda. Syna ma jednego, Ignacego, a żony ponoć od lat w łożnicy nie odwiedza.

Nagle jego facjatę wykrzywił obleśny uśmieszek i pochylił się ku mnie, jak zwykli czynić to ci, którzy chcą się podzielić paskudnym sekretem, niby w tajemnicy, ale jednocześnie tak, by wszyscy to usłyszeli.

– Są tacy, co utrzymują, że księżę od lat nie może...

– Cicho już bądź – wstałem. – Dość usłyszałem. Rozwiąż go, Eliah. Niech zje resztkę tej jajecznicy i kielbaskę. Tę, która ci spadła. I ogórek Żychłonia, jeden, nie więcej. A potem ruszamy.

*

Fryderyk był uczonym, najmądrzejszym z progenitury króla Rodryka, czego dowodem było to, że ufundował akademię w Krzemyku, jedyną w całej Dolinie. Człowiek wykształcony powinien jednak wiedzieć, że nie można wydać walki religii. Nie ma takiej siły na świecie, która zmieniałaby przekonania człowieka, który chce wierzyć. Nie było też takiej siły w Dolinie, która pozwalałaby na skuteczne zajęcie innego księstwa.

Doświadczenia Waśni pokazywały, że nawet sojusze niewiele w tej sprawie dawały. Ten, który podniósł rękę na inne księstwo, musiał się liczyć z reakcją pozostałych, a że władców w Dolinie było pięcioro, atakujący prędzej czy później spotykał się z przewagą. Cóż, przynajmniej tak było do tej pory. To dlatego Waśń nie doprowadziła do żadnych rozwiązań.

Czyżby Fryderyk opracował nowy plan? Taki, na który nie wpadł przed nim nikt wcześniej?

Niepokoilo mnie to, tym bardziej że dobrze pamiętałem szczegóły nocnego spotkania w myśliwskim dworku Ruperta. Tego, na którym Fryderyka

reprezentowała Trójoka Grzesznica.

I znów popędzałem konia jak szalony, zdecydowany jak nigdy wcześniej, by jak najszybciej wcisnąć Muchomorka w ręce Stefana i zawrócić do domu. Eliah podążał za mną jak cień, a za nami galopował rumak naszego jeńca, co prawda już nie głodnego, ale upokorzonego jak nigdy dotąd. Czułem jego wzrok na plecach i gdyby nie to, że miałem naprawdę wielkie problemy na głowie, byłoby mi bardzo nieswojo.

Szlak zaś wiódł prosto jak strzelił na północ. Od wiosny aż po późną jesień podróżowali nim kupcy zmierzający między Wichrem a Krzemykiem, zatrzymując się po drodze w moim ukochanym Gryfie. Modliłem się ze wszystkich sił do Doli, bym nigdy nie ujrzał nadciągającej tędy armii.

Gdzieś przed nami znajdowała się Pęcina, najszerszy z dopływów rzeki Krwawicy, uznany przed laty przez księcia Stefana za ważny na tyle, by przerzucić nad nim most i wznieść strażnicę nazwaną Przylęgiem. Zbierane przez strażników myto miało z czasem zrekompensować koszty budowy, a potem zacząć przynosić dochody do skarbcza Wichrowin, ale z opowieści rozbawionych kupców wynikało, że książę się chyba przeliczył. Okazało się bowiem, że myto było tak wysokie, że opłacało się wydeptać nowy szlak, prowadzący wokół jeziora Miłostek, gdzie kończyła się Pęcina. Droga wydłużała się wówczas o dobę, ale rozwiązanie było finansowo opłacalne.

Ja nie miałem co prawda pękatej sakiewki, ale kierowałem się prosto na Przylęg, napędzany ogromną nadzieją, że Stefan nie uznał swego pomysłu za porażkę i nie zlikwidował strażnicy. Liczyłem bowiem na to, że stacjonujący tam żołnierze wiedzą coś – cokolwiek! – o sytuacji w księstwie.

A może nie dzieje się nic? – myślałem. Może Stefan siedzi sobie wygodnie w Wichrze, obżera się, popija wino i chędoży, kompletnie nieświadom tego, że brat mu obrabia księstwo? Zima nie sprzyja przecież prowadzeniu wojen. Może durniowi nawet do głowy nie przyjdzie, że Fryderykowi szaleją na jego ziemiach?

Zima w istocie bywała obojętna wobec ludzkich zamysłów, o czym przekonałem się pół godziny później, gdy zauważone już wcześniej chmury zawładnęły całym niebem. Tańczące w powietrzu drobinki śniegu stały się liczniejsze, a potem zgęstniały i zamieniły się w wielkie płatki. Niebawem zwolniliśmy, pochyliliśmy głowy i otuliliśmy twarze szalami, a konie szły teraz stępą, co rusz potrząsając łbami.

Przeklinałem w duchu. Wiatr nie był szczególnie porywisty, ale śnieg padał obficie i wnet mógł zasypać szlak, a konie niechętnie przedzierały się przez zaspę. Widoczność wokół nas skurczyła się do kilkunastu kroków i nie miałem

pojęcia, jak daleko znajdował się Przylęg. Co gorsza, robiło się coraz ciemniej i przed oczami stanęła mi perspektywa spędzenia nocy na szlaku, na co nie miałem ochoty z tysiąca powodów.

Okazało się jednak, że przebyliśmy więcej drogi, niż sądziłem. Z ulgą stwierdziłem, że między nami majaczy las, za którym ciągnęła się Pęcina. Między drzewami napór śniegu był mniejszy, dzięki czemu udało się znów przyspieszyć i po jakimś kwadransie dostrześliśmy toporny kształt strażnicy i biegnący u jej stóp most.

Który był całkowicie zabarykadowany.

Czyli coś się jednak dzieje, pomyślałem. Nie tarasuje się przecież kupieckiego szlaku ot tak!

Popędziłem konia i wjechałem na most, masywną, drewnianą konstrukcję, na której mogły się wyminąć dwa wozy. Teraz jednakże nie przecisnąłby się tędy nawet pieszy. Zagradzał go bowiem przy wylocie przewrócony furgon, a luki wypełniono stojakami, z których sterczały długie, zaostrome pale. Zaimprovizowaną barykadę przysypał już śnieg, ale widziałem, że poszczególne elementy łączyły grube sznury i łańcuchy. Zdeterminowanemu oddziałowi usunięcie takiej konstrukcji zabrałoby kilka chwil, ale przez cały czas byłiby pod ostrzałem ze strażnicy, co mogłoby utemperować ich bojowego ducha.

Zrobiłem więc wszystko, by mnie za zdeterminowanego wojaka nie wzięto. Wypuściłem wodze i uniosłem wysoko ręce, patrząc w stronę przesłoniętych okiennicami okien strażnicy. Między szczelinami przenikał blask ognia.

– Ejże! – krzyknąłem. – Jest tam kto?

Przez szczelinę przemknął jakiś cień. Ktoś się w nas wpatrywał.

– Hej! – Zamachałem jeszcze energiczniej. – Otwórzcie! Nazywam się Edmund Kociołek! Z karczmy „Pod Kaprawym Gryfem” jadę!

– Zamknięte! – Przez śnieżycę przedarł się ochryply głos.

– Widzę, że zamknięte! – odkrzyknąłem. – Chodzi o to, by otworzyć! Ja do księcia zmierzam! Ważnego jeńca mu wiozę!

– Każden może tak powiedzieć! Zawróćcie! Zamknięte i tyle! Rozkaz pana porucznika, a z nim nikt nie chce zadzierać!

Wiatr przybrał na sile, światło dnia zaś przygasało, odbierając mi nadzieję, a w jej miejsce wtlaczając złość.

– Co za porucznik znowu? – wrzasnąłem. – Dajcie go tu, dobry człowieku! Wszystko mu wytłumaczę!

– A kiedy go nie ma! Siedzi w Zagórku i rządzi! I rozkazy wysyła! Bandyci ponoć jacyś tu krążą, tedy zamknęlim. Żeby nie wieźli, wiecie!

– Bandyci, tak? – Udałem oburzenie, choć tak naprawdę miałem już ochotę roznieść tę barykadę własnymi rękami. – I co, dzielni obrońcy Przylęgu? Pozwolicie, by bandyci nas ogarnęli? Chcecie, by wasz porucznik dowiedział się, że to wasza decyzja? My jeńca wieziemy! Ważnego jeńca!

Wydawało mi się, że Muchomorek prychnął. Deski mostu zadudniły, jakby Eliah usłyszał to samo i podjechał bliżej, żeby mu się przyjrzeć.

– Każden może tak rzec – upierał się wciąż niewidoczny obrońca Przylęgu.

Wiatr wzmógł się jeszcze bardziej. Robiło mi się nieprzyjemnie zimno, ale raz jeszcze zdusiłem w sobie złość.

– Dokładnie – zawołałem. – Każden. A przyjechał tu kiedyś ktoś, kto obiecywał wam, że upichci rosół?

Znowu zadudniły deski. Eliah podjechał bliżej.

– Rosół będzie? – wyszeptał.

– Będzie albo nie będzie – odpowiedziałem wystarczająco głośno, by usłyszano mnie w strażnicy. – Rosół trzeba gdzieś uwarzyć. Potrzeba dachu nad głową i paleniska, potrzeba deski do pokrojenia mięsa i warzyw, potrzeba podsmażyć cebulę, posiekać lubczyk, gotować mięso, odszumować... A akurat mam zarówno trochę wołowiny, jak i kaczki, mam cały bochen z domu, mam...

– Że co? – zawołał głos ze strażnicy. – Rosół?

– No! – odkrzyknąłem. – I co? Każden coś takiego może powiedzieć?

– Nie, gdzie tam, gdzie tam... Czekaj pan z tym całym lubczykiem! Już zlążę!

*

Dolna część strażnicy, jak to zwykle bywało, przeznaczona była na stajnię, a górną zajmowali sami strażnicy, którzy w razie potrzeby mogli również wylec na platformę nad sobą, by razić wroga strzałami z łuków i kusz. Tak przynajmniej głosiła teoria, bo w praktyce dzielni obrońcy Przylęgu, których średnia wieku już dawno przekroczyła pięćdziesiąt lat, mogliby mieć trudności z podniesieniem jakiegokolwiek broni, nie mówiąc już o jej wycelowaniu. Sporo to mówiło o poziomie armii księcia Stefana i bynajmniej nie napawało entuzjazmem, ale byłem już znużony ponurymi rozważaniami, a ponadto naprawdę cieszyłem się z tego, że udało się znaleźć schronienie przed śnieżycą.

Podmuchy wiatru raz po raz szarpały okiennicami i wdzierały się do wnętrza, ale wielkie palenisko na środku izby i obecność koni pod nami zapewniały nam ciepło. Eliah oczywiście został w stajni, by strzec przywiązanego do słupa Muchomorka oraz własnej poczytalności, a ja, przywitawszy się ze strażnikami

i podziękowawszy im za gościnę, z namaszczeniem zacząłem kroić składniki na rosół.

W tym właśnie momencie powstała przed barykadą relacja „nieznajomy przybysz – uzbrojony strażnik” uległa raptownej przemianie.

– Co tak cienko kroisz, młody? – spytał ten, którego miałem za dowódcę straży, tykowaty mężczyzna o sumiastych, zasłaniających usta wąsach. – Moja stara, jak robiła rosół, dawała większe kawały.

– Cienko kroji, bo głupi nie jest i widzi, że Bulwa nie ma czym gryźć! – zarechotał drugi ze strażników, który pochylił się nad deską z siekanymi warzywami. Ewidentnie kiepsko widział, bo niemalże omiótł składniki postrzępioną brodą. – Pora dodajesz? A czemu?

– Dla smaku – odpowiedziałem. – Podobnie jak cebulę.

– Cebulę to rozumiem! – Strażnik wyprostował się i wpatrywał we mnie zmrużonymi oczami, mrugając raz za razem. – Nie ma rosółu bez przysmażonej cebulki, ale por?

– Będzie też seler – poinformowałem go.

– Coś mi się to twoje kucharzowanie nie podoba, młody. – Strażnik zacmokał z niezadowolaniem. – W moich stronach liczy się przede wszystkim mięso. Ja to rosół z kapłona lubię! I na kościach.

– A ja z perliczki! – wtrącił trzeci ze strażników, pucułowaty, wiecznie uśmiechnięty grubasek zwany Bulwą. – A ty się, Kudlak, nie wymądrzaj, bo gównu się znasz na jedzeniu. Podsunięto by ci ochłap w psich szczynach marynowany, a też byś zeżarł!

– To ty się gównu znasz! – zacierzewił się Kudlak, aż mu broda zadrżała. – Byś ty widział, jak moja stara gotowała, Dolo pomiluj! Takie zapachy po wsi szły, że raz goniec książęcy z konia zleciał, tak się rozglądał skąd to! Powiedz mu, Tyczka.

– Dobrze było – rzekł wymijająco Tyczka. – Chociaż raz zem się tak posrał... Ej, młody! – wrzasnął nagle. – Nie żałuj soli, co? Przecież to jakiś smak musi mieć!

– Ale to nie sól decyduje o smaku! – zaprotestowałem w obronie swej sztuki kucharskiej.

– A niby co? – parsknął Tyczka. – Co ty wiesz o rosółku?

– Wszystko! – Spojrzałem na starego strażnika z oburzeniem. – Kucharzuję od lat w „Pod Kaprawym Gryfem”, na Dołę!

– Szwagier jadł tam kiedyś – przypomniał sobie Bulwa. – Bigos chyba czy flaczki. Mówił, że dobre, ale niedosolone.

– No, widzisz? – ucieszył się Tyczka. – Każden ci to powie. Sypnij no jeszcze.

Z ciężkim sercem nabrałem szczyptę soli i wrzuciłem ją do pyrkającego nad ogniem garnka.

– A w dobrą stronę mieszam? – spytałem niewinnym głosem, zanurzwszy chochlę w zupie.

– W dobrą – zgodzili się jednocześnie trzej strażnicy.

Z trudem powstrzymałem się od odruchu pokręcenia głową.

– Ale nie narzekał – dodał Bulwa, najwidoczniej pozostając nadal w temacie wspomnień. – Mówił, że wróci – dodał i uśmiechnął się szeroko, patrząc na mnie.

Coś mi się nie spodobało w jego uśmiechu. Przyjrzałem mu się baczniej, ale wtedy Bulwa umknął wzrokiem w bok, a potem naskoczył na niego Tyczka.

– Jaki szwagier, co? Masz na myśli tego pierdziela Strucla, który do listopada rył po cudzych polach w poszukiwaniu ziemniaków? Nie wygląda mi na gościa, który miałby się gdzieś stołować.

– Raz przyszedł, by mi pomóc spiżarnię posprzątać – zarechotał Kudlak. – Tyle rzepy ukradł, że ledwo szedł.

Bulwa bąknął coś pod nosem, a ja przypomniałem sobie, że jego szwagier nie jest moim największym zmartwieniem. Coś innego stanowiło cel mojego przybycia do Przylęgu.

– Słuchajcie, a czemu ten most zabarykadowany? Wygląda mi na to, że wielu ludzi tędy nie jeździ, co? – zagailem.

– Nie jeździ, bo ksiązę pan w swej mądrości takie myto nałożył, że mało komu się opłaca – skrzywił się Tyczka. – Ludziska wolą nadłożyć drogi i wokół Miłostka jeździć.

– Tylko patrzeć, jak i tam strażnicę postawi – burknął Kudlak.

– I kim ją obsadzi? – parsknął Bulwa, któremu szybko wrócił nastrój. – Wiecie równie dobrze jak ja, że zbrojnych księciu brakuje. Patrzcie tylko po nas, zaraza. Obrońcy księstwa.

– Jak trzeba będzie – wyprostował się Tyczka – to temu i owemu przywalę. Choć – dodał po namyśle – dobrze by było, gdyby jednak nie było trzeba. Bo mnie dziś w plecach łupie, Dolo litościwa, jak chyba nigdy wcześniej..

– A po co księciu zbrojni? – spytałem pospiesznie, bo doświadczenie karczmarskie mówiło, że bardzo niewiele trzeba, by rozmowę starszych ludzi całkowicie zdominowały tematy zdrowotne. – Sprawę z kimś ma?

– Wiesz, jak to z księżętami, młody – burknął cierpko Kudlak. – Ciężkim z kimś zadzierają. Nie nadążysz.

– Ale dzieje się coś czy nie? – Przystałem na moment mieszać. – Chyba tak, no nie? Bo barykady na moście nie widzi się na co dzień.

– Pewnie coś się dzieje – przyznał po chwili Tyczka, czyniąc to z wyraźną niechęcią, jakby w gruncie rzeczy wołał nadal zaklinać rzeczywistość. – Dwa dni temu porucznik do nas zjechał, niby na inspekcję. Pierwszy raz, odkąd pamiętam. Ale nas opierdolił... Byś ty to słyszał, młody.

– Byłem w wojsku podczas Waśni – powiedziałem, zbierając biały nalot z lekko bulgoczącej powierzchni. – Słyszałem niejedno.

– Ale czegoś takiego, młody, to żeś na pewno nie słyszał – upierał się Kudlak. – Furiat jakiś ten nasz porucznik, mówię ci. Niemłody człek, tedy sobie myślę, że odpuści, obejrzy i pojedzie, ale gdzie tam. Darł się, aż się cały popłuł. Że wart nie wystawiamy. Że zapasów nie mamy. Że miecze nienaostrzone. Że na czas oblężenia nie gotowim.

– Oblężenia! – prychnął Tyczka. – Odbiło oficerkowi. Przecież ja raz na dwie godziny sikać muszę, a latrynę żeśmy po drugiej stronie drogi postawili, żeby nie śmierdziało.

– Odbiło – potwierdził Kudlak i aż zadrżał. – Byś ty go, młody, widział. Obleśny, z oczu istny dziki zwierz, z gęby mu waliło jak z obory, ale, kurwa, panisko. Nas, zacnych ludzi, jak gówniarzy objechał. Barykadę zrobić, krzyczał. Porządna! Dzidy ponabijać! Powiązać wszystko! Mysz się nie ma prześlizgnąć! I jeszcze, uważasz, młody, stał i patrzył nam na ręce, a potem sam za dechy szarpał. Idiota, no nie?

– Idiota – przyznałem i strzepnąłem tłusty nalot w płomienie ogniska, aż zaskwierczało. – A nie mówił przypadkiem, kogo ma ta barykada zatrzymać?

– Po mojemu to księcia Fryderyka – stwierdził Kudlak. – Bo ten umny ponoć i w księgach ciągiem siedzi. Możliwe więc, że poczytał sobie o wojnie i postanowił sprawdzić, czy to rzeczywiście tak jest.

– Głupi jesteś, Kudlak – burknął Tyczka. – Żaden Fryderyk, a Rupert. Z Sokolnika ma blisko. Przejdzie se przez Mgliste Wzgórze i już jest.

– Dobrze by było – westchnął Bulwa. – Wojna przeszlaby bokiem i moglibyśmy sobie tu siedzieć a siedzieć. Zdajcie się jednak na mój osąd, a ja wam mówię, że to Ryszard się ruszył. Wiecie, ten, co księżną Nelię wziął za żonę, a potem pod Ubożeniem łomot zebrał. Pewnikiem dalej złość go trawi i tylko patrzeć, jak przejdzie Krwawicę z armią ze Zgliszczy.

– Czyli tak naprawdę to nie wiecie? – spytałem.

Trójka strażników wbiła we mnie puste, niechętnie spojrzenia, bez wątpienia zastanawiając się, co by powiedzieć, by nie przyznać się do niewiedzy, a nie wyjść przy tym na idiotów.

– Ciekawi cię to, młody, to wal do Zagórka – burknął w końcu Tyczka. – Tam porucznik siedzi i wojsko szkoli. Tam ci wszystko powiedzą.

– I równo mieszaj – prychnął Kudlak.

Bulwa znów się we mnie wpatrywał.

Mieszałem przez moment bardzo równo.

– Pewnie pojedę – powiedziałem. – Muszę komuś jeńca zdać i do domu wracać. A nie widzieliście tu niczego podejrzanego, o czym zameldować by można? Nie przejeżdżały tu jakieś drużyny kawalerii, na przykład? A może łodzie szły rzeką? Widać stąd Krwawicę, prawda?

– Szły łodzie! – ucieszył się Kudlak. – Kole południa. Pełno łodzi!

– O czym ty gadasz, Kudlak? – syknął Tyczka. – Przecież ty nawet kibel musisz obmacać, zanim się na nim umościsz! Ty byś łodzie widział?

– Słyszałem! W bębny walono! Musi, że na łodziach.

– Ty, pamiętam to – ucieszył się Bulwa. – Jakies cudaki na nich skakały.

– W kolorowych chustach?

– Kolorowych. Przecie mówię, że cudaki.

– A niczego innego żeście tu nie widzieli? Niczego podejrzanego? Nie było żadnych podejrzanых śladów na śniegu? Dziwnych wrzasków w nocy? Jakichś latających stworów?

– Że niby Złe, znaczy się? – spytał Tyczka z namysłem. – Nie, młody. Żadnych tam takich.

– Gdzie by tam! – zachichotał Bulwa i podniósł się, odwracając się do mnie bokiem. – Zobaczę, co u tego elfa i waszego jeńca. Dorzuć jeszcze do ognia, przecież to się nigdy nie zagotuje.

– Nie musi wcale... – zacząłem, ale wtedy drgnęła kłapa w podłodze i ujrzałem Eliaha, który wlaź do izby.

Bulwa zatrzymał się i cofnął o krok.

– Rosół nie jest gotowy – odezwałem się. – Zawołam cię, Eliah.

Elf obrzucił mnie spojrzeniem, w którym pobłażliwość walczyła z niechęcią, a potem spojrział na trójkę strażników z obrzydzeniem tak wyraźnym, że Bulwa, jeszcze przed chwilą sięgający po kłapę, odsunął się pod ścianę. Eliah usiadł na podłodze i ułożył przed sobą pięć strzał, a potem wyjął z kieszeni paski materiału, które zaczął nasączać płynem z niewielkiej buteleczki. W wonny aromat rosółu wdarła się ostra, nieprzyjemna woń, która wcale nie kojarzyła się dobrze.

– Co ty robisz? – spytałem z niepokojem.

Elf zwinnie oplótł płótnem grot jednego z pocisków, a potem ujął kolejny.

– Szykuję płonące strzały – wyjaśnił tonem, którym kapłan ze szkółki świątynnej zwraca się do największego idioty w klasie.

– Ale po co?

– Na tę łódź, która się tu zbliża.

– Do strażnicy zbliża się łódź? – Wytrzeszczyłem oczy.

Wypuściłem chochlę i przypadłem do okna, by wyrzeć ostrożnie przez szczelinę między okiennicami. Wiatr się wzmógł i śnieżycą zamieniła się w oślepiającą białą kaszę, ale mimo to zdołałem dostrzec ciemny kontur ciężkiej łodzi powoli zbliżającej się do mostu.

– Skąd ty w cholерnej stajni wiesz o czymś, czego nie możesz zobaczyć? – syknąłem. – A w ogóle to czemu dopiero teraz mi o tym mówisz?

– A co byś zrobił, gdybym ci powiedział pięć minut temu? – Elf zmiażdżył mnie spojrzeniem. – Otwórz to okno.

– Jeniec! – pisnął Bulwa, szarpiąc się z klapą w podłodze. – Jeńca trzeba pilnować!

Nie zwróciłem na niego uwagi.

– Eliah, a jeśli to nasi?

– Jacy nasi? – parsknął Eliah. – Pamiętasz, co gadał Muchomorek? Otwórz to okno.

Oddziały, kawaleria, łodzie, przeszło mi przez myśl, ale zawołałem:

– Poczekaj, musimy się naradzić!

– Później. Otwórz. To. Okno.

Zdenerwowany zacząłem się szarpać z drucianą zasuwką trzymającą obie okiennice w miejscu. Drucik w końcu się poddał, a ja wypchnąłem okiennice na zewnątrz, aż uderzyły z trzaskiem o ścianę. Do środka wpadł lodowaty podmuch, niosąc roztańczone drobinki. Odwróciłem się i ujrzałem, że na bładą, ściągniętą twarz elfa pada już migotliwy poblask płomienia tańczącego na grocie strzały.

Wyjrzałem na zewnątrz, ale śnieżycą przesłaniała widok.

– I odsuń się – polecił mi, a potem rozległo się skrzypnięcie naciąganej cięciwy.

Ułamek sekundy później cięciwa brzęknęła, a strzała z furkotem wyleciała w ciemność. Widziałem, jak mknie przez zamieć, walcząc z porywistym wichrem, ale elf wziął odpowiednią poprawkę na jego moc, bo nieoczekiwanie pocisk wbił się w coś, co okazało się burtą łodzi. Naraz buchnęły płomienie. Przez świst wiatru przedarły się krzyki zaskoczonych ludzi.

– W celu! – zawołałem z zaskoczeniem. – Eliah, jak tyś tego dokonał?

Elf nie odpowiedział. Warknął wściekle na Tyczkę, który zdołał się dźwignąć i podejść bliżej, by choć symbolicznie wziąć udział w starciu, po czym wypuścił kolejną płonąca strzałę. Ta chybiła i wpadła w czarne wody rzeki, ale następna przedarła się przez śnieżycę i zgasła dopiero, gdy jej grot wbił się w czyjeś ciało. Kolejny trafił w coś łatwopalnego i znów buchnęły płomienie. Nie widziałem, gdzie uderzył piąty, ale wrzask bólu był aż nadto słyszalny.

Mimo ciemności widzieliśmy, że na łodzi panowało zamieszanie. Niektórzy z wiosłarzy próbowali gasić płomienie, inni krzyczeli lub szarpali za wiosła. Nim Eliah zdołał wyjąć kolejną strzałę, ktoś narzucił zaskoczonym, przerażonym przybyszom swoją wolę i łódź zaczęła powoli zawracać.

A wtedy dostrzegłem coś jeszcze.

Jakiś człowiek płynął w stronę brzegu.

Trąciłem elfa ramieniem i wskazałem mu kierunek. Ten skinął głową i błyskawicznie zarzucił łuk na ramię, a strzałę wsunął do kołczanu u pasa. Ja zaś porwałem za miecz i w biegu narzuciłem na siebie płaszcz. W okamgnieniu znaleźliśmy się w stajni wśród poruszonych, zaniepokojonych koni.

Bulwa na nasz widok aż podskoczył i cofnął się między konie.

– A wy co? – warknąłem. – Rozmowy sobie ucinacie? Na górę, Bulwa, bo ci kopa zasadzę!

Nie miałem pojęcia, co przyniosą najbliższe chwile, a nie chciałem się martwić o los brzuchatego dziadka. Na szczęście ten, obrzuciwszy mnie niechętnym spojrzeniem, rozpoczął wspinaczkę na górę, ponaglany przez Tyczkę i Kudlaka.

– Co się dzieje? – spytał przywiązany do słupa Muchomorek, ale nie zwróciłem na niego uwagi. Oczekałem, aż Bulwa znajdzie się na górze i kłapa opadnie, a potem wypadłem w ślad za Eliahem prosto w osłepiającą, rozszalałą zadymkę. Odruchowo zwolniłem i zamrugąłem parokrotnie, by uwolnić oczy od napastliwych śnieżynek. Kątem oka widziałem, jak elf przykleka i celuje w oddalającą się łódź, ale nie wypuszcza już strzały, a sam skupiłem wzrok na moście, gdzie chwilę później dojrzałem sylwetkę pływaka. Nadludzkim wysiłkiem wspiął się po drewnianych balach na most, a potem, zataczając się i ociekając wodą, przelał przez barykadę.

Na nasz widok zamarł i osunął się na kolana.

– Poddaję się! – wybelkotał, trzęsąc się na całym ciele. – Poddaję się!

*

Naprawdę niewiele brakowało, by drugi z naszych jeńców wyzionął ducha.

Każdy, kto w środku mroźnej zimy wbrew własnej woli zanurzył się w lodowatej wodzie, może poświadczyć, jak błyskawicznie ta wyssie z niego życie, a chłopak musiał jeszcze wspiać się na most i pokonać barykadę, co odebrało mu resztki sił. Otuliłem go własnym płaszczem i niemalże wciągnąłem do izby.

Chłopak był młody i silny, a do tego w porę ściągnęliśmy z niego przemoczone ubranie i otuliliśmy kocami. Rosół też, z czego dumny jestem najbardziej, zrobił swoje i już po jakiejś godzinie jeniec był na tyle przytomny, by mógł składnie mówić.

– Nazywają mnie Gągoł – wybełkotał, szcękając zębami. Usiłował skupić wzrok na mnie, ale jego przestraszone spojrzenie wciąż umykało w stronę Kudlaka. Strażnik najwyraźniej uznał, że pora odzyskać kontrolę nad sytuacją, i ofuknął nas ze złością za zostawienie otwartego okna, na co Eliah syknął na niego jak kot, któremu podpalono ogon, a potem go skrupulatnie obszczał. Kudlak uznał, że znalazł się wśród obłąkanych, i skulił się w kącie, odwracając się do wszystkich plecami. – Wiecie, jak ta kaczka. Na Dołę, czy on musi...

– Eliah, przestań ostrzyć ten nóż. Mów, Gągoł. Skąd żeś?

– Z Warząchwii, panie. To wieś pod Krzemymkiem.

– Pod Krzemymkiem. W armii Fryderyka służysz?

– Gdzie tam służę, panie – zatrzęsł się chłopak. – Przecie właśnie dałem dyla. W dupie mam wojowanie, ja się na piwowara, panie, szkolę!

– Słuszny fach. Mówże, Gągoł. Mów wszystko, a może jeszcze zdołasz kiedyś coś uwarzyć.

Powiedział więc wszystko, a tego wystarczyło, byśmy natychmiast skoczyli w siodła i mimo śnieżyicy pognali prosto na północ, do Zagórka.

*

Z tego, co wiedziałem, Wichrowin broniły trzy zamki graniczne – Kozibród, postawiony nad traktem biegnącym do Sokolnika, Wróblík wzniesiony gdzieś na północy oraz Zagórek, strzegący głównego i zarazem jedyne go mostu nad Krwawicą, którejdy biegł główny szlak handlowy do Krzemymka. Nigdy nie dotarłem w te okolice, ale pamiętałem, że właśnie tam toczyły się główne potyczki między wojskami Stefana i Fryderyka. Było to możliwe, gdyż stan Krwawicy owego upalnego lata był wyjątkowo niski i Fryderyk bez trudu przerzucał swoje oddziały na tereny Wichrowin.

Teraz, choć trwała wyjątkowo sroga zima, ksiązę Krzemyku umyślił sobie zrobić dokładnie to samo.

Wedle słów niedoszłego piwowara Gągoła w górę Krwawicy szło ponad dwadzieścia wyładowanych wojskiem łodzi. Nikt młodemu rekrutowi nie zdradził celu operacji, ale parokrotnie słyszał, jak oficerowie powtarzali słowo „zamek”. Łatwo się więc było domyślić, że ich zadaniem jest uchwycenie Zagórka bądź stolicy księstwa, Wichru, bo innych umocnień nad brzegiem Krwawicy nie było. W każdej łodzi siedziało ponad dwudziestu zbrojnych, co razem dawało około czterech setek. Było to całkiem sporo jak na warunki Doliny i zapewne wystarczyłoby ludzi na zdobycie Zagórka, zwłaszcza przy przewadze zaskoczenia, niemniej przewaga raczej nie pozwoliłaby na zajęcie leżącego dalej na północ Wichru, tym bardziej że wioślarze zapewne zostaliby zawczasu zauważeni i ostrzeżeni.

Na szczęście szyki atakującym pokrzyżowała śnieżycą.

Gągoł, zanim puściliśmy go wolno, opowiedział nam, że napór wiatru był tak silny, że wioślarze sztywnieli z zimna, a łodzie posuwały się bardzo wolno. Padł więc rozkaz przybicia do brzegu zaraz za ujściem Pęciny i przeczekania najgorszego, ale sternikowi łodzi Gągoła coś się pomyliło i wpłynął w głąb dopływu.

Na nasze szczęście.

Napierająca wściekle burza śnieżna ledwie pozwalała na ślamazarny kłus, a podmuchy wiatru przeszywały nas trudnym do zniesienia zimnem, jednak szlak póki co był przejezdny i jakoś udawało nam się pokonywać milę za milą. Przed oczami miałem nadal gar pełen rosołu, z którego ostatecznie wypilem zaledwie kilka łyżek, ale z uporem przepędzałem wizję. Los Wichrowin wszak być może zależał od naszego ostrzeżenia. Napastnicy koczowali na brzegu rzeki, ale lada moment mogli wsiąść do łodzi i ruszyć naprzód. Fakt, mieli przeciwko sobie ostry wiatr z północy, zimno i własne zmęczenie, ale w kilka godzin mogliby ten dystans pokonać.

My na koniach mogliśmy ich jednak wyprzedzić.

Pochylałem się nad końskim karkiem, próbując jak najlepiej osłonić twarz przed wiatrem. Kolejne podmuchy przenikały mnie jednak zimnem tak przeraźliwym, jakbym zgoła nic na sobie nie miał, a rękawice zamarły tak bardzo, że nie czułem już ściskanych mocno wodzy. Co gorsza, jadący obok Eliah był niemalże wyprostowany i sam widok sprawiał, że było mi jeszcze zimniej. O Muchomorku, przywiązany skrupulatnie do siodła, właściwie zdążyłem zapomnieć.

Po mojej głowie wciąż miały się beżładne myśli.

Wojna. Kolejna Waśń. Kolejna bezsensowna wojenka, gdy wszyscy powinniśmy tropić i tępić Złe. Znów płoną domy, znów ludzie giną bez powodu. Jesteśmy niepoprawni. Nigdy się niczego nie nauczymy. Nigdy nie będzie lepiej.

Elijah coś krzyknął. Z trudem uniosłem głowę i ujrzałem zarys wielkiej budowli przenikający przez oślepiającą, śnieżną kaszę. Wysoko nad nim wędrowały jakieś ogniki.

Pochodnie? Latarnie? Czyżbyśmy dotarli do Zagórka?

Widok ten dodał mi energii. Popędziłem konia, który potrząsnął łbem i zarżał głośno, jakby już wyczuwał zapach owsa w zamkowej stajni. Pędziliśmy przez śnieżycę, a ciemny kształt przed nami, uzbrojony w dwie widoczne teraz wieżycy, stawał się coraz wyraźniejszy. Po chwili widziałem już zeszywniałe, oblepione śniegiem chorągwie z czarną czapką, herbem księcia Stefana, oraz masywne dębowe wrota wzmocnione metalowymi sztabami. Wstrzymałem wycieczzonego, parującego konia i wykrzyknąłem co sił ku wznoszącej się nad bramą strażnicy:

– Hej! Otwierajcie! Mam ważne wieści dla waszego porucznika!

W oknie nad bramą zamajaczyła postać, a przez burzę przebił się krzyk:

– Co to za wieści? Dupy, człowieku, nie zwracaj, jeśli...

– Wyprawa na was idzie! Rzeką! Dwadzieścia łodzi! Kilka setek wojaków zafajdanego po oczy Fryderyka! – wrzeszczałem, zdzierając sobie gardło. – A to nie wszystkie wieści! Od Przylęgu przez całą noc zapieprzamy, żeby was ostrzec, jebane nieroby, a więc lepiej mnie nie wkurwiał, otwórz tę cholerną bramę i zapieprzaj po komendanta, bo nad ranem nie będzie z tej obory co zbierać!

Kątem oka widziałem, jak Elijah spojrział na mnie z niedowierzaniem. Cóż, ja też byłem zaskoczony. Nie miałem świadomości, że nabyty w wojsku talent lżenia wartowników, woźniców i każdego niższego rangą przetrwał we mnie w nienaruszonej formie.

Mój rozmówca tymczasem zniknął bez słowa. Zakląłem bezsilnie, przekonany, że ciut jednak przesadziłem i wartownik się obraził, ale chwilę później wrota drgnęły i zaczęły się rozsuwać. W czeluści bramy czekał żołnierz z pochodnią.

– Porucznik już idzie – poinformował mnie kwaśno, gdy z trudem zsuwałem się z siodła. – I lepiej bacz na słowa, bo to kanalia, jakich mało, a tej nocy trzeci raz go budzą. Wkurwiony będzie, że hej.

– Dam sobie radę – wysapałem. – Tylko...

– Coś ty, piździelcu, powiedział? – Czyjś wściekły głos wypełnił tunel bramy, a na wilgotnych ścianach zamigotał blask drugiej pochodni. – Kanalia, tak? To ja

was, szmaciarze jedne, karmię, ubieram i szkole, byście na widok wroga w gacie się nie pofajdali, a ty mnie przed obcym szkalujesz? Jak cię dorwę, popaprańcu kijem z obojnika wygrzebany, to mnie popamiętasz! O ile, rzecz jasna, coś ci w tym łbie zostało, bo nawet tu słyszę, jak ci przeciągi pod czaszką hulają!

Patrzyłem na tę scenę szeroko otwartymi oczami, parokrotnie mrugając, bo nie miałem pojęcia, czy nie ulegam halucynacjom. Strażnik, który nas powitał, wybełkotał coś nieskładnie, a potem zasalutował i czmychnął. Nie licząc milczącego Eliaha, który zsiadał z konia za mną, oraz nadal siedzącego w siodle, na wpół zamrożonego Muchomorka, byłem w tunelu sam na sam z dowodzącym twierdzą porucznikiem.

– A wy co za jedni? – warknął oficer, ewidentnie ciut zaspany i chyba oślepiiony blaskiem własnej pochodni. Podszedł bliżej i skrzywił się paskudnie. – No? Mało wyraźnie mówię?

A może to ja byłem zbyt oblepiony śniegiem, by mnie poznał?

– Dość wyraźnie – odpowiedziałem. – Cześć, Żychłoi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Kociołek? – Żychłoń cofnął się o krok. – Nie spodziewałem się tu ciebie!

Miał na sobie wysokie buty z cholewami, ciepłe spodnie z szerokim pasem i obszyty futrem kubrak, dzięki czemu wydawał się jeszcze potężniejszy niż zwykle. Na łysą głowę naciągnął futrzaną czapę, a u jego boku dyndał szeroki miecz.

– Nie. – Potrząsnąłem głową, z trudem powstrzymując szczykanie zębami. – To ja się ciebie tu nie spodziewałem.

– A dziwne – mruknął Eliah. – Opis dostaliśmy wyraźny.

– Opis? Jaki opis? – Żychłoń zmarszczył groźnie brwi. – Ktoś gadał o mnie?

– To – wycedziłem – jest teraz najmniejszym z twoich problemów. Czyichkolwiek, tak naprawdę. Powiedz mi... – Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. – Ty naprawdę jesteś... eee... tym całym porucznikiem? I odpowiadasz za ten zamek?

– Tak – burknął niechętnie Żychłoń. – Tak się, niech mnie ogolą, złożyło.

– To zaprowadź nas gdzieś, gdzie jest ciepło. Trza nam pogadać, i to szybko.

– A ten? – Guślarz spojrział niechętnie na odrętwiałego z zimna jeńca. – Co to za jeden?

– Rycerz Mocarz, a od pewnego momentu Muchomorek. Nieocenione źródło wiadomości. Za skibę ze smalcem powie ci wszystko.

Żychłoń burknął coś pod nosem, a potem odwrócił się w stronę zaśnieżonego dziedzińca, na którym majaczyło już kilku zbrojnych z pochodniami.

– Hej, wy dwaj! – huknął. – Brać złamasa w czapce do lochu. Zajmijcie się końmi naszych gości i niech mi przez chwilę nikt dupy nie zawraca.

Następnie poprowadził mnie i Eliaha po trzeszczących schodkach na piętro jednej z wież, gdzie w kamiennym kominku buchał ogień. Z niemalym trudem

ściągnąłem sztywny od mrozu płaszcz i powiesiłem go na kołku, by odtajał, po czym wysunąłem dłonie, by je ogrzać nad płomieniami. Elf, co zauważyłem kątem oka, przysiadł na ławce przy oknie wychodzącym na most i rzekę. Żychłóń wyjrzał na korytarz, a potem starannie zamknął drzwi.

– Kociołek, w Gryfie wszystko w porządku? – spytał cicho, siadając na skrzyni. – Sara i dzieciaki całe i zdrowe?

– Tak – odpowiedziałem niechętnie, bo słowa guślarza na powrót obudziły we mnie niepokój. – A przynajmniej mam nadzieję, że tak. A przynajmniej tak było w chwili, kiedy wyjeżdżałem.

Podniosłem głowę i spojrzałem na niego uważnie.

– Słuchaj, co to za maskarada? – spytałem cicho. – Żychłóń, czy ty aby nie jesteś guślarzem? Przedstawicielem niemalże ginącego zawodu, który został przez naszych rządzących obwołany złem? Coś mi mówi, że to wyklucza karierę w wojsku.

Elijah poparł me słowa cichym prychnięciem.

– O wszystkim wam opowiem. – Żychłóń ściągnął czapę i ze złością potarł spoconą łysinę. – Ale nie teraz. Co wyście wykrzykiwali przed bramą? Że Fryderykowi na nas idą?

– Idą – przytaknąłem. – A raczej płyną.

Powoli, bez owijania w bawełnę, opowiedziałem staremu przyjacielowi o wszystkim, co miało miejsce w Przylęgu, i o tym, czego się dowiedzieliśmy od Gągoła. Żychłóń słuchał w milczeniu, a potem opadł na krzesło, które aż zaskrzypiało pod jego ciężarem.

– Jak powiedziałeś? – wychrypiał, spoglądając na mnie. Bruzdy na jego twarzy nigdy dotąd nie wydawały mi się tak głębokie. Nigdy dotąd nie wyglądał tak staro. – Dwie dziesiątki łodzi?

– Tak właśnie – odparłem.

Do zgrabiątych dłoni powoli powracało uczucie.

Żychłóń podniósł się i podeszedł do okna. Oparł ogromne, sękatę łapska o drewnianą framugę.

– Widzieliśmy już dzisiaj łodzie – powiedział. – Pełne goblinów. Choroba, wydawało mi się nawet, że widzę tam Zwierzaka, ale szybko to sobie z głowy wybiłem. Pomyślałem wówczas, że nie byłoby nic łatwiejszego niż atak na Wichrowiny z wód rzeki. I co? Chcesz powiedzieć, że sobie to wywróżyłem?

– Niczego sobie nie wywróżyłeś. To fakt.

– Jeśli śnieżyca się utrzyma, dotrą tu rankiem. Jeśli osłabnie, być może wcześniej – powiedział, nie kierując tych słów do nikogo z nas.

Wiatr na zewnątrz zawył żałośnie w odpowiedzi.

– W Dolinie rozpętała się wojna – powiedziałem ponuro. – Oddziały z Krzemyku pojawiły się zarówno w naszej okolicy, jak i tutaj, a Dola jedna wie, gdzie jeszcze. Wygląda mi to na szeroko zakrojony plan i mam tylko nadzieję, że Stefan znajdzie na niego odpowiedź. Posłuchaj, Żychłoń. Muszę dostarczyć owego jeńca do Wichru, a potem wracam w te pędy do Gryfa. Nie wiem, co ty tu właściwie robisz i jaki jest twój związek z tym miejscem, ale proponuję ci, byś dał sobie spokój z ksiązęcym żoldem i wiał z nami. Muszę się przespać choć dwie, trzy godziny, a potem ruszamy naprzód.

– Co? – spytał nagle Żychłoń, który przez moment sprawiał wrażenie zaabsorbowanego własnymi myślami. – Co powiedziałeś?

– Że ruszamy do Wichru i chciałbym, byś pojechał ze mną.

– Nie. – Żychłoń zaśmiał się chrapliwie i pokręcił głową. – Strata czasu, Kociołek. Stefana w Wichrze nie zastaniesz. Ponoć zebrał drużynę i poszedł pod Ugór. Książę Nikodem pali jego wsie.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową, trawiąc fakty. A więc Wichrowiny zostały zaatakowane z dwóch stron? W czasie gdy Stefan zacieśniał więzy z Rupertem i Yanną, Fryderyk dogadał się z Nikodemem?

Moje zaskoczenie było tak wielkie, że dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie, że Żychłoń mówi dalej:

– Ja do Wichru z tobą nie pojadę. Nie chodzi nawet o to, że Stefana nie ma w stolicy i pojęcia nie mam, gdzie należałoby go szukać. Ja, Kociołek, odpowiadam za ten zamek.

Milczałem przez moment, mierząc starego guślarza baczny spojrzeniem.

– To najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałem – wykrztusiłem w końcu.

– Wiem – burknął Żychłoń i ze złością podrapał się po czole. – Wiem, cholera jasna. Pewnie sobie myślisz, że całkiem mi odbiło. Przeżył, dziad, całe życie w nienawiści do książąt, rycerzy i kapłanów, by na starość stać się obrońcą jednego z nich. Śmiechu warte, no nie? – Spojrzał na mnie złym wzrokiem. – Otóż nie, Kociołek. Wcale tak nie jest. A ty się przestań śmiać, dumny elfie, bo ci w łeb pizgnę. Nie mamy wiele czasu, ale to jedno muszę wam wyjaśnić.

Podniósł się, wyprostował dumnie i założył ramiona na piersi.

– W dupie mam zarówno księcia Stefana, jak i każdego innego pierdolca z wydumanym tytułem, przerostem ego i tronem z łuszczącą się farbą! – wycedził z nienawiścią. – W dupie mam ich zamki, granice, strefy wpływów i pretensje do nie wiadomo czego! To się nie zmieniło i nie zmieni nigdy! –

Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. – Widzieliście załogę tego zamku? – spytał ciszej. – Widzieliście tych dzielnych wojowników? Obrońców pieprzonego księstwa?

– Nie – przyznałem szczerze. – Najwyraźniej niezłego stracha im napędziłeś, bo spieprzają na sam twój widok.

– Bo to nie żołnierze. To matołki z wytrzeszczonymi ze strachu ślepiami. Jełopy z jesienno poboru. Trzydziestu sześciu synów chłopów, rymarzy, powoźników, rybaków i tkaczy. Potykają się o własne włócznie i ledwie umieją szereg stworzyć. Jedno szczęście, że trafiła im się ludzka dowódczyni, ale choroba złożyła nieboraczkę i postanowiłem ją zastąpić. Nie w imię pieprzonych Wichrowin! – Guślarz ze złością zamachał rękami. – Ale dlatego, by każdy z tych durniów zdołał na wiosnę do domu wrócić. Nie chcę, by ginęli w imię jakichś bzdur. Czuję się...

Przygryzł popękaną wargę.

– Tak, czuję się za nich odpowiedzialny. Wiem, że gdyby dowództwo nad Zagórkiem przejął jakiś krewki pajac z długim nazwiskiem i wielkimi ambicjami, niejeden z tych chłopaków nigdy by już nie wrócił do domu. Do tego dopuścić nie mogę. Z drugiej strony – ciężko westchnął – wygląda na to, że jednak czeka ich bój. Bo jeśli wpuścimy Fryderykowych, matki, córki i ojcowie moich dzielnych podkomendnych również staną się ofiarami tej nieszczęsnej awantury i naprawdę nie wiem, co gorsze...

Umilkł na chwilę, a ja milczałem, porwany jego słowami. Wszak moje przemyślenia, które wyniosłem z Waśni, w niczym się od filozofii Żychłonia nie różniły. Przez moment milczeliśmy więc we trzech. Ogień trzaskał obojętnie, a wiatr na zewnątrz zawodził, wróżąc nam wszystkim trudne chwile.

Żychłoń siedział znów na krześle, opierając łokcie o kolana i z nisko zwieszoną głową. Wtem poderwał ją i spojrzał na mnie z zaciekawieniem, a w jego przymrużonych oczach błysnęła nowa iskra.

– I całe szczęście, żeś się, Kociołek, napatoczył – oświadczył.

– Tak? – uniosłem brew. – A czemuż to?

– Bo nie jedziesz do żadnego Wichra. – Żychłoń złożył wielkie łapska, wpatrując się we mnie z tryumfem. – Pies trącał Stefana. Zostajesz tutaj i wymyślisz coś, by zatrzymać tę całą Fryderykową inwazję.

– Ja? – Wytrzeszczyłem oczy. – Pogięło cię, Żychłoń?

– Przez ostatnie pół roku obmyśliłeś porwanie księżnej Yanny w Dymie, powstrzymałeś rebelię trolli w Głodnej Puszczy i pokrzyżowałaś Złemu plany przejścia Sokolnika, że o mniejszych akcjach nie wspomnę. – Guślarz wstał

i przeciągnął się, aż mu w gnatach strzeliło. – Na pewno wykombinujesz coś, by zatrzymać atak na zamek, no nie? Nie gap się tak na mnie, tylko myśl. A póki co... Mówiłeś coś o smalcu. To ten z fasoli?

*

Wykombinowałem.

A przynajmniej taką miałem nadzieję.

Po naszej stronie mieliśmy cztery atuty – efekt zaskoczenia, informacje Muchomorka, most nad Krwawicą oraz trzydziestu sześciu jełopów, durniów i matolków, którzy do walki o Wichrowiny nie nadawali się wcale, ale siekierę czy piłę trzymać umieli. Do tego zima, wielki wróg wszystkich wojujących, wciąż okazywała nam wiele życzliwości, bo śnieżycy trwała w najlepsze.

– Wiesz, że to skrajne wariactwo? – spytałem ochryplym głosem Żychłonia, owijając twarz suchym już na szczęście szalikiem.

– Wiem – odburknął tamten. Nie miałem pojęcia, jak długo obywatel się już bez snu, i bałem się o to zapytać. – Jak coś pójdzie nie tak, zwalisz winę na mnie. To ja kazałem ci ruszyć głową.

– Może jednak damy sobie z tym spokój... – zacząłem, ale Żychłoń parsknął niewesołym śmiechem.

– Przestań. Lepszego planu nie mamy i mieć nie będziemy, a działać trzeba. Tobie mam to mówić?

Z tymi słowami wyszedł z kamiennego korytarza prosto w targany wiatrem śnieg i zaczął z werwą łajać stłoczonych na dziedzińcu obrońców Zagórka, aż ci niechętnie zaczęli dzielić się na dwie grupy. Łopotwały pochodnie rzucające migotliwy blask na przestraszone, niepewne twarze rekrutów. Brzęknęła upuszczona siekiera, ktoś zaklął wściekle, ktoś narzekał i domagał się powrotu do łóżka. Za sobą usłyszałem ciche kroki.

– Miał rację – powiedziałem cicho, przekonany, że zbliża się do mnie Eliah. – Kompletne niemoty.

– Żebyś wiedział – rozległ się cichy kobiecy głos.

Odwrociłem się na pięcie i z zaskoczeniem ujrzałem, że stoi za mną niska żołnierka z szerokimi barkami, ubrana w zwisające luźno futro. Miała krótko przycięte, jasne włosy, potargane i posklejane od potu, a jej urodziwą twarz szpeciły płonące gorączką oczy.

– Kompletne niemoty – powtórzyła, a potem zakasłała. – Wystarczyłyby trzy miesiące, a zamieniłabym ich w dzielnych wojaków, ale zdaje się, że czasu nie

starczy już na nic. Wyście ów Kociołek? Żychłoniowy przyjaciel?

– Tak – potwierdziłem, powstrzymując odruch stanięcia na baczność. – Pani to... eee... dowódczyni Zagórka?

– Porucznik Yrene – powiedziała cicho. – Tak, ja dowodziłam tym zamkiem do czasu, gdy musiałam oddać ów zaszczyt Żychłoniowi.

– Nie mogę się doczekać, aż mi opowie o okolicznościach przejścia rangi – powiedziałem, kręcąc głową.

– Z pewnością ci opowie – wyszeptała kobieta i oparła się o ścianę, jakby nagle ogarnęła ją słabość. – Mam nadzieję, że przy tym będę, bo... na samo wspomnienie zaczyna tak przeklinać, że para mu z uszu idzie. Uważaj na niego. I na tych imbecyli.

– Tak będzie, pani porucznik – powiedziałem i zsalutowałem, a potem wyszedłem w śnieg.

Żychłoń stał przed nierównym szeregiem obrońców Zagórka i rozmawiał po cichu z Eliahem, jedynym z gołą głową. Miałem wrażenie, że elf ukradkiem przekazuje guślarzowi jakiś kawałek drewna, na co temu aż rozbłyły oczy, ale schował podarunek, nim do nich podszedłem. O nic nie pytałem – wiedziałem, że tych dwóch łączyła niejedna tajemnica, ale każda z nich zawsze wychodziła nam na dobre, a poza tym miałem inne, ważniejsze sprawy na głowie.

Jak na przykład to, czy mój pieprznęty plan ma rację bytu.

– Gotowi? – spytałem.

Żychłoń obrzucił wzdartliwym spojrzeniem swoich wojaków i prychnął głośno.

– Oczywiście, że gotowi – oświadczył, bacznie rozglądając się w poszukiwaniu krzywych spojrzeń czy niechętnych grymasów, ale stojący w nierównym szeregu najwyraźniej poznali już charakter swego przełożonego i starannie zamaskowali odczucia. – Ruszamy, wy tępe łachudry! Tylko narzędzi nie pogubcie!

Wychodziliśmy w burzliwą noc, a wielkie wrota zamku zamknęły się za nami z głuchym łoskotem. Dwaj strażnicy, których Żychłoń uznał za wyjątkowych przyglupów i którym kazał nikogo nie wpuszczać, odprowadzali nas spojrzeniami pełnymi ulgi.

*

Gardziel, jedyne znane nam przewężenie Krwawicy, leżała milę dalej w dół rzeki. Z nurtu wyrastała tam kamienista wyspa zwana pieszczotliwie Strupem, rzekomo od ciemnego nalotu pokrywającego kamienie zalegające na brzegu.

Północna odnoga rzeki uchodziła za głębszą, ale była stosunkowo wąska, przez co tratwy i łodzie miały spore trudności, by się tędy przecisnąć, a południowa, nieco płytsza, okazywała się szersza. Przez każdą z odnóg dawało się jednak przerzucić pień rosnącego na brzegu drzewa.

Łoskot siekier niósł się przez resztę nocy, litościwie zagłuszany przez wycie wiatru, a drzewa po obu stronach rzeki z głośnym trzaskiem przewracały się i waliły w wodę. Zgrzani, wyczerpani drwale chronili się w osłoniętych przed wiatrem namiotach, gdzie częstowałem ich grochówką, a potem wracali do pracy, aż obie odnogi wokół Strupa zostały całkiem zatarasowane.

Dla zdyscyplinowanego oddziału nie była to trudna przeszkoda do pokonania – żołnierze mogliby przecież dźwignąć łodzie i przenieść je brzegiem bądź przez długość Strupa. Zwały pokrytych lodem kamieni i gąszcz lasu mogłyby przysporzyć im pewnych trudności, ale na pewno nie pokrzyżować plany. Wielokrotnie tej nocy żałowałem, że plemię Zwierzaka popłynęło już przed siebie, bo oddział łuczników bardzo by się nam przydał, ale z drugiej strony nie mogłem mieć do niego pretensji.

Przecież sam zrobiłbym dosłownie wszystko, by być teraz z najbliższymi.

Od powrotu do domu dzieliło mnie starcie z najeźdźcami, a jego powodzenie, z braku łuczników, zależało wyłącznie od blefu i szczęścia. To, że miałem po swojej stronie socjopatycznego zabójcę i wściekłego guślarza w mundurze, poprawiało mi nastrój tylko trochę.

Tęskniłem za Zwierzakiem, Urgo i Grammem.

Gdzie jesteście, chłopaki? – myślałem, nalewając grochówki kolejnemu strudzonemu drwalowi. Mam nadzieję, że wszystko u was w porządku. Że jesteście już w Gryfie i grzejecie się przy naszym kominku.

Kłapa namiotu wydymała się od wiatru. Zawinięty w koce Muchomorek chrapał błogo. Drwał pochylał się nad miską i siorbał cicho. Przymknąłem oczy.

Na Dole, ależ mi się chciało spać.

Kłapa namiotu załopotiała, a do środka wślizgnął się Żychłoń. Drwał na jego widok o mało nie opluł się zupą.

– Jedz, matolku – mruknął guślarz, rozsiadając się naprzeciwko ognia, nad którym zawiesiłem garnek z zupą. – Niedługo koniec roboty, ale póki co trzeba się jeszcze przyłożyć.

Rekrut, który najwyraźniej spodziewał się tradycyjnej reprimendy, pokiwał skwapliwie głową i jednym siorbnięciem opróżnił miskę do końca, po czym poderwał się i wymknął z namiotu, zabierając siekiere. Guślarz klepnął go po

ojcowski po plecach, co wywołało u mnie lekki uśmiech. Wystarczył ten prosty gest, bym sobie w pełni przypomniał, o co walczymy.

– Nalać ci? – spytałem Żychłonia, ale ten potrząsnął głową i ściągnął futrzaną czapę.

– Nie. Sam się najedz. Mamy godzinę do świtu, a śnieżycy słabnie. Niedługo się pojawią.

Apetyt, jeśli w ogóle go miałem, uciekł mi błyskawicznie, ale pokiwałem głową. Żychłoń ściągnął sztywne od mrozu rękawice i rozcierał dłonie.

– Jest jeszcze jeden powód – mruknął tak cicho, że ledwie go usłyszałem. – Jeszcze jeden powód, dla którego się w to wpietrzyłem.

Wskazał swój wojskowy kubrak, a potem miecz.

– Tropisz Złe? – szepnąłem.

– Nie przestaję ani na moment. I wiesz co? Nie natrafiłem jak dotąd na żaden ślad. Przemierzyłem całe Wichrowiny i rozmawiałem z każdym, kto mógłby coś na ten temat wiedzieć. Złego jak dotąd po prostu nie ma.

– Nie wiemy, co się dzieje na północy, gdzie Stefan zмага się z Nikodemem – zauważyłem.

– Fakt, nie wiemy. – Żychłoń pokiwał głową. – Ale przecież Złe pojawia się wszędzie, gdzie toczą się jakieś zmagania, i zdecydowanie spodziewałbym się go tutaj. W końcu obaj widzieliśmy, co się wydarzyło w dworku myśliwskim Ruperta, no nie? Nie ma wątpliwości, że Fryderyk jest przesiąknięty Złem tak, jak onuce Gramma jego własnym smrodem. Jeśli wśród ludzi księcia Krzemyku są agenci Złego, dowiemy się tego pierwsi.

W jego zmęczonych, przymrużonych ślepiach błysnęło coś przewrotnego. Spojrzałem na jego rękawice, które tajały na podłodze, a potem na długi rylec za pasem.

– Naznaczyłeś niektóre z powalonych drzew glifami? – spytałem.

– A także barykadę pod Przyłęgiem i parę miejsc w Zagórku. Wybrałem najsilniejsze znane mi symbole, Kociołek. Jak zobaczysz, że ktoś nagle wylatuje w powietrze, miej pewność, że służy Złemu.

– Wylatuje w powietrze? – zdziwiłem się. – Na Dołę, Żychłoń. Ty serio czy tylko chcesz mi humor poprawić?

– Cóż, Kociołek, nie opieprzałem się przez ostatnie tygodnie. – Żychłoń uśmiechnął się do siebie. – Stworzyłem kilka mocnych kombinacji. Potrafię już na różne sposoby wpłynąć na ciało ludzkie bądź na przedmiot z naturalnego

surowca i umiem wodzić Złe za nos, a do pełni szczęścia brakuje mi tylko umiejętności korzystania z glifów na odległość.

Znowu błysnęły mu oczy, a dłoń odruchowo wsunął do kieszeni, gdzie wymacał jakiś przedmiot.

– To załatwiłoby kilka naszych problemów, prawda? –
dodał.

– Taaa... – bąknąłem. Wyczuwałem, że kryje jakąś nową tajemnicę, być może mającą związek z podarunkiem Eliaha, ale póki co miałem ważniejsze pytanie. – Znalazłeś dusze trolli?

– Ani widu, ani słyhu, Kociołek. – Żychłon zmarkotniał. – Potem pogadamy. Póki co prześpij się, chłopie, bo wyglądasz, jakby cię ktoś węgłem na ścianie narysował. Obudzę cię, jak będzie czas.

Muchomorek chrapnął głośniej.

– No, widzisz? Bierz przykład z pasowanego. Ja idę sprawdzić, co robią matoly.

*

Zdołałem zasnąć, ale bardzo tego pożałowałem, bo Żychłon zafundował mi dość brutalną pobudkę, po której serce waliło mi jak młotem jeszcze długą chwilę. Wyżłopałem łyżkę zimnej już grochówki, złapałem za miecz i wyczołgałem się z namiotu.

Wiatr się uspokoił i nieliczne śnieżynki opadały spokojnie, niemalże dostojnie. Wstawał dzień i szarawe postacie dookoła mnie nabierały powoli kolorów. Przycupnęliśmy z Żychłoniem za wykrotem, z którego widać było wyraźnie Strup oraz obie odnogi przegrodzone zwalonymi chaotycznie kilkunastoma pniami. Daleko, na zasnutej mgłami rzece, widać było pierwsze łodzie.

– No – mruknął Żychłon i ujął mocniej łagę, która od lat stanowiła jego najwierniejszą broń. Obok mnie przykleknął bezszelestnie Eliah, który trzymał linę ze skwaśniałym Muchomorkiem. Przeniosłem wzrok na jeńca.

– Wkrótce wyciągnę ci na moment knebel – szepnąłem chłodno. – Jeśli krzykniesz, by ostrzec swoich, zdążę cię wykastrować.

Muchomorek zerknął na Eliaha, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że już to usłyszał, i to w o wiele bardziej przerażającej formie. Elf uśmiechnął się paskudnie, a potem warknął cicho i szczerknął parokrotnie. Jeniec odruchowo cofnął się o krok i pochylił głowę.

– Patrzcie tylko – mruknął Żychłoń. – Kiedy myślę, że Eliahowi już bardziej odwalić nie może, suczy syn przechwytuje moje myśli i udowadnia mi błąd.

– Cicho już bądźcie – syknąłem. – Płyną.

Wyładowane wojskiem łodzie wyłaniały się z mgły jedna po drugiej. Rzeka zwięzła się dobre kilkaset metrów przed Strupem i wiosłarze, chcąc nie chcąc, musieli uformować szereg. Gdzieś doszło do zderzenia i dobiegły nas trzask pękającego drewna oraz głośnie przekleństwa. Ja jednakże skupiłem całą uwagę na pierwszej łodzi i stojącym na jej dziobie obserwatorze. Zgodnie z moimi oczekiwaniami ten w porę dostrzegł zaporę i ostrzegł resztę głośnymi okrzykami. Widziałem, jak żołnierze unoszą ociekające wodą wiosła i rozglądają się nerwowo dookoła, a nad ich głowami przelatują sprzeczne rozkazy.

Tak, na to właśnie liczyłem. Chciałem wywołać w napastnikach niepewność. Wszak właśnie się zorientowali, że ci, których mieli bezkarnie napaść, wiedzą o ich istnieniu i postanowili zatrzymać ich postęp. Jaki los był im więc teraz pisany? Czy przybrzeżne lasy nie roiły się aby od dziesiątek łuczników, czekających tylko na komendę, by wypuścić strzały?

Ten, kto dowodził atakiem, najwidoczniej nie był na taką ewentualność przygotowany. Łodzie zbiły się w bezładną kupę na środku rzeki i przez moment trwała tam intensywna wymiana zdań, zakończona czyjąś wściekłą tyradą, po której łodzie jedna po drugiej, niczym ciężkie, niezgrabne żuki, ruszyły w kierunku brzegu.

Odetchnąłem z ulgą. Moje rachuby okazały się słuszne i kierowali się dokładnie tam, gdzie sobie tego życzyłem – na nasz brzeg.

– Teraz się skup, Muchomorek – mruknąłem. – Rozpoznajesz chwata, który dowodzi tą zgrają?

– Są za daleko – odparł jeniec, szcękając zębami. – Jeszcze nic nie widzę.

– A dać ci coś na poprawę wzroku? – Żychłoń spojrział na niego groźnie spod nastrozonych brwi.

– Nie – kwiknął Muchomorek. – Nie trzeba. Ale są daleko. Za daleko!

Coś mi się nie podobało w jego zachowaniu. Słyszałem, że nawet najtwardsi więźniowie szybko przyzwyczajają się do nowej sytuacji i zatracają ochotę, by stawiać opór, ale spodziewałem się, że rycerz, który kazał na siebie wołać Mocarz, mimo wszystko nie skruszeje tak szybko. Odepchnąłem jednakże te myśli na bok, bo na brzegu rozpoczęło się nowe zamieszanie.

Dowódca sił inwazyjnych może nie radził sobie podręcznikowo na wodach rzeki, ale za to był jednym z pierwszych, którzy zeskoczyli z łodzi, i natychmiast przystąpił do zaprowadzania porządku wśród swoich ludzi. Najpewniej doszedł

do wniosku, że zagrodzona rzeka to wstęp do większej pułapki, bo natychmiast pchnął naprzód piechociarzy z ciężkimi tarczami, którzy uformowali szereg. Za nimi skupiły się grupki łuczników, a pod ich osłoną do brzegu przybijały kolejne łodzie.

Patrzyłem na to wszystko z narastającą obawą.

– Przeszkoleni – westchnąłem ciężko. – Nie to, co ci twoi, Żychłoń.

– Gówno tam przeszkoleni – burknął guślarz. – Widziałeś? Jeden o mało się o własne nogi nie wypieprzył, a ci łucznicy wydają się przerażeni jak Zwierzak na widok mydła. O, patrz! To chyba ich dowódca!

Do brzegu przybijały już ostatnie łodzie i wojska najeźdźcy utworzyły wokół nich nieruchomy, najeżony ostrzami półkrąg. Za plecami piechoty pojawił się wysoki mężczyzna w napierśniku podobnym do tego, w którym chadzał Mocarz, i w wysokim rycerskim hełmie, a za nim podążał barczysty wojownik w kolczudze i wełnianym płaszczu z grubym kozuchem. Obaj mieli zaczerwienione oblicza, jakby właśnie stoczyli wścieklą kłótnię, a wojownik w płaszczu wyciągnął rękę, najwyraźniej chcąc złapać rycerza za ramię. Ten odtrącił jego dłoń z wściekłością.

– Oho – mruknął Żychłoń. – Coś jest na rzeczy. Dobra nasza.

Ewidentnie między dwoma mężczyznami trwał jakiś konflikt, czemu w zasadzie nie należało się dziwić. Przypuszczalnie mieli zaatakować Zagórek z zaskoczenia, ale śnieżycza zmusiła ich do spędzenia nocy pod gołym niebem, a potem, na milę przed miastem, natknęli się na niespodziewaną przeszkodę. Z całą pewnością byli niewyspani, zziębnięci i głodni, ale jakoś im nie współczułem.

– Wynoście się stąd! – wycodziłem. – Razem z ambicjami swojego popieprzonego księcia! A jeśli już koniecznie musicie tu zostać, zróbcie mi tę przyjemność i dajcie się, cholera, wciągnąć w pułapkę!

Spojrzałem za siebie i dostrzegłem słup dymu na północy, w miejscu, gdzie znajdował się Zagórek.

Rycerz odepchnął raz jeszcze rękę próbującego go zatrzymać wojownika i wyszedł poza krąg zamartej w oczekiwaniu piechoty. Coś krzyknął i machnął ręką. Od szeregu żołnierzy oderwało się pięciu, którzy podbiegli do rycerza, a potem ruszyli za nim. Wojownik, wyraźnie wściekły, podążył ich śladem.

Zerknąłem na Muchomorka, ale ten kulił się za wykrotem i nie patrzył ani na swoich pobratymców, ani na nas. Pacnąłem go gałęzią, a wtedy spojrzał na mnie niechętnie.

– Widzisz tego tam? – syknąłem. – W blachach i nocniku na głowie? Co to za jeden?

Muchomorek uniósł głowę i zmrużył oczy.

– O – mruknął. – Nigdy bym się go tu spodziewał. To Flistan zwany Bawołem, jeden z największych rycerzy księcia Fryderyka. Ten za nim to Zgniot, kapitan najemników. Nieprzyjemni goście – dodał i po raz pierwszy od przebudzenia uśmiechnął się kpiąco.

– Nieprzyjemni, tak? – prychnąłem. – Szkoda, że nie ma tu reszty mojej drużyny. Przestałbyś używać tego słowa w nieodpowiednim kontekście.

Nie zabrzmiało to przekonująco, bo czułem coraz większe napięcie. Zbliżała się bowiem decydująca chwila mojego fortelu.

Uda się? Czy cały ten ogromny wysiłek okaże się wart zachodu? Czy naprawdę mieliśmy szansę uchronić Zagórek i jego obrońców przed tragicznym losem?

Wstrzymując oddech, wpatrywaliśmy się w postacie siedmiu wrogów, którzy oddalali się od piechoty i...

Zmierzali w stronę wzgórza.

– Tak! – zacisnąłem pięści. – Tak! Idą tam, gdzie chciałem!

Żychłoń klepnął mnie w ramię.

– Dobrze żeś to wykombinował! – syknął. – Ruszamy?

– Ruszamy!

Z jedyne go w okolicy wzgórza, dokąd zmierzali wrogowie, nawet przy złej pogodzie widać było Zagórek. Cały mój idiotyczny plan opierał się na tym, że zdołamy skłonić napastników do wylądowania na brzegu, a ci, zamiast natychmiast przenieść łodzie i popłynąć na zamek, będą chcieli się najpierw rozejrzeć po okolicy. Wszak to, że szlak wodny został zatarasowany, oznaczało tylko tyle, że wróg – czyli my – podjął działania opóźniające, a skoro nie zaatakował od razu, być może skupił swe siły wokół zamku.

Tymczasem dwaj pozostawieni na straży Zagórka chłopacy mieli za zadanie rozniecić na dziedzińcu wielki, dymiący ogień, by jeszcze bardziej wzmóc ciekawość napastników.

I, cholera, udało się.

Przechodziliśmy więc do drugiej fazy planu.

Pospiesznie przemykaliśmy teraz między drzewami, ścigając Flistana, Zgniota i ich żołnierzy, zasapanych i skupionych na wędrowce. Co ciekawe, wszyscy zabrali ze sobą ciężkie tarcze, co mogło wskazywać albo na wyjątkową dyscyplinę w armii Fryderyka, albo na deficyty intelektualne jego żołnierzy.

Tego jednakowoż również nie miałem ochoty zgłębiać.

Przypadłem do drzewa, czekając, aż Żychłoń do mnie dołączy. Eliah uklęknął tuż obok i od niechcenia napiął łuk. Głos Flistana, osobliwie wysoki i zgrzytliwy, niósł się daleko między drzewami.

– I co, Zgniot? Już chyba rozumiesz, że nie będzie żadnej zasadzki? Że te głąby nie byłyby w stanie nas opaść? Zawalili pniami rzekę, żeby opóźnić natarcie, i tyle!

– Mają wśród nas szpiega! – upierał się Zgniot.

– I co im to da? Nasz człowiek, przypomnę ci, dokładnie ich policzył! Mamy przewagę pięciu na jednego, nie mówiąc o tym, że tamci to poborowi od pługa oderwani! Nie bój się, Zgniot! Zaufaj mi! Spójrzmy na ten dymek i ruszamy!

Zerknąłem za siebie. Żychłoń, wciąż przemykający między drzewami, pomachał mi dłonią, a potem...

Potem widowiskowo wywalił się w śnieg.

Serce mi zamarło. Zgniot odwrócił się, zaalarmowany nagłym odgłosem, wyciągając odruchowo miecz z pochwy.

Ułamek sekundy później w jego prawy oczodół wbiła się strzała.

Ze zgrozą patrzyłem, jak wojownik wypuszcza broń z ręki, postępuje jeszcze krok i wali się w śnieg. Żołnierze odwracali się już, odruchowo unosząc tarcze, a Flistan obrócił głowę z niedowierzaniem. Dzieliło ich od nas zaledwie kilkanaście kroków – zdawać by się mogło, że niewiele – ale w tych okolicznościach była to przestrzeń niemalże nie do pokonania.

– Zasadzka! – wrzasnął piskliwym głosem rycerz. – Zatrzymajcie tych bandytów! Brońcie mnie!

W tej samej chwili rzucił się do panicznej ucieczki.

Przekląłem w duchu. Liczyłem na to, że zdobędzie się na jakieś męstwo i stanie do walki – wszak nasz plan miał na celu w pierwszej kolejności pozbawienie najeźdźców dowództwa – a teraz krzemycy rycerz uciekał, potykając się, przez las.

– Za nim! – krzyknąłem.

Kolejna strzała Eliaha, przeznaczona dla Flistana, wbiła się w krawędź tarczy któregoś z jego podwładnych, a cała czwórka, posłuszna rozkazowi rycerza, skoczyła prosto na nas. Przejął mnie lęk, bo nikt nie lubi walczyć przeciwko przewadze liczebnej, ale wnet się zorientowałem, że ich wyszkolenie znacznie ustępuje posłuszeństwu. Pierwszy przewrócił się o zagrzebaną w śniegu gałąź, a drugi rymnął w ślad za kolegą, gdy bolas Eliaha oplótł się wokół jego kolan. Trzeci skoczył prosto na mnie i zamachnął się mieczem, ale ciężka tarcza, bez wątplenia przydatna w walce w polu, w gęstym lesie okazywała się przeszkodą.

Bez trudu uskokczyłem przed ciosem, a potem prześlizgnąłem się za przeciwnika i z całej siły rąbnąłem go przez plecy. Odwróciłem się od wściekłego, oblepionego śniegiem Żychłonia, by się przekonać, że ten tłucze kijem już czwartego piechociarza.

– Gdzie rycerz? – wycharczał.

Wskazałem mu ledwie już widocznego, umykającego między drzewami Flistana, który wrzaskliwie nawoływał swoich żołnierzy. Eliah poderwał łuk i wypuścił strzałę, ale ta z głuchym stuknięciem wbiła się gdzieś w pień.

– Wyślizgnie się nam! – jęknąłem ze zgrozą.

– Wyślizgnąć się – wyrzeźił Żychłoń – może pierd podczas randki.

Pochylił się, jakby chciał rzucić się naprzód niczym szarżujący baran, i aż stracił równowagę, w ostatniej chwili wsparłszy się o drzewo. Zacisnął powieki, pobladł, a na czoło wystąpiła mu pulsująca żyła. Spojrzałem na niego z niepokojem, ale wtedy wrzask rycerza nagle się urwał. Jego bezwładne ciało osunęło się na śnieg między czarnymi pniami.

– Temu kutasowi – wyszeptał ochryple guślarz – śmierć była pisana z chwilą, gdy zszedł na ląd.

Eliah przyglądał się mu zagadkowo. Ja zaś nie mogłem się otrząsnąć.

– Na Dolę... – wykrztusiłem. – Co to było? Mówiłeś, że glify nie pozwalają ci jeszcze czarować na odległość!

– To nie był glifang. – Na zarośnięte policzki Żychłonia powoli wracały rumieńce. – To moja magia guślarska.

– Nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałem!

– To mnie nie denerwuj.

Pozostała jeszcze jedna, bodaj najważniejsza część planu. Zsunęliśmy się w dół zbocza i ukucnęliśmy przy ciele Flistana, który zaległ wśród korzeni sędziwej sosny z głową wykrzywioną pod nienaturalnym kątem. Żychłoń przesunął nad nim kij ze starannie wyrytymi glifami, ale ten, mocno trzymany w sękatych łapskach guślarza, ani drgnął.

– Nie ma Złego – mruknął Żychłoń.

Z miejsca, w którym przycupnęliśmy, widać już było oddział krzemeycki. Żołnierze najwyraźniej słyszeli wrzaski swego dowódcy i domyślili się, że coś mu się stało. Widziałem, jak kręcą głowami, a nawet porzucają miejsce w szeregu, by skupić się wokół swoich sierżantów, równie bezradnych jak oni. Gwar rozmów narastał, przerywany co chwila okrzykami niepewności. Kilku żołnierzy weszło w las, jakby chcieli przyjść Flistanowi z odsieczą, ale rozmyślili się i cofnęli.

– Dobra – szepnąłem z narastającą nadzieją. – Eliah?

Elf, który od świtu nie powiedział ani słowa, wysunął z kołczanu strzałę, którą przygotowaliśmy jeszcze w Zagórku. Powoli nałożył ją na cięciwę, po czym uniósł łuk i posłał ją prosto ku tłumowi żołnierzy.

Wbiła się w pień świętego drzewa, natychmiast przerywając kilka rozmów. Chwilę później rozległy się okrzyki, gdy któryś z Fryderykowych zauważył, że przytroczyliśmy do strzały list.

Cóż, woleliśmy założyć, że po wyeliminowaniu dowódcy w oddziale pozostaną tacy, których wyszukane zwroty mogą jedynie zniechęcić do dalszego czytania. W prostych, żołnierskich słowach przedstawiliśmy im bezsens walki za księcia, groziliśmy wszystkim śmiercią i proponowaliśmy, by wynieśli się do jasnej cholery.

Przeglądałem się sierzantowi, który wyrwał list z rąk szeregowego żołnierza i w skupieniu zapoznawał się z jego treścią.

– No, dalej, matolku! – poganiałem go szeptem. – To nie takie trudne! Doczytaj do końca i zabierz stąd tę bandę! Wynoście się wszyscy! Nie znacie planów dowódcy, a jeszcze...

Niespodziewanie sierzant wybuchnął pogardliwym śmiechem i lekceważąco wyrzucił list do wody, a potem odwrócił się ku uczestnikom wyprawy. Mówił stanowczo, wymachując przy tym ramionami, a ja, choć rozpoznałem jedynie pojedyncze słowa, z wolna domyślałem się tonu i przekazu jego słów. Skupieni wokół niego żołnierze wznosili bowiem coraz głośniejsze i coraz bardziej agresywne okrzyki.

Ani myśleli uciekać.

Zrobiło mi się zimno.

– Eliah? – bąknąłem słabo. – Da się jakoś gnojka ustrzelić?

Elf poderwał łuk do ramienia, ale Żychłōń pokręcił głową.

– Nie – syknął. – Zostaw. Będą widzieć, skąd nadleciała strzała. Zatluką nas jak wściekle psy.

– To co robimy? – spytałem nerwowo. – Na Dolę, myślałem, że po utracie dowódcy oddział się rozsypie!

– Najwidoczniej – guślarz wyciągnął coś spod kubraka – trzeba im w tym jakoś pomóc.

Nie dostrzegłem, co chował w wielkiej łapie, ale zacząłem łączyć fakty, gdy wiatr, niemalże obojętny od świtu, nagle się zerwał i zatańczył wokół nas. W powietrzu wirował śnieg, strącany z wyższych gałęzi, ku memu zaskoczeniu tworzący obracający się coraz szybciej wir, głośny, wręcz ryczący. Z niedowierzaniem spojrzałem na Żychłonia, który tym razem miał oczy szeroko

otwarte, skrzące wręcz tryumfem. Patrzyłem, jak wyciąga zaciśniętą pięść w stronę wrogiego oddziału, a wirujący lej śniegu ugina się jak uderzony w walce, a potem rusza w dół, porywając kolejne białe masy i rozrastając się we wszystkich kierunkach. Szum zdawał mi się teraz niemalże ogłuszający, ale udało mi się pochwycić również wrzaski przerażenia krzemykan, a wśród zamieci nad brzegiem rzeki dostrzegłem pierwszych uciekających.

– Teraz to, Kociołek – wykrzyknął Żychłóń z tryumfem – widzisz, jak działa glifang na odległość!

Uderzenie serca później wirujący śnieżny tajfun walnął w rozbiegający się już, ogarnięty paniką oddział wroga.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przez jakiś czas leżeliśmy jeszcze w ukryciu i przyglądaliśmy się, jak Fryderykowi wojacy biegają przerażeni po lesie. Nie miałem pojęcia, co się stało z sierżantem, który jeszcze chwilę temu skutecznie zagrzewał wszystkich do boju, ale niewykluczone, że jego zapal skruszał na widok śnieżnego tajfunu, i dołączył on do towarzyszy w panice spychających łodzie na wodę. Niebawem większość z nich już zmierzała w stronę Krzemyku, o wiele szybciej niż wcześniej, bo z prądem.

Jakiś czas później, mniej więcej w chwili gdy uznałem, że wreszcie będę mógł się położyć i wyspać, Dola uznała, że zmarnowała na nas już wystarczająco dużo czasu.

– Muchomorek uciekł – oświadczył Eliah.

Przez moment wpatrywałem się w niego, niczego nie rozumiejąc.

– Jak to... Jak to uciekł?

Elf zamachał mi przed oczami przeciętymi sznurami.

– Ukradł skądś nóż.

– Niech to szlag... – wymamrotałem. Teraz już wiedziałem, skąd się brała jego podejrzana spolegliwość. – Skąd ten kutas wziął coś ostrego?

– Od ciebie. – Elf wskazał mój pas.

– Ode... – wymamrotałem z niedowierzaniem i odruchowo wymacałem pustą pochewkę. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. – Obrobił mnie, gdy spałem przed akcją. Niech to szlag jaśnisty. I co teraz?

– Teraz? – Eliah spojrzał na mnie jak na idiotę. – Teraz go złapiemy.

Wypowiedział te słowa głosem tak obojętnym, jakby chodziło mu o narąbanie drewna, przez co poczułem się nieco pokrzepiony na duchu. Fakt, pochwycony przez nas rycerz nie wyglądał na takiego, który umiałby zmylić pościg w lesie,

a na pewno nie tak, by Żychłoi czy Eliah nie mogli go dogonić. Co więcej, w głębokim śniegu trudno było zamaskować trop, a uciekinier miał przecież charakterystyczną czerwoną czapkę, z pewnością widoczną z daleka. Dopadnięcie go wcale nie musiało być trudne.

– A więc w drogę? – spytałem z nadzieją.

Elf wzruszył ramionami i ruchem głowy wskazał Żychłonia, który podniósł się właśnie z głośnym stęknieniem i skierował się ku swoim durniom, matolkom i niemotom, którym wcześniej nakazał ukryć się w głębi lasu i przybyć z pomocą w krytycznej chwili. Ta na szczęście nie nadeszła, ale guślarz był zbyt zmęczony, by okazać ulgę. W echach jego pokrzykiwań utrzymywała się względna równowaga między przekleństwami i rozkazami.

– No tak – westchnąłem. – Ktoś tu ma jeszcze obowiązki. Wróćmy z Żychłoniem do Zagórka.

Dotarliśmy do zamku wraz z gromadą jego obrońców, co było słusznym rozwiązaniem, bo w okolicy włóczyło się jeszcze sporo maruderów Flistana i Zgniota. Tam guślarz, który ani na moment nie przestał pomstować na swoich podkomendnych, w te pędy pognął do porucznik Yrene i zdał jej raport, a potem, dla porządku, jeszcze raz zrugął załogę. My w międzyczasie zdążyliśmy odnaleźć nasze konie i spakować to i owo do jedzenia, a Eliah uzupełnił zapas strzał.

Gdy wyjeżdżaliśmy, słońce było już w zenicie.

Wydawało mi się oczywiste, że Muchomorek ruszy prosto na południe, minie Gryfa i dotrze do granic Krzemyku, i w sumie nawet ucieszyłem się, że chcąc nie chcąc, znajdę się w pobliżu domu, a może nawet do niego zajrzę. Eliah, który tradycyjnie objął rolę przewodnika, najwyraźniej się ze mną zgadzał, bo poprowadził nas w stronę starcia z ludźmi Fryderyka, wymijając po drodze szerokim łukiem gromadę zdeorientowanych maruderów. Zdziwiłem się dopiero, gdy po dotarciu na miejsce, z którego umknął Muchomorek, elf poprowadził nas na wschód.

– Na wschód? Czemu?

Eliah wskazał mi ślady w śniegu, a potem mnie obszczekał. Spojrzeliśmy z Żychłoniem po sobie i wzruszyliśmy ramionami, a potem w milczeniu podążyliśmy za elfem.

Muchomorek z niejasnych powodów rzeczywiście uciekał na wschód. Co więcej, nawet ja, tropiciel-amator, nabrałem z wolna przekonania, że zwiewał w pośpiechu, a przy tym niezbyt sobie radził – co kilkanaście kroków jego ślady nikły bowiem we wgłębieniu, które musiało powstać na skutek upadku. Miał jednakże nad nami przynajmniej dwie godziny przewagi, a do tego, co

skonstatowałem ponuro, zdołał się tej nocy porządnie wyspać. My co prawda mieliśmy konie, ale śnieg zalegał głęboko i raz na jakiś czas musieliśmy zsuwać się z siodeł i torować im drogę.

Las zaś, jak na złość, przerzedzał się po trochu i niebawem widziałem już tylko pojedyncze, czarne kikuty bezlistnych drzew, wyrastające tu i tam ze śnieżnej bieli. Błada, niewyraźna kula słońca przesuwiała się powoli wśród szarości nieba i zmierzała w stronę horyzontu. Trop zaś wiódł dalej na wschód, ku gromadzie ciemnych, obłych skał.

Byłem już zbyt zmęczony, by zastanawiać się, co temu łysemu draniowi strzeliło do głowy. Na niemalże już bezdrzewnej równinie śnieg był o wiele głębszy i często sięgał powyżej kolan, co męczyło nasze konie, nienawykłe do brnięcia przez zasy, równie mocno jak mnie. Zacisnąłem zgrabiłą dłoń na uździe i parłem przed siebie, za pozornie nieporuszonym i obojętnym Eliahem. Za sobą miałem Żychłonia, spoconego i zaspanego, znużonego tak bardzo, że w pewnym momencie przestał nawet przeklinać.

Próbowałem pocieszać się prostymi rzeczami. Bo nie wiało. Bo Sara i dzieciaki miały mnóstwo drewna. Bo robiło się ciemno i za moment mieliśmy rozpalić ogień. Bo...

Nagle Eliah się zatrzymał.

– Dziwne – powiedział.

Nieczęsto widywało się zaskoczonego Eliaha. Zaniepokojony, podszedłem bliżej i ujrzałem to, co on. Ślady Muchomorka, przed momentem wyraźne, nagle się urywały, a wszędzie dookoła ciągnęła się nietknięta śnieżna biel.

Elf nachylił się nad śladami.

– Zatrzymał się – powiedział. – Widzicie obrzeża śladów? Nie szedł dalej. Zatrzymał się tu i stał.

– Po co? – wychrypiął zdyszany Żychłoń. – Czekał na coś? Bo przecież nie zbierał się chyba do lotu, co?

– Gdyby umiał latać – odezwałem się – wzniósłby się już dawno temu.

Eliah omiół mnie spojrzeniem ciężkim od drwiny.

– Kociólek, jesteś geniuszem – mruknął i spojrzał ku szarym, obłym skałom, znacznie bliższym i większym. – Po mojemu ujrzał coś na niebie i zatrzymał się, by przyjrzeć mu się lepiej. A potem owo coś go dorwało.

– Mówił mi jeden – guślarz splunął na śnieg – że w takich skałach często się mantykory gnieźdzą. A to latające bydlaki przecież.

Przeszedł mnie zimny dreszcz.

– Nic dziwnego, że okolica bezludna – wymamrotałem. – Kto by chciał mieszkać w sąsiedztwie latających drapieżników.

– Padlinożerców – uściślił Żychłóń.

– Co? – Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. – Właśnie założyliście, że taki syn porwał Muchomorka?

– Ale mantykory żrą tylko trupy – upierał się guślarz. – Łapią żywe istoty, umieszczają w swoich gniazdach i pilnują ich, aż zdechną.

Zamrugałem.

– Czyli Muchomorek dalej żyje?

– Pewnie tak – westchnął Żychłóń.

– Krwi żadnej nie widzę – dodał elf. – Chyba rzeczywiście coś go żywcem porwało.

Z niechęcią popatrzyłem na nieodległe skały.

– Wszystkiego mi się odechciewa na samą myśl o tym, że miałbym się tam zapuścić i stawiać czoła powietrznym potworom, by ocalić jakiegoś bydlaka tylko po to, by wlec go do Stefana, który być może i tak już wszystko wie – stwierdziłem. – Dobra, przesadziłem. Odechciało mi się jakieś dwie godziny temu.

Pokręciłem głową i wskazałem grupkę skał wznoszących się kilkaset kroków dalej, w kierunku, z którego przyszliśmy.

– Rozpalimy tam ogień – powiedziałem. – Będziemy w miarę zasłonięci i być może żadna mantykora nas nie zauważy, a ja naprawdę muszę już odpocząć i coś zjeść. Podsmażę grzanki.

– To się nazywa psychologiczny szantaż. – Eliah spojrzał na mnie przenikliwie. – I działa.

– Doskonale działa – burknął Żychłóń. – Dobra, Kociołek. Ja też już mam wszystkiego dosyć.

Bez słowa zawróciliśmy i wybraliśmy na obóz miejsce, które wydało nam się najbezpieczniejsze i najlepiej osłonięte. Wnet rozpaliliśmy ogień, napoiiliśmy i nakarmiliśmy konie, a ja ustawiłem patelnię nad ogniem i przysmażyłem dla przyjaciół grzanki z suszonymi grzybami i bekonem.

Smakowały niebiańsko, co tam będę ukrywał.

Każdy z nas zapił posiłek kubkiem grzanego wina, a potem spojrzałem wymownie na Żychłonia.

– Czego? – burknął stary.

– Jesteś nam winien historię o swojej wyprawie po dusze trolli – oświadczyłem.

– Znalazłeś? – spytał elf, dopijając wino.
– Nie – skrzywił się guślarz. – Nie znalazłem.
– Ja też nie – powiedział Eliah. – Dziwna sprawa.
– A Urgo i Gramm? – spytał Żychłoń.
– Jeszcze nie wrócili do Gryfa. – Potrząsnąłem głową. – Nie wiem, ale mam szczerą nadzieję, że któremuś się powiodło. Bo jeśli Złemu bardziej się poszczęściło w poszukiwaniach, mamy wszyscy przerąbane. Ale co tam – machnąłem ręką – mów, Żychłoń. Przynajmniej się dowiemy, jak się dochrapałeś rangi.

Wskazałem wojacki strój Żychłonia, a ten westchnął ciężko i zaczął mówić.

OPOWIEŚĆ Z RUBIEŻY WICHROWIN

Żychłoń przyglądał się z zainteresowaniem, jak upiornik rozwija długą linkę, a potem z wprawą kręci nią nad głową. Przywiązana do jej końca osobliwie uformowana kość zwana warkotką zahuczala w powietrzu, a im szybciej człowiek kręcił, tym głośniejszy i bardziej przeraźliwy był ów odgłos.

Potem upiornik odkaszlnął i zawył.

Żychłoń słyszał już niejedno w życiu, ale wycie upiornika, zlewające się w jedno ze świstem warkotki, tworzyło niezapomniane, wstrząsające połączenie. Dźwięk zdawał się naruszać strukturę świata i rozdzierać ciekłą granicę między światem żywych i światem duchów, co zresztą było słusznym skojarzeniem. Guślarz siedział więc nieruchomo, nie chcąc zakłócać przerażającego spektaklu.

Nad ich głowami powoli sunęły ciężkie, szare chmury, zwiastujące rychłe opady śniegu, a zetlałe trawy kołysały się pod naporem podmuchów wiatru, lodowatych i przywodzących na myśl pierwszych jeźdźców zimy. Nadciągały od strony wznoszących się za plecami guślarza skały, stanowiących niepisaną granicę Gór Gwiżdżących, i wygrywały na ich ostrych krawędziach własne melodie, które zlewały się z wezwaniem upiornika.

Żychłoń nie miał pojęcia, skąd się biorą dreszcze na jego plecach, ale przypuszczał, że nie od zimna.

Upiornik zakończył swój spektakl równie błyskawicznie, jak go zaczął. Urwał swój przeraźliwy zaśpiew, a potem wysunął przedramię, chronione stalowym karwaszem, a lina owinęła się wokół niego tak, że mężczyzna sprawnie pochwycił warkotkę. Żychłoń miał wrażenie, że nagle zapadła głucha cisza, choć wiatry nieprzerwanie świsnęły wśród skał.

– I co? – spytał beztrosko, jakby chciał dać znać, że przedstawienie nie zrobiło na nim wrażenia.

– Nic – odparł upiornik. – Gówno.

– Nic się nie złapało? – Do głosu guślarza wkradło się rozczarowanie.

– No przecież mówię, że nic – burknął jego towarzysz, po czym odkorkował zwisającą u pasa butelkę i pociągnął łyk. Rozkaszłał się i rzucił ją Żychłoniowi, który posłusznie pociągnął łyk i również zakasłał.

Lata złopania Grammowej berbeluchy powinny mnie były na to przygotować, pomyślał, próbując złapać oddech. Ale gdzie tam. Jak tylko spotkam tego cholernego krasnoluda, przysłę go tutaj. Niech go upiornicy ugoszczą.

– Spróbujemy jutro, Dziegoc? – spytał, podnosząc się, by oddać towarzyszowi butelkę.

– Nie wiem – odburknął. – Po mojemu to sensu nie ma. W tych stronach nie ma już porządných duchów, Żychłoi. Bywały, owszem. Długo się pałętały po ostatniej rozprawie ze Złem, aleśmy w końcu je wylapali. Nie masz ci takiego, który by się oparł wezwaniu. Każdy prędzej czy później przybywa, a wtedy łapie się go do worka, zakopuje i po problemie.

Jeszcze tydzień temu Żychłoi raczej by nie uwierzył, że upiora można zamknąć w worku, ale po tym, czego był świadkiem, bez trudu przyjmował każde słowo Dziegocia.

– Nie ma upiorów. – Dziegoc usiadł na kamieniu i odetchnął ciężko. Dopiero teraz Żychłoi zauważył, że rytuał sporo go kosztował; oddychał z trudem i co rusz ocierał czoło, spocone pomimo podmuchów chłodnego wiatru. – A na pewno nie ma już takich, jak kiedyś.

– Czyli? – zainteresował się Żychłoi.

– No wiesz. – Upiornik przetarł czoło i roztarł lepkie palce. – Takich mocarnych, obdarzonych wolą, które potrafiłyby rozmowę prowadzić czy historię opowiedzieć. Teraz, jeśli uda się coś złapać, ledwie kilka słów umie wykrztusić, i to najczęściej takich, które tuż przed śmiercią usłyszał. Powiadam ci, Żychłoi, same durnie zostały.

– Tak jak wśród ludzi. – Guślarz pokiwał głową ze smutkiem.

– Tedy dobrze, że do nich nie chadzam – zaśmiał się ponuro Dziegoc.

– A do was nie przybywają? – Żychłoi wpatrywał się w upiornika z zainteresowaniem. – Na przykład rycerze? Albo kapłani Doli? Przecież to – wskazał płaski kamień, na którym Dziegoc przed chwilą przedstawił swój spektakl – magia w czystej postaci. I to mocniejsza od naszej, guślarskiej.

Dziegoc pokręcił kudłatym łbem.

– Nie. Spokój nam dali, pod warunkiem że się w cholerę wyniesiemy. Jak najdalej od miast.

– Ciekawe czemu.

– Temu – skrzywił się upiornik – że raz na jakiś czas któryś z nich naszej pomocy potrzebował. A to bratu nie do końca się zmarło. A to siostra wróciła i po domostwie kusić

zaczęła. A to ojciec szezeł, testamentu nie spisawszy. Dobrze było ocalić garstkę upiorników, wszak może się któryś jeszcze do czego nada.

– Wyrachowane świnię z tych kaptanów.

– Świnię – zgodził się Dziegoć. – Tym bardziej że w tych swoich świątyniach psioczyli na nas równie mocno, jak na was. Co z tego, że oszczędzili paru na czarną godzinę, skoro ludzie przestali nas szanować? Nie pomnę ci, Żychłoń, kiedy ostatni raz ktoś przybył w te okolice, by się upiornictwa uczyć. Przed laty znajomek dziewczę szkolił, ale ta też machnęła ręką i związała. A szkoda, bo udana była! Ruda, piegowata, a zadziorna! Ech, byś ty ją widział!

Dziegoć się rozmarzył. Podmuchy wiatru roztrzącały malutkie drobinki śniegu.

– Zamarzniemy tu – burknął Żychłoń i naciągnął kaptur na łusą głowę.

– Zamarzniemy – zgodził się Dziegoć. – Chodź do mnie. Stara Dziegociowa upichci nam coś do zarcia.

*

Dziegociowa najwyraźniej miała własne, już dawno wyrobione zdanie na temat włóczęgi męża po okolicznych skałach i podkreśliła je rozmachem, z jakim postawiła przed nimi miski polewki. Dziegoć zignorował to z wprawą, którą nabywa się po dekadach małżeńskich kłótni, wobec czego Żychłoń poczuł się w obowiązku za obiad wylewnie podziękować. Dziegociowa burknęła coś pod nosem i skryła się w sąsiednim pokoiku, skąd dobiegło terkotanie kołowrotka.

Jedli w milczeniu, częściowo wymuszonym przez to, że mięso w potrawce było niedogotowane i trzeba było pracowicie przeżuwać. Żychłoń odepchnął tęsknotę za kuchnią Sary i Kociołka i rozejrzał się po izbie. Mieszkał u Dziegociów już od trzech dni, a wciąż nie mógł się nadziwić warunkom, w jakich bytowali. Chata zbudowana z połączonych zaprawą skalnych odłamków była niska i ciemna, a składała się z labiryntu drobnych pomieszczeń, które dzieliły wysokie progi. Mimo mroku, ledwie rozświetlanego przez kopzące świece, Dziegoć i jego żona poruszali się po nim bez trudu, a jedyne przekleństwa, jakie Żychłoń słyszał, kierowali pod swoim własnym adresem.

Jego wzrok, jak zwykle, umknął ku półce tuż pod powalą, gdzie podskakiwało i poruszało się kilka sflaczałych worków. Dziegoć wyjaśnił mu, że nie wszystkie złapane duchy były od razu zakopywane w ziemi. Upiornicy zatrzymywali dla siebie te co zabawniejsze, by było z czego się śmiać przy wódce, a czasem nawet wymieniali się nimi, gdy zaczęły się nudzić. Worki, w których Dziegoć trzymał własną kolekcję, były obrośnięte pajęczynami, co oznaczało, że już dawno nie dostarczały przyjemności.

Albo nie było się z kim wymieniać.

Dzięgoć skrupulatnie wylizał miskę.

– A powiesz mi, czego tu właściwie szukasz? – zapytał.

– Nie. Pamiętasz naszą umowę? – burknął Żychłoń. – Ja ci płacę za robotę, a ty łapiesz upiory, które mogłyby mi pomóc.

– Żadnego nie złapałem. – Upiornik beknął. – To zaś oznacza, że na zapłatę nie mam co liczyć. W porządku, nie mam pretensji, ale powiedz mi chociaż, o co chodzi.

Żychłoń na moment wrócił myślą do trwającej wiele dni wędrówki po podnóżu Gwiżdżących Gór, gdzie na wszelkie sposoby szukał ukrytych dusz trolli. Znak na mapie był mało precyzyjny i w zasadzie mógł oznaczać okolicę w promieniu wielu mil od zaznaczonego punktu, a miejsc, w których można by ukryć małą skrzynię czy worek, były tu tysiące. Przez długie tygodnie guślarz zaglądał do szczelin, wspinał się na skały, zapuszczał się do jaskiń, rozpytywał nielicznych mieszkańców o ukryte skarby, aż doszedł do wniosku, że jeśli w tych okolicach coś kiedyś ukryto, nie pamięta o tym nikt z żyjących.

Postanowił więc wypytać umarłych, ale jako źródło informacji upiory okazały się jeszcze gorsze niż ludzie. Żychłoń w głębi duszy marzył już o tym, by wrócić do Gryfa.

Skoro mi się nie udało, myślał, to Złe również owych dusz nie znajdzie. I dobrze.

– Za twój czas ci zapłacę – oświadczył.

– Kodeks upiornika zabrania mi... – uniósł się Dzięgoć, ale Żychłoń machnął wielką łapą.

– Przystań pieprzyć. Zostało mi parę mohinów, które chętnie ci oddam. Jak chcesz, to...

– Czeka! – syknął Dzięgoć, unosząc palec.

– Daj mi dokończyć. Powinieneś...

– Cicho bądź, mówię ci! Słyszysz?

Żychłoń urwał, patrząc na starego upiornika, który ze skupieniem i narastającym zdziwieniem wsłuchiwał się teraz w coś, czego sam guślarz wykryć nie mógł.

– Nie – powiedział. – Nic nie słyszę. O co chodzi?

– Wyje cosik.

– To nie wiatr?

– Nie – prychnął Dzięgoć. – Ani wiatr, ani też wilk. I również nie wilkołak – dodał po chwili.

– A skąd ty to wiesz? – Żychłoń zmarszczył brwi z niedowierzaniem. – Jaka niby jest różnica?

– Jest, i to ci powinno wystarczyć – oświadczył Dzięgoć, wciąż poruszony. – To jedna z pierwszych rzeczy, której nas uczono.

– Jak odróżnić wycie wilka od wilkołaka?

– Nie. – Upiornik spojrzął na guślarza z wyższością, której mógłby mu pozazdrościć Eliah. – Uczyliśmy się, jak rozpoznawać odgłosy wydawane przez rozmaite istoty.

Uczyliśmy się ich śladów, zapachów, upodobań, zwyczajów żywieniowych, wszystkiego!

– Po co?

– By nie musieć się zajmować byle duperelami. W dawnych czasach ludzie wzywali upiorników przy każdej możliwej okazji. Obojętnie, czy w stodole zaległy się koboldy, w lesie oszczenił się rosochał, czy w ogrodzie posrały się rusalki, stało się po upiornika. My zaś, Żychłoń, nie zajmujemy się tym, co żyje. Musieliśmy się więc nauczyć wielu rzeczy, by móc mówić ludziom: oto sprawa, którą powinniście się sami zająć, a mi nic do tego. Słuchaj, bo znowu się drze.

Tym razem Żychłoń również usłyszał zew, który przypominał nieco wilczy, ale osobliwie wibrował, osiągając dziwne, niepokojące rejestry. Guślarz nie mógł się jednak oprzeć wrażeniu, że w zaśpiewie wyczuwa coś ludzkiego. Po plecach spłynął mu nieprzyjemny dreszcz. Worki na ledwie widocznej półce podskakiwały i dygotały.

– Uuu, niedobrze – mruknął Dziegoc. – To pogryźlik.

Żychłoń wyprostował się. Nieraz słyszał o pogryźlikach, ale jak dotąd nigdy żadnego nie spotkał. Mianem tym określano ludzi, którzy zostali pokaleczeni przez wilkołaka, ale zdolali mu uciec. Bywało, że ofiary napaści dochodziły do zdrowia, ale zdarzało się, że w rany wstępowało zakażenie, które z czasem odbierało im zdrowy rozsądek. Pogryźlik tracił umiejętność porozumiewania się, przestawał rozpoznawać bliskich i nie interesował się potrzebami naturalnymi, aż w końcu uciekał w pustkę i włóczył się, wyjąc, dopóki nie padł z głodu. Odporny na ból i niezdolny do logicznej oceny sytuacji, stawał się śmiertelnie groźnym przeciwnikiem, ale Żychłoń wiedział, że pogryźlik z własnej woli nie nastaje na niczyje życie.

– I to samica – odezwał się Dziegoc. – Trza zaryglować drzwi. Jak chcesz, możesz u nas jeszcze jakiś czas zostać.

– Co? – ocknął się Żychłoń. – Czemu miałbym zostawać?

– Pogryźlik nie wedrze się do ludzkiej chaty – uświadomił mu pobłażliwie upiornik. – Nie ma tyle rozumu. Człowieka na szlaku poszarpie zaś bez wahania.

Żychłoń wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Co ty, Dziegoc, pieprzysz? – syknął i podniósł się, by pochwycić kij i kapotę. – Po pierwsze, to nie samica, ale kobieta, a po drugie pogryźlik to nie potwór, a chory! Jej pomóc trzeba, a nie drzwi ryglować.

Upiornik wpatrywał się w guślarza z ogromnym zaskoczeniem. Żychłoń pokręcił głową.

– Widać, że nie zajmujecie się tym, co żyje – rzucił, a potem odpiął sakiewkę i podał ją Dziegocowi. – To zapłata za twój czas. A teraz zaprowadź mnie do drzwi wyjściowych, bo znowu się o próg wypieprzę.

– A jakiegoś upiora nie chcesz na pamiątkę? – Dziegoć wskazał mu półkę. – Dwa ci dam, jak chcesz. Mnie to już nie kręci.

– A wiesz co? Chętnie wezmę. Dzieciaki będą miały ubaw. Teraz prowadź.

*

Dopał pogryźlicę przy trakcie prowadzącym do Wichru. Była niską, krępką kobietą, która chodziła w kółko na czworakach wśród zmarniałych, czesanych wiatrem wrzosów, a raz na jakiś czas wznosiła się na kolanach i wyla przeraźliwie. Z tej odległości nieziemski wrzask, który wydobywał się z jej ust, przesywał Żychłonia zgrozą i stary guślarz ze wszystkich sił powstrzymał w sobie chęć ucieczki.

Zapał już zmrok i jedynym źródłem światła był półksiężyc, który rzucał na zamarznąłą równinę zaskakująco dużo blasku. Żychłń przyczał się za głazem pokrytym cieniutką warstewką zlodowaciałego śniegu i przez moment wpatrywał się w pogryźlicę. Odniósł wrażenie, że ta została pokąsana już dawno, bo jej ruchom brakowało energii. Miotła się, warczała, tarzała po wrzosach, ale co rusz zamierała w bezruchu i oddychała pospiesznie, jakby z bólem. Szaleństwo, płonące w jej ciele od wielu dni, powoli wypalało w niej resztki siły.

Przybyłem w ostatniej chwili, pomyślał guślarz. Nie ma co zwlekać.

Podniósł się i powoli ruszył ku miotającej się pogryźlicy. Przemykał między kępami krzewów i kuczał za skałami, co chwila zerkając na niebo i modląc się do Losu, by któraś z postrzępionych chmur zasłoniła wreszcie księżyc.

Tak się jednak nie stało. Równinę wciąż zalewał srebrny blask, rozedrgany tam, gdzie drżały na wietrze krzewy. Serce Żychłonia biło szybko. Przeklinał wiek, który rabował go ze zwinności, przeklinał zamarznąty śnieg, który chrzęścił cicho pod butami, przeklinał nawet poryw serca, który skłonił go do opuszczenia domostwa upiornika.

Zacząłeś, to dokończ, napomniął się ze złością.

W tej właśnie chwili pogryźlica odwróciła się ku niemu.

Jej pospieszny oddech zamieniał się w parę, zmrużone oczy płonęły gorączką. Drapieżny grymas wykrzywił jej oblicze, przez co przypominało teraz pysk oszalałego zwierzęcia. Żychłń jednakże wciąż dostrzegał delikatne, kobiece rysy jej twarzy.

Klamka zapadła, pomyślał, prostując się, naraz wolny od wszelkich wątpliwości. Teraz już nie ma ucieczki.

– Nazywam się Żychłń – zawołał. – Jestem guślarzem! Leczę ludzi! Pomagam im w niedoli! Walczę ze Złem i dokuczam kapłanom! Mieszkam w karczmie, którą prowadzi...

Pogryźlica sapnęła z wściekłością i rzuciła się do ataku. Biegła już na dwóch nogach, wychylona do przodu. W jej ciele kryły się jednak jeszcze spore pokłady siły, gdyż poruszała się z niewysłowioną energią. Żychłoń z trudem uskokzył jej z drogi, a potem zamachnął się kijem, odbijając jej dłoń zwieńczoną poczerniałymi, połamanymi paznokciami. Pogryźlica straciła równowagę i przetoczyła się po ziemi, a gdy znów się zerwała, Żychłoń dostrzegł, że ma na sobie strzępy munduru.

Więcej zauważyć mu się nie udało. Pogryźlica znów na niego skoczyła i kłapnęła szczękami, chybiając o włos, a Żychłoń odruchowo rąbnął ją końcem kija w brzuch i znów odrzucił o kilka kroków od siebie.

– Nazywam się... – zaczął, ale urwał, bo właśnie wtedy księżyc znikł za chmurą.

Trzeciego ataku pogryźlicy uniknąć już nie zdołał. Kobieta uderzyła go czołem w podbródek i przewróciła na ziemię, a potem, warcząc i parszając śliną, usiłowała wgryźć się w jego gardło. Mimo wieku Żychłoń był mocnym mężczyzną, ale zderzenie z ziemią wybiło mu powietrze z płuc i choć odpychał pogryźlicę ze wszystkich sił, czuł, że jego walka za moment dobiegnie końca.

Przegrywał. Umierał.

O dziwo, nadal czuł w sobie spokój.

Żał tylko, że nie wróće już do Gryfa. Że nie ujrze Edmunda, Sary i tych urwisów...

Czuł smród z wykrzywionych ust pogryźlicy. Czuł, jak jego drżące mięśnie powoli się poddają pod jej wściekłym naporem.

Na skraju świadomości zarejestrował, że ktoś nagle wyrósł za plecami usiłującego go zagryźć potwora. Ku jego ogromnemu zdumieniu nieznajomy wyciągnął rękę, złapał pogryźlicę za ramię i oderwał ją od Żychłonia potężnym szarpnięciem. Z wykrzywionych ust zaczarowanej kobiety wyrwał się jęk zaskoczenia, a potem bólu, gdy potoczyła się w ciemność.

Żychłoń odruchowo zerwał się, a wtedy nieznajomy rzucił mu linę.

– Łap ją – powiedział, choć guślarz nie mógł sobie później przypomnieć, jak brzmiał jego głos. Posłuszny woli obcego, zerwał się i pognał w ciemność, ku skomlącej, usiłującej się podnieść pogryźlicy, a gdy obejrzał się przez ramię, ciekaw, kto przyszedł mu z pomocą, nie ujrzał nikogo.

*

– Kto to był? – spytałem. – Ten upiornik?

Wiatr świstał wśród skał, wąty ogienek skwierczał, podsycany podmuchami. Któryś z koni prychnął.

– Nie wiem – odpowiedział Żychłóń po chwili. – Raczej nie Dziegoć. Poznałbym dziada. Mam inną teorię.

– Opowiadaj – zachęciłem go, a Eliah, również wsłuchany w opowieść, pokiwał głową.

– Nie. Nie teraz. Jeszcze nie. Gdyby się okazało, że się pomyliłem, bardzo bym was rozczarował. I siebie też.

– Ale nie był to upiór? – upewniłem się.

– Gdzie tam. – Żychłóń spojrział na mnie ze zdziwieniem. – Upiory są niematerialne, a ten wyraźnie odrzucił pogryźlicę.

– Dobra, dobra. Przecież wiem. No, to mów, co było dalej.

*

Żychłóń jeszcze kilkakrotnie sprawdził więzy, a potem na wszelki wypadek ponownie obwiązał szamoczącą się pogryźlicę. Upewnił się, czy ta nie będzie w stanie przegryźć żadnych sznurów, a potem westchnął ciężko i dorzucił do ognia. Blask płomieni odbił się w zmrużonych, rozgorączkowanych oczach kobiety, która targnęła się raz jeszcze i w końcu zwiśla w więzach, oddychając ciężko, ze świsem.

– Mawiają – guślarz usadowił się obok niej – że pogryźlicę da się uratować. Im więcej czasu upłynie, tym trudniej, ale da się. Nie ma na to żadnych leków, ziół czy czarów. Po prostu muszę ci przypomnieć, jak to jest, gdy się jest człowiekiem.

Pogryźlica warknęła i opluła go. Żychłóń otarł twarz i uśmiechnął się, a potem nakrył jej niemalże nagie ramiona.

– Czekaj nas sporo pracy – westchnął. – Ale mam czas. Nazywam się Żychłóń, wiesz? Może pamiętasz, bo już ci mówiłem. Jestem guślarzem, pewnie ostatnim w Dolinie. Mieszkam z przyjaciółmi w karczmie „Pod Kaprawym Gryfem”. Fajna z nas ekipa, wiesz?

Opowiadał przez całą noc. Mówił o rodzinie Kociołka, o jedzeniu, jakie przygotowywali, i o zwyczajach, jakie pielęgnowali. Mówił o Grammie, Urgo, Eliahu i Zwierzaku. Opowiadał o Dzikowym Lesie i o glifach. O Złym i o wcześniejszych starciach z jego siłami. Opowiadał dowcipy. Śpiewał. Nucił. Wspominał swą przeszłość. Opowiadał o Mojrze. Raz czy drugi uronił łzę. I znów mówił.

A oczy wpatrzonej w niego pogryźlicy stawały się coraz mniej mętne.

Nad ranem, gdy ogień przygasał, a Żychłóń niemalże stracił głos, zakaszlała i powiedziała:

– A ja jestem Yrene.

*

– Yrene! – zawołałem. – To ta pani porucznik z Zagórka! Na Dole, wreszcie mi się poukładało we łbie.

Elijah pokiwał głową i dorzucił do ognia. Snop iskierek buchnął ku czarnemu niebu.

– Przypomniałem sobie, że kiedyś Sara opowiadała mi o pogryźlikach – dodałem. – Mówiła, że ponoć nie wolno odmówić ich pierwszemu życzeniu. To dlatego dałeś się zaciągnąć?

– Ja wcale nie dałem się zaciągnąć! – zachnął się guślarz. – Złamanego grosza nie dostałem za tę robotę. A co do owych życzeń... Daj spokój, Kociołek. Nawet mi to do głowy nie przyszło. Wiedziałem tylko, że Yrene stacjonuje w Zagórku i tam ją muszę dostarczyć, by doszła do siebie. W międzyczasie dowiedziałem się, że wojna toczy się już na granicy Ugoru, a w Zagórku stacjonują durnie, matoly i jełopy.

– A to nie to samo? – odezwał się Elijah.

– Gdybyś lepiej ich poznał, od razu zauważyłbyś różnicę – westchnął Żychłoń. – Tak czy owak, jak sami wiecie, zaangażowałem się w to. I nie żałuję, bo udało się przegnać Fryderykowych i ocalić wiele żywotów. Wiemy też, że na południu Wichrowin jak dotąd Złego nie ma.

– To dobra wiadomość. – Pokiwałem głową. – A skoro coś nam zeżarło Muchomorka, jutro wracamy do Gryfa.

Pogadaliśmy jeszcze chwilę, a potem Elijah oznajmił, że musi sobie pomyśleć i chce przejąć pierwszą wartę. Nakrywając się kocem, przypomniałem sobie twarz Sary i wyobraziłem sobie, jak cudownie byłoby zaraz po przebudzeniu usłyszeć jakieś jej słodkie słowo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Ja pierdołę! Ty tępą jelo pie! Rozszarpie cię! Dopadnę cię i powyrywam ci nogi z dupy, a potem powciskam ci je w dowolne otwory w ciele! Słyszysz? Rozumiesz mnie w ogóle?

– Sara? – wymamrotałem ze zgrozą, usiłując otworzyć oczy. – Sara, to ty?

Bywały w moim życiu sytuacje, w których podobne ciągi inwektyw z ust mojej żony byłyby całkiem uzasadnione – ba, bywało nawet, że to ja stawałem się ich adresatem – ale jeszcze nigdy się nie zdarzyło, by moja żona wrzeszczała tak grubym, gardłowym głosem. Minęło więc około trzech czy czterech przerażających sekund, nim wreszcie oddzieliłem sen od rzeczywistości, odrzuciłem koc, złapałem za miecz i dołączyłem do Eliaha i Żychłonia, stojących kilka kroków dalej i wpatrujących się w dal.

– Co się dzieje? – spytałem, udając rześkość i opanowanie.

Elijah nawet na mnie nie spojrział, a Żychłoń pokręcił głową z dezaprobatą i wskazał coś ręką. Zmrużyłem oczy i wyteżyłem wzrok – na wschodzie rumienił się już brzask, ale nad równinami zalegały jeszcze nocne ciemności. Wiatr przybierał na sile i twarz kąsały mi pierwsze śnieżne drobinki, które jak na złość wpadały również do oczu, przez co nie miałem pojęcia, czy nie ulegam złudzeniom. Wydawało mi się jednak, że z północy nadciąga jaśniejąca, śnieżna kurzawa.

Sęk w tym, że kurzawy, podobnie jak inne zjawiska pogodowe, na ogół nie przeklinają.

– Nie widzi nas – stwierdził Żychłoń, a Elijah odwrócił się bez słowa w stronę przyciasającego ogniska i wyciągnął z niego żarzącą się gałąź. Podmuch wiatru natychmiast zmienił żar w płomień, a elf zamachał nią wysoko nad głową.

– Co się dzieje? – powtórzyłem. – O kim wy...

– Kociołek, obudź się wreszcie! – burknął na mnie Żychłoń. – Nie poznajesz?

– Ty tępą maso między rogami a kopytami! Znowu obsikaną trawę przeżuwałeś? Nic do tego tępego mózdzka nie dociera? Nic! Jak cię zaraz batem zajadę, może zaczniesz myśleć, ty...

– Gramm? – wyjąkałem.

Moim oczom najpierw ukazał się dobrze znany mi jelonek, który truchtał powoli przed siebie, ciągnąc sanie. Do nowej roli podchodził ze stoickim spokojem i nawet nie obejrzał się na krasnoluda, który pieklił się na koźle i wymachiwał z furią batem, choć nie widziałem, by zaciął zwierzę choćby raz.

– Ty obrzydliwa, cholerna... – darł się Gramm, ale zachłysnął się nieoczekiwanie i rozkaszał. Wytrzeszczył przy tym oczy i dostrzegł nas. – Jasna cholera! Że co? To wy? A co wy tu, kurwa, robicie?

– Oczekiwań wysokich nie miewam – stwierdziłem – ale mógłbyś okazać choć odrobinę radości na nasz widok, co?

– Radość to aż mnie rozpiera, ale duszę ją w sobie, bo się boję o zwieracze! – parsknął krasnolud i wywrócił oczami, gdy jego jelonek sam z siebie przystanął przy nas i sapnął wesoło. – Zaraza, i się jeszcze zatrzymał. Zaraz mnie coś trafi. Kociołek, spójrz no na północ i powiedz mi, co widzisz!

– Burza jakaś? – spytałem, na co krasnolud aż poczerwieniał.

– Burza? – wrzasnął. – To matka pieprzonych śnieżyc i zdzira króla gór, gotowa niszczyć miasta i zasypywać wieś! Idzie za mną od podnóża gór, a ten rogaty knypek jakoś nie jest w stanie zrozumieć powagi sytuacji i...

– A powiedziałeś mu, o co chodzi? – spytałem.

– Że co? – Krasnolud wytrzeszczył oczy.

– Wytłumaczyłeś mu, że idzie burza, czy tylko się na niego wydzieraś?

– Mam durnemu jeleniowi tłumaczyć, dlaczego ma się pospieszyć?

– Czyli nie. – Podeszedłem bliżej i położyłem jelonkowi dłoń na pyszczku. – Posłuchaj, przyjacielu. Twój brodaty woźnica bardzo boi się śniegu i dobrze by było...

– Ja wcale się nie boję śniegu! – wrzasnął Gramm. – Znowu, Kociołek, niczego nie ogarniasz!

– Hej – odezwał się nagle Żychłoń. Jeszcze przed chwilą widziałem jego szeroki uśmiech, lecz teraz na jego zarośniętym obliczu zagościł niepokój. – Podaruj sobie, Kociołek. Tam się chyba rzeczywiście dzieje coś niedobrego.

Elijah warknął coś do siebie i odrzucił gałąź na śnieg. Płomienie zasyczały i przygasły. Momentalnie zrobiło się ciemniej, a wtedy wyraźniej ujrzałem, że

owa biała kurzawa zamieniła się w nieprzeniknioną ścianę. Ochota na dalsze kpiny uszła ze mnie natychmiast, a zastąpiła ją obawa.

– Zmywajmy się stąd, co? – zaproponowałem.

– Zmywajmy się – potwierdził guślarz, a Eliah, szczeniawszy raz czy drugi, już zwił swoje posłanie.

Chwilę później pędziliśmy już we czterech na południe, zalewani blaskiem budzącego się dnia i ścigani przez nieustępliwą, bezlitosną biel.

Niepokój, niebezpiecznie balansujący na krawędzi trwogi, odebrał mi całą radość z nieoczekiwanego spotkania przyjaciela. Zamiast cieszyć się z tego, że Dola pozwoliła nam się zetknąć, i wypytać go o przygodę – a przede wszystkim o to, czy znalazł dusze trolli – gnaliśmy teraz co sił, strwożeni i oszołomieni.

Czyżbyśmy się spotkali tylko po to, by zaraz zginąć w śnieżycy? – zapytałem się w myślach i spojrzałem przez ramię na coraz gęstsza biel.

Na szczęście jelonek, ujrawszy dobrze sobie znanych ludzi i ich konie, nagle zapomniał o krasnoludzkich inwektywach i pędził rażno przed siebie, równie szybko jak rumaki.

Nie na tyle jednak, by uciec przed zagrożeniem. Idąca za nami burza śnieżna powoli nas ogarniała, a wyprzedzające nas podmuchy wiatru podrywały tumany śnieżnego pyłu, jakby żywioł chciał nas objąć niewidzialnymi ramionami i przytulić do kotłującej się bieli. Konie szły galopem, jelonek pędził za nimi, sanie podskakiwały, a krasnolud wykrzykiwał coś, czego, ogłuszony wiatrem, nie rozumiałem.

Wiedziałem, że uciec już nie zdołamy.

Na Dolę, co za pech! – pomyślałem, gdy wichura znów wtarła mi w twarz garść kąśliwych śnieżynek. Przerazający, straszliwy pech! Co tu począć?

Zimy w Dolinie bywały srogie, ale nigdy dotąd nie spotkałem jeszcze tak wścieklej śnieżycy. Miałem wrażenie, że nie uciekamy przed zjawiskiem pogodowym, ale pradauną furią pustkowie, którą jakimś sposobem zdołaliśmy obrócić przeciwko sobie.

Zerknąłem na Gramma. Na jego zaczerwienionym obliczu, okolonym oszronioną brodą, widniała zawziętość, ale w oczach, gdy obracał się za siebie, połyskiwała trwoga.

Tak się zachowywali ci, którzy uciekali przed kimś, a nie przed czymś.

Być może przyjaciel wie więcej, niż zdążył albo chciał nam powiedzieć?

Burza zaryczała głośno.

– Tam! – wrzasnęła nagle Gramm.

Wśród dziesiątek pomniejszych śnieżnych wirów, rozbudzanych podmuchami burzy, majaczyła szara, niewyraźna konstrukcja, zbyt wielka na chatę, zbyt mała na zamek. Wierzchem dłoni starłem wilgoc z oczu, a potem wytrzymałem wzrok.

– Ruiny?! – wrzasnąłem, choć moje słowa niemalże utonęły w wyciu wichru.

– Nie! – odskrzyknął Gramm. – Letnia rezydencja księżnej Yanny! No pewnie, że ruiny!

Ostro szarpnął wodze, a jelonek posłusznie popędził ku majaczącym w śnieżycy konturom. Skręciłem konia w ślad za nim. Żychłoń odruchowo popędził za nami, a jako ostatni skręcił jadący dotąd na czele Eliah. Zmierzaaliśmy teraz pod kątem w stosunku do nacierającej burzy, która tym bardziej próbowała nas zrzucić z siodeł. Przez króciutką, acz przerażającą chwilę sanie Gramma, pchnięte szczególnie potężnym uderzeniem wichru, balansowały na jednej płozie, ale w końcu opadły na obie, a ja, gdy spojrzałem przed siebie, uświadomiłem sobie, że budowla była coraz bliżej. Widziałem już wyraźnie nadkruszone mury i kołyszące się na jednym zawiasie skrzydło bramy, a za nimi dziurawy dach i resztki jakiejś wieży.

Fort. Niewielki, przypuszczalnie opuszczony dawno temu, zrujnowany bądź nawet spalony, ale w moich oczach wydawał się luksusem stokroć większym od Gryfa.

Eliah wyprzedził nas i wpadł do środka jako pierwszy, po nim Żychłoń i Gramm, ocierając bokiem sań o bramę. Krasnolud nie zdążył jeszcze zeskoczyć na ziemię, gdy już pchaliśmy na wprost uszkodzone skrzydło bramy, by zamknąć drogę śnieżycy. Zadanie wydawało się ponad siły, bo wiatr coraz mocniej napierał na wrota, co tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie mieliśmy do czynienia ze zwykłą burzą.

– Gramm! – wrzasnąłem. – Może byś pomógł, co?!

Krasnolud uderzył barkiem o bramę sekundę później i wepchnął ją na miejsce, a potem podparł trzymaną w ręce belką. Skrzydło zadygotało parokrotnie, ale widać było, że póki co nie ustąpi. Burza z nieustającą furią przemykała nad naszymi głowami, bieląc ściany i resztki dachu, ale tu, na dole, nagle zrobiło się ciszej.

Siedzieliśmy w milczeniu i łapaliśmy oddech, rozglądając się po zrujnowanym forcie, który okazał się dla nas tak nieoczekiwanym ratunkiem. Wierzchowce rozbiegły się po kątach i spoglądały ku nam niepewnie, prychając z cicha, jedynie zaprzężony w sanie jelonek stał nieruchomo, absolutnie obojętny na rozwój wypadków, i obwąchiwał bruk wokół raciczek.

– No – powiedział krasnolud i otrząsał dłonie. – Czekam.

– Na co? – spytałem, wstając.

Brama zadygotała pod naporem wiatru.

– No nie wiem. – Gramm spojrział ku niebu, po którym mknęły rwane wiatrem chmury. – Na przykład na: witaj, mój drogi przyjacielu! Ogromnie się cieszymy ze spotkania na tym pustkowiu i dziękujemy ci z całego serca za znalezienie schronienia przed pieprzoną burzą śnieżną, jakiej to zadupie nie widziało od czasu, kiedy Żychłoń miał grzywkę!

Przyglądałem mu się przez chwilę. Zgadzały się zarówno ton wypowiedzi, jak i dobór słów, ale coś, czego nie umiałem sprecyzować, zaburzało buńczuczną pozę krasnoluda. W oczach Gramma nadal dostrzegałem coś dzikiego, a teraz zauważyłem również paskudne, ledwie zagojone skaleczenie na prawym policzku. Od razu odgadłem, że wiąże się z tym trudna historia, której przypuszczalnie długo nie będzie chciał opowiedzieć.

Tak czy owak nie był to czas na wynurzenia. Rozłożyłem ramiona i wyściskałem drania ze wszystkich sił.

– Żychłoń nigdy nie miał grzywki – oświadczyłem. – Od zawsze był stary, łysy i brzydki.

– Zazdrość – zarżał guślarz. – Zazdrość słyszę! Nie umiecie sobie wytłumaczyć mojego magnetycznego wpływu na kobiety, a więc wymyślicie jakieś głupoty! Chodź tu, konusie!

Przygarnął Gramma ze wszystkich sił i poklepał go po plecach, a krasnolud roześmiał się głośno.

– Co za spotkanie! – oświadczył, ściskając Żychłoniowi dłoń. – Kto by pomyślał, no nie? Eliah? Czy mi się wydaje, czy też widziałem gdzieś tu tego chędożonego szajbusa?

Elijah, najwidoczniej przestraszony perspektywą przywitania się z Grammem, wysłizgnął się na bezpieczną odległość, nie dbając o to, że wichur zerwał mu kaptur z głowy. Spoglądał na krasnoluda z wrodzonym obrzydzeniem, ale przemógł się, by unieść rękę i pomachać mu oszczędnie.

– Och, stary! – Gramm pokręcił głową. – Aż tak tęskniłeś? Kociołek, masz coś do żarcia?

– Zaraz coś wykombinuję. Ale zacznijmy od najważniejszego – powiedziałem, wpatrując się w Gramma z uwagą. – Znalazłeś dusze?

– Gównu tam znalazłem – mruknął niechętnie krasnolud. – Jeśli są nadal w Gwizdzących Górach, ukryto je tak, że nikt nie znajdzie. Nie słyszał o nich nikt

z mojej rodziny ani z paru innych, nie słyszeli mędracy, nie słyszeli wędrowcy. Zawracanie dupy.

Przed oczami znów stanęła mi mapa ze skrzyni pilnowanej przez ojca Vitalisa i cztery wyrysowane na niej krzyżyki: północ Wichrowin, Świetlista Puszcza, okolice Paszczęki i Sokolnik. Pokręciłem z niedowierzaniem głową.

– Żychłoń i Eliah też niczego nie znaleźli – powiedziałem. – Albo żaden z nas nie zna się na szukaniu, albo mapa to tylko kolejny fortel Rotgiera, który postanowił rozesłać poszukiwaczy po całej Dolinie i zmarnować im całe miesiące życia.

– Zawracanie dupy – powtórzył dobitnie Gramm, a potem odwrócił się i spojrzął przez szczelinę w bramie. Ta niespodziewanie zadygotała, jakby w reakcji na ruch krasnoluda, na co ten odskoczył niemalże ze strachem. W tej samej chwili podmuch wiatru przyniósł głośny ryk.

Nie spodobało mi się to.

– Słyszeliście to? – spytałem z niedowierzaniem. – Niby wicher, ale miałem wrażenie...

– Wicher, wicher! – wtrącił szybko krasnolud. – Nie przejmuj się, Kociołek. Naogłądałeś się Złego i teraz wszędzie byś tylko czegoś straszniejszego szukał. To co? Znajdzie się coś do żarcia?

Byłem przemarznięty, głodny i niewyspany, a ulga ze znalezienia schronienia szybko wyparowała. Poczulem, jak budzi się we mnie podejrzliwość.

– Odsuń się – warknąłem do Gramma, własnym ciałem zasłaniającego szczelinę, przez którą zerknął.

– Odbiło ci? – Krasnolud zamachał rękami. – Chcesz sobie śnieżycę oglądać?

– Dokładnie to chcę zrobić. Odsuniesz się czy zyczysz sobie kopa zaliczyć?

– Odbiło. – Krasnolud rozrzucił ramiona. – Totalnie odbiło. Dobra, w porządku. Ty sobie oglądaj śnieżycę, a ja poczekam. Nie jestem w końcu aż tak głodny! Od wczoraj nic nie jadłem, ale co tam. Przeżyj! Pewnie, Kociołek, nie przejmuj się!

Zmrużyłem oko i przycisnąłem twarz do zimnych, dygoczących desek wrót. Z początku widziałem jedynie rozszalałą śnieżną kurzawę, która sztormowała ruiny fortu, jakby chciała je zetrzeć z powierzchni doliny. Widziałem, jak kolejne poddmuchy podrywają kłęby wirującej bieli i ciskają je na resztki murów z furją bliską ludzkiej. Niektóre śnieżynki przebijały się przez otwór i z siłą drzazg kąsały moją skórę, ale mimo to nie cofnąłem się i nadal patrzyłem, aż...

Aż doszedłem do wniosku, że w samym środku burzy mający coś, co nie mogło być dziełem sił przyrody.

Wydawało mi się, że to postać – przygarbiona, brodata, wsparta na gigantycznej maczudze i wpatrzona w ruiny, w których się kryliśmy. Zamrugalem parokrotnie, by złapać perspektywę, i znów wyteżyłem spojrzenie. Wśród białej kurzawy trudno było określić właściwe proporcje, ale jeśli się myliłem, nieznajomy mógł być dwakroć wyższy od zwykłego człowieka i przynajmniej tyle samo potężniejszy.

– A to co znowu? – warknąłem i odwróciłem się, by odszukać wzrokiem Gramma, ale ten zdążył się już gdzieś schować.

Usłyszałem natomiast, co było jeszcze dziwniejsze, krzyk Eliaha.

– Ktoś tu jest!

*

Nie należało się temu w zasadzie dziwić. W krainie tak niewielkiej jak Dolina musiała istnieć skończona liczba kryjówek, a ruiny fortu na jednej z nielicznych rozległych równin prędzej czy później musiały przyciągnąć czyjąś uwagę. Mój umysł natychmiast sklasyfikował wypatrzonego przed momentem nieznajomego jako złudzenie optyczne i przedstawił mi wizję Eliaha natykającego się na ogromnego, włochatego pająka, najeżonego kolcami wija czy coś równie paskudnego. Nim zdążyłem się zorientować, dobyłem broni i pędziłem przez śnieżycę ku ruinom stajni, skąd dobiegło mnie wołanie elfa.

Żychłóń wpadł tam jako pierwszy i zatrzymał mnie podniesioną ręką.

– Stój! – huknął, groźnie strosząc brwi. – I ty też się uspokój!

Ostatnie słowa skierowane były do Eliaha, który klęczał na zasłanej śniegiem podłodze z wzniesionym do ciosu sztyletem.

Chwilę później zorientowałem się, że powodu do paniki w istocie nie było. W kącie stajni, za przewróconym żłobem, kuliła się bowiem drobna dziewczyna z nierówno przyciętymi, skudłonymi włosami. Owinięta w brudny koc, trzęsła się na całym ciele i spoglądała na nas zaszczutym spojrzeniem. Napięcie zeszło ze mnie w jednej chwili. Przyglądałem się jej jeszcze przez chwilę, a potem odkaszniałem i powiedziałem jedną rzecz, którą w tej sytuacji powiedzieć mogłem:

– Trzeba ogień rozpalić. I zupę jakąś ugotować. Eliaha, przestań już.

Elf wyprostował się i schował sztylet, ale nie odrywał wzroku od dziewczyny. Nie patrząc na mnie, warknął głucho i szczerknął dwukrotnie. Ta, ku memu zaskoczeniu, odpowiedziała groźnym syknięciem i obnażyła zęby, mrużąc przy tym oczy.

– Cieszę się, że znalazłeś kogoś, z kim masz wspólny język – burknąłem, odwracając się. – Potem sobie powarczycie. Póki co rozpalcie ogień.

– Kociołek! – Żychłoń chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie. – W tej małej jest coś dziwnego – mruknął.

– Będzie więc do nas świetnie pasować. Rozpalcie ten cholerny ogień, a potem zapraszam przed bramę. Mamy tam większy problem niż sycząca przybłąda.

Nie oglądając się, ruszyłem ku bramie. Kątem oka dostrzegłem, że Żychłoń odprowadza mnie wzrokiem, jakby nie mógł zdecydować, czym powinien się zająć w pierwszej kolejności, a Eliah powrócił do warczenia.

– Gramm! – wrzasnąłem. – Ja pieprzę, my naprawdę jesteśmy bandą pomyłców. Zaraza, Gramm! Gdzie się chowasz?!

– Wcale się nie chowam! – Krasnolud wysunął głowę zza sań. – Coś mi tu spadło. O, mam. Słuchaj, mówiliście coś o rozpaleniu...

– Majster, co tam siedzi w tej śnieżycy? – spytałem ostro, wskazując palcem bramę.

– W jakiej znowu... – Krasnolud rozdziawił usta i udał, że go zatkało ze zdumienia.

– Przestań się zgrywać, bo Nuutowi wychodzi to lepiej niż tobie! – wołałem, przekrzykując kolejne poddmuchy. – Od początku miałem wrażenie, że coś ukrywasz! Jakbyś, cholero jedna, miał coś wspólnego z tą burzą! Twoje durne zachowanie zaś tylko to potwierdza! O co tu chodzi?

– To nie twoja sprawa! – nadał się Gramm.

Jak już wspominałem, byłem przemarznięty, głodny i niewyspany, a w takich chwilach, oprócz podejrzliwości, bardzo łatwo budziła się we mnie złość.

– Nie moja sprawa? – ryknąłem. – Ta burza o mało nas nie pozabijała, a teraz uwięziła w tych przeklętych ruinach, a ja, wystaw sobie, mam cholernie ważny powód, by wrócić do domu! I to jak najszybciej! Mów więc, bo zaraz mnie coś trafi! Co siedzi w tej burzy i jaki ma związek z tobą?

Gramm najeżył się, zgarbił i założył ramiona na piersi, wbiwszy we mnie nienawistny wzrok.

Nie, pomyślałem. Nie mam na to czasu ani cierpliwości.

Celnym kopnięciem przewróciłem belkę, która przytrzymała skrzydło bramy, a potem pociągnąłem je ku sobie, aż utworzyłem szczelinę, przez którą mogłem się przecisnąć. Zawiasy zgrzytnęły, ale wytrzymały, a ja zacząłem się przedzierać przez sięgające do kolan zasy nawiane przez burzę w ciągu ostatnich kilku chwil. Zamieć natychmiast na mnie natarła, ledwie zdążyłem

naciągnąć kaptur i zasłonić szalem twarz. Przeszyło mnie zimno, które wystudziło we mnie złość, ale nie wpłynęło na moje zdecydowanie.

Bo emocje wcale nie przyćmiły zdrowego rozsądku. Owa potężna istota, wsparta na wielkiej maczudze, stała nieruchomo i czekała, dobrze widoczna pośród zamieci. Najwyraźniej władała pogodą, a więc gdyby chciała nas pozabijać, już dawno by tego dokonała. Ruiny fortu nie mogły nas chronić przez wieczność, a ja nie żartowałem. Naprawdę chciałem wrócić do domu, i to jak najszybciej.

Gramm wrzeszczał coś za mną, ale nie odwróciłem się. Brnąłem ku nieznajomej istocie, która najwyraźniej mnie dostrzegła i pochyliła lekko głowę, jakby chciała mi się lepiej przyjrzeć. Co ciekawe, w tej samej chwili zelżała zamieć i mogłem iść wyprostowany.

Widziałem już nieznajomego wyraźnie. W istocie był dwakroć wyższy od przeciętnego człowieka, ale nie aż tak barczysty, jak mi się z początku wydawało. Wrażenie brało się z tego, że przybysz opierał się ciężko na kijach i pochylał głowę do przodu, kręcąc nimi do tego na boki. Zachowanie to, wraz z długą brodą i rogami sterczącymi z oszroniałej czupryny, czyniło go podobnym do gigantycznego, człekokształtnego żubra.

I choć dziwnie to zabrzmiało, nie budził we mnie lęku.

Zatrzymałem się kilka kroków przed nim. Burza wokół nas przycichła i tylko pojedyncze podmuchy podnosiły niewielkie tumany sypkiego śniegu, choć kilkanaście kroków dalej szalała w najlepsze. Nieznajomy opuścił głowę jeszcze niżej i przyglądał mi się bacznie, mrużąc szkliste oczy, błękitne jak ściana pękniętego lodowca.

– Eee... witaj – powiedziałem niepewnie. Nie miałem pojęcia, kim jest mój rozmówca ani tym bardziej jak się do niego zwracać. – Lub... no, bądź pozdrowiony.

Olbrzym pochylił głowę jeszcze niżej i zmarszczył brwi.

– Nie jesteś krasnoludem – odezwał się. Jego głos był niski i donośny, ale pobrzmiwało w nim echo ryku, który słyszałem podczas ucieczki do fortu.

– Nie – odparłem. – I co więcej, nigdy nie byłem. Dobra, to był kiepski dowcip. Mam na imię Edmund i jestem człowiekiem. Pewien krasnolud jest jednak moim bliskim przyjacielem i coś mi mówi, że macie na pieńku.

– Na pieńku? – zdziwił się olbrzym.

– No, że się pokłóciliście.

– Pokłóciliście? – Olbrzym wyprostował się nagle, a śnieżna kurzawa wokół nas eksplodowała na moment z całą mocą, zmuszając mnie do zasłonięcia oczu

ramieniem. – Pokłóciliśmy? – Jego głos przybrał na sile i przypominał teraz ogłuszający grzmot. – O, nie! Ja się z nikim nie pokłociłem! Twój przyjaciel mnie obraził!

– W porządku! – wrzasnąłem, unosząc drugie ramię. – To znaczy, nie w porządku, ale porozmawiajmy spokojnie, dobrze? W czym cię uraził, mości olbrzymie? Nagadał ci? Gramm ma niewyparzoną głębę, ale to w sumie pocziwina i nigdy...

Kurzawa naokoło cichła i opuściłem rękę. Odruchowo cofnąłem się o krok, bo ogromna twarz olbrzyma znajdowała się teraz tuż nade mną.

– Twój przyjaciel to oszust – zagrział olbrzym.

– A, to nowość. Czy mogę dowiedzieć się więcej?

– Grał ze mną w tilhaug i mnie oszukał! – powiedział olbrzym z takim przekonaniem, że aż cofnąłem się o krok.

– Tilhaug? – bąknąłem. – Masz na myśli tę dziwną grę w kości?

– Dziwną grę w kości? – powtórzył ze świętym oburzeniem i grzmotnął końcem maczugi w zmarzniętą ziemię z taką siłą, że pod moimi stopami rozniosło się drzenie. – Tilhaug nie jest grą! To, człowieku, uświęcona tradycją metoda rozstrzygania sporów i decydowania o kolejności wydarzeń! To metoda porozumiewania się, która zapobiega konfliktom i nienawiści! W tilhaug się nie oszukuje!

Każde słowo w ostatnim zdaniu olbrzym wzmocnił uderzeniem końca maczugi w ziemię, czym wyraźnie dał mi do zrozumienia, jak poważnie traktuje temat. Znów się cofnąłem, odruchowo unosząc ręce.

– Posłuchaj, nadal nie rozumiem, jak mogło dojść do tego nieporozumienia...

– Oszustwa! – Olbrzym pogroził mi maczugą. – Oszustwa, a nie nieporozumienia!

– Tak, oszustwa. Nie wiem, o co chodzi, ale obiecuję, że się dowiem, a wówczas Gramm cię przeprosi i odpowie za swoje winy, nawet jeśli sam miałbym go tu za brodę przywlec – oświadczyłem. Olbrzym nadal budził we mnie lęk, ale mimo tego miałem głęboką świadomość absurdu tej sytuacji.

Na Dole, świat się wali, wszędzie wokół nas rozpoczyna się druga Waśń, a ja przeproszam olbrzyma za to, że mój kumpel oszukał go podczas gry w święte kości. Ja powinienem w domu być! W domu, a nie tu!

– Tylko bardzo proszę, byś nie ciskał w nas kolejną burzą śnieżną – dodałem głósniej i odważniej. – I w ogóle to chciałbym, byśmy tę sprawę załatwili jak najszybciej, bo boję się o swoją rodzinę. Nie mam z owym oszustwem nic wspólnego i choć kocham tego durnia Gramma jak brata...

– Kociołek! – wrzasnął ktoś z przerażeniem.

Odwrociłem się i ujrzałem Żychłonia, który wypadł z otwartych wrót fortu i pędził przez śnieżycę ku mnie.

– Kociołek! – darł się. – Wiedziałem! Mówiłem, cholera, ale żeś mnie nie słuchał!

– Co się dzieje? Ja tu negocjacje prowadzę i dupy mi nie zawracaj!

– Tak? – Guślarz wyhamował w śniegu ze wściekłą miną. – A, to bardzo przepraszam! Wróć, jak już skończysz. Razem pewnie jakoś zeszkrobiemy resztki Gramma z muru, co?

– Resztki... Co?

– Ta dziewczyna to...

Fortem wstrząsnęło przeraźliwe wycie, które urwało się nagle, a potem przez świst zamieci dobiegły mnie postękiwania i głuche przekleństwa. W otworze bramy widziałem, jak po dziedzińcu przemyka jakaś postać, za nią śmiga Gramm uzbrojony w topór, a potem znów rozległo się wycie, bardziej przejmujące i straszliwsze niż przed chwilą. Ułamek sekundy później krasnolud wyleciał jak wystrzelony z katapuły, padł na śnieg, przetoczył się po nim i znieruchomiał, a potem w bramie pokazała się...

– Wilkołaczycza – dokończył słabym głosem Żychłoń. – Pieprzony Eliah ją obszczekał i wpadła w szal, a teraz...

Gramm usiłował się poderwać, ale wilkołaczycza wykonała nieludzki skok i wylądowała na jego klatce piersiowej. Nie miałem pojęcia, w którym momencie rzuciłem się do biegu, ale już pędziłem prosto na potwora z wzniesionym wysoko mieczem. Przez umysł śmigały mi strzępy legend i przesądów, które nie dały mi nic konkretnego poza przeświadczeniem, że chyba właśnie podjąłem złą decyzję, ale przecież musiałem coś zrobić. Nie mogłem stać i patrzeć, jak mój przyjaciel ginie, rozszarpany pazurami.

W stworzeniu, które przygniotło Gramma, nie było już nic ludzkiego. Mięśnie dziewczyny nabrzmiały i przypominały teraz twarde liny obciążone skórą, którą z kolei porastało rzadkie szare futro. Jej uszy wydłużyły się nieco, a twarz przeobraziła w wykrzywiony furią pysk. Najgorsze były jednak ślepie, żółte i nienawistne. Potwór zerknął na mnie znad krasnoluda i zaszczał wściekle.

Nie wiedziałem, że wrzeszczę jak opętany.

Rąbnąłem wilkołaczycę ze wszystkich sił, ale działałem niewiele więcej, niż gdybym rąbnął w pień brzozy. Miecz rozciął co prawda skórę, a z rany pociekło nieco krwi, ale bestia zaszczała jedynie z wściekłością. Uderzenie serca później u mego boku wyrósł Żychłoń i strzaskał na karku wilkołaczycy kij. Odkoczył,

oszołomiony, a wtedy śnieżycę przeszła strzała. Pocisk wbił się w bok potwora, ale zachwiał się i wypadł.

Ogarnięty rozpaczą przypadłem do kolejnego uderzenia, ale nie doceniłem szybkości potwora, który zamachnął się i uderzył pazurzystą łapą w głownię tuż nad jalcem. Zdrętwiałą dłoń przeszły wściekły ból i broń wypadła mi z ręki. Wilkołaczycza, wciąż wsparta na piersi Gramma, zasyczała z satysfakcją i pokazała żółte kły.

– Zdejmijcie... – wychrypiał Gramm. – Zdejmijcie ze mnie to piździajstwo!

Pozostało już tylko jedno rozwiązanie. Odwróciłem się gwałtownie w stronę olbrzyma.

– Pomóż nam! – krzyknąłem. – Tylko ty jesteś na tyle silny, by poradzić sobie z wilkołaczyczą!

Tenże, zbliżywszy się do nas niezauważalnie, siedział teraz ze skrzyżowanymi nogami i z fascynacją przyglądał się rozwojowi wypadków. Usłyszawszy moją prośbę, potrząsnął głową, czym rozkołysał brodę.

– Nie ma mowy – oświadczył.

– Ta bestia zabije mojego przyjaciela!

– I dobrze. To oszust.

Zerknąłem przez ramię. Wilczycza na powrót skupiła uwagę na Grammie, którego najwyraźniej uznała za największe zagrożenie, i rozwarła pysk nad jego głową. Krasnolud w ostatniej chwili ułapił ją za obie szczęki i powstrzymywał ze wszystkich sił, choć mięśnie już mu drżały z wysiłku. Miałem Gramma za nie lada mocarza, ale wiedziałem już, że tej walki nie wygra.

– Każdy oszust powinien mieć prawo do odkupienia win! – wrzasnąłem.

– Nie! – warknął olbrzym. – Nie każdy.

– Na pewno da się coś zrobić! Gramm! Gramm, słyszysz mnie?

– Jasne! – wyrzęził krasnolud. – Opowiesz mi coś fajnego? Ręce mam zajęte, ale słuchać mogę!

– Natychmiast przeproś pana olbrzyma za to, że go oszukałeś!

Paszczka wilkołaczyczy wisiła nad spurpurowiałą z wysiłku twarzą krasnoluda.

– Niech mnie pocałuje – wychrypiał Gramm – prosto w mą niedomytą...

– Gramm, do kurwy nędzy... – jęknąłem. – Nie skończyłeś katapulty u mnie w ogrodzie! Chcesz, żebym wypieprzył te graty?

– Wypieprz!

– I co ja Edwinowi powiem?

– Niech cię szlag, Kociołek! Szantażować mnie będziesz?

– Tak!

– Opluła mnie – rzeźił krasnolud. – Co temu bydlakowi ścieka z mordy...

– Przepróż!

– Prze... Prze...

– Co takiego? – Olbrzym wychylił się do przodu i osłonił ogromną dłonią ucho. – Co on mówi?

– Przeprasza cię! – wrzeszczałem. – Z całego serca!

– Nic nie słyszę. – Olbrzym znów pokręcił łbem. – Wybaczcie, wzrok w rzeczywistości mam kiepski, ale słuch idealny. Nie usłyszałem nic, co by choć przypominało przeprosiny.

Rozwarta nieludzko szeroko paszcza wilkołaczycy niemalże zakrywała już oblicze Gramma. Z rozpaczą patrzyłem na drgającą z wysiłku brodę.

– Głośniej, Majster!

– Przepraszam! Przepraszam! Łajdak ze mnie! – dał się krasnolud prosto w głąb pyska warczącej wilkołaczycy. – Och, jaki łajdak!

– Czy ten wilkołak nie może się zamknąć? – poskarżył się olbrzym. – Niczego nie słyszę!

– Przepraszam! Weźcie ze mnie to bydlę! Weźcie je, zanim mi gębę odgryzie! Prze! Pra! Szam!

– Co za utrapienie z tej bestii! – rozsierdził się olbrzym.

Zerwał się nagle i uklęknął, a potem jedną ręką złapał wilkołaczycę w tali i poderwał wysoko w powietrze. Strzepnął krasnoluda, w którego nadal się wpijała, a potem podrzucił ją, złapał za nogi i trzepnął o ziemię, aż podniosła się kurzawa. Dla pewności pacnął nią jeszcze raz i odrzucił, bezwładną, na bok, a potem złapał brodę Gramma w dwa palce i postawił półprzytomnego krasnoluda na równe nogi.

– Co tam żeś wymamrotał? – spytał niemalże przyjaźnie.

– Że przepraszam – wybełkotał Gramm, chwiejąc się to w jedną, to w drugą stronę. – I że możemy zagrać rewanż.

– Co? – zdziwił się olbrzym, przekrzywiając głowę. – Prawo mówi, że ten, kto przylapał przeciwnika na oszukiwaniu, może się domagać wszystkiego. A ja domagam się opowieści! Wizji! Wskazówek! – oświadczył, celując w Gramma długim palcem.

Krasnolud wyglądał, jakby najpierw nie zdążył z ważną sprawą do latryny, a potem jeszcze się poślizgnął i upadł na tyłek. Spoglądał na olbrzyma z mieszaniną nienawiści i skruchy, po czym przetarł powalane wilkołaczą śliną policzki i spojrział na mnie błagalnym wzrokiem.

– Opowieści, wizji i wskazówek – odezwałem się głosem słabym z ulgi. – Nie wiem, mości olbrzymie, czy uda nam się spełnić twoje wymagania...

– Nie jesteście krasnoludami! – zagrział ten.

– No, nie jesteśmy – przyznałem. – Choć nie wiedziałem, że to ma znaczenie.

– Ogromne! – huknął olbrzym, aż znów podniosły się kłęby śniegu. – Kluczowe! Czy ktoś z was ma choć śladowe pojęcie o spoglądaniu w przyszłość?

– Nie – przyznałem. – I nie miewamy wizji, a przynajmniej takich, które miałyby sens. Ale porządne z nas chłopaki, znamy sporo historii, a wskazówek udzielamy roztropnie. Usiądź z nami, a może ci jakoś pomożemy. I mam w jukach składniki na grzybową!

Olbrzym spojrział na mnie z niechęcią, ale wzruszył ramionami.

– Usiądę – burknął. – Ale niczego sobie nie obiecuję.

Miałem ochotę paść w śnieg.

– Cieszę się, że się dogadaliśmy – rzekłem, udając pewność siebie. – Mości olbrzymie, daj nam tylko chwilę. Musimy coś zjeść, ogrzać się i pogadać.

– I zakneblować Eliaha – mruknął Żychłóń, który pochylił się i ku mojemu zdumieniu zarzucił sobie nieprzytomną wilkołaczycę na ramię. Dziewczyna powróciła do dawnej postaci i znów wydawała się drobna, krucha i wynędzniała, ale ja nie byłem w stanie zapomnieć tego, co widziałem przed chwilą.

– Jesteś pewien? – spytałem z niedowierzaniem. Zdecydowanie miałem już dość wrażeń. – Żychłóń, przecież to...

– Zaufaj mi – rzucił mi oschle guślarz. – Wilkołak to nie Złe, a stworzenie Losu. Kocha, myli się, marzy i odczuwa strach. Przede wszystkim strach. Przekaż Eliahowi, że jeśli wyda z siebie choć jeden odgłos okołozwierzęcy, założę mu uzdę i będę nim orał nieużytki.

*

Zgodnie z moimi oczekiwaniami z Eliahem pogadać się nie udało – zapewne uznał, że relacje w obrębie naszej grupy skomplikowały się do tego stopnia, że najlepiej będzie kolejny etap ich rozwoju przeczekać w ukryciu. Wiedziałem, że prędzej czy później z kryjówki wywabi go zapach grzybowej z ziołami, na który po prostu nie było mocnych, zwłaszcza wśród wygłodniałych weteranów walk ze śnieżycą. Mieszałem więc powoli w garnku i patrzyłem na Gramma, który siedział po drugiej stronie ogniska ze skwaszoną miną, całkiem pochłonięty wściekłym rozczesywaniem poślinionej brody, i usiłował na mnie nie patrzeć.

Nad ciasnym dziedzińcem opuszczonego fortu zapadła wreszcie błoga cisza. Wichura, oblepiwszy białą warstwą każdy możliwy fragment zabudowań, ucichła całkowicie i wąty dymek znad płomieni kierował się prosto ku niebu, gdzie szare chmury darły się i ustępowały miejsca błękitowi nieba. Ze stajni dobiegał monotony głos Żychłonia, który próbował się rozmówić z wilkołaczą, przypuszczalnie na próżno, bo słycać było tylko jej urywany szloch.

Po plecach nadal spływały mi ciarki, tym bardziej że byłem zwrócony tyłem do stajni, ale Żychłoń zasługiwał na zaufanie. Skupiłem więc uwagę na Grammie, który nigdy dotąd nie wydał mi się równie skruszony i sponiewierany.

– Pora chyba, byś mi to i owo opowiedział – powiedziałem cicho i dorzuciłem szczyptę szalwii.

Gramm nadał się i zgarbił, a ja westchnąłem ciężko. Miałem przed sobą niełatwe zadanie – o wiele łatwiej było skłonić Edwina, by się przyznał, że wyżarł miód przeznaczony do ciasta, niż zmusić przekłętęgo, upartego krasnoluda, by powiedział coś, na co nie miał ochoty.

– No dobra. Spodziewałem się tego. Zacznijmy więc od prostych pytań. Co to takiego ów tilhaug i dlaczego olbrzym przywiązuje do niego aż taką wagę?

– Bo tak należy – burknął niechętnie krasnolud. – To święta gra.

Przez moment mieszałem równomiernie, trawiąc usłyszaną informację.

– Coś podobnego – powiedziałem od niechcienia, zerkając mu ponad ramieniem. – Te kości walają się wszędzie w karczmie. Nuut się nimi bawi. Co więcej, pierwsze słyszę, by cokolwiek było dla ciebie święte.

W istocie, Gramm był zawsze pierwszy do nabijania się z kultu Doli i samych jej wyznawców i jakkolwiek widziałem parokrotnie, jak turlał kości po stole i wpatrywał się w nie ze skupieniem, nigdy bym nie pomyślał, że tyle uwagi wystarczy, by wynieść coś do rangi świętości.

Jak ja mało o tobie wiem, pomyślałem.

– Są święte – dodał niechętnie krasnolud. Szarpnął grzebieniem parokrotnie, natrafiwszy na kołtun, a potem westchnął ciężko. – Prastare. Dzieciaki w moim klanie poznają je bardzo szybko, bo pomagają im odnaleźć talent.

– Nie kapuję. – Zerknąłem na niego z zainteresowaniem.

– Niektórzy w moim klanie – krasnolud przeniósł na mnie ciężkie spojrzenie – rodzą się z darem przewidywania przyszłości. W ich rękach kości tilhaug okażą się narzędziem do wróżenia.

Zacisnął usta i odwrócił spojrzenie, a ja domyśliłem się, jak brzmi niedopowiedziane zakończenie. W rękach tych, którzy talentu do widzenia

przyszłości nie mają, kości będą tylko kośćmi. Skinąłem ledwie dostrzegalnie głową. Gramm kiedyś opowiedział mi o sobie i dobrze pamiętałem, że był jednym z nielicznych młodych krasnoludów, u których ów talent wcale się nie objawił, co zaskarbiło mu obojętność, a w zasadzie nawet nieprzychylność ojca i skłoniło go do zejścia w Dolinę^{**}. Przypuszczałem, że powrót w rodzinne strony może się dla niego okazać niezbyt przyjemny, i byłem, szczerze powiedziawszy, zdziwiony, że sam wyszedł z taką propozycją.

Najwidoczniej tego żałował, a nasza rozmowa zbaczała w stronę grząskich piasków. Musiałem ją natychmiast przekierować gdzieś indziej.

– Olbrzym najwyraźniej również zna tę grę – powiedziałem i nabrałem nieco zupy na łyżkę, by sprawdzić smak. – Co jest o tyle dziwne, że te kości są dość małe.

– Mają własne. Większe – przyznał krasnolud. – To my stworzyliśmy mniejsze wersje, by dało się je nosić przy pasku.

– Zdaniem naszego nowego przyjaciela służą wam do rozwiązywania konfliktów – powiedziałem niepewnie.

– Tak – przytaknął Gramm z roztargnieniem. – Tak, właśnie do tego służą. Kiedyś... – Zamyślił się na moment. – Kiedyś, przez setki lat, byliśmy sąsiadami. Zamieszkivaliśmy te same łańcuchy górskie, te same doliny, mówiliśmy tym samym językiem i zawieraliśmy rozmaite układy, ale przyjaźni jakoś między nami nie było nigdy. Stanowiliśmy jednak przeciwieństwa. Oni są nieliczni i ogromni, nas jest sporo, ale jesteśmy mali. Myśmy żyli w jedności z ziemią, a oni z niebem, nas intrygowała przyszłość, a ich przeszłość. Nic więc dziwnego, że w końcu wybuchła między nami wojna. Niewiele z niej pamiętamy, bo... bo wstyd rozpamiętywać klęski.

Zamarłem, na moment przerywając mieszanie.

– Powiedziałeś przed chwilą, że przewyższaliście ich liczebnie.

– To za mało! – Gramm machnął ręką lekceważąco. – O wiele za mało, gdy masz przeciwko sobie ogromnych drani władających magią nieba. Jeden taki mógł w godzinę zasypać śniegiem przełęcz czy zalać deszczem podziemną część fortecy. Na szczęście – pokręcił głową z niedowierzaniem – na szczęście olbrzymy cechuje coś na kształt litości. Zrozumieli, że pokonanie nas będzie dla nich o wiele za proste, a świat bez krasnoludów może nie dać sobie rady, i zaproponowali nam wieczny pokój. Podarowali nam też owe kości, byśmy od tej pory każdy konflikt rozstrzygali w grze.

– Brzmi to – zawahałem się – cholernie naiwnie.

– Dla człowieka – napomniał mnie krasnolud. – Jesteście wszak z natury niestali i chwiejni. My, ludy gór, cenimy sobie tradycję i prawo ponad wszystko. Przez wiele, wiele lat nikt reguł gry nie złamał.

– Aż do czasu – powiedziałem cicho – gdy usiadłeś do niej ty.

– Niczego nie rozumiesz! – Gramm parsknął ze złością, nagle czerwieniejąc.

– Masz rację – przytaknąłem spokojnie. – Kompletnie niczego nie rozumiem. I spieszy mi się do domu, ale dam ci czas, byś wyjaśnił mi wszystko i spłacił dług olbrzymowi. Bo chcę wrócić do Gryfa, ale z tobą.

Gramm poczerwieniał jeszcze bardziej, ale zacisnął zęby. W tej samej chwili rozległ się chrzęst śniegu za moimi plecami. Odwróciłem głowę i kątem oka dostrzegłem, jak ze stajni wychodzi Żychłoń, obejmując tulącą się do niego dziewczynę. Odruchowo oparłem dłoń na rękojeści miecza, a Gramm aż podskoczył i złapał za topór.

– Żychłoń, weź tę zębatą wylęgę jak najdalej stąd! – wycedził.

Guślarz zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

– Oto Luba – powiedział, wskazując dziewczynę. Ta, widząc krasnoluda, wtuliła się mocniej w ramię Żychłonia, a w jej wielkich, szeroko otwartych oczach błyszczała mieszanina zawstydzenia i przestachu. – I owszem, miewa w życiu gorsze chwile, ale głównie wtedy, gdy ktoś ją sprowokuje lub wystraszy. Zrobiłem sporo, by ją wyciszyć, Gramm, dlatego spraw mi tę przyjemność i nie wymachuj już siekierą, dobrze?

Gramm odłożył niechętnie topór, ale nie spuszczał z wilkołaczycy wzroku. Ta odwróciła spojrzenie.

– Co masz zamiar z nią zrobić? – spytał głucho. – Chyba nie posadzisz jej przy nas, by...

– To właśnie mam zamiar zrobić – uśmiechnął się szeroko Żychłoń. – Siadaj, Luba. Tutaj, na derce. I nie przejmuj się tym oplutym kurduplem ani elfem, któremu pomieszało się we łbie, bo zaraz spróbujesz najlepszej zupy grzybowej na świecie.

Gramm spojrział na mnie w panice, ale ja wzruszyłem jedynie beztrąsko ramionami i dorzuciłem jeszcze odrobinę tymianku. Luba zaś zerknęła na garnek i wyraźnie usłyszałem, jak jej zaburczało w brzuchu. W tej samej chwili wyparowały ze mnie resztki lęku.

Nie można przecież bać się kogoś, kto się ślini na widok grzybowej.

Gramm, doszedłszy najwyraźniej do tego samego wniosku, usiadł ciężko i pokręcił głową z niedowierzaniem. W tej samej chwili padł na nas cień i rozległ

się tubalny głos olbrzyma:

– O, widzę, że się już zbieracie?

Wystraszona Luba schowała twarz w szerokiej piersi Żychłonia, a Gramm znów burknął coś pod nosem i odruchowo złapał za topór. Ja zaś poczułem, jak budzi się we mnie podsycany wyrzutami sumienia lęk, który odzywa się w sercu każdego przyzwoitego kucharza w chwili, gdy zrozumie, że ugotował za mało jedzenia.

– Zbieramy się, ale... ale mamy tylko zupę i...

– Nie chcę zupy – oznajmił olbrzym, po czym wybrał sobie najniższy odcinek murów i zaczął przez niego przepelzać na naszą stronę, strącając kamienie i kawałki zaprawy. – Wolałbym – dodał nieco zasapany – coś konkretniejszego.

Wzrok spod wciąż oszroniałych brwi padł na jelonka, którego Gramm wyprzągnął chwilę wcześniej. Zwierzę niespodziewanie zrozumiało przekaz i odruchowo przyskoczyło do krasnoluda, który objął je zaskakująco opiekuńczym gestem.

– Ale zrozumieć, jeśli mi powiecie, że jesteście do tych kopytnych przywiązani – westchnął olbrzym. – Mogę przesunąć te sanie? Nie mam gdzie usiąść.

Na dziedzińcu w istocie zrobiło się ciasno, a więc przesunęliśmy sanie wspólnymi siłami. W międzyczasie pojawił się Eliah. Bez słowa usiadł przy ogniu, zignorowawszy zarówno olbrzyma, jak i coraz bardziej wystraszoną wilkołazycę.

– Ale pachnie dobrze – ocenił olbrzym. – Może się skuszę i wylizę garnek. A więc – przeniósł uwagę na Gramma – pora na opowieść.

Majster wydobył piersiówkę i pociągnął tęgi łyk, a potem rozejrzał się i pokręcił głową z niedowierzaniem. Całkowicie go rozumiałem – rzadko się wszak zdarza, by krasnolud opowiadał historię przed gromadą złożoną z elfa, guślarza, olbrzyma, wilkołazycy i stęsknionego za domem kucharza – a potem zaczął mówić.

****** Więcej o tym w prequeli *Przed wyruszeniem w drogę*.

OPOWIEŚĆ Z GWIŹDŹĄCYCH GÓR

Bestia zaryczała głucho i opuściła nisko rogaty łeb, a potem opadła na przednie łapy i puściła się galopem w kierunku szeregu. Gramm rozstawił szerzej nogi i upewnił się, czy jego tarcza styka się dokładnie z tarczami sąsiadujących z nim wojowników, a w duchu przygotował się na potężne uderzenie.

– Wyrwa! – huknął porucznik. – Trzy, dwa, jeden... teraz!

Gramm dawno już nie walczył w szeregu i przypomniał sobie manewr dopiero, gdy ujrzał cofających się towarzyszy. W ostatniej chwili skoczył w ślad za nimi, a szyk, posłuszny woli dowódcy, rozpadł się na pół dokładnie na ułamek sekundy przed tym, jak bestia wbiłaby w niego rogi. Niesiony siłą rozpędu potwór wpadł w uliczkę utworzoną z tarcz, ale nim zdołał wryć nogi w skalisty grunt i zawrócić, któryś z wojowników zdzielił go toporem na długim trzonku w kolano. Bestia zaryczała z bólu i zaryła pyskiem w ziemi, a wtedy zewsząd posypały się na nią ciosy.

Gramm był zbyt daleko, by dotrzeć do kaźni. Pamięć mięśniowa, wyrobiona podczas dziesiątek bitew w młodości, kazała mu cofnąć się i odwrócić, a wówczas dojrzał coś, co zmroziło mu krew.

Wśród głązów, zalegających tu i tam na górskiej hali, pojawiły się szare kształty, które przeslizgiwały się między nimi na podobieństwo smug dymu.

– Lisice! – ryknął. – Lisice od zachodu!

– Równaj! – wrzasnął porucznik. – Mur tarcz!

Krasnoludzcy wojownicy odskakiwali od rąbanego na kawałki cielska rogatej bestii i w okamgnieniu stworzyli nieprzerwany szyk, mierząc w stronę nadciągającego wroga kolecami pośrodku tarcz. Gramm cofnął się i zajął swoje miejsce, spoglądając na nadciągających wrogów spod okapu hełmu. Oddychał szybko, a krew w nim aż kipiała.

– Chodźcie tu, skurwiele! – wrzeszczał któryś z żołnierzy, zbryzgany krwią rogacza aż po krzaczaste brwi. – Pochlastamy was jak grzyby na jesień!

– Cisza w szeregu! – huknął dowódca.

– Rozchodzą się! – krzyknął ktoś inny.

W istocie, strumień nadciągających istot nagle rozdzielił się na dwie strugi, by zaatakować krasnoludzki hufiec z dwóch stron.

– Kolisko! – wrzasnął dowódca. – W te pędy, psułaty, bo nie będzie z was czego zbierać!

Najgorsza z możliwych formacji, pomyślał ze złością Gramm. Ani się cofać, ani nacierać... Pozostaje tylko obrona. Trzeba przetrzebić sukinsynów, żeby...

Nie dokończył myśli. Nie wziął pod uwagę tego, jak szybko bywają Lisice. Pierwsza z tych długich, przypominających traszki bestii skoczyła i wczepiła się w jego tarczę. Gramm zachwiał się i niemalże wypadł z szeregu. Odruchowo rąbnął toporem, który wbił się w chitynowy pancerzyk Lisicy i zrzucił ją na ziemię, gdzie krasnolud, nie patrząc w dół, rozgniół jej pysk ciężkim butem. Jednocześnie dostrzegł już drugą, która szykowała się do skoku na niego.

Powstrzymał odruch, który nakazał mu wybiec z szeregu i natrzeć na bestię – naraziłby w ten sposób swoich towarzyszy, których inne Lisice mogłyby zaatakować od boku – i cofnął nieco tarczę. Pchnął nią gwałtownie, gdy skacząca Lisica zaczęła na niego spadać, a wtedy wyrastający z umba kolec przebił jej ciało w jednej trzeciej długości.

Za nisko.

Oszalała z bólu, piszcząca Lisica przywarła do tarczy i zamachnęła się pazurzastą łapą, pozostawiając skaleczenie na policzku wojownika. Ten warknął wściekle i machnął tarczą, strząsając z niej wijącą się przeciwniczkę. Wypadł na moment z szeregu, ale zyskał okazję, by zakończyć żywot Lisicy jednym cięciem.

Skaleczenie pulsowało gorącym bólem, co o dziwo dodało krasnoludowi werwy. Cofnął się do szeregu i zwarł tarczę z pogrążonymi w walce sąsiadami.

Nadciągała kolejna fala wrogów.

*

– Nie ruszaj się – powiedziała thani i raz jeszcze dotknęła chusteczką rozciętego policzka Gramma. Ten zacisnął zęby i ani drgnął, choć na czoło wystąpił mu pot. – Takie skaleczenia trzeba dokładnie obmyć – dodała, maczając chustkę w misce z wodą. Gramm zerknął na nią i zobaczył, jak w przezroczystej tafli rozchodzi się różowa mgiełka. – Lisice bywają jadowne.

– Jeszcze takiej nie widziałem – mruknął Gramm.

– Nie było cię tu kilka lat. Sytuacja – thani się pochyliła i raz jeszcze przyjrzała się skaleczeniu – wygląda nieco inaczej niż kiedyś.

Gramm zerknął na jej twarz. Przymrużone, lodowato niebieskie oczy spoglądały równie przenikliwie jak zawsze, ale wokół nich pojawiły się już głębokie zmarszczki. W kosmykach wystających spod wełnianej czapki widział pojedyncze siwe włoski i uświadomił sobie, że przy kolejnej wizycie w domu będzie ich więcej.

Zaląła go fala goryczy.

– Będzie trzeba szyc? – spytał ochryplym głosem, bardziej oschłym, niż sądził.

– Nie, chyba nie. Płytko poszło – odparła thani i odłożyła chusteczkę na skraj dębowego stołu, a potem ujęła kubek z grzanym winem i spojrzała na syna badawczo.

Przez moment oboje milczeli. Ogień cicho trząskał w kominku, na zewnątrz pogwizdywał wiatr. Przez kwadratową dziurę w podłodze wpadało ciepłe powietrze ze znajdujących się na niższych poziomach hut. Z korytarza niosły się echa czyjegós pokrzykiwania, którym odpowiedział głośny śmiech.

Gramm uśmiechnął się i pokręcił głową. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak bardzo tęsknił za rodzinnym thanatem, i zadał sobie w myślach pytanie, dlaczego tak rzadko tu wracał.

Potem spojrzął w poważne oczy matki i sam sobie na to pytanie odpowiedział.

Westchnął ciężko, wstał i podszedł do okna. Wsparł się o parapet i spojrzał na widoczną stąd Dolinę, zniekształconą przez grubą szybę.

– Ojciec mi nie pomoże? – spytał, nie patrząc na matkę.

– Nie – odpowiedziała.

Gramm usłyszał cichy szelest sukni, gdy zmieniała pozycję, najprawdopodobniej nie czując się komfortowo w tej rozmowie. Zacisnął oczy ze wszystkich sił, obojętny na to, że obudził w ten sposób nieprzyjemny ból skaleczenia.

– Na wichry i lawiny – wyszeptał, pochylając głowę. – Czego on jeszcze chce? Od chwili, gdy przybyłem w góry, wziąłem udział w pięciu bitwach! Zabłem więcej stworów Złego, niż on kiedykolwiek widział! W jaki sposób mam niby jeszcze zasłużyć sobie na jego zaufanie? Jak mam, na duszący mrok, wkupić się w jego łaski?

– Nie przeklinaj – powiedziała thani surowo, ale bez przekonania. – Dobrze wiesz, o co mu chodzi.

– Tak, wiem! – Gramm uderzył pięścią w parapet. – Ma mi za złe to, że urodziłem się bez talentu do widzenia przyszłości! Ma mnie za gorszego od innych! Wstydzi się, że ktoś tak pośledni jak ja zrodził się z jego krwi!

Przez oblicze matki przemknął grymas bólu. Uniosła rękę, jakby chciała coś powiedzieć, ale Gramm, powodowany żalem i goryczą, nie przerywał:

– Wybaczylbym mu to! Machnąłbym na to ręką! Chce mną gardzić, to niech się tą pogardą zachłyśnie. Tam, w Dolinie, mam wspaniałych przyjaciół, mam tam dom, mam pracę, a tu mam ciebie. Nie potrzebuję nic więcej! Nie potrzebuję ani jego, ani jego

akceptacji! W dupie mam to, co on o mnie myśli, ale nie rozumiem, skąd się bierze to tępe zaślepienie!

Ze świstem wciągnął powietrze.

– Przecież tu chodzi o przyszłość nas wszystkich – wycedził. – W thanatach Gwiżdżących Gór znajdują się dwie partie dusz trolli. O jednej wiemy, bo przywiózł ją właśnie mój ojciec i wręczył królowi Erigowi. O drugiej nie wiemy nic i właśnie tę musimy znaleźć! Gdzieś w Gwiżdżących Górach znajduje się czwarta część dusz króla Rotgiera, matko! W naszych ojczystych Gwiżdżących Górach, gdzie Złe czuje się równie swobodnie jak my!

– Równie dobrze – matka założyła nogę na nogę i spojrzała na niego twardo – padasz ofiarą dezinformacji. Na wichry i lawiny, synu, przecież zamieszkujemy te góry od setek lat! Myślisz, że nie znaleźlibyśmy czegoś, co ukryli tu ludzie?

– Oczywiście, że byśmy to znaleźli! – Gramm spoglądał na matkę ze złością. – I jestem pewien, że tak się właśnie stało. Wszystko zaś zostało opisane w którejś z naszej kronik, a ojciec w swej mądrości wzbrania mi dostępu do bibliotek! Co więcej, dam sobie rękę odrąbać, że rozesłał już wieści po sąsiednich thanatach i gdy udam się tam, by poszukać informacji, ujrzę jedynie przeproszające uśmiechy i zatrzaśnięte drzwi. Co za tępy, nienawistny...

– Gramm! – krzyknęła ostro thani. – Nie wolno ci tak mówić o ojcu!

Gramm poczuł, jak po jego policzku spływa kropla krwi ze skaleczenia.

– Nie wolno – powtórzył. – Dobrze. Skoro nie wolno, nic tu po mnie. Jutro wracam do Doliny.

*

Pociecha ujrzał go jako pierwszy. Najpierw zwolnił, a potem zatrzymał się i parsknął cicho. Gramm poprawił czapę, która zjechała mu na oczy, i rozejrzał się.

– Co się dzieje, ty dumny koźle? – wymamrotał. – Kolejna przerwa na kupę? Czegoś ty się obzałł, co? Choć w sumie też się wyszczam, bo...

Odstawił manierkę i zaczął się wygrzebywać z futer na saniach. Popijał tego od chwili, gdy minął ostatni posterunek graniczny, a droga wyprostowała się i pomknęła prosto ku równinom Wichrowin. Tutaj nie ryzykował już, że nie wyrobi ostrego zakrętu lub spadnie w przepaść. Mógł wreszcie otworzyć butelkę, z nadzieją, że alkohol zneutralizuje gorycz w jego sercu.

– Tępy mato! – wrzasnął, aż echo poniosło się po równinie. – Nadęty dureń! Taki stary, a tak głupi! To ja, kurwa, się wstydzę, że się z jego krwi zrodziłem! I prędzej mnie szlag trafi, niż ponownie zjadę do...

Przerwała mu czkawka. Gramm wymamrotał coś pod nosem, wciągnął kolejny haust zimnego powietrza i zeskoczył na zmarznięty śnieg, ciągnący się od podnóża gór aż po horyzont na południu. Przez moment wpatrywał się w bezludny trakt, wijący się między coraz mniejszymi skalami ku miejscu, które uznał za swoje. Pomyślał o kuźni, o smażonej rybie Sary i bułkach wypiekanych przez Edmunda, o radosnym wrzasku dzieciaków i o katapultcie, którą na pewno skończy tej wiosny.

Uśmiechnął się do siebie, a potem przypomniał sobie, że przecież nie wróci w chwale do Gryfa. Zawalił sprawę. Nie znalazł czwartej części dusz króla Rotgiera. Być może zostały odkryte przez jego rodaków, ale nie było co do tego żadnej pewności. Równie dobrze mógł założyć, że po prostu zaginęły, ale przecież po Gwiżdżących Górach hulało Złe!

Taka wiedza mu nie wystarczała.

Gramm odwrócił się ku góróm, równie wyniosłym i nieporuszonym, jak ego jego ojca, by im pogrozić z wściekłością, ale wtedy dostrzegł to, w co wpatrywał się Pocięcha.

Na skraju drogi siedział olbrzym. Wsparłszy łokcie o kolana, wpatrywał się w dal, ewidentnie pogrążony w głębokiej zadumie, a podmuchy wiatru kołysały jego brodą. Nawet jeśli dostrzegł sanie zaprzężone w jelonka i wysiadającego z nich lekko zataczającego się krasnoluda, nie dał tego po sobie poznać.

Serce Gramma zabiło naraz mocniej. Niespodziewanie ujrzał szansę, by niepowodzenie obrócić w sukces.

– Witaj, patrzący w przeszłość! – zawołał gromko.

Olbrzym zmarszczył brwi i spojrział w kierunku, z którego dobiegał głos. Przez moment widział wzrokiem po trakcie, aż w końcu dostrzegł sanie i samego krasnoluda.

– Witaj, patrzący w przyszłość – zadudnił w odpowiedzi. – Dziękujemy Losowi, że pomógł nam się spotkać!

– Cóż, dziękujemy mu, gdy się rozstaniemy – mruknął Gramm i odwiązał od pasa sakiewkę z kośćmi. – Zagramy, olbrzymie!

– Zagramy, a jakże – rozochocił się olbrzym i uklękł, a potem rozgarnął śnieg. – Fazy słońca i księżycy oraz emanacja Losu pozwalają nam na jeden ważny rzut. O co gramy?

– Jeśli wygram, opowiesz mi wszystko o duszach trolli w Gwiżdżących Górach – oświadczył Gramm.

– A jeśli ja wygram, ty wskażesz mi kierunek, gdzie szukać Domu – rzekł uroczyście olbrzym.

– Reszty – powiedział niepewnie Gramm, rozglądając się dookoła – możecie się chyba domyślić.

– Sądząc po waszych zbaraniałych minach, szybko to nie nastąpi – wtrącił olbrzym. – Niech was więc oświecę. Kości były dla mnie łaskawe i wygrałem

pierwszy rzut, ale troszkę niedowidzę i wasz przyjaciel – spojrzał krzywo na krasnoluda – zdołał niespostrzeżenie przewrócić którąś z nich, by wygrana należała do niego. W głowie mi się nie mieściło, że mogłoby dojść do oszustwa, ale sytuacja wydała mi się podejrzana, a więc oprotestowałem wynik i rzucaliśmy ponownie. Obecny tu krasnolud w ostatniej chwili znów obrócił kość. Rozeźliłem się wówczas straszliwie i przypomniałem mu, że próba wpłynięcia na rzut w tilhaug to drwina z Losu, a tak postępować nie wolno! Wykonałem więc ostatni rzut i wygrałem!

Olbrzym zacisnął pięść z chrzęstem.

– Zacząłem się domagać, by dotrzymał słowa, a wówczas wyznał, że w zasadzie nie umie odczytywać przyszłości. To oszustwo! Nie można kłamać przed przystąpieniem do świętej gry!

Wtedy wszystko wreszcie poukładało mi się w głowie.

– Wybacz, olbrzymie – powiedziałem. – To prawda, mój przyjaciel złamał zasady gry, ale przywiodła go do tego desperacja oraz troska o losy Doliny. A źle się dzieje w krainie ludzi. Ze wszystkich stron podgryza nas Złe i w zasadzie już przegrywamy wojnę o naszą przyszłość. Boimy się, że gdy wróg odnajdzie dusze trolli, które przecież są straszliwą bronią, pozostaniemy bez szans.

– Nie znam zasad waszej gry – odezwał się Żychłoń, którego oczy dziwnie błyszczały. – Ale może to właśnie Los doprowadził do twego spotkania z Grammem, a w efekcie do naszej rozmowy.

Olbrzym milczał przez moment i splatał ogromnymi paluchami kosmyki brody.

– Chcesz powiedzieć – spytał z niedowierzaniem – że wiecie coś o Domu?

– Ehm... – zawahał się Żychłoń. – Możliwe. Najpierw musiałbym jednak wiedzieć, cóż to za Dom.

Olbrzym nabrał tchu, jakby szykował się do dłuższej wypowiedzi, ale przerwał mu Gramm:

– Wszystkich wciąż żyjących olbrzymów łączy nadzieja na odnalezienie Domu, ich pradawnej siedziby, którą kiedyś opuścili i której nie mogą odnaleźć. Zbierają więc wszystkie opowieści z przeszłości, by natrafić na jakiś jego ślad, a nas nagabują o wizje przyszłości, by wiedzieć, gdzie go szukać.

– W skrócie – burknął olbrzym. – Ogromnym, niesprawiedliwym i urągającym powadze sytuacji skrócie.

Gramm robił wrażenie, jakby chciał cierpko skomentować słowa olbrzyma, ale na szczęście ugryzł się w język.

– I wciąż szukacie swego Domu – powiedziałem i raz jeszcze zamieszałem w garnku. – Zabawne. Mamy więc, mości olbrzymie, wiele wspólnego.

– Szukamy – burknął olbrzym ponuro i przyglądał parokrotnie brodę, a potem rozejrzał się po nas z powątpiewaniem. – I wiele wskazuje na to, że rychło go nie znajdziemy.

Przyglądał się teraz każdemu z nas. Eliah nie zwrócił na to żadnej uwagi, Gramm znów się nastroszył, ja, nauczony małżeńskim doświadczeniem, pochyliłem głowę ze skruchą. Luba wtuliła się w bok Żychłonia i odwróciła wzrok, a on sam sapnął, zmarszczył czoło i podrapał się po zarośniętym policzku.

– A z Człekoniem kiedyś gadałeś? – spytał. – Z niifhagiem czy jak go tam zwali?

– Z kim? – spytał zaskoczony olbrzym, prostując się. – Z jakim znowu Człekoniem?

Kątem oka zauważyłem, że zaskoczony Eliah drgnął i przeniósł spojrzenie na Żychłonia.

– To pół-człowiek, pół-koń – wyjaśnił guślarz. – Źródło wszelkiej wiedzy. Ciężko drania znaleźć, bo po lasach łązi, ale gdy już się takiego przydybie, każdym sekretem chętnie się podzieli.

– Nie każdym – syknął Eliah. – I nie chętnie.

Przechwycił moje spojrzenie, wywrócił oczami i dodał z ociąganiem:

– Ale to prawda, że wie wszystko.

– Aż dziw – olbrzym podrapał się po łbie – że nigdy o czymś takim nie słyszałem. Może to przez to, że po lasach nie łążę. Gałęzie mnie łaskoczą i w ogóle. A dałoby radę... no, z owym Człekoniem się jakoś zobaczyć?

Żychłoń przeniósł wzrok na Eliaha, a ten westchnął ciężko i skinął głową.

– Wybacz, jeśli nie zajmiemy się tym od razu – powiedziałem. – Musimy jednak wpieryw zatroszczyć się o sprawy Doliny. Boimy się, że nawet teraz, gdy siedzimy tu i rozmawiamy, Złe rozszerza swoje wpływy, a księżęta biorą się za łby. Przysięgam ci jednak solennie, że będziemy pamiętać o tobie i pomożemy ci się spotkać z Człekoniem.

– Przysięgacie? – Olbrzym groźnie zmrużył brwi.

– Na mą rodzinę! – powiedziałem uroczyście.

– Na Los – poparł mnie Żychłoń.

– Na krew moich wrogów – odezwał się, ku memu zaskoczeniu, Eliah.

Spojrzenia nas wszystkich spoczęły na Grammie, który znów się nachmurzył. Żychłoń szturchnął go mocno, po czym krasnolud przemógł wewnętrzny opór

i bąknął:

– Na wichry i lawiny.

– Świetnie. – Zatarłem z ulgą dłonie. – To teraz wróćmy do sprawy dusz trolli. Czy wiesz coś o czwartej części swej zdobyczy, którą po bitwie pod Chremięgą król Rodryk ukrył w Gwiżdżących Górach?

– Nie – odparł olbrzym.

Gramm wytrzeszczył oczy.

– Nie? – wyrzeźił. – Jak to nie? Mnie od oszustów wyzywasz, a sam nie miałeś nic do powiedzenia? Sam nie miałeś pojęcia o tym, co włożyłeś do gry!

– Los mówił mi, że wygram! – Olbrzym spojrział na niego z wyższością. – A więc zastosowałem bluff. I słusznie, zwróć uwagę!

– Słusznie? – Gramm zerwał się, poczerwieniały. – Przekłęty, zakłamanym złodzieju! Brodę ci wyrwę i w ten twój zasmarkany...

Żychłóń złapał go za ramię i posadził przemocą, a przy tym kuksnął tak mocno, że zaskoczony krasnolud syknął z bólu i spojrział na guślarza z urazą.

– Nic nie wiem o duszach trolli – rzekł olbrzym, celowo nie patrząc na Gramma. Całą uwagę skupił na mnie. – Ale się dowiem. Przyprowadźcie tego waszego niilfhaga w to miejsce i zapalcie ogień, a przybędę w ciągu doby. Krasnoluda przyprowadzać nie musicie.

Pożegnał mnie skinieniem głowy i podniósł się, zasłaniając słońce. Przez moment myślałem, że odwróci się, przelezie przez mur i zniknie, ale zawahał się i spojrział na mnie. Potem oblizał się nieświadomie.

– Będziecie jedli tę całą grzybową? Bo ja bym mimo wszystko ten garnek wylizał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Olbrzym wydał mi się istotą niebezpieczną i nieprzewidywalną, ale mimo wszystko poczułem do niego sympatię, a w głębi serca odkryłem, że wiążę wielką nadzieję z tym, co w przyszłości mogę od niego usłyszeć. Wszak w tak trudnych czasach przydawał się każdy sojusznik, a moja drużyna, jak by to ująć – dotychczas ponosiła porażki. Eliah, choć posiłkował się tajnymi zmysłami, nie znalazł w Świetlistej Puszczy niczego. Żychłłoń, przetrząsnąwszy podnóża Gwiżdżących Gór, zawiódł się nawet na upiorach, a Gramm nie zdołał skorzystać z żadnej z krasnoludzkich bibliotek.

Trzy części dusz trolli nadal były poza naszym zasięgiem.

Pozostawała nadzieja, że Urgo mimo wszystko znajdzie swoją część, ale coraz bardziej skłaniałem się ku przekonaniu, że mapa była kolejnym podstępem króla Rotgiera, obliczonym na zmylenie innych poszukiwaczy dusz. Jeśli tak, zataił go nawet przed kapłanem Vitalisem, z którym współpracował od samej bitwy pod Chremięgą.

A skoro tak, to gdzie owe dusze zostały ukryte?

Cała nadzieja tkwiła więc w informacjach od olbrzyma, choć nasze relacje nieco ostygły po tym, jak ten wylizal na moich oczach garnek po zupie. Nie chcę i nie potrafię tej sceny opisać, a wstrząsnęła mną do tego stopnia, że garnek podnosiłem później przez szmatę i długo szorowałem w śniegu. Na szczęście wydarzyło się coś, co na moment skierowało moje myśli na inne tory.

– Jak to ją wypuszczasz? – darł się Gramm, szczęśliwy, że wreszcie to on może na kogoś pokrzyczeć. – Przecież ta zębata cholera omal mi gardła nie rozszarpała! Gdyby ten bydlak się nie pospieszył, z resztek po mnie nie dałoby się nawet kapci uszyć!

– Nie drzyj się – syknął Żychłoń, tuląc Luba. – Bo się przestraszy i znów zmieni formę.

– To jak mam ci dać do zrozumienia, że zdurniałeś? – wycedził Gramm, zerkając z trwogą na wilkołaczycę. – Szeptem? Gestami? List napisać? Piosenkę ułożyć? Kurna, Żychłoń, opamiętaj się! Przecież nie możesz wypuszczać takiego potwora na wolność!

– Jadła z tobą zupę. Zrobiła ci coś?

– Nie mnie, a przeciwko mnie! – zaprotestował spąsowiały krasnolud. – To ogromna różnica, z której najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy. Tak jak i z tego, co się zdarzy, gdy ta bestia strawi zjedzoną przed chwilą michę grzybowej i znowu poczuje się głodna!

– Nie bój się o siebie – szepnęła Luba, nadal wtulona w pierś guślarza. – Byle czego nie jadam.

Gramm rozkasał się ze złości i zaczął bełkotać coś o innych wędrowcach, którzy mogą wydać się bardziej apetyczni, ale uciszyłem go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Jesteś tego pewien? – spytałem Żychłonia.

– Całkowicie – odparł z przekonaniem.

– Dobra – westchnąłem. – Bywaj więc, Luba. Zostawię ci trochę jedzenia, ale obiecaj mi, że spróbujesz ograniczać się do spożywania tego, co już nie żyje. Wędrowcy i krasnoludy odpadają.

Luba złapała wręczony jej worek i umknęła w głąb stajni, nie zaszczycając mnie ani jednym spojrzeniem, a chwilę później wyjeżdżaliśmy już z fortu.

Dziewczyna rzecz jasna nie wybiegła na mury, by nam pomachać, a olbrzym już dawno rozplynął się w białą plamkę na tle zaśnieżonego podnóża gór. Słońce świeciło wysoko na niebie, zaskakująco czystym i niewinnym, nasze konie prychały rażno, wypoczęte po kilku godzinach w forcie, a zaprzężony w sanie jelonek podążał za nimi z obojętną miną. W takich chwilach naprawdę łatwo było zapomnieć, że w Dolinie tli się kolejna wojna, a Złe wyciąga po nas łapska.

Wzdychałem ciężko, zaciskałem zęby i w myślach liczyłem mile dzielące nas od domu.

Tego, że Żychłoń zrówna się ze mną, podświadomie się spodziewałem.

– Wilkołaki nie jedzą ludzkiego mięsa – powiedział. – To mit. Ich żołądki są bardziej ludzkie niż zwierzęce, przez co źle reagują na nadmiar krwi.

– I teraz ma mi się żyć lepiej? – odparłem. – Ta mała byłaby w stanie pokonać oddział książęcej kawalerii, a dla rozszarpanego człowieka świadomość, że wbrew powszechnej opinii nie zostanie zjedzony, to marna pociecha.

– Szał wilkołacki to reakcja obronna, a aktywują go czynniki takie jak strach czy osaczenie. I znów, wbrew ludzkim wierzeniom, nie należy do nich głód. Przemiana wymaga mnóstwa energii, a więc ciało instynktownie blokuje tę możliwość, bo wie, że szal będzie je zbyt wiele kosztował. To, że Luba przeżyła atak na Gramma, zakrawa na cud.

– Cieszę się, ale umiarkowanie. Obawiam się bowiem, że kolejny podróźny, który ją wystraszy, nie będzie miał ze sobą górskiego olbrzyma.

– Dlatego kazałem jej się chować przed ludźmi – westchnął Żychłoń. – Do czasu, aż po nią wrócę.

Spojrzałem na guślarza bacznie.

– Co ty knujesz? – spytałem cicho.

– Nic, czym mógłbyś się martwić, Kociołek – odpowiedział obojętnie, choć widziałem uśmiech w kącikach jego ust. – Luba jest świadoma swej... wyjątkowości i w zasadzie zasługuje na współczucie. Jej talent wyzwolił się po raz pierwszy tuż po tym, jak dowiedziała się, że jej ukochanego wcielono do armii księcia Stefana. Nawiasem mówiąc, to jeden z matolków z Zagórka. Nie wiem który, bo mylą mi się te mało rozgarnięte gęby, ale to akurat jest nieistotne. Ważne dla nas jest to, że Luba oszalała z rozpacz po utracie narzeczonego i krótko po tym napadła na porucznik Yrene. Byłaby ją zabiła, ale w porę poskromiła swój szal i uciekła tutaj.

– To ona... – zachłysnąłem się. – To ta mała za tym stoi? To ona zamieniła Yrene w pogryźlicę?

– Tak. I chyba rozumiesz, że nie ponosi za to winy. Nie doszłoby do owej przemiany, gdyby nie ta przeklęta wojna. – Żychłoń zacisnął zęby i spojrzał w dal. – Za każdym razem, gdy ludzie zaczynają się wadzić, Los drży i oplątuje niewinne osoby. Rolą guślarza jest rozplątywanie tych więzów.

– Ocaliłeś Yrene, a po niej cały oddział wojska. Najprawdopodobniej rozpoznałeś tajemniczego człowieka, który zjawił się, by ci pomóc w walce z pogryźlicą. Otoczyłeś opieką Lubę. Otrzymałeś od Człekonina kolejne glify, które pozwoliły ci na wykorzystywanie magii na odległość, a twoja moc guślarska nigdy nie była potężniejsza – wyliczałem po cichu. – Coś się z tobą dzieje, Żychłoń. Coś, co napawa mnie jednocześnie dumą i niepokojem. Umiesz mi powiedzieć, co to takiego?

Guślarz się zamyślił.

– Nie. Jeszcze nie.

– Ale coś mi mówi, że Lubę jeszcze zobaczymy. Prawda to?

– Prawda.

Zmierzaaliśmy z powrotem do Gryfa najszybciej, jak się dało.

Już po godzinie opuściliśmy bezładne, skute mrozem równiny ciągnące się po wschodniej stronie Wichrowin i wjechaliśmy między łagodne, porośnięte świerkowymi lasami wzgórza, gdzie znów powitała nas cywilizacja. Bywałem w tych okolicach często i obawiałem się, że ujrzymy zgłiszcza i dymy, ale na szczęście błękitne niebo nadal było czyste jak lza. Nie miałem pojęcia, jak toczy się wojna, a gdybym nie wiedział, że się rozpoczęła, nigdy bym tego nie odgadł.

Niestety, byłem świadom zarówno tego, że wojna się rozpoczęła, jak i tego, co przyniesie. Patrzyłem na mijane młyny i spichlerze, spoglądałem na obory, stodoły, stajnie, chlewy i kurniki, wodziłem wzrokiem za świątyniami i gospodami, słuchałem stukotu kopyt na mostkach i serce mi się krajało. Wojny wszak stanowiły zaprzeczenie intencji tych, którzy je wszczynali – wywoływano je z powodu chciwości i ambicji, ale prowadziły do zniszczenia i zubożenia. Niewykluczone, że na tę zamożną, spokojną okolicę ktoś już wydał wyrok, a egzekutorzy tej decyzji mogli lada chwila wyłonić się zza wzgórz, maszerując w zwartym szyku i pobrzękując orężem.

Jeszcze bardziej raniło mnie to, że ludzie skądś wiedzieli, że w Dolinie dzieje się coś niedobrego. Widziałem to w ich zaszępionych twarzach i pełnych niepokoju spojrzeniach, którymi za nami wodzili. Psy czekały jak oszalałe, a rodzice pospiesznie zapędzali lepiące bałwany dzieciaki do chat. Ten i ów podchodził do płotu z tęgą łagą lub siekierą do rąbania drewna, a na pozdrowienia nie odpowiadał nikt.

Pomimo słonecznej, zimowej pogody po Wichrowinach niosła się groza. Wyczuwałem, że mieszkańcom mijanych wiosek wystarczy jeden impuls, by zacząć w panice pakować dobytek i uchodzić ku miejscom, gdzie spodziewali się znaleźć bezpieczeństwo.

Niebawem wyjechaliśmy na jeden z najważniejszych traktów handlowych. Skręciwszy na północ, można było dotrzeć do samego Wichru, a droga na południe wiodła między innymi do domu.

– Zatrzymamy się w Przylęgu? – spytał Żychłoń. – W sumie to chciałbym zajrzeć do Zagórka i sprawdzić, co u matołów, ale musielibyśmy mocno zboczyć. Natomiast Przylęg jest po drodze.

Spojrzałem na słońce, które wędrowało tuż nad koronami drzew i rzucało coraz dłuższe cienie. Z zachodu nadciągały gęste chmury, co oznaczało, że noc będzie raczej bezksiężycowa, a być może śnieżna. Tymczasem do Gryfa

pozostało jeszcze około dwunastu mil i nawet utrzymawszy najwyższe tempo, dotarlibyśmy tam grubo po północy, a cholera wie, na kogo czy na co mogliśmy się po drodze natknąć. Gdybyśmy zaś wyruszyli o świcie – po solidnej kolacji, kilku godzinach snu i pospiesznym śniadaniu – bylibyśmy na miejscu nieco po południu.

Od wielu godzin karmiłem się wyobrażeniami nieszczęść, które mogłyby się przytrafić mojej rodzinie, ale wizje zbladły, gdy spojrzałem na Żychłonia. Guślarz nadal trzymał się prosto w siodle, ale miał poszarzałą skórę i ciemne plamy pod oczami. Zauważyłem też, że co chwila otwiera i zamyka oczy, jakby z coraz większym trudem walczył z ogarniającą go sennością. Nie należało się dziwić – był najstarszy z nas, a ostatnie przejścia sporo go kosztowały.

Przygryzłem wargę i podjąłem decyzję.

– Przejedziemy przez Przylęg – oświadczyłem. – Jeśli ktoś ma ochotę zostać na noc w strażnicy, nie widzę problemu. Ja wracam do Gryfa.

Sanie Gramma zatrzymały się tuż obok nas. Krasnolud usłyszał moje słowa, a w jego oczach błysnęło coś, co mocno przypominało ironię. Tak, nie dziwiłem mu się wcale. Jeśli z Krzemyku właśnie maszerowała armia, ja, karczmarz i gospodarz, nie byłem raczej w stanie jej zatrzymać. Dla mnie nie miało to jednak znaczenia – zdrowy rozsądek wyłączył się całkowicie, zduszony nawałem emocji – a krasnolud rozumiał to w pełni. Wszak jego samego rodzina również skłaniała do dramatycznych wyborów, które niezycyliwy uznały za nieprzemysłane.

– Dotrzemy na miejsce, to się naradzimy – rzucił polubownie. – Widział ktoś Eliaha?

Elf, który nie tracił żadnej okazji, by przebywać jak najdalej od nas, właśnie pojawił się na drodze. Machnąłem do niego, by wskazać dalszy kierunek jazdy, na co ten w odpowiedzi skrzywił się pokazowo i pokręcił głową ze skrajną dezaprobatą.

Choćby świat płonął i walił się w gruzy, przeszło mi przez głowę, ten łajdak zawsze będzie zachowywał się tak samo.

Myśl o tym, że otaczali mnie niezłomni towarzysze, nieco dodała mi otuchy. Rozejrzałem się po pustym, zaśnieżonym trakcie, niemalże niknącym wśród cieni rzucanych przez rozłożyste sosny. Słońce prześlizgujące się między pniami było oślepiająco czerwone.

Niepokojąco czerwone.

Ledwo spiąłem konia, by ruszyć w dalszą drogę, gdy moją uwagę przyciągnęło dobiegające z oddali pobrzękiwanie dzwonek. Drogą z północy nadciągały dwa

podskakujące na wybojach, kołyszące się lekko na boki wozy zaprzężone w konie. Mimo zapadających ciemności dostrzegłem, że ich plandeki są barwne, a na wznoszących się nad nimi masztach powiewają z furkotem chorągiewki. Staliśmy zaskoczeni i wpatrywaliśmy się w nadciągających przybyszów.

– Kto, u licha, podzwania na trakcie? – burknął zaskoczony Gramm.

Człowiek siedzący obok woźnicy pierwszego z wozów trącił struny instrumentu i zaśpiewał coś głośno. Odpowiedziały mu głosy z drugiego wozu.

– Ten, kto chce, by było go z daleka widać i słyszać – odparłem. – Stawiałbym na cyrkowców.

Z cyrkowcami spotykałem się w życiu często i żywiłem wobec nich mieszane uczucia. Należało się bowiem spodziewać, że w skład trupy wchodzić będą ludzie, którzy mają niejedno na sumieniu i muszą szybko oraz często zmieniać miejsce pobytu. Prowadząc karczmę, zawsze próbowałem wierzyć w to, że kariera artystyczna okaże się dla nich ważniejsza od pokus, które znów skłoniłyby ich do pospiesznego wyjazdu, ale nigdy nie ryzykowałem. Za każdym razem, gdy gościliśmy cyrkowców, trzymałem kasę i wszystkie wartościowe przedmioty pod kluczem, a warunki pobytu ustalałem w towarzystwie Eliaha i Gramma, których obecność miała zawsze trzeźwiący wpływ na rozmówców. Potrzebami gości zajmowała się zaś Andrea, która uważała wszelkie przejawy świeckiej sztuki za ucieleśnienie Złego i robiła wszystko, by artyści odczuli to na własnej skórze. Na skutek tych działań trupy cyrkowców zatrzymywały się u nas na krótko i wyjeżdżały pospiesznie po jednym czy dwóch występach, rzadko kiedy kradnąc coś więcej niż parę widelców czy słoik miodu.

Sam również nie uważałem się za konesera sztuki, przez co jedynym powodem, dla którego naprawdę ceniłem trupy cyrkowe, było ich doświadczenie na szlaku. Cyrkowcy zawsze wiedzieli, które trakty są bezpieczne, w jakim stanie są mosty, gdzie narzucono nowe myto i czy nie pojawiły się nowe bandy rozbójników. Żyjąc w bezustannym ruchu, byli zmuszeni dokonywać ciągłego rozpoznania i sprawdzać wszelakie plotki. Ci zaś beztrąsko i z pieśnią na ustach zmierzali prosto na południe, a więc ku granicy z Krzemymkiem, za którą mogła gromadzić się armia. Czyżby więc wiedzieli coś, o czym ja nie miałem pojęcia?

Ciarki spłynęły mi po grzbiecie.

Cyrkowcy dostrzegli nas chwilę później. Grajek na koźle przestał trącać struny, odłożył instrument za siebie i podniósł się na koźle. Z ramion spływał mu ciepły koc, który zniekształcał sylwetkę, ale gdy uniósł kapelusz, wysypały się spod niego gęste czarne loki.

To kobieta! – pomyślałem, co natychmiast obudziło we mnie jeszcze większą ostrożność.

Kobiety nie były rzadkością w wędrownych trupach cyrkowych, a los stawiał je w trudnych sytuacjach równie często jak mężczyźni. Niedostatki siły fizycznej rekompensowały więc zwinnością i sprytem, a nieczyste intencje maskowały o wiele zręczniejszymi od mężczyźni. Jako człowiek w zasadzie prostolinijny nie ufałem im i chyba trochę się ich bałem.

– Hej! – zawołała wesołym tonem, który zgoła nie pasował do zapadającego zmroku. – Hej! Hejże, hej! Nie spodziewaliśmy się ujrzeć was tak szybko, dzielni wojacy! Jam jest Zwiewna Liwia, która od lat czaruje tańcem tłumy od Dymu aż po Wicher, a to moi druhowie z legendarnej Wystrzałowej Trupy!

Ukloniła się nisko, zamiótłszy kapeluszem śnieg, a potem złożyła nam dworski ukłon.

– Och, tak! – zawołała ze śmiechem. – Widzę na waszych obliczach zdumienie, ale spieszę zapewnić, że nie ulegacie złudzeniom! Wystrzałowa Trupa naprawdę bieży ku wam, by umilać wam czas akrobacjami, polykaniem ognia, śpiewem, pokazami siły i tresurą bestii zza morza!

– Nam? – spytałem ze zdumieniem, ale Zwiewna Liwia nie usłyszała moich słów, bo rozrzuciła nagle ramiona i zawołała z uniesieniem:

– Prowadźcie nas tedy do waszego obozowiska, a jeszcze dziś ujrzycie pierwszy występ!

Zaczyznałem mieć podejrzenia, za kogo szefowa Wystrzałowej Trupy nas bierze.

– Sęk w tym, droga pani, że my obozowiska nie mamy – powiedziałem powoli i dość surowo, co bynajmniej artystki nie zbiło z tropu.

– Ach, rozumiem, rozumiem! – zawołała i wykonała zgrabny piruet na śniegu, okraszony wiwatami reszty trupy, a potem położyła teatralnym gestem palec na ustach. – Rozumiem! Należyście, dostojni rycerze, do zwiadu! – szeptała teraz dramatycznie, z egzaltacją rozglądając się na boki. – Wykonujecie tajną misję dla księcia! Nie będziemy was zatrzymywać, skądże znowu! Wskażcie tylko dyskretnie, skąd nadejdzie wasza armia, a tam się udamy, nie wadząc dłużej nikomu.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy, podczas której przywódczyni trupy zerkała na nas z nadzieją, co rusz wykonując kolejny, coraz to bardziej wymyślny ukłon, a ja przygryzałem wargi, obmyślając odpowiedź. Wreszcie milczenie przerwał woźnica.

– Liwia, może jednak wracaj na wóz, co? – wycedził. – To nie krzemyccy.

– Nie? – Tancerka zamarła w połowie kolejnego ukłonu i się wyprostowała. – Jak to nie, Albercie? – syknęła, odwracając się ku woźnicy. – Przecież chwilę temu sam powiedziałeś, że to na pewno wojacy Fryderyka!

– Nie – burknął Albert, nie spuszczać z nas wzroku. – Powiedziałem: nie może być, by Fryderykowi już tu dotarli, a ty byłaś tak zajęta śpiewaniem, że usłyszałaś tylko drugą część zdania.

Tancerka zakaszłała i wykonała jeszcze jeden ukłon, głębszy i dłuższy, jakby potrzebowała chwili na obmyślenie odpowiedzi.

– Cóż, eee... Głupio może wyszło. Panowie, mam nadzieję, nie służycie księciu Stefanowi jakoś przesadnie lojalnie, prawda? – spytała nieco piskliwym głosem.

– Nie – odpowiedziałem. – Nie służymy Stefanowi. Nie służymy żadnemu z książąt, a tak po prawdzie to robimy wszystko, by do tej cholery wojny nie doszło.

Nie był to moment, by komukolwiek tłumaczyć, że tak naprawdę to walczymy ze Złem.

– Mamy więc sprzeczne interesy – oświadczyła Liwia. – Bo dla nas, niestety, wojna to źródło zarobku. Mało kto pragnie rozrywki bardziej niż żołnierze. Większość trup poszła za Stefanem pod granicę z Ugorem, a my, ledwie usłyszeliśmy o walkach na południu, ruszyliśmy w tę stronę.

– Gratuluję obrotności – rzekłem. – Wygląda mi na to, że jesteście pierwsi.

W moich słowach nie było kądziłości, którą być może powinienem w nich zawrzeć, ale byłem znużony i głodny, a do tego spieszyło mi się do domu. Nie był to więc również moment, by rozważać moralną stronę uprawiania sztuki.

– Cudownie! – Liwia klasnęła w dłonie. – Wygląda mi jednak na to, że daleko już tej nocy nie dojedziemy. Wskazalibyście nam, panowie, drogę do jakiejś karczmy czy zajazdu?

– Jest takie miejsce niedaleko stąd. I tak się składa, że tamtędy właśnie przejeżdżamy. Umówmy się więc tak, że pokonamy ten dystans wspólnie, a pani po drodze opowie mi wszystko, co wie na temat przebiegu wojny.

– Świetnie! – zawołała Liwia już z kozła. – Późno się robi, a wszyscy zdrożeni i głodni! Konie trzeba nakarmić, Kulfonowi coś do żarcia podrzucić, instrumenty nastroić. Wiesz pan, co się dzieje ze strunami przy takiej pogodzie?

Nasza zaimprovizowana karawana ruszyła więc w drogę na południe, a ja zrównałem się z wozem Liwii i Alberta, by wyciągnąć od nich wszystko, co wiedzieli na temat przebiegu starć. Mówiła głównie ona, a mi wystarczyło usłyszeć parę zdań, by dojść do tego, że Liwia dba nie tyle o treść swej wypowiedzi, co o jej formę. O przebiegu starć wiedziała w zasadzie mniej ode

mnie – o starciu pod Zagórkami, dla przykładu, nie miała pojęcia – co nie przeszkadzało jej jednak mówić bez końca. Powtarzała te same zdania po trzy, cztery razy, ubierając je w inne słowa, wplatała w wypowiedź anegdoty, wybuchła teatralnym śmiechem, co rusz kuksała udręczonego Alberta, klepała mnie w ramię i znów zaczynała trajkotać.

– Armia księcia Fryderyka na pewno jest już w drodze! Pomnij moje słowa, dobry człowieku. Ludzie od paru dni gadają w Wichrze, że ma się na coś wielkiego! Ponoć widziano jakies oddziały gdzieś tu na południu księstwa! Na łodziach szli, wyobrażacie sobie? W taką zimę na łodziach! Na razie nie ma wieści o dalszych ruchach, ale nastąpią, wierzcie mi, nastąpią! A my będziemy tam pierwsi! Wystrzałowa Trupa!

Pochwyciła leżący za sobą instrument i z wigorem trąciła struny.

– Hej, Wystrzałowo Trupo! – zaśpiewała głośno mocnym, dźwięcznym głosem, a potem znów zwróciła się do mnie. – Z pewnością wojska księcia Fryderyka docenią dobrą rozrywkę. Pracuję z niezwykle utalentowanymi ludźmi, a do tego mamy Kulfona. Rety, przecież to beczka śmiechu. Skacze, turla się, drapie po tyłku, wyciąga sobie dziwne rzeczy z nosa, ludzie będą go uwielbiać!

Zaśmiała się i znów klepnęła Alberta przez plecy.

– Ale to nie wszystko! Trzeba przecież iść z duchem czasu! Trzeba nasłuchiwać tego, co się w polityce zmienia, drogi panie! Trzeba mówić to, co ludzie chcą słyszeć! Wiesz, co naprawdę zadecyduje o naszym sukcesie kulturalnym? – Liwia zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. – Otóż przygotowaliśmy kilka numerów wysławiających mądrość Fryderyka i głupotę Stefana. Ha! To będzie coś wspaniałego! Chcecie posłuchać mojej ulubionej piosenki? Ha, pewnie, że chcecie. Oto ona!

Znów trąciła struny i otworzyła szeroko usta, ale potem niespodziewanie się rozkaszała. Albert spojrział na nią z mieszaniną ulgi i zaskoczenia, a ja wykorzystałem okazję, by nieco zwolnić i puścić ich wóz przodem. Odszukałem wzrokiem Żychłonia i po jego ponurej, zaciętej minie poznałem, że nagły atak kaszlu Liwii wcale nie jest przypadkowy i na pewno potrwa dłuższą chwilę.

Cóż, mogłem się tego spodziewać. W świecie naszego guślarza cyrkowcy zajmowali trzecią lokatę na liście śmiertelnych wrogów, zaraz po rycerstwie i kapłanach, a przyczyną jego niechęci była ich wrodzona wrzaskliwość, jakże irytująca dla ludzi żyjących w jedności z naturą. Suchy kaszel Liwii okazał się dźwiękiem jeszcze trudniejszym do zniesienia od jej trajkotu, a więc znów zwolniłem i zrównałem się z drugim wozem.

Czyli na razie na południowej granicy cisza, myślałem z ulgą. Rety, to dobrze. Do Wichra mamy dobrych kilkadziesiąt mil, ale podczas wojny wieści podróżują szybko. Tymczasem na tracie nie ma uchoźców, a na horyzoncie nie ma pożarów. Dobrze, dobrze, ale nie oznacza to, że nie powinniśmy się spieszyć. Teraz...

– Kociołek! – szepnął ktoś, przerywając moją zadumę.

Zamrugalem i rozejrzałem się odruchowo. Jechałem przy drugim wozie cyrkowców z dwoma mężczyznami na koźle: barczystym osiłkiem i tykawatym ponurakiem, którego funkcji w trupie jak dotąd nie odgadłem. Za wozem jechał Żychłoń, dalej sunęły sanie Gramma, a w oddali majaczył Eliah. Nikt z nich nie wypowiedział tych słów, ale głos ewidentnie był znajomy.

Z niedowierzaniem spojrzałem na plandekę wozu i dostrzegłem rozdarcie w materiale. Z ciemności po drugiej stronie spoglądały na mnie czyjeś błyszczące ślepia.

– Kociołek, to ty?

Wreszcie dopasowałem głos do osoby.

– Zwierzak? – wymamrotałem z niedowierzaniem. – To naprawdę ty czy mi odbiło do reszty?

– Tak! – ucieszył się goblin. – To ja! Choć w sumie trochę nie ja, bo teraz nazywam się Kulfon!

– Co? – Z wrażenia o mało nie spadłem z konia. – Co ty wygadujesz?

– Noo, to nie był mój pomysł, ale co tam, może być! Kulfon, Zwierzak, co za różnica! Na występach chcą mnie pokazywać! Występować będę!

– Że jak? – syknąłem, nachylony nad szparą. – Zwierzak, odwaliło ci do końca? Cyrkowcem się stałeś?

– Nie! To znaczy tak trochę! Siedzę właśnie akurat w klatce, czyli tak, jakbym trochę należał do trupy, ale...

– W klatce? – jęknąłem.

Osilek na koźle odwrócił się ku mnie z szerokim uśmiechem na jowialnej twarzy.

– A jakbyś pan chciał takiego dzikusa trzymać? – zawołał. – Jeszcze by, zaraza, gdzie napaskudził!

– Albo w palec dziabnął! – dodał tykawaty. – Widziałeś pan, jakie toto ma zęby?

– Starczy, że pluje bez ustanku, bydlak zatracony!

Nadal nie mogąc uwierzyć w to, czego byłem świadkiem, odwróciłem się i spojrzałem na Żychłonia.

– Słyszałeś to? – wykrztusiłem. – Ci cyrkowcy złapali Zwierzaka!

– Kulfona, panie! – krzyknął osiłek. – Jakiego znowu zwierzaka? Dwie łapy, dwie nogi, dziesięć palców... Kulfon jak się patrzy!

– No i nie do końca złapali! – dodał Zwierzak. – Sam wlażłem!

Czasami dopadało mnie wrażenie, że w swoim życiu dotarłem już do granic absurdu, a niedługo później miało miejsce coś, co uświadamiało mi, jak bardzo się myślę. Rozglądałem się w oszołomieniu i to otwierałem usta, to znowu je zamykałem, nie mając pojęcia, jak zareagować. W końcu uderzyłem konia piętami i podjechałem do Żychłonia.

– Ty mnie słyszysz? – wyszeptalem. – Oni mają Zwierzaka.

– Zwierzaka? – wymamrotał czymś zafrapowany Żychłoń, jakby kompletnie nie zrozumiał pytania, a powtórzył ostatnie słowo, by dać mi znać, że w sumie to mnie słucha.

– Tak! W klatce! Nazywają go Kulfon i po występach chcą go obwozić! – wyrzuciłem z siebie, nie mając pewności, czy powinienem odczuwać radość, konfuzję czy zażenowanie. – A on najwyraźniej nie ma nic przeciwko!

– To dobrze – oświadczył Żychłoń.

– Dobrze? – zatkało mnie.

– Bo przynajmniej wiemy, gdzie jest, i póki co nigdzie nie polezie, a w klatce jest mu wyjątkowo do twarzy. Coś innego mnie zaciekawiło. Patrz tam!

Księżyc, choć zasłonięty przez chmury, jaśniał mocno, a śnieg odbijał jego blask, dzięki czemu widać było zarówno jadące przed nami wozy, jak i zakręcającą w lewo drogę. Dostrzegliśmy też kontur strażnicy wraz z mostem, wciąż zawalonym barykadą. W oknie na piętrze migotało światło.

– Co takiego cię zainteresowało? – spytałem. – Poznałem tych trzech dziarskich wojowników i zakładam, że siedzą teraz przy czymś do żarcia i narzekają na życie.

– O tej porze? Zajechałem tu kiedyś z inspekcją tuż po zachodzie słońca, a cała trójka już była w koszulach nocnych.

– Och, zapisała się ta wizyta w ich pamięci, wierz mi. – Uśmiechnąłem się ciępkó.

– Dupa – odezwał się jakiś głos. – Straszna dupa.

Zerknąłem badawczo na jadącego za nami Gramma, który najwyraźniej drzemał na koźle, a potem na dwóch cyrkowców jadących na wozie ze Zwierzakiem. Nie wydawało mi się, by te słowa padły z ust któregośkolwiek z nich.

– Fifol – powtórzył ów głos.

– Żychłoń, ty też to słyszałeś? – spytałem ze zdziwieniem. – Ktoś przy nas celebruje genitalia, ale nie wiem kto!

– Słyszysz głosy, tak? – zachichotał guślarz. – Cóż, poprosimy Zwierzaka, żeby zrobił ci trochę miejsca w klatce, a póki co mam wielką ochotę się przekonać, jak wygląda sytuacja z dyscypliną w Przylęgu. Bo po mojemu trójka dzielnych obrońców poszła spać i nie wygasiała ognia. Jedziesz ze mną?

– Pewnie.

– No to dalej. Wystraszymy tych obwiesi.

Popędziliśmy konie do szybkiego kłusu. Wyminieliśmy pierwszy wóz, na którym siedziała wciąż kaszłająca Liwia, i pognaliśmy drogą prosto ku ciemnej strażnicy z oknem rozświetlonym ogniskiem. Wysforowaliśmy się znacznie przed naszą spontanicznie powstałą karawanę i na znak dany przez Żychłonia zsunęliśmy się z siodeł i przytroczyliśmy uzdy do gałęzi drzew. Guślarz jeszcze raz dał mi znać, bym zachował ciszę, i ruszył dziarskim krokiem w kierunku strażnicy.

Podążyłem za nim. Nie bardzo wiedziałem, o co mu właściwie chodzi – oddał wszak rolę porucznika dochodzącej do siebie Yrene – ale zakładałem, że wciąż zależy mu na bezpieczeństwie księstwa i chce, by nawet ludzie niezbyt nadający się do roli strażników mimo wszystko stawali na wysokości zadania. Na szczęście już po paru krokach przekonałem się, że Żychłoń niepotrzebnie się przejmuje. Z okienka skierowanego ku drodze dobiegały bowiem odgłosy przekomarzania się nad garnkiem.

– Bigos chyba czy flaczki. Mówił, że dobre, ale niedosolone. – Głos należał do strażnika ochrzczonego przeze mnie mianem Bulwy.

– No, widzisz? – rzekł inny, chyba Tyczka. – Każden ci to powie. Sypnij no jeszcze.

Zwolniłem, uświadomiwszy sobie nagle, że chyba kiedyś tę rozmowę słyszałem.

– Żychłoń, coś tu nie gra – wymamrotałem, a potem rozległy się słowa wypowiedziane moim głosem.

– A w dobrą stronę mieszam?

Zrobiło mi się zimno.

– Żychłoń! – syknąłem błagalnie. – Ja znam tę rozmowę!

Guślarz już kładł ogromną dłoń na zasuwie wrót do stajni, gdzie znajdowała się drabina prowadząca na górę, ale zatrzymał się i odwrócił ku mnie z pytającym spojrzeniem.

– Co takiego?

– Ja w niej uczestniczyłem! Nie słyszałeś? To przecież mój głos był! Zaraz powiedzą...

– W dobrą! – odezwały się trzy głosy.

– No właśnie! – szeptałem nerwowo. – Coś tu jest nie w porządku!

– Kociołek, czy ty naprawdę chcesz w tej klatce z Kulfonem wylądować? – spytał guślarz, choć zauważyłem, że mówi ciszej, jakby w zasadzie wierzył, że mam powód do niepokoju, ale usiłował dodać mi odwagi czy otuchy. Ja zaś, nie patrząc już na niego, cofnąłem się o krok i wbilem wzrok w piętro strażnicy.

To się nie dzieje naprawdę! – pomyślałem, a potem krzyknąłem:

– W dobrą!

Przez ułamek sekundy widziałem w oknie twarz – niby ludzką, ale stalowoszarą i pozbawioną zarostu, ze szpiczastymi, długimi uszami i zmrużonymi, skośnymi oczyma. Wydawało mi się, że są ciemnoczerwone.

Cofnąłem się i krzyknąłem coś ostrzegawczo.

A potem obcy wyskoczył przez okno prosto na mnie.

Przez umysł przemknęła mi zupełnie niepotrzebna myśl, że zniknął po to, by wziąć rozbieg. O tym, dlaczego w ogóle atakował, już pomyśleć nie zdążyłem. Z głośnym trzaskiem rozłożył błoniaste, szare skrzydła, które w ułamku sekundy przesłoniły mi cały świat. Zdaje się, że chciał wytracić nieco prędkość, by przeprowadzić celniejszy atak.

Ja w każdym razie do obrony nie miałem się jak przygotować.

Zdążyłem wyciągnąć miecz do połowy, gdy potwór wyrzucił w przód tylne nogi i kopnął mnie w pierś z przerażającą siłą. Uderzenie wybiło mi powietrze z płuc i posłało mnie w tył. Zatoczyłem się i padłem na śnieg, krztusząc się i rżąc, a potwór zasyczał z tryumfem i wyskoczył naprzód.

Czas nagle zwolnił. Próbowałem się podnieść, ale bestia przypadła do mnie i z grymasem, który można było poczytać tylko za sadystyczną satysfakcję, zacisnęła mi dłoń na gardle. Nie mocno, co zarejestrowałem na skraju świadomości. Jakby chciała, bym stracił przytomność, a potem...

Nie wiem, co byłoby potem. Niespodziewanie bowiem bzyknęła strzała, która z suchym trzaskiem przebiła stworowi błonę na skrzydle. Ten poderwał się i otworzył szeroko ślepią, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że nie jestem sam. Odskoczył, gdy skądś dobiegł ryk szarżującego krasnoluda, rozejrzał się z nagłym przestraszeniem, po czym rzucił się na ziemię, gdy śnieg pod jego pazurzystymi łapami buchnął gorącą parą, a potem płomieniami.

Wciąż nie mogłem złapać tchu. Świat falował i się rozplątywał, a do tego wszędzie skakały rozdygotane cienie. Wydawało mi się, że mój napastnik,

wyraźnie przerażony, rzucił się do panicznej ucieczki w kierunku mostu. Widziałem, jak wspina się na barykadę, a wtedy jakaś przepotężna siła wyrzuciła go wysoko w powietrze. Nie upadł jednak na ziemię, ale zatrzepotał pospiesznie skrzydłami i odleciał.

Potem straciłem przytomność.

*

– Dupa. Cycki.

Duszący sen, w którym skrzydlate potwory kołowały nad Gryfem i śmiały się głośno, podczas gdy ja próbowałem dosięgnąć je z dachu grabiami, uleciał w jednej chwili. Otworzyłem oczy, zamrugałem parokrotnie i spróbowałem się podnieść na łokciu, co obudziło atak bólu tak paraliżującego, że jęknąłem głośno i padłem na posłanie.

Posłanie, uświadomiłem sobie, gdy ból zelżał.

Miałem coś miękkiego pod głową, a ciało nakryte kocem. Ostrożnie przesunąłem rękę i natrafiłem palcami na grube bandaże, którymi owinięto mi klatkę piersiową. Czuję ostry zapach ziół, siana i koni, a skądś dobiegał odgłos ożywionej rozmowy.

– I fifol.

– Kto... – wychrypiałem. Gardło najwyraźniej ucierpiało bardziej, niż sądziłem, bo słowa artykułowałem z niemałym trudem. – Kto tu bluzga i po co?

Wiedziałem już, że leżę w stajni, a ciemności rozświetla pojedyncza lampa. Wszędzie dookoła widziałem sylwetki koni, a na stosie siana drzemało kilku cyrkowców. Żychłóń spał oparty o drewniany słup, Gramm stał z toporem w rękę przy wrotach stajni, a Eliaha nigdzie nie widziałem.

– To ten worek – powiedział Zwierzak.

Odwróciłem głowę, co również nie przyszło mi łatwo. Goblin siedział w klatce, przykryty do pasa kocem. Za jego plecami leżał zmięty siennik.

– Jaki worek? – zdołałem wykrztusić.

– Ten! – Zwierzak wskazał mi bezładny stos sakw, siodła i plecaków zrzuconych przez Gramma i Żychłonia. Rozpoznałem też swoje rzeczy, ale nie miałem pojęcia, o czym goblin gada do momentu, gdy ujrzałem stary, parciały worek, związany mocno rzemieniem, który nieustannie wybrzuszał się i falował, jakby znajdowało się w nim coś żywego i... cóż, płynnego.

– Całą noc gada – dodał Zwierzak. – Ale nic sensownego. Ciągłe dupa i dupa.

– Nic sensownego, tak? – powtórzyłem. – I ty to mówisz?

– Tak. – Goblin zamrugał. – A czemu się dziwisz?

– Zwierzak, spójrz no na siebie. Siedzisz w klatce trupy cyrkowców, najwyraźniej bardzo zadowolony zarówno z życia, jak i z tego, że nazywają cię Kulfon. Słaba pozycja, by zarzucać czemuś brak sensu. Posłuchaj, to kiepski moment na wyjaśnienia, ale na lepsze nie mam już nadziei, więc... Ja pieprzę, ale mnie wszystko boli... No, wyjaśnisz mi to jakoś?

– Tę klatkę?

– Między innymi.

– To był mój pomysł – wyjaśnił goblin, odrzucił koc i zaczął majstrować przy drzwiczkach.

– Twój? Zamarzyła ci się nowa kariera?

Drzwi klatki szczęknęły i stanęły otworem. Zwierzak wylał na zewnątrz.

– Gdzie tam kariera – mruknął. – Pożegnałem się z plemieniem w Wichrze i postanowiłem, że wrócę do Gryfa. Ino jak, myślę sobie? Konia nie mam, forsy nie mam, a pieszo daleko. I zimno. No to załapałem się jako punkt programu do trupy cyrkowej. Jadę, se wyobraź, za darmo! Cyrkowcy nie oszczędzą koni, jeść dają, pić dają, mam gdzie spać. Czasem tylko każą skakać, pluć i po dupie się drapać, co i tak robię bez przerwy, więc...

– Dupa – wtrącił worek.

Zacisnąłem powieki. Zwierzaka zawsze otaczały opary absurdu, ale świeżej porcji nie byłem w stanie wchłonąć, choć – co docierało do mnie z trudem – jego pomysł zdradzał niebagatelny spryt, na który mnie osobiście stać by nie było.

– Genialne. Sam bym, wierz mi, tego nie wymyślił. Gdzie jesteście? – wystękałem po tym, jak już udało mi się podnieść do pozycji siedzącej. – Wciąż w Przylęgu?

– Nie wiem, co to jest Przylęg – przyznał szczerze goblin. – Jeśli chodzi o tę strażnicę, to tak.

Przypomniałem sobie stalowoszare oblicze potwora ze szpiczastymi uszami i skośnymi, ciemnoczerwonymi ślepiami i przeszedł mnie dreszcz.

– A ten bydlak, co na mnie wyskoczył... – zapytałem cicho. – Pojawił się jeszcze?

– Nie – odparł beztrąsko goblin. – Chyba nie – zmartwił się po chwili. – Bydlak? Jaki właściwie bydlak? Bo wiesz, mi nikt nic nie mówił, ale siedziałem w klatce i...

– To było Złe, prawda? – szepnąłem.

Goblin zaczął coś mówić, ale nie mogłem się skupić na słuchaniu. Odkąd wyruszyłem z domu, rozglądałem się na prawo i lewo w poszukiwaniu Złego. Z tego, co wiedziałem, podobnie postępował Żychłoń i żadnemu z nas nie udało się ustalić obecności jego agentów. Gdyby nie pewność, że księżę Fryderyk

niemalże znalazł się pod władaniem Złego, byłbym gotów zacząć mieć nadzieję, że w Dolinie doszło do zwykłej przepierki między książętami, pozbawionej choćby odrobiny nadprzyrodzonych elementów. Oczywiście po tym, co przeżyliśmy, podobne przekonanie byłoby dowodem na skrajną naiwność, ale mimo to spotkanie z ową szaroskórą, skrzydlatą istotą przepełniło mnie goryczą.

Złe realizowało własne plany. Po cichu, powoli, dyskretnie, ale z całą pewnością skutecznie, a my, blokując plany przekłętego Fryderyka, nie mogliśmy się skupić na krzyżowaniu planów jego agentów.

Z zadumy wyrwały mnie ostre słowa Liwii, która oderwała się od rozmowy z Albertem i szła teraz ku nam szybkim krokiem.

– Kulfon! Natychmiast do klatki! Co ty sobie myślisz?

– Nic – przyznał szczerze goblin.

– Dostyc już tego – powiedziałem cicho, z trudem, nieprzychylnie spoglądając na szefową trupy. – To nie jest żaden Kulfon, a goblin, i do tego mój kumpel, i ma na imię Zwierzak. Chyba. W każdym razie my tak na niego mówimy. Tak czy owak, Zwierzak nigdzie z wami już nie pojedzie, i to nie dlatego, że w każdej chwili mógł się z tej klatki wyrwać, ale dlatego, że ja tak mówię.

Liwia zmarszczyła brwi tak, że ułożyły się w czarny zygzak, i wzięła się pod boki.

– Chyba sobie żartujesz – zaczęła, pochylając się nade mną groźnie, całkowicie nieświadoma tego, że byłem mężczyzną żonatym do tego stopnia, że zastraszyć mnie mogła tylko jedna kobieta, a za nią akurat tęskniłem ze wszystkich sił. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, ile wysiłku włożyliśmy w choreografię Kulfona? – wysyczała. – Absolutnie się nie zgadzam na odstąpienie Kulfona komukolwiek, z jakiegokolwiek powodu. Możemy o tym pogadać po zakończeniu sezonu, ale...

– Ciszej mów – powiedziałem. – Głowa mnie boli od tego jazgotu.

– Nigdy w życiu nie pozwolę, by...

– Weź sobie ten gadający worek – przerwałem jej. – Jeść nie woła, klatki nie potrzebuje, nie pluje niczym lepkiem, nie żąda podwyżek, a do tego jest równie elokwentny jak Zwierzak. No nie, worek? Powiedz coś.

– Siusiak.

– A książkę Stefan to...

– Pipa.

– Posłuchaj no, mości panie! – Liwia wzięła się pod boki. Jej oczy pałały gniewem. – Nie będziesz mi mówił...

Dalszą wypowiedź przerwał jej wściekły, niepowstrzymany atak kaszlu.

– Dzień dobry, Żychłoń – odezwałem się chrapliwym głosem.

Guślarz stał nad pochyloną, rozkaszlałą tancerką i przecierał zaspane oczy.

– Wybaczcie, musiałem – burknął, wskazując kobietę. – Jak się czujesz, Kociołek?

– Jakby ktoś mną dywan wytrzepał – przyznałem.

– Czyli tylko trochę gorzej niż zwykle. Dobrze. Zbliża się świt. Ruszamy?

– Ruszamy – wycedziłem i walcząc z bólem klatki piersiowej, dźwignąłem się na równe nogi. – Śniadanie zjemy w Gryfie.

– Nie tak szybko, Kociołek – powiedział ponuro Żychłoń. – Jest jeszcze coś do zrobienia.

*

Świt okazał się zimniejszy, niż się spodziewałem. Przez noc chwycił porządny mróz i skryta pod śnieżnym kobiercem ziemia była zmarznięta na kamień. Mimo to nie ustawaliśmy w wysiłkach. Gramm z zawziętą miną kopał znalezione łopata, Żychłoń naruszał ziemię starą siekierą, którą trzymał jak kilof, pracowali również Eliah, Zwierzak oraz wszyscy cyrkowcy, łącznie z Liwią, która wyносиła z powiększającego się dołu wiadra ziemi. Chciałem dołączyć, ale Żychłoń w paru cierpkich słowach wybił mi to z głowy.

– Masz złamane żebro, Kociołek – warknął nieprzyjemnie ojcowskim tonem. – Przynajmniej jedno. Jak najmniej ruchu, chłopie, bo tylko pogorszysz sprawę.

Stałem więc i wpatrywałem się załzawionymi oczami w różowiejące niebo, odwrócony plecami zarówno do kąpiących, jak i do dwóch ciał przykrytych derkami, kocami i prześcieradłami.

Istniał, jak się okazało, ważny powód, dlaczego wszyscy spaliśmy w stajni, a nie w znacznie wygodniejszej izbie na piętrze.

W końcu, gdy sprzykrzyła mi się już bezczynność, wróciłem do strażnicy, znalazłem jakąś deskę i, starając się ignorować ból w klatce piersiowej, wyryłem na niej nożem słowa: „Obrońcy Przylęgu, polegli w walce ze Złem”. Gdy wróciłem, ciało już nie było, a nad wykopany dołem wznosił się niewielki kopczyk. Bez słowa umieściłem na nim tabliczkę, a potem pochyliłem głowę i poleciłem Doli dusze Tyczki i Kudlaka.

Bo ciała Bulwy nigdzie nie znaleźliśmy.

Ktoś powinien był coś powiedzieć, ale nikomu z nas nie przychodziły do głowy odpowiednie słowa. Milczeliśmy więc zawzięcie, próbując nie myśleć o poszarpanych twarzach i strzaskanych ciałach krzepkich staruszków, którym

rozkaz ksiązęcy nakazał strzec mostu. Niewiele pocieszał mnie fakt, że w walce z agentem Złego mogłoby nie dać sobie rady nawet dziesięciu sprawnych, dobrze uzbrojonych wojowników. Żałowałem śmierci tych dwóch – a może trzech? – upierdliwców z całego serca, a w myślach snułem plany zemsty.

I odpychałem od siebie lęk.

Gryf był doskonale zabezpieczony przez Żychłonia i żaden sługa Złego nie zdołałby tam wejść, ale nie chciałem, by mój dom stał się jedynym azylem bezpieczeństwa w okolicy. Nie chciałem, by ginęli ludzie. Nie chciałem, by dochodziło do tragedii.

Z wrogiem można się było jakoś dogadać. Można było zawrzeć układ, przekupić go, zastraszyć, oszukać czy wyprowadzić w pole. Ze Złem nie dało się zrobić żadnej z tych rzeczy. Można było jedynie z nim walczyć i zabijać.

Nienawidziłem Złego.

Pożegnaliśmy się z cyrkowcami i wyruszyliśmy w drogę, nie chcąc słyszeć, jak Liwia tłumaczy reszcie trupy, że przeklinający worek przyniesie im więcej mohinów niż Kulfon.

*

Róż wschodzącego słońca rozmyły pasma mgły, trzymające się blisko ziemi. Szliśmy galopem do chwili, gdy końskie boki pokryły się lepkiem potem. Wówczas zwolniliśmy do kłusu, a potem stępa, co wbrew sobie powitałem z ulgą. Spieszyło mi się do domu jak nigdy wcześniej, ale złamane żebro nie przestawało dokuczać.

– Żychłoń? – odezwałem się chrapliwym głosem, bo gardło również nie wróciło jeszcze do normy. – Co to właściwie było?

– Upiór – odparł guślarz.

– Upiór?

– No. Dostałem dwa od znajomego upiornika. Wiecie, tego, który pomagał mi szukać dusz. Dał mi jeszcze takiego, który...

Pokręciłem głową.

– Nie o to mi chodziło. Miałem na myśli stwora, który załatwił tych starszuchów. Jak na złość zostawiłem zapiski Matta z Kurzu w domu, ale nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek o czymś takim czytał.

– Ja też nie – przyznał guślarz. – Gramm, a ty? Łazi przecież u was pełno tego paskudztwa, no nie?

Na krasnoludzkie sanie wprosił się Zwierzak, co Gramm zniósł o wiele gorzej niż jelonek, który teraz musiał ich obu ciągnąć. Krasnolud był obrażony na cały świat, co w sumie podnosiło mnie na duchu. Cieszyło mnie, że w tak trudnych chwilach moi towarzysze są zdolni do zwykłych sprzeczek.

– Nie – przyznał markotnym tonem. – Nigdy nie widziałem takiego bydlaka. To nie Parszywiec aby?

– Nie sędzę – pokręciłem głową. – Parszywce przypominały wychudzone małpy z psimi pyskami i błoniastymi skrzydłami. Ten był solidniejszej budowy, a głębię miał niemalże ludzką, gdyby nie te szpiczaste uszy.

– I lepiej latał – dodał Eliah.

Odwrociłem się i zauważyłem, że elf jechał tuż za nami, najwidoczniej zaintrygowany rozmową. Jako jedyny z nas nie nosił czapki, a jego włosy powiewały na zimnym wietrze.

– Lepiej?

– Zrobił unik przed drugą strzałą.

– Czyli jest nadludzko zwinny, a to zła wiadomość. – Wbiłem wzrok w zamglony horyzont, z którego właśnie wylaniał się ośnieżony, niewyraźny las. Do domu zostało sześć, może siedem mil.

– Ja osobiście bardziej przejmuję się tym, że pieprzony skubaniec skądś znał przebieg waszej rozmowy i odtworzył ją tak, że sam dałeś się nabrać. – Guślarz przyglądał mi się z powagą.

– No właśnie – pokiwałem głową. – Skąd ją znał? Co pomogło mu ją odtworzyć?

I co jeszcze potrafi? – zapytałem się w myślach.

Im dłużej myślałem, tym bardziej byłem pewien, że nigdy o niczym takim nie słyszałem. Do tej pory uważałem Trójokich Grzeszników za najgroźniejszych przeciwników, ale być może Złe miało w swoich szeregach agentów o umiejętnościach o wiele bardziej przerażających. Może więc skoro Trójocy Grzesznicy, którym tak łatwo przychodziło wtapianie się w ludzkie społeczeństwa, nie odnosili większych sukcesów, Złe wypchnęło innego łajdaka do walki na pierwszej linii? Może teraz mieliśmy się zmagać z tym szpiczastouchym monstrem?

– Ty, Zwierzak – odezwałem się, by zmienić nastrój i temat. – Mógłbyś może wreszcie opowiedzieć nam o tym, po co właściwie twoje plemię przybyło w okolice Gryfa?

– Co? – Goblin ocknął się z głębokiej zadumy.

– Opowiesz nam swoją historię?

– Pewnie – ucieszył się Zwierzak. – Posłuchajcie.

OPOWIEŚĆ Z WICHRU

Była sobie raz królowna, której się w sumie nic nie chciało. Żyła dość wygodnie, jak to królowna, i o wszystkie jej potrzeby należycie dbano, a więc nie musiała wcale polować, łowić ryb czy uprawiać ziemi. Od wszystkiego miała służących, nawet od tłuczenia komarów czy drapania się po plecach. O wiele ważniejszym powodem, dlaczego wyrósł z niej leniuch, było to, że rodzice ciągle zapędzali ją do nauki. Musiała poznać historię swego ludu, wszystkie opowieści z dawnych lat, nazwy chwastów i owadów, zwyczajnie ryb i zwierząt, pieśni i zaklęcia. Nic więc dziwnego, że po kilku godzinach spędzonych na ciężkiej nauce nie chciało jej się robić dosłownie nic.

Pewnego dnia jednak zauważyła osobliwą niebieską żabę i postanowiła ją zjeść...

*

– Zwierzak – przerwałem mu. – Nie do końca o to chodziło.

– Daj mu spokój, Kociołek! – zarechotał Gramm. – Świetna historia. No i co, Zwierzak? – Klepnął go z rozmachem przez plecy tak, że goblin o mało nie wypadł z sań. – Zjadła tę żabę czy nie?

– Później Grammowi dokończysz – zaprotestowałem. – Zależało mi na czymś bardziej konkretnym.

– Na czym? – Zwierzak patrzył teraz na nas z oszłomieniem.

Westchnąłem ciężko.

– Z jakiegoś powodu całe twoje plemię przez kilkanaście długich dni gościło przy naszej karczmie, a potem znikło równie niespodziewanie, jak się pojawiło, pozostawiając po sobie dziurę w ziemi i trupy ludzi Muchomorka. Możesz to jakoś wyjaśnić?

– Eee... – Zwierzak zamrugał parokrotnie. – Aha, dobra.

*

Królowa goblinów dorzuciła do ognia, a ku niebu buchnął dym. Przez moment obracała ryby smażące się nad płomieniami, a potem przypominała sobie o rozmówcy. Zmarszczyła groźnie brwi i spojrzała na Talvinna z niedowierzaniem.

– Przyznam szczerze, że zupełnie cię nie rozumiem. Przecież wypełniłeś zadanie i możesz wracać na Skri'i, a tam zająć się swoimi sprawami. Chyba dość już się naczekałeś, co?

Zaśmiała się przy tych słowach rubasznie i klepnęła Talvinna w plecy, a potem splunęła nad nabrzeżem. Talvinn uczynił to samo, bo przecież tego wymagała dworska etykieta.

– Dość, ale moja rola nie dobiegła jeszcze końca... – zaczął, ale królowa przerwała mu głośnym prychnięciem.

– Przestań wygadywać głupoty! Jeśli...

*

– Poczekaj, Zwierzak – wtrącił Żychłoń. – O czym ty gadasz? Kociołek powiedział ci, że masz już nie wygadywać farmazonów, co?

– Ale to wszystko prawda! – Zwierzak wybałuszył oczy. – Tak właśnie było!

– Dobrze, ale miałeś mówić o tym, co się z tobą działo przez ostatnie tygodnie – westchnąłem.

– Ale to właśnie jest o mnie! – Goblin był bliski płaczu.

– W takim razie ten Talvinn... to ty? – spytał z niedowierzaniem krasnolud.

Goblin rozpromienił się i nadął.

– Pewnie, że tak! – oznajmił. – Myślicie, że moi mówią na mnie Zwierzak?

Znałem goblina od lat, ale nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że ten bez wątpienia we własnym pleminiu nosi inne imię. Zrobiło mi się trochę głupio.

– Dobra, mów dalej – powiedziałem, udając lekki ton. – Ale zdradź chociaż, gdzie odbyła się ta rozmowa.

– W Wicherze – odrzekł Zwierzak, a potem jego opowieść popłynęła dalej. – No wiecie. W takim mieście. Trochę śmierzącym.

– Wiemy. Mów.

*

– Przestań wygadywać głupoty – oświadczyła królowa. – Obrotny z siebie gość, Talvinn. Na tropieniu się znasz, wojownik z siebie pierwszorzędnny, a pomysły przytrafiają ci się

doskonale. Niech mnie mech porośnie, przydasz się plemieniu! Znalazłeś dla nas schronienie na czas przybycia Kuli Błota, a potem pomogłeś nam ukraść łodzie, byśmy mogli wrócić na Skri'i. To wystarczy, byśmy długo śpiewali o twoim męstwie!

– Nie chcę, byście o mnie śpiewali! – zaprotestował Talvinn. – To znaczy chcę, ale jeszcze nie teraz. Muszę wrócić na południe. Do Gryfa!

*

– Czekaj, Zwierzak! – Gramm tarł czoło. – Bo się, kurna, pogubiłem. Jaka Kula Błota?

Zwierzak wpatrywał się w nas szeroko otwartymi oczami, jakby nie przyszło mu w ogóle do głowy, że ktoś może nie znać tego aspektu goblinńskiej kultury.

– No... – wykrztusił wreszcie. – Kula Błota to... no, Kula Błota!

– Czyli co konkretnie? – Mina Żychłonia wskazywała, że nadal nie wie, czy Zwierzakowi do reszty odbiło, czy może stroi sobie żarty. Eliah chichotał po cichu do siebie, co oznaczało, że on już ten dylemat rozwiązał.

– Jak by wam to powiedzieć... – Goblin rozglądał się w poszukiwaniu natchnienia. – Noo... no, czasami pojawia się Kula Błota i tyle. Wisi nad ziemią i obraca się, a wtedy trzeba wiać.

– Czemu? – Gramm z trudem powstrzymywał rozbawienie. – Bo może się poturlać?

– Nie, nie! – Zwierzak potrząsnął głową. Jeśli usłyszał kpinę w tonie Gramma, nie dał tego po sobie poznać. – To manifestacja boskiej mocy! Bardzo boskiej! Nigdy nie wiadomo, kiedy się pojawi Kula Błota i jak długo będzie się obracać! Nie wiadomo też, co po sobie zostawi. Czasem wybucha! Naprawdę! Wybucha, by pokarać nieposłuszne plemię, a my... no, trochę na sumieniu mamy.

Mnie jednak zaintrygowało jedno z jego wcześniejszych zdań.

– Co po sobie pozostawi?

– Tak! – przytaknął z przejęciem Zwierzak. – Bo Kula Błota to manifestacja bogów! Nie wiem których, ale to przecież mało istotnie. Bywa, że rozpada się i zostawia krater pełen znaków! Albo obeliski! Kaniony! Wszystko to jest dla nas bardzo ważne! Bardzo! Odczytujemy z tego przyszłość! Rady! Przestrogi! Wskazówki!

Zwierzak urwał na moment, tak bardzo pochłonięty swą wypowiedzią, że nie zauważał, jak Gramm czerwienieje na twarzy od tłumionego śmiechu.

– Ale tak czy owak wybucha. Dlatego się wynosimy. Nasze plemię jest bardzo mądre! – Uśmiechnął się szeroko. – Nasza królowa zawsze wysyła kilku bystrych

zwiadowców, by zawczasu znaleźli dla plemienia kryjówkę! Bo wiecie, nigdy nie wiadomo, kiedy się zjawi Kula Błota.

– I okolica Gryfa stała się taką właśnie kryjówką? – spytałem z przekąsem, po czym zamilkłem, bo nagle uświadomiłem sobie niezwykłą rzecz.

Zwierzak był w naszej drużynie od lat, a że na co dzień promieniał zadowoleniem z życia i beztrudną budzącą podejrzenia deficytu intelektualnego, nikomu z nas nawet nie przyszło do głowy spytać, co on właściwie robi w Dolinie. W naszej okolicy nigdy goblinów nie było – zdarzali się wędrowcy, ale jakoś żaden nie wpadł na pomysł, by się osiedlić wśród ludzi, choć rzek i bagien u nas nie brakowało. Tymczasem Zwierzak problemu z tym nie miał i niemalże natychmiast stał się lubianym członkiem naszej rodziny.

O ukryte motywy zacząłem go podejrzewać w chwili, gdy ściągnął do Gryfa całe swoje plemię, a teraz zaczynałem rozumieć, co nim powodowało.

– Zaraz, Zwierzak – odezwałem się, unosząc dłoń. – Bo nie wiem, czy dobrze sobie to poukładałem. Postanowiłeś zostać w Gryfie, bo uznałeś to miejsce za dobre schronienie dla swego plemienia? Na wypadek, gdy objawi wam się ta... ta kula?

– No! – przytaknął radośnie goblin. – Mówić dalej?

– Eee... mów.

*

– Muszę wrócić do Gryfa – powtórzył Talvinn.

Królowa pokiwała głową, a potem pokręciła nią z niedowierzaniem, jak zwykle, gdy toczyła wewnętrzną dysputę. Wstała, rozejrzała się i chyżo podbiegła do dwóch pobratymców, którzy właśnie spychali łódź na pokrytą lodem rzekę. Ofuknęła ich z wprawą, a ci posłusznie wpełnęli ją z powrotem na brzeg, a potem wycalowali królową na przeprosiny.

Ta powróciła do rozmówcy. Jak zwykle mała awantura pobudziła ją intelektualnie, gdyż spojrzała na Talvinnę z ożywieniem.

– A rzeknij mi, co cię tak tam ciągnie? Ci ludzie... – Królowa pokręciła głową i zacmokała. – No, jakoś mnie nie urzekli. Opryskliwi, marudni, nic im się nie podoba, gotować nie umieją, zrozumieć się ich nie da. Fajny mieli pomysł z tym całowaniem, ale nawet tego dobrze nie robią. Czemu są tacy wybredni, co? Powinni brać z nas przykład.

– Są dziwni – przyznał Talvinn. – Ale lubię ich.

– Eee tam – królowa machnęła ręką. – Ja nie mam zamiaru ich więcej odwiedzać. Wykopaliśmy im ten staw rybny i uważam, że jesteśmy kwita. Ty natomiast...

*

– Co?! – wykrzyknął Gramm z niedowierzaniem i szarpnięciem odwrócił Zwierzaka ku sobie. – Jak to: staw rybny? I jacy my?

Wtedy dopiero zrozumiałem, że jak dotąd moi przyjaciele nie mieli pojęcia, że w okolicy Gryfa przez dobrych parę dni gościło całe plemię Zwierzaka. Widział ich chyba tylko Eliah, który jednak do zapalonych gawędziarzy nie należał i pewnie nikomu nawet o tym nie wspomniał.

– No tak – westchnąłem. – Podczas waszej nieobecności gościło w Gryfie całe zwierzakowe plemię. Wstrzymali handel na parę tygodni, ale odwdzięczyli się wykopaniem stawu rybnego. Możecie, chłopaki, odetchnąć z ulgą. Goblinsy odwalily za was całą robotę.

– A kanał do Bździawki jest? – spytał krasnolud.

– Nie ma – odparł Zwierzak.

– No to jednak trzeba będzie za łopatę chwycić – burknął Gramm. – Jak już coś robicie, to zróbcie to do końca, partacze cholerni.

– A ja myślałem, że jednak postawimy saunę – westchnął Żychłoń.

– A ja myślałem, że się ucieszycie! – Przewróciłem oczami. – Dobra, Zwierzak. Mów, co było dalej.

*

– ...ty natomiast nie masz już powodu mieszkać wśród ludzi – ciągnęła królowa. – Co cię tam trzyma?

Talvinn charknęła i splunęła w ogień, a królowa uprzejmie zrobiła to samo. Buchnęła świeży dym.

– Obowiązek – odparł w końcu.

– Obowiązek – prychnęła królowa i spojrzała ku zimowemu niebu. – Pewnie chodzi ci o walkę ze Złem, co? Chłopcze, przecież już ci tłumaczyłam. Złe to nie jest nasz problem! Złe nie rzuca uroków na nasz lud! Jesteśmy na to zbyt twardzi! A poza tym ten, kto się zapuści na bagna, już raczej z nich żywy nie wyjdzie. Dajże sobie spokój z tymi ludźmi! Zapomnij o Złym! Wracaj do nas! Będziemy tańczyć i śpiewać!

– Oprócz obowiązku jest jeszcze przyjaźń – powiedział Talvinn poważnie, a królowa, uśmiechnięta szeroko na samą myśl o tańcach, nagle spoważniała. – Walczymy razem. Wędrujemy razem. Śmiejemy się razem. To prawdziwi przyjaciele.

– Cóż – westchnęła królowa. – To rozumiem. I to argument, który mnie przekonał.

– To fajnie – ucieszył się Talvinn i obrócił smażące się ryby nad ogniem. – A waszych tańców będę słuchał w nocy.

– Pewnie. – Królowa pokiwała głową. – Ale...

*

Mocno wzruszony deklaracją przyjaźni, o mały włos przeoczyłbym kolejne słowa Zwierzaka i kryjącą się w nich zagadkę.

– Poczekaj – poprosiłem słabym głosem, całkiem przytłoczony opowieścią goblina. – Będziesz słuchał ich tańców? W nocy? Możesz to jakoś wyjaśnić?

– Słyszałem, że tak się właśnie dzieje, gdy komuś odbije – powiedział z mądrą miną Gramm. – Muzykę słyszy w głowie. Słyszałem! – dodał pospiesznie, purpurowiejąc. – Mówili mi! Ja sam wcale...

– Cicho bądźź! – burknął Żychłoń. – Dobrze wiemy, że sam niczego nie słyszysz, bo masz tak pusto we łbie, że każda myśl niesie się echem. Mów, Zwierzak, nie słuchaj kurdupła.

– No bo my... – Goblin zrobił identyczną minę jak chwilę temu, gdy objaśniał bandzie ignorantów fenomen Kuli Błota. – Bo my się słyszymy we śnie.

– Co? – spytaliśmy z niedowierzaniem wszyscy czterej, łącznie z Eliahem.

– Czyli... – Zwierzak przełknął ślinę. – Czyli wy nie?

Przyjrzał się uważnie każdemu z osobna, a potem pokiwał głową.

– Czyli nie. Cóż. Gobliny to potrafią. Po zaśnięciu słyszymy się nawzajem, a nawet potrafimy przesyłać sobie wiadomości.

– To w ten sposób powiadomiłeś swoje plemię? – Uświadomiłem sobie, przypomniawszy sobie nagle, że Zwierzak nigdy nas nie opuszczał ani też nie wysyłał żadnych listów, a mimo to wiedział, że jego plemię zbliża się do Gryfa.

– Tak! I tak też ściągnąłem ich na pomoc, gdy nas porwano! – Zwierzak uśmiechnął się szeroko. – Złapano mnie, kiedy kradłem łodzie dla...

– Co? – przerwałem mu. – Łodzie, na których odpłynęliście, były kradzione?

– Tak trochę – bąknął goblin. – Kupiłbym je, ale ten skok na bank nie wyszedł, a trzeba było sobie jakoś radzić. Królowa obiecała, że je zwróci – zapewnił mnie ochoczo, ale potem się zmartwił. – O ile nie zapomni. Ma przecież tyle na głowie...

– Dobra – podjąłem. – Co ci jeszcze królowa powiedziała?

*

– Ale wiesz, że masz jeszcze inne zobowiązania, prawda? – Królowa zmrużyła chytrze oczy. – Każdy zwiadowca, który znajdzie schronienie dla plemienia w trakcie Czasu Kuli, może sobie wybrać dowolną pannę na żonę.

– Tak, wiem – przytaknęła Talvinn z roztargnieniem. – Chyba że już ma męża, ale wszystko się da dogadać. Znam prawo.

Królowa zatarła dłonie.

– A ja już wiem, że jedna taka sobie ciebie upodobała!

Talvinn wzruszył ramionami, a królowa nagle spoważniała.

– Myślałam, że się chociaż zdziwisz – powiedziała z pretensją.

– Całe plemię wie, że swego czasu chodziłem chechłać z twoją córką, królowo – odparł młody zwiadowca. – Dziwne by było, gdybyś sama tego nie wiedziała.

– Ja wiem o wszystkim – nadęła się władczyni.

– No właśnie.

– To co? Kiedy wręczysz jej pęk jaszczurek? – spytała z zaciekawieniem. – Wiesz, jakby co, ja nie mam nic przeciwko. Zwiadowca, który ocali plemię podczas Czasu Kuli, zasługuje nawet na królewską córkę.

– Jakoś nam się jeszcze nie spieszy.

– Czyli jednak wracasz do ludzi.

– Wracam. Jeszcze dziś pójdę do Wichra i poszukam jakiejś podwózki.

– No dobra – westchnęła królowa. – Chcesz pocatusa?

– Nie.

*

Po ostatnich słowach Zwierzaka zapadła głęboka cisza. Nikt już się nie śmiał, a pierwszym, który się otrząsnął z zaskoczenia, był Żychłoń.

– Może nie wszystko zrozumiałem – odezwał się niepewnie – ale czy ty chcesz nam powiedzieć, że masz narzeczoną?

– Mam! – Goblin uśmiechnął się od ucha do ucha. – To ta królewna od niebieskiej żaby, ale nie chcieliście o niej słuchać.

– Rety, Zwierzak – wykrztusił Gramm. – Czyli co? Jak tylko pokonamy Złe, zapraszasz nas do swego bajora na weselisko?

– No – przytaknęła goblin. – Chyba tak.

– Pozwolisz – krasnolud wyłuskał flaszeczkę – że ja już zacznę pić za twoje zdrowie, co? Zdrowie pani Zwierzakowej!

Nad zmarzniętą, zaśnieżoną krainą poniosły się pełne niedowierzania wiwaty. Śmiałyśmy się do rozpuku, ściskaliśmy dłoń uśmiechniętego głupkowatego goblina, kolejno przygarnialiśmy go do piersi, wypytywaliśmy go o imię i zwyczaj oblubienicy, a Gramm usilnie chciał poznać detale goblinińskiej nocy poślubnej. Ja zaś w przerwach w rozmowie wytyczałem pamięć, bez skutku

próbując sobie przypomnieć, czy nie widziałem jej wśród przybyszów. Pocięszalem się jednakże tym, że wreszcie wiedziałem, dlaczego Zwierzak był praktycznie nieobecny podczas wizyty całego plemienia w okolicach Gryfa.

Nie mogłem się doczekać, aż opowiem o wszystkim Sarze.

Pogrążeni w wesołej rozmowie, pokonywaliśmy ostatnie mile dzielące nas od domu, aż wreszcie, gdy mroźny poranek rozkwitł w pełnej krasie, ujrzałem zarówno gospodę, jak i moją żonę niedaleko muru okalającego zabudowania. Była odwrócona plecami do traktu i nie widziała nas, natomiast ja od razu się zorientowałem, czym jest zajęta.

Szok był tak ogromny, że bezwiednie wstrzymałem konia.

Sara, spocona i zarumieniona z wysiłku, mozolnie usypywała kopczyk, który mógł być tylko grobem.

OPOWIEŚĆ Z GRYFA

Sara wpatrywała się w ogień beztrosko trzaskający w kominku i wsłuchiwała się w świst wiatru na zewnątrz Gryfa. Oczami wyobraźni widziała niesione wichrem śnieżne roje nacierające na roztańczone gałęzie grusz oraz jabłonek i modliła się z całego serca, by się jej zdawało.

By to, co usłyszała chwilę temu, okazało się jedynie złudzeniem.

– Ha! – wrzasnął Edwin i zamachnął się mieczem wyrzeźbionym tego lata przez Zwierzaka. – A masz!

Salia złapała drewnianą misę, by się nią zasłonić jak tarczą. Kilka zapomnianych orzechów potoczyło się pod ławę.

– Moje! – wrzasnął Nuut i skoczył w ślad za nimi. Potrącił przy tym cebrzyk ze smalcem, który zakołysał się niebezpiecznie, ale w porę został pochwycony przez Andreę.

– Uspokój się wreszcie! – krzyknęła Sara.

Edwin i Salia, pogrążeni w szermierczym pojedynku, zamarli zaskoczeni.

– Przecież myśmy nic nie... – zaczął Edwin, ale urwał, gdy ujrzał złość w oczach matki.

– Dzieciaki! – Andrea zagarnęła brata i siostrę w objęcia. – Pora już na spanie.

– Co takiego? – Salia wyslizgnęła się z objęć babci i spojrzała na nią z wyrzutem. – Jak to? Już? Przecież myśmy nawet kolacji nie jedli!

– A poza tym jest jeszcze wcześniej! – jęknął Edwin z rozpaczą. – My się bawimy w rycerzy i księżniczki!

– Tedy coś, wnuczku, ci się pokręciło – stwierdziła Andrea. – Wyciągnijcie swojego brata spod ławy, bo mnie znowu łamie w krzyżu, i zmiatać na górę. Umyjcie ręce i buzię, a potem...

– Wyszorujcie zęby – powtórzyli chórem Salia i Edwin. W ich głosach pojawiła się skrajna rezygnacja.

– To później – zdecydowała Andrea. – Najpierw pomodlicie się do Doli...

Kolejny jęk rozpaczy.

– ...a jak skończycie, przyniosę wam talerz podpłomyków z miodem!

Salia i Edwin krzyknęli z radością, zatańczyli z przytupem, wyciągnęli protestującego Nuuta spod ławy, a potem pognali po schodach na górę. Gdy ucichły ich wrzaski, Andrea wbiła w Sarę długie spojrzenie.

– Kochanie, ja wiem, że źle znosisz rozłąkę z Edmundem, ale nie wyładowuj emocji na dzieciach.

– Ja nie... – zaczęła Sara, ale w porę uświadomiła sobie, że matka wcale nie chce rozmawiać, a zależy jej jedynie na przekazaniu kolejnej życiowej mądrości. Zaciśnęła więc zęby i wbiła wzrok w ogień.

– Wiem, że ci ciężko – mówiła Andrea. – Ale pamiętaj, że oni zawsze wyjeżdżali i zawsze wracali. Nigdy też nikomu nic się nie stało, nawet temu obrzydliwemu elfowi, który patrzy na mnie, jakby chciał mnie poćwiartować. – Wzdrygnęła się demonstracyjnie, a potem podeszła, by chwycić Sarę za rękę. – Chodź z nami na górę – powiedziała ciepłym głosem. – Posiedzisz chwilę przy dzieciach, pomodlisz się z nami, od razu ci minie.

Sara potrząsnęła głową.

– Nie.

Andrea wypuściła dłoń córki, a w jej oczach błysnęła surowość.

– To trudne chwile, moja droga. Tym bardziej powinnaś odnowić swą więź z Dolą, gdyż...

– Przestań mówić! – syknęła nagle Sara.

W izbie zapadła urażona cisza, przerywana jedynie trzaskiem ognia i wyciem wicheru. Sara rozejrzała się dookoła, a wtedy jej wyczulony słuch wychwycił w symfonii zimowej wichury nowy, obcy dźwięk.

Jednak się nie myliłam, uświadomiła sobie ze zgrozą, a jej myśli rozbiegły się w poszukiwaniu rozwiązań, aż wszystkie skupiły się wokół pewnej skrzynki, która stała w kącie ich sypialni. Nie otwierała jej od wielu miesięcy, a nigdy w towarzystwie Edmunda, ale wreszcie nadeszła pora.

Przygryzła wargę i odwróciła się ku matce, zmuszając się do szerokiego uśmiechu.

– Tak – bąknęła. – Przepraszam, że na ciebie naskoczyłam, ale w istocie nachodzą mnie różne myśli i... pogodzę się z Dolą, jasna sprawa, ale jeszcze nie dziś, bo... no, przyszło mi coś do głowy. Nie wiem, czy zamknęłam drzwi do komórki. Wyjdę i sprawdzę, a ty posiedź chwilę z dziećmi, co?

Cmoknęła matkę w policzek, a ta cofnęła się i spojrzała na córkę spod zmarszczonych brwi, jakby nie miała pewności, czy warto się na nią nadal dąsać, potem skinęła z wyższością głową i odwróciła się w stronę schodów. Sara odczekała, aż zamknie za sobą

drzwi pokoju dziecięcego, a potem wbiegła pospiesznie na piętro, wskoczyła do sypialni i uklękła przy skrzynce.

Z dworu znów dobiegł ów dziwny odgłos, który tak bardzo ją przeraził.

Tym razem nie było już wątpliwości. Sara pospiesznie otworzyła skrzynkę i wymacała osobliwie wyszlifowaną kość, zawczasu przywiązaną do najlepszej linki Eliaha. Ze zdecydowaną, zaciętą miną wyciągnęła ją i ułożyła obok siebie, a potem przytroczyła sobie do pasa zakurzoną sakiewkę.

Chwilę później wybiegła prosto w wichurę, zatraskując za sobą drzwi do karczmy.

*

Sara umilkła na moment i umoczyła usta w kubku z grzanym miodem. Nie upiła go dużo, jakby wiedziała, że bardzo niewiele dzieli ją od emocjonalnego załamania i wystarczyłby tyk mocnego alkoholu, by straciła resztki kontroli nad sobą. Ostrożnie poprawił koc, który przed chwilą narzuciłem jej na ramiona, a Gramm, jakby czytał mi w myślach, dorzucił drewna do ognia.

Przez moment w izbie panowała cisza i w duszy się cieszyłem, że Andrea zajmuje czymś dzieciaki na piętrze. Marzyłem o powrocie do domu i obawiałem się o jego bezpieczeństwo, ale nawet do głowy mi nie przyszło, że mogą mnie powitać tak straszliwe wieści.

Z trudem skupiłem się na opowieści mojej żony.

– Znalazłem kiedyś tę skrzynkę – powiedziałem, siląc się na dowcip. – I nawet zajrzałem do środka, ale uznałem, że to jakieś twoje pamiątki z dzieciństwa, i postanowiłem, że nie będę o nic pytał.

– Bo to są pamiątki z dzieciństwa – rzekła Sara martwym głosem, wpatrując się w jakieś przebarwienie na ławie. – W pewnym sensie.

– Widywałem takie u podnóża gór – wtrącił Gramm zduszonym głosem. – To sprzęt upiorników.

Z ulgą zauważyłem, że krasnolud wreszcie opanował płacz, choć nos dalej miał czerwony.

– Tak – potwierdziła Sara, nie patrząc na niego. – To sprzęt upiorników.

Żychłóń pokiwał głową, jakby nagle zaczął kojarzyć fakty, ale dobrze rozumiał powagę sytuacji i wiedział, że nie powinien się wtrącać z mało istotnymi skojarzeniami. Z tego samego powodu zdecydowałem się przemilczeć fakt, że o tym etapie w życiu mojej żony nie miałem bladego pojęcia. Odkaszniałem i, tym razem próbując okazać opanowanie, powiedziałem:

– U nas nigdy nie było upiorów.

– Wiem o tym – powiedziała Sara i odruchowo otarła kroplę krwi spływającą z ucha. – Ja jednakże odniosłam wrażenie, że to jeden z nich. I dlatego wyszłam na dwór.

I podjęła opowieść.

*

Sara nabrała tchu i zakręciła nad głową linką z warkotką. Powietrze nagle wypełnił nieprzyjemny, nienaturalny szum, a kobieta poczuła, jak po jej ciele rozplywa się zaskakująca moc. Upłynęło wiele lat, ale doznanie było równie intensywne co kiedyś i Sara mimowolnie uśmiechnęła się złowrogo.

Zakręciła mocniej. Szum warkotki przeszedł w świergot, mało przyjemny dla człowieka, ale nie do zniesienia dla upiora. Wciąż uśmiechnięta, wpatrywała się w świetlisty krąg stworzony przez wirującą linę, a potem wzniosła go nad siebie. Odnosiła teraz wrażenie, że stworzyła tarczę, która osłania dziedziniec i zabudowania karczmy.

Mój dom, przeszło jej przez myśl. Moje dzieci. Moje życie.

Zakręciła jeszcze szybciej, choć swego czasu nauczyciel ją przed tym ostrzegał – wszak nawet najsilniejszemu upiornikowi z czasem zaczynało drętwieć ramię, a Sara już dawno wyszła z wprawy. Nie umiała jednakże stłumić emocji, a poza tym wcale nie zależało jej na pochwyceniu upiora.

Chciała tylko przepędzić go najdalej, jak się dało.

Zakręciła jeszcze mocniej. Świergot wchodził w rejestr coraz trudniejszy do zniesienia dla ludzkiego ucha, ale Sara zacisnęła zęby i nie ustawała.

Na skraju świadomości znów wychwyciła nieprzyjemny zew. Upiór nie zląkł się śpiewu warkotki i nadal grasował w pobliżu Gryfa.

Szkolenie na upiornika ciągnęło się latami, ale okazywało się trudnym wyzwaniem jedynie na początku. Kandydat musiał bowiem umieć wychwycić tak zwany zew upiora – odgłos, który towarzyszył istocie zawsze, a nasilał się jedynie w chwilach strachu czy wściekłości. Był to dźwięk na skraju słyszalności, bardzo trudny do wychwycenia dla kogoś, kto nie miał naturalnych predyspozycji.

Sara była w tym mistrzynią.

Nie każdy upiór się odzywał. Nie każdy wył, krzyczał czy śpiewał. Bywały takie, które nie odzywały się wcale. W milczeniu unosiły się nad miejscami, z którymi były związane za życia, a ich obecność niepokoiła żyjących tam ludzi, odbierała im radość i bez troskę, a nierzadko przyprowadzała o koszmary. Sara bez trudu wykrywała ich obecność, ale resztą zajmował się później jej mistrz. To on wylapywał bądź niszczył upiory, a potem inkasował zapłatę.

Ona umiała wykręcić jedynie świergot odstrasżający. Nie zdążyła nauczyć się niczego więcej i teraz, gdy wpatrywała się w cięte śniegiem nocne niebo, poczuła się żałośnie bezradna.

Bo upiór był silny. Nie miała co do tego wątpliwości.

Czuła, jak jego zew narasta, po czym niespodziewanie przeobraził się w ogłuszające wycie. Atak był tak gwałtowny, że Sara zachwiała się i zatoczyła, cudem nie tracąc rytmu. Odruchowo zerknęła ku oknom dzieci – wszak tak potężne wycie powinno się przebić do świata materialnego, gdzie usłyszeliby je wszyscy ludzie w okolicy – ale okiennice nadal były zamknięte.

Zew upióra osłabł.

Może zrezygnował? – pomyślała Sara. Może go wystraszyłam?

Ramię jej sztywniało, ale włożyła w kręcenie jeszcze więcej siły.

– Won! – wrzeszczała w śnieżną kipieli, choć wiedziała, że upiory są obojętne na głosy ludzi. – Wynocha! Zjeżdżaj stąd!

Coś jej mówiło, że owo milczenie może być preludium do kolejnego ataku, i nie pomyliła się. Upiór znów uderzył, jeszcze mocniej niż wcześniej, i o mało się nie przewróciła, a jej krąg się zachwiał.

A potem uderzył po raz trzeci.

Jego wrzask wdarł się do jej umysłu. Krzyknęła z bólu i padła na bruk. Linka z warkotką wyslizgnęła się z jej dłoni i pomknęła w mrok, porwana podmuchem wiatru. Krzyk upióra zaś przedzierał się przez mózg Sary niczym żelazne szpony osuwające się po skórze. Wrzeszczała z bólu i miotła się po ziemi, nie mogąc zrobić nic, by przerwać kaźń.

Czuła, że niewiele brakuje, by upiór wykonał kolejne, tym razem ostatecznie uderzenie.

Przez moment, gdy miała otwarte oczy, wydawało jej się, że go dostrzega. Był ciemną emanacją unoszącą się kilkanaście metrów nad dziedzińcem, opadającą i wznoszącą się niczym bojka na falach. I choć było to niemożliwe, bo upiory nie miały oczu, wiedziała, że się w nią wpatruje.

I wiedziała też, że nadeszła jej ostatnia chwila.

Upiór runął w dół, by rozszarpać jej umysł na strzępy.

A potem znikł w oślepiającym rozbłysku.

Ból przesłonił Sarze cały świat, ale na skraju świadomości wychwyciła, że upiór umyka, a jego oddalający się zew cichnie.

To ja? – pomyślała, podnosząc się z trudem. Przeczuciwała, że lada chwila dzieciaki wyjrzą przez szczelinę między okiennicami, a nie chciała, by widziały, jak ich matka tarza się po bruku. – To ja tego dokonałam?

– Na pewno dałaś mu do myślenia – odezwał się łagodnym głosem Żychłóń i nakrył jej dłoń swoją. Nie miałem pojęcia, co sprawia, że miał w sobie tak wiele opanowania. – Nie spodziewał się natrafić na przeciwnika tak daleko na południu.

Sara spojrzała na niego i prawie się uśmiechnęła. Wykorzystałem sposobność, by rozsunać jej loki i zetrzeć kolejną strużkę krwi ściekającą jej z ucha.

– Z twojej opowieści wynika jednak, moja droga, że ów przybysz odbił się od moich zabezpieczeń – dokończył guślarz.

Moja ręka znieruchomiała.

– Złe? – spytałem cicho.

Stary guślarz pokiwał głową.

– Niemalże na pewno.

– Mów dalej – odezwał się nieoczekiwanie Eliah, który nie spuszczał wzroku z twarzy Sary, jakby usiłował rozczytać jej myśli.

Moja żona skinęła głową i podjęła opowieść.

*

Sara zdołała wstać i rozejrzała się w poszukiwaniu liny z warkotką, aż dostrzegła ją pod ścianą. W uszach wciąż jej dzwoniło i gdy dotknęła boku głowy, natrafiła palcami na coś lepkiego.

Krew z uszu, pomyślała. Będę musiała się umyć, zanim pójdę do dzieci.

Jej nauczyciel ostrzegał ją, że czasami tak bywa, gdy upiornikowi przyjdzie się zmierzyć ze szczególnie trudnym przeciwnikiem.

Czyli walczyłam z silnym upiorem, pomyślała w przypiływie irracjonalnej satysfakcji. I przegoniłam go, choć nigdy nie ukończyłam szkolenia, a warkotką ostatnio machałam przed dziesięć laty! Ha!

Zataczając się, podeszła do muru i sztywniejącymi z zimna palcami podniosła linę. Zaczynała już marzyć o tym, by wrócić do ciepłego wnętrza, gdy rozległo się głośnie walenie do bramy.

Sara zamarła.

– Hej! – krzyknął znajomy głos. – Otwórzcie! Jest tam kto? Kociólek? Sara?

Zamrugnęła parokrotnie z niedowierzaniem.

– Urgo? – spytała, a potem zakasała suknię i popędziła ku bramie.

*

Wokół ławy, przy której siedzieliśmy, panowała cisza tak głęboka, że bez wahania mogłem ją nazwać grobową. Gramm kręcił co rusz głową i mamrotał coś bezgłośnie do siebie, ocierając rękawem zaczerwieniony nos, Zwierzak co chwila otwierał i zamykał usta, jakby nie pojmował, czego właściwie przychodzi mu słuchać, a Eliah, blady jak ściana i całkowicie nieruchomy, przypominał mi zabójcę, który właśnie ustalił ostatnie szczegóły kolejnego zlecenia. Najbardziej opanowany wydawał się Żychłoiń, ale nawet on nie powiedział nic, gdy Sara znów zamilkła.

To ja musiałem zadać to pytanie.

– Kochanie – powiedziałem cicho, gładząc jej włosy posklejane od wiatru i krwi. – Nie chcę cię dręczyć, ale muszę to wiedzieć. Czy jesteś absolutnie pewna, że to był Urgo?

Kilkakrotnie zadałem już podobne pytanie – aczkolwiek w okolicznościach, które teraz wydawały mi się błahe – i zawsze tego żałowałem. Sara miała bowiem doskonałą pamięć, która rzadko kiedy ją zawodziła. Zawsze dobrze pamiętała wszystkie obietnice i postanowienia, nigdy nie musiała zapisywać dat przyjęć czy list zakupów, bezbłędnie rejestrowała, co zamawiano przy dowolnym stole, i umiała wyrecytować całą zawartość spiżarni. Co gorsza, uważała tę umiejętność za coś oczywistego i za każdym razem, gdy próbowałem podważyć jej słowa, ściągałem na siebie apokaliptyczny opieprz.

Stres i napięcie potrafiły człowiekiem nieźle wstrząsnąć, ale trudno było się przecież spodziewać, by Sara nie rozpoznała człowieka, który mieszkał u nas od lat i do tego przyjaźnił się z jej matką. Spodziewałem się więc, że moje skądinąd konieczne pytanie uwolni u niej eksplozję złości. Ku memu zdumieniu Sara uśmiechnęła się ze smutkiem i pokiwała głową.

– Było ciemno – powiedziała tym samym martwym głosem – ale widziałam, że jest zmęczony. Wychudł, miał worki pod oczami oraz zarost na policzkach, bo podczas tych swoich rycerskich wypraw nigdy się nie goli. Widziałam, jak jego szare oczy uśmiechają się na mój widok. Widziałam śnieg, który tu i tam oblepił tę jego potrzaskaną starą zbroję, ale nie całkiem, bo dostrzegłam częściowo symbol Doli, który Gramm poprawił na jesień. Na ramieniu trzymał sakwę, którą pocerowała mu moja matka.

– Urgo – powiedział chrapliwie elf. – To był Urgo.

– Był – powtórzyła Sara. – I nie był.

Objąłem ją mocno, choć nie zareagowała na to w żaden sposób, a potem zaczęła znów mówić.

*

Sara szarpała się z zasuwką bocznej furtki. Zimny metal parzył ją w palce i znów pożałowała, że wybiegła z karczmy bez rękawiczek.

– Chodź tutaj! – krzyknęła przez wiatr. – Otworzę furtkę! Pieprzona zasuwka... O, mam! Szczęknął metal, a furtka ustąpiła niemalże natychmiast pod naporem wiatru. Sara z szerokim uśmiechem ją pociągnęła. Sylwetka rycerza zamajaczyła na progu.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę! – wołała. – Kociołek i reszta jeszcze nie wrócili! Znaczą się, był Eliah, ale zaraz po jego przyjeździe pognali z Edmundem gdzieś dalej. I przez dwa tygodnie gościło tu plemię Zwierzaka! Dasz wiarę? Dalej, wskakuj, bo zimno, a moja matka codziennie o ciebie pyta... Nie wchodzisz?

Urgo stał na progu i sapał ciężko.

– Urgo? – spytała niepewnie. – Ranny jesteś? Chory? Wejdziesz do...

Wtedy dostrzegła, że na czole Urgo pojawiła się pulsująca z wysiłku żyła. Cofnęła się o krok i odniosła wrażenie, że ten napiera ze wszystkich sił na wejście, ale coś – jakaś niewidzialna siła – nie pozwala mu na przekroczenie progu.

*

– Świecił się? – przerwał nagle Żychłoń.

Sara przeniosła na niego zmęczone spojrzenie.

– Co takiego? – spytała wolno, z trudem.

– W obecności Złego Urgo zawsze otaczała aura – powiedział Żychłoń. – Jaśniał jak słońce. Sam twierdził, że nawiedza go łaska Doli, co uważałem za totalne bzdury, ale chyba rzeczywiście tak było. Świecił się czy nie?

– Nie – powiedziała Sara. To słowo zabrzmiało jak stuknięcie katowskiego toporka. – Wcale.

*

Urgo z rosnącą furią napierał na niewidzialną barierę. Uśmiech znikł z jego twarzy, a potem rycerz cofnął się i uderzył w nią łokciem. Ponowił uderzenie, a wtedy z jego wykrzywionych ust wyrwał się dziki ryk. Przerazona Sara patrzyła, jak atakuje raz za razem, z coraz większą wściekłością, aż się poddał. Ciężko dysząc, przeniósł na nią wzrok.

– To rzeczywiście działa – wychrypiał głosem do Urgo niepodobnym. – Niesłychane. Dogrzebaliście się do jakichś tajemnic z przeszłości, tak? Brawo, brawo! I jak myślisz, na ile ci się to zda? Myślisz, że te wasze czary – zamachał dłoń w rycerskiej rękawicy – utrzymają się, gdy rozwalimy wam mury? Gdy spuścimy na was grad ognistych strzał?

Ty nędzna kobieto! W tej chwili usuń te żałosne zabezpieczenia! Jeśli tego nie zrobisz, wrócimy tu rano, by zrealizować obietnicę, i wierz mi, że rozszarpiemy twe dzieci na strzępy! Na strzępy! – wył głosem nieprzypominającym ludzkiego, a w jego oczach lśniła czerwień. – Otwieraj! Otwieraj!

Sara zaś cofała się krok za krokiem, nie mogąc oderwać wzroku od potwora, który kiedyś był przyjacielem jej rodziny.

A w jej głowie powstało jedyne logiczne rozwiązanie.

*

– Był tak wściekły, że nie przestawał się wydzierać, gdy zniknęłam mu z oczu. A ja poszłam do tej szafy, gdzie trzymacie broń. Naciągnęłam kuszę, weszłam na mur, wycelowałam i posłałam mu bełt w czaszkę. Padł i znieruchomiał, a ja... – Sara przełknęła ślinę. – A ja wróciłam po topór i odrąbałam mu głowę.

Przez moment wcale nie oddychała, a potem spojrzała prosto na mnie.

– Zabiłam Urgo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Rzeczą jeszcze trudniejszą od słuchania tak straszliwych wieści z całą pewnością była próba pogodzenia się z nimi, a jeszcze ciężej przyszło mi zamaskowanie rozpacz. Dzieciaki zbiegły bowiem z piętra chwilę po tym, jak Sara zakończyła opowieść, i rzuciły się na nas z radosnymi piskami. Chyba nie zauważyły, że wszyscy usilnie staramy się opanować grobowe nastroje – poza Salią, rzecz jasna, która niemalże natychmiast zaczęła nam się uważnie przyglądać.

Spostrzegł to Gramm, który miał największe trudności z utrzymaniem uśmiechu, i wyslizgnął się niespostrzeżenie na dziedziniec. Zaraz po nim uczynił to Eliah, który i tak wystarczająco długo znosił nasze emocje, a Żychłoń złapał opracowanie Matta z Kurzu i zaszył się w którymś pokoju. Dzieciaki zareagowały na to z oburzeniem, a Salia z narastającą podejrzliwością, ale na szczęście mieliśmy Zwierzaka. Dobroduszny goblin najwyraźniej znosił rozpacz najlepiej z nas wszystkich i z energią zajął dzieciaki zabawą.

Podziękowałem w duszy Doli za przyjaciół, którzy zawsze robili dokładnie to, co należało, po czym pomogłem Sarze się podnieść i odprowadziłem ją do naszej sypialni, gdzie po prostu padła na łóżko i nakryła głowę poduszką.

Rozpaliłem ogień w kominku, a gdy płomyki zaczęły z trzaskiem skakać między bierwionami, wstałem i usiadłem na łóżku obok niej. Sara leżała na boku, a po jej policzku spływały łzy. Przygryzłem wargę, bo nie miałem bladego pojęcia, co w takiej sytuacji można czy należałoby powiedzieć. Ostrożnie nakryłem ją kocem, a potem ująłem jej zimną dłoń i tak siedzieliśmy, pograżeni w głuchym milczeniu i nieutulonym żalu.

Z kuźni Gramma dobiegało wściekłe walenie młota o kowadło. Dzieciaki, z zapalem obszczekiwane przez Paprocha, ze śmiechem toczyły śnieżne kule, z których Zwierzak ustawiał bałwana.

– Powiedziałeś dzieciom, że wujek Urgo nie wróci? – spytała nagle Sara ochryplym głosem.

– Nie – przyznałem. – Jeszcze nie. Daj mi chwilę. Muszę się do tego jakoś przygotować.

– Nie rób tego. – Sara dźwignęła się na łokciu. – Ja im powiem. To przecież ja odebrałam mu życie.

– Kochanie, dość już tego – zacisnąłem zęby. – Nie zabiłaś Urgo. Trafiałaś beltem w głowę bestię, która nim zawiądnęła. To nie był on! To nie był nasz przyjaciel! Urgo... – Na moment zawiódł mnie głos. – Urgo zawsze żył na krawędzi. Przyszedł na świat, by wypełniać swoją powinność wobec Doli i mieszkańców Doliny. Żył po to, by zwalczać Złe, aż... aż przegrał. To mogło nastąpić w każdej chwili. Mógł oddać życie podczas którejś z naszych wypraw, mógł nie wrócić z rycerskiej misji, na Dole, sam nie wiem! O mało nie zginął podczas poprzedniej wyprawy, kiedy to uznał, że obowiązuje go jakaś stara klątwa. Urgo przegrał swą walkę na długo przed tym, zanim stanął przed bramą Gryfa.

Z ust Sary wyrwał się głuchy szloch, a jej ciałem wstrząsnął spazm rozpacz. Nie umiałem znaleźć słabego punktu w tym, co właśnie powiedziałem, ale moja żona najwidoczniej wcale nie potrzebowała głosu rozsądku. Potrzebowała ciepła i pociechy, by samej uporać się z mrocznym przeżyciem. Obiecałem sobie solennie, że nie będę już jej podsuwał żadnych racjonalnych rozwiązań.

Od tej pory będę trwał przy niej i otaczał ją ciepłem, przynajmniej dopóki Sara nie przestanie czerpać z tego pociechy.

Drzwi do sypialni otworzyły się z głośnym skrzypnięciem. Ogień w kominku zatańczył, trącony nagłym przewiewem. Uniosłem głowę znad nakrytego kocem ciała zapłakanej żony i ku swemu bezgranicznemu zdumieniu ujrzałem Eliaha.

Jak dotąd elf złamał w mojej obecności dziesiątki norm społecznych i byłem mu gotów wybaczyć dosłownie każdą z tych sytuacji, ale teraz przesadził, i to grubo.

– Czego tu szukasz? – warknąłem z wściekłością, podrywając się. – Nie rozumiesz, że Sara musi teraz odpocząć?

– Cicho bądź – syknął elf i wszedł do środka. Zmierzał prosto ku nam.

Stanąłem mu na drodze.

– Eliah, masz nasrane we łbie... – zacząłem, jednocześnie próbując go pochwyć, ale elf wyslizgnął mi się, szczerknął na mnie ze złością i uklękł przy Sarze, która, zaintrygowana jego przybyciem, na moment przestała płakać.

– Posłuchaj mnie uważnie – zwrócił się do mej żony Eliah, całkowicie zignorowawszy moją wściekłą minę. – Powiedziałaś, że czułaś, jak ów upiór się oddala. Pamiętasz, w jakim kierunku?

– Chyba... – wymamrotała Sara – chyba na wschód.

– Eliah, wynoś się stąd! Natychmiast! – wycedziłem.

– Zamknij się, Kociołek. Przeszkadzasz mi. I mówił: „Wrócimy”, tak? „Rozwalimy?”, choć był sam?

– T-tak – wyjąkała Sara. – O co ci chodzi?

– Jeszcze nie wiem – powiedział elf i podniósł się, a potem wyszedł bez słowa.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć, ale uznałem, że robienie awantury przy Sarze nie jest jednak najlepszym pomysłem. Nie skomentowałem więc jego odwiedzin ani słowem, ale upewniłem się, czy drzwi są zamknięte, i powróciłem do czuwania.

Wymknąłem się dopiero, gdy Sara zasnęła, i poszedłem do kuchni, bo nie znałem lepszego sposobu na ukojenie skołatanych nerwów niż ugotowanie bigosu. Wszyscy zasłużyliśmy na porządną, ciepłą wieczerzę, a po niej, gdy dzieciaki już pójdą spać, garniec grzanego miodu. Nadszedł czas, by powspominać Urgo i dziesiątki jego walecznych czynów. Tylko tak mogliśmy uczcić jego odejście.

W kuchni siedział nachmurzony Żychłoń. Na mój widok trzepnął księgą o blat, aż podskoczyły deski do krojenia i ułożone w stos garnki.

– I, kurwa, nic – burknął. – Przeczytałem od deski do deski i nigdzie nie ma ani wzmianki o upiorach, które służą Złemu.

– Ani słowa? – upewniłem się, chwytając nóż i zdejmując jedną z wiszących pod powalą suchych kielbas.

– Nie. – Guślarz potarł czoło i oparł łokcie o kolana. – Matt z Kurzu pisze jednak głównie o wielkich bataliach. Możliwe, że te niby-upiory niezbyt się tam przydawały.

– Możliwe jest też inne wytłumaczenie – mruknąłem pod nosem. – Żychłoń, czy ty wiesz, czym właściwie jest Złe?

Guślarz spojrzął na mnie pytająco.

– Jak dotąd walczyliśmy z najrozmaitszymi agentami Złego – ciągnąłem, pochłonięty krojeniem. – Wiemy już ponad wszelką wątpliwość, że Złe jest pomysłowe, podstępne i robi wszystko, by zagarnąć władzę w Dolinie. Ale czy kiedykolwiek ktoś zadał sobie pytanie, czym Złe właściwie jest? Skąd się bierze? Gdzie się mieści?

Żychłoń uśmiechnął się z przekąsem.

– Zdarzało mi się o tym rozmyślać – przyznał – ale nigdy nie doszedłem do żadnego sensownego wniosku. Bo niby jak?

– No właśnie. – Zsunąłem pokrojoną kielbasę do garnka, po czym oparłem się plecami o blat. – Nigdy nie uporamy się ze Złem, jeśli będziemy walczyć tylko z jego sługami. To trochę tak, jakbyśmy gdzieś mieli gniazdo szerszeni, ale zamiast go szukać i usunąć, tłuklibyśmy tylko te owady, które się do nas odważą zapędzić. Nie tędy droga.

– O co ci właściwie chodzi, Kociołek? – Żychłoń nastroszył brwi.

– O to – odwróciłem się ku niemu z miną, której guślarz chyba dotąd nie widział – że teraz już Złemu nie odpuszczę. Zawsze uważałem, że walka o przyszłość i spokój Doliny to robota tych darmozjadów, którzy nami rządzą i, niech mnie Dola przeklnie, miałem rację. Teraz jednak sprawa stała się osobista, bo Złe, najwyraźniej nietknięte i doskonale przed nami skryte, ma się, jak widzisz, świetnie i uderza w nas na coraz to wymyślniejsze sposoby. Nic dziwnego, że Matt z Kurzu nic o upiorach nie pisał. Moim zdaniem to najnowsza broń Złego.

– Mądrze gadasz, Kociołek. – Żychłoń wstał. Wydawał się starszy i bardziej znużony niż kiedykolwiek wcześniej. – Co nie zdarza ci się często, a więc pora to jakoś uczcić.

Zdjął z najwyższej półki butelkę nalewki na wiśniach, którą swego czasu sporządził z Grammem.

– I popieram cię we wszystkim, chłopie. I założę się, że każdy z chłopaków powie to samo.

Wypiliśmy. Smakowała obrzydliwie, ale też walory smakowe nigdy nie mieściły się w polu zainteresowań obu twórców.

– Jak Sara? – spytał guślarz, gdy zdołał przełknąć.

– Żle.

– Chcesz, bym z nią pogadał?

– Rozmowa to ostatnie, czego jej teraz potrzeba. Pomóż mi z tym bigosem, bo nigdy się nie wyrobię.

Kolejna porcja nalewki udowodniła mi, że w sumie jej smak nie jest aż taki zły, a po trzeciej czarce zacząłem go uważać za czynnik obojętny, tym bardziej że mocny alkohol wreszcie pomógł mi się skupić na czymś innym. Pochłonięty gotowaniem bigosu, układałem w myślach ognistą przemowę, którą wygłoszę przed moimi towarzyszami, gdy wieczera dobiegnie końca i zaczniemy wspominać Urgo. Do czasu, gdy zapadł zmierzch, a mi zaczęło burczeć

w brzuchu, przeciwczyłem ją kilkakrotnie i nabrałem przekonania, że trafi do serc każdego ze słuchaczy.

Plan pokrzyżował mi Eliah.

Elf wszedł do izby w chwili, gdy byliśmy w połowie posiłku. Był zmarznięty, oblepiony śniegiem i ponury jak nigdy. Złapał miskę i zjadł łapczywie swoją porcję, a potem wbił we mnie wzrok i gapił się, dopóki nie nadszedł czas, by wyściskać dzieciaki i posłać je na górę. Okazało się to jednak zadaniem ponad moje siły, bo po takiej rozłące obaj chłopcy stanowczo domagali się bajki, a Salia nie przestawała przyglądać się towarzystwu z podejrzliwością. Moja córka odziedziczyła przenikliwy umysł Sary i byłem przekonany, że mimo naszych wysiłków i starań Zwierzaka wyczuła już ponure nastroje. Niewiele dzieliło nas od pierwszych dociekliwych pytań, na które nie umiałem jeszcze odpowiedzieć, a więc osobiście zabrałem dzieciaki na górę.

Przyznam, że ich wieczorna krzątanina dobrze mi zrobiła. Marudzenie przy szorowaniu zębów, dzikie piski nad misą z wodą, klótnie o ręcznik czy wyścig do łóżek pod koniec męczącego dnia przeradzały się dla rodzica w istną udrękę, ale tego wieczoru wyczuwałem w nich jedynie beztronską dziecięcą niewinność, bezcenny skarb, o który warto było walczyć. Z tym większą radością zagoniłem całą trójkę pod pierzyny, a potem opowiedziałem im nie jedną, ale trzy bajki, jedną głupszą od drugiej.

Gdy wreszcie posnęli, a ja ruszyłem po schodach na dół, odtwarzając w myślach moją mowę, odkryłem, że przemawia Eliah, a wszyscy w skupieniu się ku niemu pochylają.

– Co się dzieje? – spytałem ze zdziwieniem, siadając obok Sary.

– Cicho bądź – mruknęła moja żona, wciąż koszmarnie blada, ale poważna i skupiona. Zauważyłem, że rozczesła włosy, co dało mi nadzieję, że powoli dochodzi do siebie.

– Eliah, powtórz to, co odkryłeś – odezwał się cicho Żychłóń.

Elf wywrócił oczami i westchnął ciężko, co też powitałem z ulgą.

– Odnalazłem ślady Urgo – powiedział. – Wiem, że wyruszył z sierocińca Dislai.

– Zakładam – oznajmiłem powoli, rozglądając się po poważnych twarzach moich towarzyszy – że to dopiero początek rewelacji?

– Tak. Bo dokładnie w tym samym kierunku poleciał ów upiór.

Podniosłem dzbanek z grzany miodem i nalałem sobie do kubka. Wokół ławy panowała cisza.

– Powiedziałbym, że to zbieg okoliczności – rzekłem, upiwszy łyk – ale sądząc po waszych minach, wcale tak nie jest.

Patrzyłem teraz głównie na Eliaha. Elf siedział nieruchomo niczym posąg, ale znałem go zbyt dobrze, by umknęło mi to, że jest ewidentnie poruszony.

– Byłem tam – powiedział cicho, po czym zerknął na schody, by mieć pewność, że nie podsłuchują nas dzieciaki. – W sierocińcu dzieje się coś niedobrego.

Wyprostowałem się.

– Co konkretnie? – spytałem, udając normalny ton głosu.

– Z komina nie idzie dym. Nie słychać śpiewów, rozmów czy śmiechów. Nikt nie gotuje, nikt nie sprząta, nikt się nie modli. Ale jednocześnie wiedziałem, że ktoś tam jest. Ktoś żywy. Wiele osób.

– Dzieci? Dislai i pozostałe kapłanki?

– Być może. – Elf skrzywił się lekko. – To dom, Kociołek. Las umiem przeniknąć i zrozumieć, ale ludzkiej budowli nie. Mogę się tylko domyślać. Przy czym – tu skrzywił się mocniej – jest jeszcze coś. Byłem w sierocińcu kilka razy i nigdy dotąd to miejsce nie... nigdy nie cuchnęło grozą.

– Czyli – powiedziałem powoli, nie patrząc na nikogo – upiór służący Złemu opanowuje sierociniec. Urgo wraca z wyprawy do Sokolnika i postanawia po drodze zajrzeć do Dislai. Nieświadom tego, że miejsce stało się pułapką, wchodzi do środka i Złe przejmuje nad nim władzę.

– I to najsłabszy punkt tej teorii – odezwał się ponuro Gramm. – Urgo szczególnie bystry nie był, ale wiedziałby, że Złe się załęgło w sierocińcu. Przecież on wyczuwał Złe!

– Nie wiemy tego – sprzeciwił się Żychłoń. – Pojawiała się wokół niego poświata, ale nie wiadomo, czy sam ją widział! Był czas – zacisnął ogromną łapę w pięść – trzeba było, kurwa, zapytać.

– Nie wiemy, jak do tego doszło – podjął elf. – Wiadomo tylko tyle, że Urgo został przez Złe opętany i ruszył do Gryfa.

– Tak – powiedziałem, głęboko zamyślony. – Na tym nasza wiedza w istocie się kończy. Zadałbym sobie pytanie, jak dalece Złe zawładnęło umysłem Urgo. Najwidoczniej nie zdołało przejąć nad nim całkowitej kontroli, bo dowiedziałoby się o glifach.

– To rzeczywiście istotne? – skrzywił się Gramm.

– Tak – powiedziałem i dopilem resztę miodu. – Bo chyba nie ma wątpliwości, że musimy się z tym cholerstwem uporać. Ten upiór zabrał nam przyjaciela, a teraz, wedle słów Eliaha, wzięli Dislai i dzieci.

Przeniosłem spojrzenie na Żychłonia, który pokiwał ledwie dostrzegalnie głową, jakby chciał powiedzieć: „Pamiętam naszą rozmowę. I nowa wojna rozpoczyna się właśnie teraz”.

– Nie ma wątpliwości – wycedził powoli Gramm i zatarł dłonie. Oczy znowu miał szkliste. Zwierzak szybko kiwał głową, a Eliah z wyczekiwaniem bębnił palcami po blacie ławy, jakby sam już podjął decyzję i teraz czekał, aż my do niej dojrzejemy.

– Zgodzę się z wami – odezwała się niespodziewanie Sara. Jego głos był surowy i niski. – Nie możemy się wahać. I tu nawet nie chodzi o to, że Uργο nie ma już wśród nas... – Głos jej zadrżał, ale podjęła mocnym tonem: – Nie będę mogła tu mieszkać ze świadomością, że niedaleko jakaś bestia więzi dzieci.

Mówiła to z takim przekonaniem, jakby deklarowała uczestnictwo w nadciągającej wyprawie. Chciałem powiedzieć: „Zostaw to nam”, ale w porę ugryzłem się w język. Chłód w jej oczach zdradził mi bowiem, że Sara nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym choć spróbował ją odsunąć od tej walki.

Jak się okazało, moja żona jeszcze nie skończyła.

– Sęć w tym, że trzeba się teraz zastanowić, jak zaatakujemy owo Złe – mówiła dalej, a wszyscy słuchali jej z uwagą. – Nie jestem wyszkoloną upiorniczką, ale teorię znam i wiem, że upiory nie więżą ludzi.

– Nie? – Gramm zmarszczył krzaczaste brwi. – To co tam się, na wichry i lawiny, odbywa?

– Nie wiem. Upiór to w skrócie resztki człowieka. Coś na kształt echa jego głosu, który nie do końca przebrzmiał. Im silniejszą osobowość miał człowiek, tym większa szansa, że pozostawi po sobie upiora, który będzie nawiedzał miejsce jego śmierci bądź sadybę bliskich, przy czym siła w tym przypadku wcale nie oznacza mądrości. Fanatyk czy szaleniec ma o wiele większą szansę na mimowolne stworzenie upiora niż mędrzec, niemniej... – Sara pokręciła głową. – Upiory nie mają wielkiego wpływu na nasze życie. Niektóre psocą, inne domagają się uwagi czy dokuczają zwierzętom, jeszcze inne zsyłają koszmary lub po prostu wyją na wietrze. Są takie, które powtarzają słowa czy piosenki lub wyskakują z dzikim wrzaskiem, by kogoś przerazić. Istnieją nawet takie, z którymi da się porozmawiać, ale nigdy dotąd nie słyszałam o upiorze, który zawałdnąłby jakąś osobą.

– Czyli jaki z tego wniosek? – spytałem.

Sara obróciła na mnie spojrzenie.

– To nie upiór.

Przez chwilę znów wszyscy milczeli. Skądś dobiegało wycie wilków.

– Zbierzmy wszystkie nasze atuty – powiedziałem. – Sara jest upiorniczką. Zwierząka Złe w zasadzie się nie ima. Mamy do dyspozycji glify Żychłonia...

– A ja znam przepis na wywar, po którym będę upiora słyszał – powiedział zamyślony Żychłóń.

Sara spojrzała na niego z zaintrygowaniem i najwyraźniej chciała zadać jakieś pytanie, lecz ugryzła się w język.

– To już coś – mruknąłem. – Możliwe, że wymyślimy plan pozbycia się tego drania...

– Istnieje jeszcze coś, co może wam pomóc.

Tego głosu nigdy nie spodziewałbym się usłyszeć podczas takiej rozmowy.

Wszyscy spojrzeli na Andree, która siedziała przy ogniu i robiła szal na drutach. Moja teściowa przez moment udawała, że nie dostrzega zaintrygowanych spojrzeń nas wszystkich, a potem dodała od niechcenia:

– Macie, barany, sojusznika, o którym zdołaliście już zapomnieć.

*

Nikt w zasadzie nie miał pewności, w jakim celu wzniesiono budynek, w którym mieścił się sierociniec. Mój ojciec uważał, że budowała się tam jego konkurencja, ale pomysłowi przeczył wysoki, widoczny z daleka dach, przywodzący na myśl świątynny. Niektórzy z najstarszych bywalców wciąż nazywali sierociniec dworkiem, co stwarzało fundament pod kolejną teorię, a byli tacy, których zdaniem miał tam powstać szpital. Nie potrafili co prawda wyjaśnić, kto miał tam trafiać – miejscowi bowiem odnosili się do lekarzy z dużą nieufnością – ale rozkład pomieszczeń rzeczywiście mógł odpowiadać potrzebom medycyny.

Tak czy owak, budynek od lat stał i niszczał. Nikt więc szczególnie nie protestował, gdy parę lat przed Waśnią przejęło go kilka energicznych kapłanek Doli i przekształciło w sierociniec oraz niewielką szkołę, gdzie uczęszczały również nasze dzieciaki, ku wielkiej rozpaczycy Andrei, która chciała sama przekazać im „wszystkie potrzebne nauki”. Od pewnego czasu sierociniec zarządzały już tylko dwie kapłanki – oschła, przedsiębiorcza Werbena oraz milcząca Dislai, która była przyjaciółką Sary i sojuszniczką nas wszystkich.

A także niespełnioną miłością Urgo*.

Wyjrzałem zza pnia grubej olchy i raz jeszcze wbiłem wzrok w ciemny budynek, by po chwili ze wszystkich sił powstrzymać odruch potrząśnięcia głową z rezygnacją. Układałem plany wielu operacji, ale szturm na sierociniec wydawał się wyjątkowo twardym orzechem do zgryzienia. Dom stał bowiem na otwartej

przestrzeni, otoczony starannie przystrzyżonym żywopłotem, przez co trudno się było zbliżyć do niego niepostrzeżenie, tym bardziej że sylwetki wyraźnie się odcinały od białego śniegu.

Ba, gdyby sierociniec był zajęty przez przeciwnika z krwi i kości, być może udałoby nam się w jakiś sposób odwrócić jego uwagę. Tymczasem dom zajął upiór służący Złemu.

Lub, jeśli wierzyć słowom Sary, coś jeszcze gorszego od upiora.

Nie dysponowałem żadnym nadnaturalnym zmysłem, ale od samego patrzenia na ciemny, martwy dom przechodziły mnie dreszcze. Tam bez wątpienia działo się coś niedobrego, co stanowiło śmiertelne zagrożenie dla dzieci i ich opiekunek. Musieliśmy czym prędzej działać, ale w głębi serca czułem obawę, że być może owa interwencja nastąpi za późno i nie zdołamy przyjść z pomocą nikomu z żywych. Plan, który udało mi się ułożyć, był bowiem skrajnie ryzykowny, o czym ojciec Vitalis przypominał mi średnio raz na minutę.

– Naprawdę Andrea wam podpowiedziała, byście mnie zabrali? – mruknął.

– Tak – odpowiedziałem. – Wyzwała nas od baranów, żeśmy sami na to nie wpadli.

– A tyle razy jej mówiłem, że swoje w życiu przeżyłem i na kolejne wyzwania nie mam już ochoty – westchnął kapłan. – To co? Zaczynamy?

– Jeszcze moment.

Chciałem poczekać do chwili, gdy znikną resztki czerwieni na zachodzie i świat pograży się w całkowitych ciemnościach. Sara zapewniała nas bowiem, że wbrew powszechnej opinii po zapadnięciu zmroku upiory stają się nieco słabsze. Rozpoczynają wówczas swą nadnaturalną działalność, ale kosztuje je to niemało energii, przez co łatwiej się z nimi uporać.

Zerknąłem na Sarę, zakutaną w futro z kapturem tak wielkim, że niemalże całkowicie zasłaniał jej twarz. Mimo zapadających ciemności widziałem, że lekko drży, a ja nie miałem pewności, czy przyczyną są emocje, czy zimno. Wraz ze zmrokiem nadciągnął bowiem dotkliwy mróz i na samą myśl o tym, jak cierpią dzieciaki w nieogrzewanym sierocińcu, miałem ochotę rzucić się na upiora z gołymi rękami.

Moment naszego ataku się zbliżał.

Spojrzałem w głąb olchowego zagajnika, w którym się skryliśmy, jedyne miejsce w pobliżu sierocińca stanowiącego jako taką osłonę. Wyłuskałem wzrokiem opartego o pień Żychłonia.

– Czujesz coś? – spykałem.

Guślarz obrócił ku mnie głowę i przez moment wpatrywał się we mnie intensywnie, jakby próbował sobie przypomnieć, skąd właściwie mnie zna. Potem czknął.

Uwarzenie tajemnego eliksiru, który rzekomo miał pozwolić mu na słyszenie upiorów, zabrało mu prawie godzinę, napełniło karczmę smrodem trudnym do wywietrzenia, doprowadziło do głośnej kłótni z Sarą i najprawdopodobniej niczego mu nie dało. Niewykluczone jednak, że winą należało obarczyć nie Żychłonia, ale samą recepturę, która w znacznie mierze opierała się na spirytusie. Patrząc na guślarza, dochodziłem do wniosku, że ten po prostu się urznął i magiczne właściwości eliksiru nie zdołały wnikać do jego umysłu.

– Czyli nie – westchnąłem.

– Kociołek, nie ma czasu! – warknął Gramm.

– Zgadza się, nie ma – przyznałem z ciężkim sercem. –

Ruszamy.

Nigdy dotąd nie rozpoczynałem akcji obarczonej takim ryzykiem. Nie dość, że mieliśmy przeciwko sobie bardzo potężnego przeciwnika, na którego nie było sprawdzonej broni, to jeszcze w akcji miała wziąć udział moja żona, a stawką było ocalenie grupki sierot.

– Masz nasrane we łbie – stęknął blady Vitalis, dźwigając się z kolan. – Mówiłem ci już o tym?

Nie odpowiedziałem, bo nie dość, że mówił, to jeszcze możliwe, że miał rację.

Plan był prosty jak budowa cepa. Sara miała ściągnąć na siebie uwagę upiora za pomocą warkotki, a Vitalis, jedyny sługa Doli, który mógł nam pomóc, zgodził się osłonić ją swoją mocą. Przydzieliłem im do pomocy Zwierzaka, którego nie imало się ani Złe, ani głębsze refleksje, co czyniło go najlepszym ochroniarzem w Dolinie. W tym samym czasie ja, Eliah i Gramm chcieliśmy wdrzeć się do sierocińca, złapać dzieciaki i zanieść je do czekającego nieopodal wozu, gdzie zgromadziliśmy wszystkie koce z karczmy.

Sara, która od dłuższej chwili masowała sobie nadgarstki, nie marnowała czasu. Wypadła spośród drzew, wzięła szeroki zamach i zaraz rozległ się świst tnącej powietrze linki, po czym wszyscy usłyszeliśmy przeraźliwe wycie warkotki. Vitalis, wciąż z posępną miną, stanął za plecami mojej żony i wsunął dłonie w szerokie rękawy płaszcza, całkiem skupiony na modlitwie, a obok zamarł Zwierzak, osobliwie poważny.

Nadszedł czas.

– Naprzód! – rzuciłem.

Wtedy ktoś mnie złapał za ramię.

– Kociołek! – wybełkotał Żychłóń. – Słyszę go! Słyszę!

– Upiora? – Odwróciłem się ku guślarzowi, dając reszcie sygnał, by się zatrzymali.

– Tak, tak! – Guślarz pokiwał głową z taką energią, że czapa zsunęła mu się na brwi. – Wzywa... on kogoś wzywa!

– Kogo?

– Nie wiem! – Żychłóń chwiał się to w tył, to w przód. – Ale zaraz będziemy mieli okazję zapytać, no nie?

I wskazał coś ręką.

W pierwszej chwili myślałem, że ulegam złudzeniu. Od dachu sierocińca oderwało się bowiem coś czarniejszego od nocnego nieba, co pomknęło ku nam szybciej od najszybszej chmury, po czym runęło ku Sarze, wciąż kręcącej warkotką nad głową. Była to istota niematerialna, a mimo to czułem bijącą od niej grozę. Wydawało mi się też, że słyszę jej ogłuszający wrzask, choć wychwytywałem go innymi zmysłami niż zwykle dźwięki. Moje spojrzenie pomknęło ku żonie i dostrzegłem, jak ta wolną ręką odrzuca kaptur, jakby rzucała upirowi wyzwanie.

Ten zaś najwyraźniej zrozumiał gest, bo z pulsującej czarnej chmury rozlał się w nieprzenikniony parasol, który zakrył część nieba dokładnie nad Sarą. Moja żona nigdy nie wydawała mi się tak drobna i bezbronna. Zawahałem się, walcząc z pragnieniem, by skoczyć jej na pomoc, i z desperacją tłumiąc zdrowy rozsądek, który próbował mi wyjaśnić, że niewiele przecież bym zdziałał.

– Kociołek! – syknął na mnie Gramm, który wysforował się już kilkanaście kroków naprzód.

Fakt. Dzieci.

Biegliśmy jak szaleni. Śnieg skrzypiał pod naszymi butami, warkotka wyla i zawodziła, a upiór Złego odpowiadał jej z narastającą wściekłością. Sierociniec przybliżał się rozczarowująco powoli. Biegnący na czele Eliań przesadził jednym susem przysypany śniegiem żywoptot, a ja i Gramm, pozbawieni elfiej zręczności, przepęłziliśmy po nim, posapując i przeklinając.

A potem wpadliśmy do środka przez drzwi, których szczęśliwie nikt nie zamknął.

Wrażenie, że w domu działo się coś niedobrego, tylko się wzmogło. Panujące tam ciemności były gęstsze niż powinny, lepkie i wrogie, a zarysy pomieszczeń wydawały się rozmyte. Kontury najbliższych drzwi robiły wrażenie nazbyt odległych, schody na piętro znalazły się zaś za blisko, a do tego były nienaturalnie wygięte ku górze. Rozejrzałem się odruchowo i odkryłem, że

najbliższe kąty utraciły swoje kształty i proporcje, ławki w najbliższej sali stały się wklęsłe, a tablica, po której kreśliły kapłanki, zwężała się jak klepsydra.

Odniosłem wrażenie, że wdarłem się do czyjśgo koszmaru.

Ale do czyjego?

– Dzieci śpią na piętrze – rzuciłem, głównie po to, by usłyszeć własny głos i nie zwariować do końca. Przecież wszyscy o tym wiedzieli.

Ton śmigającej warkotki zmieniał się co chwila, jakby Sara szukała melodii, która najbardziej dokuczy bestii. Cieszyłem się, że ją słyszę – dopóki lina się obracała, dopóty moja żona była bezpieczna. Wydawało mi się, że wychwytyuję mocny głos Vitalisa przyzywającego błogosławieństwo Doli.

Ktoś na zewnątrz zapalił pochodnię. Jej nikły, odległy blask przenikał przez pokryte szronem okienka i przydawał wnętrzą sierocińca większej realności. Łomocząc butami, popędziliśmy na górę.

Dzieci spały we wspólnej izbie na piętrze. Nie wiedzieliśmy, jak liczna jest grupa podopiecznych, ale Żychłoń, który swego czasu często sierociniec odwiedzał, twierdził, że łóżek jest dwanaście. Każdy z nas mógł teoretycznie wynieść dwoje dzieci, ale zataszczenie ich do wozu i powrót zabierał cenne minuty. Nie mogliśmy więc tracić ani chwili.

Na poddaszu było tak koszmarnie zimno, że pomimo niemalże całkowitych ciemności widziałem kłęby pary wokół ust. Na szczęście widziałem też łóżka, a w nich przykryte kocami drobne figurki. Eliah już kuczał przy jednym.

– Żyje – mruknął. – Wzięziony i nieprzytomny, ale żyje.

Przypadłem do innego łóżka i podniosłem wychłodzone ciało ośmioletniego chłopca. Zarzuciłem je sobie na ramię, przykryłem kocem i ze zgrozą skonstatowałem, że drugiego dziecka już nie udźwignę. Przekleństwo Gramma dało mi do zrozumienia, że doszedł do tego samego wniosku.

Dzieciaków naliczył zaś dziesięcioro.

A więc trzeba było wrócić do sierocińca nie dwa razy, ale przynajmniej trzy. Czy Sara zdoła wytrzymać tak długo?

Obciążony ciałem chłopca przypadłem do okienka i łokciem starłem z niego szron. Niewiele widziałem, ale wydawało mi się, że Sara nadal kręci linką. Tuż za nią stał Vitalis z obiema dłońmi wzniesionymi ku niebu, ale czarna istota unosząca się nad nimi niczym falujący na wietrze koc sprawiała wrażenie większej i potężniejszej niż wcześniej.

– Szybciej! – syknąłem, próbując ukryć rozpacz.

Niosąc dziecko, ruszyłem w dół po schodach, o mało nie tracąc przy tym równowagi. Zakląłem z wściekłością. Kto jak kto, ale ja powinienem chyba

wiedzieć, że drobny chłopiec tylko wydaje się lekki.

Nasze szanse się kurczyły.

Byłem już w sieni, gdy uchylone drzwi nagle stanęły otworem i zamajaczyła w nich jakaś postać. Serce zabiło mi mocniej i odruchowo złapałem rękojeść miecza, choć w tej sytuacji, z dzieciakiem przewieszonym przez ramię, nie miałem w walce żadnych szans.

Potem zarejestrowałem przytłaczający smród alkoholu.

– Posuń się, Kociołek! – wybełkotał Żychłoń. – Miejsce mi zrób.

– Czego tu szukasz? – syknąłem. – Miałeś być przy Sarze!

– I niby jak miałbym jej pomóc, co? – warknął guślarz. – Ta cała jej warkotka niewiele daje! Gdyby nie klecha, byłoby już dawno po niej!

– A więc trzeba ją stamtąd zabrać! – wrzasnąłem.

– Od rzeczy gadasz, Kociołek! – Guślarz czknął. – Dokąd niby mielibyśmy ją zabrać?

Wiedziałem o tym. Najsłabszym elementem planu, który przy niechętniej aprobacie wszystkich obecnych umieściłem w kategorii „coś tam się wymyśli”, było przecież to, że przed wszechwładną, niematerialną istotą ciężko będzie uciec.

– Pokonać to piździaństwo trzeba, a nie uciekać! – Żychłoń dźgnął mnie palcem w pierś. – Dislai! Dislai, gdzie jesteś?

Rycząc jak żubr, pomknął w głąb sierocińca.

Dolo, ależ ze mnie idiota, pomyślałem, wybiegając z dzieckiem na dwór. Przecież gdzieś w budynku są dwie inne kapłanki, które mogą wesprzeć Vitalisa.

Z każdym krokiem odzywało się złamane żebro, które bolało jak nigdy wcześniej, ale wysiłek sprawił przynajmniej tyle, że nie było mi już zimno. Biegając w stronę wozu, zerknąłem w bok, na Sarę, Vitalisa i ich przeciwnika. Skądś wiedziałem, że walka sięgnęła punktu kulminacyjnego – istota czarniejsza od nocy przesłaniała już całe niebo, a jej wściekły wrzask, który wydawał się przebijać z innego wymiaru, wdzierał mi się do umysłu i rozpędzał myśli. Sara jednakże nadal kręciła warkotką, a Vitalis grzmiącym głosem wypowiadał słowa modlitwy. Nie słyszałem tego, co mówił, ale miałem wrażenie, że z każdym wypowiedzianym słowem niematerialne ciało ich wroga przeszywa lekki dreszcz.

Nic dziwnego, że Fryderyk wypowiedział wojnę Doli, przemknęło mi przez myśl.

Skupiłem wzrok na wozie. Nie miałem pojęcia, że zostawiliśmy go tak daleko.

– Zwierzak! – wrzasnąłem. – Zwierzak!

Goblin, który jak dotąd czuwał przy Sarze, lecz chyba na niewiele się przydawał, przypadł do mnie w mgnieniu oka.

– Chodź ze mną! – wysapałem, wciąż biegnąc. – Podprowadzisz... wóz... bliżej!

– Ja? – Zwierzak wybałuszył oczy i zerknął na zaprzężonego do wozu konia. – Ale ja przecież...

– Cicho bądź i rób, co mówię!

Zwierzę wyczuwało napięcie i szarpało łbem, próbując zerwać postronek, którym przywiązałem je do drzewa. Na szczęście węzeł i lina były mocne. Wydawało mi się, że upłynęły długie godziny, nim wreszcie ułożyłem ciało chłopca na wozie i nakryłem je kocami. Zaraz to samo zrobili Gramm i Eliah.

– Wracamy! – zarządziłem.

Za moimi plecami Zwierzak z mocno nieszczęśliwą miną wdrapywał się na kozła.

Ruszyliśmy biegiem w stronę sierocińca, choć z trudem łapałem oddech. Nie miałem pojęcia, że ten krótki bieg odbierze mi aż tyle sił.

– Wytrzymajcie jeszcze chwilę! – krzyknąłem do Sary i Vitalisa. – Trójkę dzieci już uratowaliśmy!

Już? – przekląłem się w myślach za dobór słów.

Złowroga istota praktycznie przesłoniła całe niebo, zupełnie jakby wysiłki Sary i Vitalisa nic nie dawały. Moja żona nadal mężnie kręciła warkotką – która była przeraźliwie, próbując coraz to ostrzejszymi tonami rozsadzić sługę Złego – ale nie umknęło mojej uwadze, że cofnęła się o krok. Vitalis stał wyprostowany i powtarzał gromkim głosem słowa jakiejś modlitwy. Chyba odnosiło to skutek, bo istotę Złego co rusz przeszywały gwałtowne spazmy, ale obawiałem się, że to tylko rozjuszy ją bardziej.

Każde kolejne uderzenie serca przybliżało nas do kłęski. Pędziłem więc jak szalony do sierocińca, wyprzedzając po drodze nawet Eliaha. Przypadłem do wciąż uchylonych drzwi i zdyszany zaryzykowałem spojrzenie za siebie.

I wtedy właśnie Sara padła na kolana, a linka z warkotką odfrunęła w mroźną noc.

Czerń wypuściła przypominający mackę lej i wycelowała go prosto w moją żonę, klęczącą i zaciskającą dłonie na uszach.

– Nie! Zostaw ją! – wrzasnąłem i rzuciłem się w jej kierunku.

Nie zrobiłem jednakże nawet kroku, bo pochwycił mnie Gramm, spocony, zasapany i owładnięty straszliwym wprost gniewem.

– Nijak jej nie pomożesz! – wycharczał, opryskując mnie drobinkami śliny. – Poza tym ona ma Vitalisa, a te dzieciaki nie mają już nikogo! Ruszaj do środka,

bo jak cię kopnę w dupę...

Popchnięty przez Gramma wpadłem do środka, ale świat dookoła mnie drżał, przesłonięty łzami żalu i wściekłości. To chyba przez to w pierwszej chwili nie dojrzałem Dislai, która niczym duch przemknęła tuż obok mnie. Kapłanka zataczała się i odpychała od ścian, ale ani myślała się poddać, a na jej śmiertelnie bladej twarzy widniało całkowite skupienie. Kobieta parła na zewnątrz, pochłonięta jedną tylko myślą – by w imię Doli wyrzucić zemstę na tym, co zagraziło jej podopiecznym.

– Dolo, wesprzyj swe służki! – krzyknęła ostrym, nieprzyjemnym głosem, mierząc rozcapierzonymi palcami w wijące się nad nami cielsko wrogiej istoty. – Wesprzyj nas w walce z tym, który tobie przeczy, a przybył, by unicestwić twe dzieło! Wynos się, pomocię Złego! Niech cię zaleje rozpacz, niech cię pograży zwątpienie, niech tobą zawładnie zgroza!

– Gramm, chodź no tu! – stęknął z głębi domu Żychłoń. – Pomóż mi z tą grubą... Kurwa, kto tutaj próg zrobił...

– Z kim? – Rozległ się kobiecy głos, niewyraźny i nieco bełkotliwy, ale drżący od złości. – Jak ty mnie nazwałś, stary, łysy capie?

Usłyszałem łoskot przewracanego ciała i głucho stęknięcie, zazwyczaj towarzyszące kopniakowi wymierzonemu w żołądek. Potem ktoś odepchnął mnie na bok.

– Dislai! – krzyknęła kobieta, która mogła być tylko Werbeną. – Co tu się... och, na Dole!

Zerwałem się do biegu i przypadłem do schodów.

– Wstawaj, Żychłoń! – rzuciłem. – Pomóż nam z dziećmi!

Elijah już zbiegał na dół, trzymając nieprzytomną dziewczynkę, która nie mogła mieć więcej niż cztery lata. Złapałem inne dziecko, na szczęście nieco lżejsze od chłopca, którego wyniosłem poprzednio, i popędziłem w dół, a potem w stronę wozu.

– Dolo, przybywaj i przeknij Złe! – krzyczała Dislai nieludzko potężnym głosem. Jej włosy falowały na niewyczuwalnym wietrze.

– Dolo, wysłuchaj nas i zniszcz Złe! – wrzeszczała Werbena, aż powietrze wibrowało.

– Dolo, wesprzyj nas i przegnaj Złe! – dobiegał z oddali dudniący głos Vitalisa.

Serce przeszył mi paralizujący ból na widok Sary, leżącej nieruchomo na ziemi, ale z ulgą skonstatowałem, że istota Złego nie celuje już w nią wirującym lejmem. Wręcz przeciwnie, odniosłem wrażenie, że niematerialny potwór, przed chwilą wiszący nad nami niczym wielka czasza, zaczyna się kurczyć i gęstnieć.

Nieustannie przeszywały go spazmy, jakby słowa trójki kapłanów okazywały się dlań równie bolesne, jak groty strzał dla kogoś obdarzonego ciałem.

Poczułem ukłucie delikatnej nadziei.

Może jednak się uda? – pomyślałem, biegnąc w śniegu w stronę wozu.

Niestety, już chwilę później przekląłem siebie samego za przedwczesny optymizm.

Z powodów, których nie rozumiał nikt, zwierzęta kopytne wołały nie mieć ze Zwierzakiem do czynienia i tylko nieliczne zdobywały się wobec niego na chłodną obojętność. Pozostałe na ogół próbowały mu uprzykrzyć życie, a zaprzężony przez nas koń wcale do wyjątków nie należał i choć przerażony Zwierzak dokonywał cudów męstwa, nie tylko nie podjechał do sierocinca, ale zdołał zatrzymać bydlaka dopiero pół mili dalej.

Robiłem już w życiu wiele rzeczy, które później musiałem odchorować, ale dodatkowe pół mili biegu w śniegu z nieprzytomnym dzieckiem na rękach okazało się jednym z moich najtrudniejszych wyzwań. Na wpół żywy z wysiłku i bólu przypadłem wreszcie do burty, ostatkiem sił ułożyłem dziewczynkę na kocach i otuliłem ją najlepiej jak umiałem, a potem wdrapałem się na kozła. Płuca mi płonęły, złamane żebro bolało jak cholera, spocona skóra szczypała, a kolana aż wyły z wysiłku. Z trudem odnalazłem lejce.

– Ja próbowałem! – darł się Zwierzak. – Próbowałem! Durny koń! Głupi! W ogóle mnie nie słucha!

– Cicho bądź! – wychrypiałem i strzeliłem z bata, a koń, chyba zrozumiawszy powagę sytuacji, zawrócił pospiesznie.

Prowadziłem teraz wóz prosto na sierociniec. Zgarnąłem po drodze Gramma, uginającego się pod ciężarem prawie nastolatki, i Eliaha, który opadł z sił i zatrzymał się, by zaczerpnąć tchu, ale ani przez moment nie spuściłem wzroku z budynku. Czarna istota nadal falowała, co oznaczało, że walka trwała w najlepsze. Na skraju świadomości wciąż rejestrowałem przeraźliwy pisk i coś mi mówiło, że koń może na niego źle zareagować, ale nie było wyboru.

Musiałem podjechać jak najbliżej i zabrać ostatnie dzieci, a potem oddać wodze Grammowi lub Żychłoniowi w nadziei, że zrobią to, co powinni. Ja bowiem musiałem oszczędzić resztkę sił.

Zamierzałem wszak wynieść Sarę w bezpieczne miejsce. Nie wiedziałem co prawda, gdzie go szukać, ale liczyłem na to, że coś wymyślę. Albo Dola wskaże mi drogę.

Zaciąłem konia raz jeszcze, a ten, łomocząc kopytami w zmarzniętą ziemię, gnał prosto na sierociniec, jakby dookoła nie toczyła się walka na śmierć i życie.

Walka, którą przegrywaliśmy.

Gdy zeskakiwałem z kozła, zrozumiałem, że sytuacja jest poważna. Bestia, wciąż skupiona w czarną masę, drżała, przeszywana inkantacjami, ale ani myślała zniknąć, a kapłani gonili resztkami sił. Dislai i Werbena, choć powodowane nienawiścią do Złego i lękiem o podopiecznych, dopiero co wyrwały się spod jego wpływu, a Vitalis był już starym mężczyzną. Z nosa Dislai płynęła krew, inkantacje Werbeny co rusz przerywał kaszel, a głos mężczyzny zachrypl.

Z ciemnej kuli, obojętniejącej na wezwania kapłanów, znów wysunęła się macka zmierzająca ku nieprzytomnej Sarze.

– Dolo, przybywaj! – wrzeszczała Dislai.

– Dolo, wesprzyj nas! – chrypiała Werbena.

– Dolo, użycz nam siły! – rzęził Vitalis.

Patrzyłem z rozpaczą, jak lejek niemalże dotyka ciała Sary.

A jednak przegraliśmy, pomyślałem. Jednak nie wyjdę stąd żywy. Bo przecież muszę choć spróbować ją wyciągnąć...

Już rzucałem się do biegu, który miał się okazać ostatnim w moim życiu, gdy rozległ się jeszcze jeden głos, silniejszy od wszystkich pozostałych.

– Dolo, prowadź nas do zwycięstwa!

Potknąłem się i przewróciłem, przekonany, że oszalałem do reszty. Skądś dobiegł głuchy ryk Gramma, gdzieś przeklinał Żychłoń, ciemność nad nami falowała. Wiedziałem, że postradałem zmysły, ale mimo to odwróciłem się tam, skąd dobiegał ów głos, jakże dobrze mi znany.

Z sierocińca wyłonił się samotny mężczyzna o szczupłej, zarośniętej twarzy i szerokich barkach. Emanował spokojem i powagą tak wielką, że w pierwszej chwili zgoła nie dostrzegąło się tego, że ma na sobie jedynie koszulę nocną i drewniane chodaki, a do tego wspiera się o lasce.

Po kilku chwiejnych krokach wycelował ją w istotę Złego i wykrzyknął raz jeszcze:

– Dolo, bądź z nami!

Przybysza otaczała wyraźna poświata.

– Dolo, bądź z nami! – wykrzyknęli pozostali kapłani ze zdwojoną siłą.

– Dolo, ocal mnie od szaleństwa... – wymamrotałem na śniegu. – Urgo?

* Co zostało opisane w prequeli *Przed wyruszeniem w drogę*.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tego, co działo się później, nie pamiętam za dobrze, bo wydarzenia runęły naprzód w tempie, za którym mój umęczony troską umysł nie mógł już nadążyć.

Pamiętam, że wpatrywałem się w Urgo z niedowierzaniem tak wielkim, że przez moment straciłem całkowicie kontakt z rzeczywistością. Nie mogłem uwierzyć w to, że oplakany przeze mnie przyjaciel nagle się zjawił, i to dokładnie wtedy, gdy potrzebowaliśmy go najbardziej. Wydawało mi się, że ulegam jakiejś przekłętej iluzji, zesłanej przez Złe, a mającej na celu jedynie pogłębić mi wyrwę w sercu, lecz uparty zdrowy rozsądek, który zawodził mnie w tysiącach sytuacji, teraz wskazywał mi jeden szczegół po drugim, przekonując mnie, że jednak patrzę na prawdziwego Urgo. Widziałem, jak jego koszula nocna faluje na wietrze; zauważyłem jasną, równo przyciętą brodę, którą zapewne zajęły się kapłanki; nie umknęły mi cienie pod oczami i głębokie zmarszczki wokół nich – a także to, że rycerz chwiał się, jakby z jakichś powodów nie doszedł do pełni sił.

Niemniej jego głos brzmiał mocno i zdecydowanie, a jego pomoc okazała się tym, czym szarża kawalerii podczas bitwy toczony przez piechotę. Czarna istota najpierw cofnęła mackę i runęła prosto na rycerza niczym ławica drapieżnych ryb, ale ten wstrzymał ją głośnym okrzykiem i uniesieniem dłoni. Potem chwiejnie postąpił krok, a istota Złego cofnęła się, jakby przerażona.

Potem dojrzałem, że Sara podnosi się na kolana i rozgląda za warkotką.

Radość i ulga dodały mi sił. Zapomniawszy o zmęczeniu i bólu ramion, wskoczyłem do sierocińca, by wynieść z niego ostatnie dzieciaki, a gdy wybiegłem, uginając się pod ciężarem wysokiego chłopca, wychwyciłem znajomy świst obracającej się warkotki. Tym razem jednak było w tym dźwięku coś groźnego i ostatecznego. Gdy odłożyłem chłopczyka na wóz i nakryłem go

kocem, dostrzegłem, że Sara cofa się, a krąg już nie wiruje nad jej głową, ale tworzy tarczę, skierowaną pod kątem do ziemi, a wycelowaną prosto w potwora.

Ten zaś zaczął się rozsypywać.

Pomimo ciemności widziałem mroczne strużki, które się od niego odrywały i mknęły prosto w stronę kręgu, jakby zasysane jego oddziaływaniem, a obracająca się szybko linka rozbijała je na pył. Kolejne smugi odrywały się coraz szybciej i bestia kurczyła się błyskawicznie, aż w końcu wirujący krąg zassał ją całą i zamienił w chmurkę ciemnego pyłu.

Przypadłem do Sary i objąłem ją ramionami tuż przed tym, jak osunęła się na zdeptany śnieg. Z jej uszu i nosa płynęły strużki czarnej krwi, ale uśmiechała się z mściwą, półprzytomną satysfakcją. Wokół nas opadał czarny pył, już niegroźny, przypominający zwykłą sadzę.

– Zaprowadź mnie do niego – wyszeptala Sara, której oczy wezbrały łzami.

Już nie wątpiłem, że patrzę na prawdziwego, żywego Urgo, a reszta drużyny również wyzbyła się niepewności. Jako pierwszy zareagował Żychłoń, który przypadł do rycerza w chwili, gdy ten zgiął się wpół i zaczął kaszleć. Zerwał z siebie własną kapotę i narzucił na drżące z zimna ramiona, zasypując go jednocześnie tysiącami pytań. Wtedy odepchnął go Gramm, który jednocześnie śmiał się i pochlipywał – krasnolud najpierw objął rycerza i poklepał go po plecach, a potem odepchnął go od siebie i zasypał stekiem inwektyw. Dookoła tańczył Zwierzak z dzikimi wrzaskami, a Elijah stał w oddali i przyglądał się scenie, krzywiąc się przy tym, jakby połykał garście ługu, ale ja wiedziałem, że w ten oto sposób walczy z silnym wzruszeniem.

Wszyscy się jednak rozstąpili, gdy przed Urgo stanęła Sara.

– Przepraszam! – wyszeptala i rzuciła mu się na szyję.

Rycerz, najwyraźniej oszołomiony taką lawiną emocji, spojrzał na mnie, prosząc niemo, bym mu to wszystko wyjaśnił.

– Długa historia – powiedziałem, ściskając jego dłoń. Drugą uciskałem obolałą pierś. – Ale najważniejsze, że kończy się dobrze.

– Ty – wysapała Dislai, mierząc w rycerza palcem – masz natychmiast wracać do łóżka! Bo owo dobre zakończenie, które właśnie obiecał ci Kociołek, rozwieje się w pył tak, jak to cholerstwo.

Zachwiała się nagle, jakby tych kilka słów odebrało jej resztkę sił. Złapałem ją w ostatniej chwili przed upadkiem.

– Wszystkie dzieciaki są na wozie! – krzyknęła Werbena zachrypniętym głosem. – Żyją!

– Masz, Kociołek, więcej szczęścia niż rozumu – oświadczył Vitalis i zakasłał.

Dislai oparła głowę na moim ramieniu. Nie miałem pojęcia, czy wyraża w ten sposób wdzięczność, czy może broni się przed utratą przytomności. Wiedziałem tylko tyle, że wszyscy zasłużyliśmy sobie na chwilę wytchnienia w ciepłym wnętrzu i miszkę gorącego bigosu.

Niebo nad nami było cudownie rozgwieżdżone. Nie kazał go już żaden nienaturalny kształt.

*

Andrea, rzecz jasna, nawet nie zmrużyła oka i przesiedziała całą noc przy oszronionym oknie, odrywając się od niego jedynie po to, by dorzucić drwa do ognia i pieca. Gdy tylko usłyszała tryumfalny stukot końskich kopyt, wyległa na dwór z pochodnią w jednej dłoni i siekierą do rąbania drewna w drugiej i przysięgam, że nigdy wcześniej nie widziałem, by prezentowała się równie imponująco.

Nigdy wcześniej też nie cieszyłem się tak bardzo z tego, że ją mamy. Wszyscy byli bowiem zbyt wyczerpani, by zająć się sprawą najważniejszą, czyli dziećmi. Andrea zaś w mig zorientowała się w sytuacji, wycisnęła soczysty pocałunek na ustach Vitalisa i wyrzuciła z siebie serię poleceń. Chwilę później w pokojach, które na ogół udostępnialiśmy gościom, płonął już ogień w kominkach, napełniając je domowym ciepłem, a uratowane z nawiedzonego sierocińca dzieci lądowały pod pierzynami. Niektóre budziły się na moment i rozglądały ze zdziwieniem, ale zasypiały ponownie z nieśmiały mi uśmiechami. Wnet Dislai i Werbena przyszły nam powiedzieć, że ani wiele godzin zimna, ani obecność istoty Złego chyba nie wyrządziły im krzywdy.

Andrea, której obecność tylu duchownych pod dachem Gryfa najwyraźniej dodała energii, wcisnęła w kapłanki Doli po misce bigosu, a potem zajęła się Urgo. Z bezwzględnością odpędziła od niego Gramma i Żychłonia, którzy bez litości domagali się od rycerza wyjaśnień, dopilnowała, by on również coś zjadł, a potem odeskortaowała go do sypialni, siejąc naokoło groźnymi spojrzeniami niepodzielnej władczyni. Nie przeszkadzała mi jej postawa, a nawet cieszyłem się z niej, bo dzięki temu mogłem zrobić to, o czym marzyłem. Po kryjomu zabrałem Sarę do sypialni, rozpałem w kominku, przykryłem nas kilkoma kocami i grzałem żonę własnym ciałem, dopóki się nie uśmiechnęła i nie zasnęła.

Kochałem ją bezgranicznie.

Obudziły mnie wrzaski Edwina, Salii i Nuuta, którzy – jak to oni – najwyraźniej przebudzili się z przekonaniem, że dzieje się coś niezwykłego

i warto by to uświetnić dodatkowym zamieszaniem. Nastął poranek, bielutki i niewinny, a więc pora, kiedy już dawno powinienem być na nogach; porządny gospodarz nigdy się nie spóźnia ze swoimi obowiązkami, nawet gdy spędził noc na szarpaniu się z upiorami.

Wyślizgnąłem się więc ostrożnie z objęć Sary, która zamruczała jedynie cicho przez sen i zamiast mnie objęła siennik, ubrałem się i, przeklinając pod nosem, zbiegłem po schodach. Spodziewałem się, że w izbie zastanę wszystkich moich przyjaciół, ale siedzieli tam jedynie Żychłoń i Vitalis, pogrążeni w toczonej półgłosem rozmowie. Na mój widok obaj unieśli głowy.

– Dobrze, że jesteś – oświadczył kapłan. – Musimy się naradzić.

– Popatrz, cholera – mruknąłem, kucając przed wielkim kominkiem, by dorzucić nieco więcej brzoźowego drewna. – A ja myślałem, że po prostu sobie usiadziemy i spróbujemy przez chwilę udawać, że żyjemy w normalnym świecie.

– Taka sztuczka wyjdzie jedynie Zwierzakowi – burknął Żychłoń i objął wielkimi łapami drewniany kubek, z którego biła para. Upił łyk i pokręcił łusą głową. – Gadałeś z Sarą?

– Nie – powiedziałem, siadając obok nich. Vitalis bez słowa podsunął mi dzban z grzany miodem. – Ochlapusy – stwierdziłem, ale bez słowa napełniłem własny kubek. – Jak mnie teściowa przyuważy na picciu miodu przed śniadaniem, przez cały dzień będzie mnie wyzywać od pijaków.

– Bo brak ci wdzięku i uroku, młody – oświadczył Vitalis i beknął. – Ja nigdy nie słyszałem od niej złego słowa.

Nie miałem ochoty rozpoczynać dnia od rozmowy o teściowej, a więc przenieśliem wzrok na Żychłonia.

– Dlaczego pytasz, czy rozmawiałem z Sarą?

– Chętnie się dowiem, co sądzi o tym czymś, co zawładnęło sierocińcem. – Żychłoń upił kolejny łyk miodu. Mówił mało wyraźnie, a jego przymrużone oczy były mocno przekrwione, co oznaczało, że po nocnej akcji miał potężnego kaca. – Twierdziła, że to nie upiór, tak?

– Jej zdaniem nie ma mowy. Mówiła o tym jeszcze przed opuszczeniem gospody. Uważa, że upiór to w zasadzie nie byt, ale pamiątka po nim, mniej lub bardziej wyraźna. Z całą pewnością niezdolna do zawładnięcia kimś, nawet dzieckiem, a co dopiero kilkunastoma osobami.

– Z drugiej strony – wtrącił Żychłoń – powstrzymywała owo coś dokładnie tak, jak upiora.

– Ale nie zdołała go uwięzić ani zniszczyć – rzekł Vitalis. – Pamiętajmy o dwóch rzeczach. Po pierwsze, Sara nie wie wszystkiego. Nie dość, że szkoliła

się lata temu, to jeszcze chyba nie ukończyła nauki. Nawiasem mówiąc, wiedziałeś, że poślubiłaś upiorniczkę?

Patrzył na mnie przenikliwie, a w jego spojrzeniu czało się rozbawienie.

– A druga sprawa? – wymamrotałem, wpatrując się w głęb kubka.

– Że to nie upiór – pokiwał głową Żychłoń. – Nie upiór, a jakieś piździaństwo wyrzygane przez Złe. Co zresztą jest nawet logiczne, bo skoro Złe tworzy potwory przypominające ludzi, to dlaczego nie miałyby rodzić bestii będących ulepszonymi, bardziej zabójczymi wersjami upiórów z Doliny?

– O tym samym pomyślałem – stwierdził Vitalis. – Rytuał Sary powstrzymał to paskudztwo do pewnego stopnia, ale tak naprawdę zniszczyła go dopiero wiara w Dołę.

– Ale się wydzieracie! – westchnęła ochryple Dislai, wchodząc do izby. Była blada i rozczochrana, ale w jej ruchach i wyrazie twarzy nadal kryło się naturalne dostojeństwo. Na świątynną szatę narzuciła wełniany koc, a mimo to usiadła blisko ognia, jakby wciąż nie mogła uwolnić się od zimna.

– To Żychłoń – oświadczyłem, nalewając jej kubek miodu. Kapłanka podziękowała mi skinieniem głowy i natychmiast upiła łyk. – Miał wśród przodków żubra i porykuje z wielką lubością.

– Żubra, zgadza się – przytaknął z ożywieniem guślarz. – I stąd się, Kociołek, bierze się moja niezrównana siła, witalność i jurność. Dislai – zwrócił się ku kapłance, która uśmiechnęła się lekko – wybaczone, że wywlekam sprawy, o których pewnie chcesz zapomnieć, ale... – Zawahał się lekko.

– Chcesz się dowiedzieć, co się z nami działo, gdy sierocińcem zawiadnęła ta istota? – spytała bezpośrednio kapłanka. Mówiła normalnym, spokojnym głosem, ale nie uszło mojej uwadze, że zeszytywniała z kubkiem miodu w dłoniach, a jej oczy nagle pociemniały.

– Noo... no tak. – Żychłoń najwyraźniej pożałował swojej ciekawości. – Czy... czy to coś się z wami kontaktowało? Mówiło coś?

– Nie. – Dislai westchnęła. – Pojawiło się nagle, wczesnym wieczorem dwie noce temu, tuż po tym, jak zjedliśmy wieczerzę i ułożyliśmy się do łóżek. Pory jestem pewna, bo moim ostatnim wspomnieniem jest to, jak masowałam sobie kolana po wieczornej modlitwie na twardej podłodze. Owo coś pojawiło się niedługo potem i... i odebrało mi wolę do życia. Spałam dalej, ale dlatego, że nie czułam potrzeby, by się podnieść. Pamiętałam, że jestem kapłanką i że mam dzieci pod opieką, ale nie wystarczało mi to, by choć spróbować wstać. Brakowało mi siły, brakowało ochoty. Wiedziałam, że marznę i że ucieka ze mnie

życie, wiedziałam, że wystarczy gwałtowny ruch, by przerwać ów upiorny sen, ale... – Pokręciła głową. – Ale nie umiałam – dokończyła szeptem. – Przetrwiałam kilkanaście przerażająco pustych, lodowatych, beznadziejnych godzin, na których końcu czekała śmierć. Przybyliście w ostatniej chwili.

Pokiwałem głową, oszołomiony, gdyż nagle uzmysłowiłem sobie, że ze wszystkich broni Złego, z którymi mieliśmy styczność, ta była chyba najskuteczniejsza. Przecież takie istoty mogły bezkarnie eliminować całe oddziały wojska – wystarczyło, by zesłały na nie sen w samym środku mroźnego dnia i utrzymały go przez kilka godzin. Dislai, Werbena i sieroty przetrwały wszak głównie dlatego, że istota Złego dopadła je w chwili, gdy leżały w pierzynch, a w kominkach nadal płonął ogień. Żołnierze wędrujący szlakiem takiego szczęścia by nie mieli.

– A nie wiesz może, kogo przyzywał? – spytał Żychłóń. – Wyraźnie słyszałem, że to czynił.

Kapłanka pokręciła głową.

– Nie. Niczego nie słyszałam. Absolutnie niczego. Przez cały czas trwania uroku miałam wrażenie, że znalazłam się w sercu lodowej góry. Ale wyczułam obecność jeszcze jednej istoty.

– Kogo? – Nachyliłem się ku Dislai.

– Nie wiem. – Kapłanka przeniosła na mnie spojrzenie podkrążonych, znużonych oczu. – Wiem, że był tam ktoś jeszcze. Ktoś, kto chodził po sierocińcu, a potem wyszedł.

– Kiedy wyszedł? – spytałem zaintrygowany, ale pokręciła głową.

– Nie wiem. Pewnie niedługo po tym, jak padł na nas czar, ale nie mam pewności.

– To zaczyna się układać w logiczną całość. – Odwróciłem się do Żychłonia i Vitalisa. – Wczesnym wieczorem dwie noce temu pojawia się tajemnicza, niematerialna istota służąca Złemu, która rzuca czar na sierociniec. Potem przybywa jej towarzysz, który... Dislai, co Urgo właściwie u was porabiał?

– Dochodził do siebie po ciężkiej ranie.

Może mi się wydawało, bo przecież siedziała tuż przy ogniu, ale na jej policzkach pojawił się ledwie zauważalny rumieniec.

– A więc trafił pod wasz dach odpowiednio wcześniej – rzekłem z ożywieniem. – Owa istota znalazła sposób, by upodobnić się do Urgo, i przywdziała jego blachy, po czym ruszyła do Gryfa i została zabita przez Sarę! To tę istotę przyzywał ów koszmarny upiór!

Mój entuzjazm był mocno udawany, bo po pierwsze, moja teoria była naciągana, a po drugie – naraz pojawiła się jeszcze jedna zagadka do rozstrzygnięcia, a ta, szczerze powiedziawszy, mroziła mi krew w żyłach. Wyglądało bowiem na to, że świat nagle zaczął wykazywać niezdrowe zainteresowanie Gryfem i przypuszczalnie mną. Najpierw wtargnął tu w tej sprawie Mocarz ze świtą, a potem sieć na karczmę zarzuciło Złe, które zostało zaskoczone przez Sarę oraz Żychłoniowe glify.

A jeśli weźmiemy pod uwagę to, że Złe prawie na pewno podporządkowało już sobie księcia Fryderyka, sytuacja robi się naprawdę nieciekawa. Złe najwyraźniej uznało mnie za przeciwnika wartego zachodu.

Nawet nie zauważyłem, gdy dopilem resztę miodu. Przeoczyłem tym samym dalszą część toczony cichym głosem rozmowy, a gdy już miałem otworzyć usta, by podzielić się spostrzeżeniem z resztą, przerwało nam pojawienie się Urgo.

Rycerz, wciąż w nocnej koszuli i kalesonach, zszedł ostrożnie do izby. Był błądy i wydawał się mocno osłabiony, ale moją uwagę przyciągnęło przede wszystkim oszłomienie na jego wychudzonym obliczu. Urgo najwyraźniej zawahał się na widok min ludzi zgromadzonych wokół ławy i spojrzał na mnie błagalnie, a potem cofnął się o krok, gdy poderwała się Dislai.

– A co ty tu robisz? – syknęła. – Powinieneś leżeć! Nie doszedłeś jeszcze do pełni sił!

– To prawda – przytaknął rycerz tubalnym głosem, w którym pobrzmiwała skrucha.

Zacisnąłem powieki z nagłym wzruszeniem. Wszak całkiem straciłem nadzieję, że kiedyś jeszcze go usłyszę.

– To prawda, nie doszedłem, ale... – błagalnie złożył dłonie – Dislai, ja się już dość się wyleżałem, a poza tym muszę się wreszcie dowiedzieć, o co tu chodzi!

– Nie jesteś w tym sam – powiedziałem, przegnawszy z niemalym trudem włochatą kulę, która zablokowała mi gardło. – Usiądź z nami i napij się miodu.

– Wody! – orzekła Dislai kategorycznie.

– Wody – zgodziłem się natychmiast, widząc ogniki złości w jej spojrzeniu. Nic nie uczyło sztuki rozmawiania z rozdrażnionymi kobietami tak dobrze jak lata małżeństwa.

Urgo usiadł obok Vitalisa, ujął podany mu kubek i pił łapczywie, a gdy osuszył go do dna, odstawił z trzaskiem na blat i spojrzał na mnie z niedowierzaniem i pretensją.

– Możesz mi wyjaśnić, o co tu chodzi? – wybuchnął niespodziewanie. – Czemu wszyscy traktują mnie, jakbym był ze szkła? Rozumiem Dislai, bo otoczyła mnie

opieką, gdy byłem bliski śmierci, ale reszta? Gramm wczoraj obmacał mi całą twarz, a potem rozryczał się, wybełkotał coś o cudzie i uciekł! Zwierzak usiłował wleźć mi na kolana. Eliah stał przez całą noc pod moim oknem. A tego, jak Sara na mnie patrzy, nie rozumiem już kompletnie. Co tu się dzieje? Jakież jaja sobie robicie? Umówiliście się na wspólny dowcip czy co?

Wtedy zrozumiałem, że przecież Urgo nie ma o niczym pojęcia.

– Zarzuć na siebie coś ciepłego – powiedziałem, wstając. – Zaprowadzę cię w pewne miejsce.

– To kiepski pomysł – zaprotestowała Dislai natychmiast.

– Ale oszczędzi nam mnóstwo gadania. Ty zresztą też chodź.

Dołączyli do nas Żychłoń i Vitalis, a potem wszyscy wyszliśmy przed bramę Gryfa. W powietrzu unosiły się leniwie nieliczne śnieżynki, a niebo przesłaniały chmury, które tu i ówdzie ustępowały promieniom słońca. W mroźnym powietrzu wisiała cisza, jakby cały świat usiłował nas przekonać, że to, czego doświadczyliśmy ubiegłej nocy, wcale nie było aż tak straszne, a następny koszmar nigdy się już nie wydarzy. Nie byłem jednakże aż tak naiwny, by w to uwierzyć. Jakiś szósty zmysł, którego nienawidziłem i który najchętniej dałbym sobie wypalić, mówił mi, że gdzieś niedaleko stąd, za ową cudowną śnieżną scenerią, działają tajemnicze, niepowstrzymane siły, które wnet zamienią Dolinę w pole kolejnej bitwy.

Szczęściem w nieszczęściu jest to, że przynajmniej zgromadziłem wszystkich przyjaciół w przededniu wielkiej próby, pomyślałem, gdy szliśmy w stronę kopczyka usypanego przez Sarę. Przez noc i rano przykrył go śnieg, przez co niczym się nie wyróżniał, ale dla nas miał zawsze symbolizować jednocześnie niebywałą stratę i ogromną radość.

– To twój grób – powiedziałem oszołomionemu rycerzowi. – Twój i tej twojej cholernej przerdzewiałej zbroi.

Po czym w oszczędnych słowach opowiedziałem Vitalisowi, Dislai i Urgo o tym, co ujrzelśmy po powrocie do Gryfa i co usłyszeliśmy później od Sary. Żychłoń kiwał przez cały czas głową, a wstrząśnięta opowieścią Dislai wsunęła rękę pod ramię rycerza.

– Ktoś przybył do sierocińca – wykrztusił Urgo z trudem, gdy skończyłem – by przeistoczyć się we mnie, włożyć moją zbroję i wkraść się do Gryfa.

– Mniej więcej – potwierdziłem. – Z początku myśleliśmy, że ów upiór, który roztoczył władzę nad sierocińcem, namieszał ci w głowie tak bardzo, że przeszedłeś na stronę Złego...

– Ja? – przerwał mi zaskoczony rycerz i spojrzał ukradkowo na Vitalisa, jakby się obawiał osądu. – Nie ma przecież wierniejszego sługi Doli ode mnie!

– I to nas przeraziło najbardziej. Teraz jednakże wiemy, że było inaczej. Mamy więc do czynienia z dwiema istotami: jedną materialną i potrafiącą zmienić kształt, a drugą duchową, lecz wpływającą na umysły. Obie już nie żyją, co bynajmniej nie ułatwia nam sprawy. Złe najwyraźniej rośnie w siłę, a my nie wiemy, czym jeszcze w nas uderzy.

Rycerz potarł czoło.

– Trudno mi to sobie w głowie poukładać.

– Wiem. A żeby cię dobić do końca, wiedz, mój drogi, że Andrea już cię nie kocha.

Dramatyczne przejścia sprawiły, że Urgo najwyraźniej zatracił umiejętność wykrywania sarkazmu, bo otworzył szeroko oczy i spojrzał na mnie z bezgranicznym oszołomieniem.

– Na szczęście Dola jest po naszej stronie – oświadczył szybko Vitalis i demonstracyjnie założył ramiona na piersi. – Wystarczy ci Dola, dzielny rycerzu?

– Eee... wystarczy – wybełkotał z ulgą Urgo.

Dislai spojrzała na nich srogo.

– Dobrze, żeście się dogadali – przerwała ostro Urgo, który miał chyba kolejne pytania. – Póki co proponuję, żebyśmy coś zjedli. Zaraz zaszkodzi mi ten grzaniec na pusty żołądek.

Gdy wróciliśmy do środka, otrzepując buty i płaszcze, wpadli na nas Salia, Edwin i Nuut. Z dzikim wrzaskiem odtanńczyli taniec powitalny wokół wzruszonego Urgo, a potem rzucili mu się w ramiona. Przyglądałem się temu z ulgą, gratulując sobie w duchu, że udało nam się ukryć naszą żalobę przed moją czeredą, choć podejrzliwe spojrzenia, którymi obrzucała mnie Salia, sugerowały, że zdołała to i owo zauważyć. Co więcej, wiedziałem, że kiedyś, gdy już sobie wszystko przemyśli, zaskoczy mnie niezwykle precyzyjnym pytaniem. Cóż, Salia była nieodrodną córką swej matki i byłbym zdziwiony, gdyby było inaczej.

Do izby wślizgnęły się również sierotki Dislai i Werbeny, zaskoczone niespodziewaną zmianą scenerii i wciąż nieco oszołomione nocnymi wydarzeniami, z których nie pamiętały zgoła nic, ale za to zdrowe i rumiane.

– Stały dziad! – wrzasnęła mała dziewczynka z uroczymi brakami w uzębieniu i nim Żychłoń zdążył zaprotestować, uwiesiła mu się na szyi.

– Staly dziad! – zawołały pozostałe i rozpoczęły wesoły tan wokół rozpromienionego i nieco zażenowanego guślarza, a moje dzieciaki z zachwytem dołączyły do zabawy. Izba wypełniła się beztróskim śmiechem, którego wszyscy potrzebowaliśmy jak wody, i nawet Werbena, która wzięła się pod boki i zmierzyla Żychłonia nieprzyjaznym spojrzeniem, zaczęła się lekko uśmiechać.

– Staly dziad! – piszczała dziewczynka, która jak pozostałe dzieci pamiętała Żychłonia z jego częstych wizyt w sierocińcu, gdzie pomagał w zajmowaniu się domem i ogrodem. – Staly dziadu, das nam jeść?

– Jeść! Jeść! – zaczęły skandować dzieci.

Żychłoń spojrzał na mnie ze zgrozą, a ja westchnąłem teatralnie i, nie zwlekając ani chwili, pogałem do kuchni. Wnet dołączyła do mnie cudownie uśmiechnięta Sara, potem Andrea, podejrzenie niewyspana i marudna nawet jak na swoje standardy, dalej Żychłoń i Vitalis, a na końcu Gramm, który szukał piwa, ale został, by kroić cebulę. Nigdy dotąd w kuchni nie było tak tłoczno, ale jednocześnie tak wesoło. Nigdy też nie stłukliśmy tylu naczyń jednego poranka, ale nikt nawet na nikogo nie nawrzeszczał. Wszystko przyjmowaliśmy z niecodzienną beztróską. Wszak fetowaliśmy zwycięstwo! Nie dość, że odzyskaliśmy przyjaciela, to jeszcze pokonaliśmy aż dwóch agentów Złego!

To, że najgorsze dopiero przed nami, wypierałem z zawziętością konia ciągnącego wóz wyładowany glazami. Kurczowo uczepiłem się tej chwili. Spijałem jej beztróskę, chłonałem jej radość, nurzałem się wręcz w jej niewinności. Zasłużyłem sobie wszak na chwilę wytchnienia, a Złe i wszyscy księżęta Doliny musieli dopiero poczekać na swoją kolej.

Uwialiśmy się więc, że hej! Przegoniłem z kuchni Vitalisa, który, jak się okazało, wszedł tam głównie po to, by klepać po tyłku Andreę. W to miejsce wcisnęła się Werbena, która zaczęła głośno komentować wątpliwe wdzięki Żychłonia i jego raczej zauważalną niechęć do higieny, ale guślarz zagłuszył jej słowa, naśladując ryki swego przodka żubra. Kapłanka wyszła oburzona, a w jej miejsce wdarła się rozwrzeszczana banda dzieciaków, która nakradła tyle jedzenia, ile zdołała, i uciekła. Potem Andrea stłukła słoik z ogórkami, na które rzucił się mokry od śniegu, rozradowany Paproch, na blacie pojawił się Zwierzak z fujarką, a Gramm, który wreszcie dorwał się do piwa, uczcił moment najpotężniejszym beknięciem w historii Doliny. Zamieszanie ściągnęło nawet Eliaha, który zajrzał do zatłoczonej kuchni, cofnął się jak oparzony, szcęknięciem powitał Paprocha, przyjął od niego ogórka i zaszył się w kącie za kominkiem.

A śniadanie? Nawet to, które robiliśmy w Dzień Zstąpienia Doli, nijak się miało do porannej uczyty, którą przygotowaliśmy w niespełna kwadrans. Na stole wylądowała ogromna patelnia ze skwierczącą jajecznicą na boczku, garnek owsianki z miodem, wielki kosz z racuchami, które zeszłego wieczoru upiekła Andrea, cebrzyk wspaniałego smalcu ze skwarkami, a do tego trochę suszonej kiełbasy, dwa rodzaje sera, ocalone z podłogi ogórki i misa z chlebem, i jeszcze kilka dzbanów piwa i kompotu. Rozwrzeszczana dzieciarnia rzuciła się z entuzjazmem na jedzenie, ale wszystkich powstrzymał Vitalis.

– Poczekajcie! – huknął z autorytetem prawdziwego patriarchy. – Podziękujmy wpierw Doli za to, że możemy wspólnie cieszyć się tą chwilą.

Trzeba było przyznać dzieciom, że dzielnie zniosły nieoczekiwaną przeszkodę. Natychmiast spoważniały i ustawiły się wokół stołu, rzucając tęskne spojrzenie na jedzenie, ale wpatrzone w kapłana. Dislai i Werbena stanęły przy nim, Andrea wsunęła mu rękę pod ramię i spojrzała na dzieciaki surowo, jakby chciała w ten sposób zatuszować swe kuchenne wpadki, a Sara oparła głowę o moje ramię. Urgo wyprostował się dumnie, Eliah wyszedł z kąta, Gramm odstawił kufel, a Zwierzak odłożył fujarkę. Zerknąłem na Żychłonia, ale uśmiechnięty zagadkowo guślarz nic nie mówił.

– Dziękujemy ci, Dolo, że pozwoliłaś nam się tu spotkać i mnożyć radość – rzekł Vitalis. – Dziękujemy ci za to, że możemy zachować łzy na inną okazję, a że siły przestały istnieć. Dziękujemy ci za twe dary w samym środku jakże trudnych czasów.

– Dziękujemy ci, Dolo – powtórzyliśmy chórem, zarówno dorośli, jak i dzieci.

– Nie tylko Dola, ale i Los sprawuje nad nami pieczę – odezwał się nieoczekiwanie głośno Żychłoń i spojrzał twardo na Vitalisa. Kątem oka dostrzegłem, że Werbena drgnęła, a Dislai otworzyła szerzej oczy. – Podziękujmy więc i jej za to, że prowadzi nas bezpiecznym traktem wśród pułapek życia. Do ciebie kierują te słowa, cudowna Los! Nigdy nas nie opuszczaj!

– Nigdy nas nie opuszczaj! – powtórzyliśmy wszyscy nieco niepewnie, ale dostrzegłem, że Vitalis ledwie dostrzegalnie skinął Żychłoniowi głową.

Kto wie, czy pod tym dachem nie wydarzyło się więcej, niż mi się wydaje, pomyślałem i klasnąłem w dłoń.

– Zapraszam na posiłek! – oznajmiłem, co wywołało wybuch entuzjastycznej radości.

Zajadaliśmy, aż się wszystkim przysłowiowe uszy trzęsły. Żychłoń wytknął Vitalisowi, że wedle najstarszych wierzeń Dola jest mężczyzną, a nie kobietą, co zesłało nań wściekły teologiczny atak Werbeny. Żychłoń, nie mogąc dobrać

argumentów, znów zaczął naśladować żubra, czym na szczęście pokrzyżował plany Andrei, pragnącej uczcić chwilę pieśnią ku czci Doli. Zwierzak i Nuut układali figurki ze skórek chleba, Edwin siłował się na rękę z Grammem, Salia opowiadała coś z przejściem dzieciakom z sierocińca, a Eliah sprawiał wrażenie, jakby chciał dołączyć do myszkującego pod stołem Paprocha. Spojrzenia wszystkich umykały jednak w kierunku Urgo, który jadł niewiele, pogrążony we własnych myślach i najwyraźniej mocno wzruszony.

– Co go dręczy? – spytała mnie na ucho Sara.

– Pojęcia nie mam – odpowiedziałem. – Pewnie próbuje sobie to wszystko poukładać. Hej, Urgo!

Rycerz drgnął, wyrwany z zadumy.

– Opowiesz nam o tym, co się wydarzyło podczas twojej nieobecności? – spytałem.

Wokół stołu cichły rozmowy i coraz więcej spojrzeń kierowało się w naszą stronę.

– Tak – Urgo pokiwał głową. – I to najchętniej od razu.

– Od razu! – Otworzyłem szerzej oczy. – Może powinniśmy poczekać, aż dzieci odejdą od stołu?

– Nie. – Rycerz się uśmiechnął. – Dzieci jak najbardziej powinny zostać.

I zaczął mówić.

OPOWIEŚĆ Z SOKOLNIKA

Trzech rycerzy jechało powoli leśnym duktem. Płatki śniegu kręciły się w powietrzu i opadały na ich płaszcze spływające aż na końskie zady. Milczeli, jak to zwykli czynić mężczyźni, którzy w pełni panowali nad sytuacją i odzywali się tylko wtedy, gdy mieli sobie coś do powiedzenia.

– Daleko jeszcze? – zapytał Korneliusz.

– Czy ty się wreszcie nauczysz cierpliwości? – wycedził Orgo, odwracając się do niego. – Jesteśmy w drodze od zaledwie dwóch tygodni, a ciągle marudzisz!

– Zaledwie. Dwóch. Tygodni. – Młodzieniec przewrócił oczami. – Tato, czy ty sam siebie słyszysz? Dwa tygodnie! Zmarnowaliśmy dwa tygodnie życia na oglądanie wszystkich ruin Sokolnika! Naoglądałem się szczurów, nawąchałem zgnilizny, rozbiłem sobie głowę, rozciąłem rękę i wpadłem do dołu z błotem! Do dziś mi włosy śmierdzą mułem!

– Nie marudź.

Orgo znów skierował wzrok przed siebie.

– Jak mam nie marudzić?! – jęknął młodzian. – Obiecywaliście mi rycerską przygodę, a co dostałem? Ruiny, kałuże i smród! Żebyśmy chociaż na jakiegoś potwora się natknęli... Nie, to całkowicie bez sensu! My się tu snujemy, tymczasem Matylda...

– Nie chcę o tym słyszeć – rzekł Orgo.

– Nie! – zaciętrzewił się Korneliusz. – To książę Rupert i księżna Marianna nie chcą o tym słyszeć! Ty powinienesz mnie wspierać! Pomagać mi! Przecież to szansa! Wielka szansa! To miłość mojego życia! Jeśli poślubię Matyldę, spełnię swoje największe marzenie, a nasz ród stanie się najzaciejszym w Sokolniku! Co tu może pójść nie tak?

Orgo nie odpowiedział.

– Zaczynam się zastanawiać – mówił powoli Korneliusz głosem drżącym od napięcia – czy to nie jakiś spisek. Czy ty aby celowo nie wyciągnąłeś mnie na jakąś niekończącą się

wyprawę, bym przez jakiś czas nie mógł się widzieć z Matyldą? By się odkochała? Albo znalazła sobie innego? Przyznaj! Przyznaj się!

Głos Korneliusza przeszedł w pisk tak przeraźliwy, że Orgo odruchowo popędził konia. Urgo zaś uznał, że dłużej już nie zniesie takiego nadmiaru emocji.

– Widzisz ten zamek? – Ręką w rękawicy wskazał ruiny zamku wznoszące się nad bezlistnymi konarami drzew. – To ostatni punkt na naszej liście. Przeszukamy go i zavracamy do miasta.

Orgo smagnął brata ostrym spojrzeniem, na co ten wzruszył lekko ramionami i zerknął nań z pobłażliwością.

„Rozgryzł cię” – mówił jego wzrok.

Orgo zmełł przekleństwo i popędził konia, a potem znów jechali w ciszy.

*

Zameczek rzekomo zwał się kiedyś Twardzielec, ale Urgo nie słyszał żadnej opowieści czy legendy, która tłumaczyłaby pochodzenie tej nazwy. Szczerze powiedziawszy, nie spotkał się również z taką, która tłumaczyłaby, dlaczego nigdy nie został odbudowany. Wznosił się bowiem na szczycie wzgórza o stromych zboczach, po których spływał wartki strumyk, co oznaczało, że miejsce nie dość, że jest łatwe do obrony, to jeszcze ma własne ujęcie wody. Tymczasem młody las bukowy porastający zbocza oraz prześwitująca między konarami wieża skruszała niczym popsuty ząb zdradzały jadącym traktem rycerzom, że zamkiem nadal nikt się nie interesuje.

Przebyli fosę zasypaną skalnymi odłamkami i resztkami mostu zwodzonego i wjechali przez tunel masywnej bramy na pusty dziedziniec, gdzie hulał jesienny wiatr. Obudziło to zdziwienie obu braci. Dolina nie była wielką krainą i prędzej czy później każda dziura czy jaskinia znajdowała sobie jakiegoś lokatora, a częściowo zrujnowany zameczek wydawał się idealną kryjówką dla bandy rozbójników, grupy banitów czy chociaż leśnego smoka. Tymczasem wyglądało na to, że tutaj nie zagnieździł się nikt.

Nie było śladów palenia ognisk na dziedzińcu, nie było resztek jedzenia, nie było koców ani obszczanych kątów.

– Kompletnie tego nie rozumiem – rzekł Urgo do brata, wsunąwszy wreszcie miecz do pochwy. – Spójrz. Wyrwy w murach dałoby się w kilka dni naprawić, a nową bramę grupa cieśli postawiłaby w tydzień. Czemu twój książę nigdy nie ustanowił tu załogi?

– Może dlatego – powiedział bez przekonania Orgo – że to kompletne zadupie i nie ma tu czego strzec.

– A ja sobie myślę – odezwał się zaafierowanym głosem Korneliusz, który, wzorem wielu nastoletków, zdołał już kompletnie zapomnieć o sprzeczce z ojcem – że to miejsce jest

przeklęte.

Obaj bracia spojrzeli na niego spod zmarszczonych brwi, na co młodzieniec zachichotał.

– No nie, szkoda, że się nie widzicie. Marszczycie brwi dokładnie tak samo, o tak! – Wydał wargi, udając śmiertelną powagę, a potem pokazowo zmarszczył brwi.

Urgo z trudem powstrzymał śmiech.

– Nie mogę uwierzyć, że jeszcze przed chwilą przedstawiałeś mi korzyści swego ożenku – burknął Orgo, wywracając oczami. – Po czym wnosisz, że to miejsce jest przeklęte, co?

– Tak mi się wydaje – powiedział chłodno młodzieniec, który nagle sobie przypomniał, że przecież jest śmiertelnie obrażony.

– Czyli nie masz pewności? – upewnił się Orgo. – Tak tylko sobie gadasz?

Chłopak demonstracyjnie odwrócił głowę. Orgo spojrział na brata, uniosł brwi i obdarzył go długim spojrzeniem, surowo przestrzegającym przed zakładaniem rodziny. Urgo zaś wzruszył ramionami, a na jego wąsatej twarzy pojawił się uśmiech, który nie miał nic wspólnego ze współczuciem. Urgo cieszył się w duchu z tego, że w ciągu kilku ostatnich dni nauczył się prowadzić z bratem rozmowy, które nie wymagały używania słów.

Cieszył się, że znów ma prawdziwego brata.

Ubezpieczając się nawzajem, trzech rycerzy dokładnie przeszukało zameczek. Zeszli do podziemi, które były częściowo zawalone gruzem, dokładnie ostukali dębowe, wciąż mocne podłogi w kilku ocalałych komnatach, zajrzeli w każdy kąt dziedzińca, dotarli na szczyt skruszałej wieży, a potem Urgo opuścił się na samo dno studni i długo brodził w płytkiej wodzie, aż doszedł do wniosku, że nie ma tam niczego godnego uwagi.

Gdy się poddali, zapadał już zmrok, a wiatr pogwizdywał głucho w załomach muru. Śnieg stawał się coraz obfitszy i rycerze wprowadzili rumaki do izby, która najbardziej nadawała się na stajnię, a sami rozsiedli się w sąsiedniej, gdzie odkryli kamienne palenisko. Urgo rozpałił ogień, a potem zdjął buty i rozwiesił przemoczone onuce przy drzwiach.

– Czyli nic żeśmy nie zdziałali – oświadczył Orgo, nalewając wody z bukłaka do garnka.

Urgo długo milczał.

– Nic – powiedział cicho. – Ani widu, ani słychu. Mam nadzieję, że reszcie kompanii bardziej się poszczęściło.

– Możecie mi powiedzieć – odezwał się Korneliusz – czego właściwie szukaliśmy?

– Nie – burknął Orgo.

– Nie? – zaciętrzewił się młodzieniec. – Bo co? Bo jestem za młody? I nie powinienem znać sekretów dorosłych?

– Nie – odparł pośpiesznie Orgo. – Bo natychmiast po powrocie wypaplesz wszystko Matyldzie, a ta podzieli się sensacją z fraucymerem.

– To się nazywa brak zaufania – oświadczył Korneliusz. – I to źle rokuje na przyszłość.

– To się nazywa przezorność – westchnął Orgo. – I nic nie rokuje lepiej. Bracie, zrobisz coś do żarcia?

– Pewnie. – Urgo już się nachylał nad sakwami. – Zawsze przyglądam się temu, co robi Kociołek, i pamiętam to i owo. Rety, gdybym miał jajka...

Korneliusz zarzął nagle głośno, ale urwał, gdy Orgo zdzielił go dłonią w tył głowy. Spojrzał na ojca z urażoną miną, ale ten znów tylko westchnął i przeniósł wzrok na brata:

– Wybacz młodemu. Ma się za dojrzałego, ale nie wyszedł jeszcze z wieku, w którym bawią pierdy w towarzystwie.

– Bo bywają dość zabawne – rzekł Urgo, wyciągając z juków porcję zamrożonego mięsa. – Od lat podróżuję w towarzystwie pewnego guślarza, który co chwila nadyma się ze wszystkich sił, a potem...

*

– Nie powiedziałaś tego! – zawołał Żychłoń, prostując się i purpurowiejąc. – Jeśli rzeczywiście wcisnąłeś rodzinie jakieś kretyńskie historie o...

Urwał i pokiwał głową ze zrozumieniem, gdy Urgo wskazał mu dyskretnie rozchichotane dzieci. Przytaknąłem z aprobatą, nie mogąc się jednocześnie nadziwić gawędziarskiemu talentowi Urgo – wszak sierotki Dislai i Werbeny po swoich przejściach zasłużyły sobie na każdą chwilę radości – ale jednocześnie wychyciłem z jego opowieści coś, co przepełniło mnie goryczą.

On również nie znalazł dusz trolli. Na Dolę, co to oznacza?

Ze wszystkich sił zmusiłem się do utrzymania uśmiechu, a Urgo kontynuował.

*

Potrawka okazała się przesolona i niedoprawiona, a pływające w niej kawałki mięsa nie zdążyły się należycie ugotować, ale rycerze, siorbiąc głośno, łapczywie opróżnili swoje miski, a potem zgodnie złapali za bukłaki z piwem. Żłopali przez moment, aż Orgo zakorkował własny i beknął głośno.

– Nieźle – powiedział, patrząc z podziwem na brata. – Służę ci podróżowanie z tym całym Kociołkiem.

– Dajże spokój. Kociótek zrobiłby zupę ze starych szmat i dżem ze sznurowadeł. To zaś ledwie zasługuje na miano żarcia.

– Nie chlej tyle! – Orgo grzmotnął Korneliusza w łopatki, aż ten się zakrztusił. – Znowu będziesz pierdoły wygadywał! Choć nie. Cofam to, co powiedziałem. Pij na zdrowie. Na trzeźwo wcale lepiej z tobą nie jest, a tak przynajmniej szybciej zaśniesz.

– Doskonale wiem, co robię. – Chłopak z godnością zaczął powolutku bukić. – I wiem, kiedy powinienem przestać pić. Tylko przesolone było.

– Wcale nie – sprzeciwił się Orgo.

– Było – upierał się Korneliusz. – Pyszne, ale przesolone.

– Gównu się znasz na...

– Tam coś jest! – wrzasnęła nagle chłopak i cofnął się pod ścianę, gdzie leżał miecz. – Coś przeleciało przez dziedziniec.

Orgo zarechotał.

– I ty niby wiesz, kiedy przestać?

– Ciszej! – syknął znieruchomiały Orgo. – Bo ja chyba też coś słyszałem.

Wiatr na zewnątrz wył to ciszej, to głośniejsze, to znów niemalże przeraźliwie, ale przedarł się przezeń łopot przypominający uderzenia wielkich skrzydeł lub... falującą na wietrze tkaninę?

– Przesuń się! – Gdzieś rozległ się kobiecy krzyk, a Orgo uświadomił sobie, że dobiega z góry. – Czemu ty zawsze musisz lądować akurat tutaj?

– Nie zawsze, tylko mnie zniósło! – odpowiedziała głośno inna kobieta. – I odwal się ode mnie, bo sama gównu znasz się na lądowaniu i...

Ciąg dalszy zagłuszyło nagle uderzenie wiatru i przeciągłe wycie:

– Kuuuuurr...

Przejście w drugą sylabę uniemożliwiło głuche gruchnięcie i trzask rozbijających się o bruk dachówek. Potem przez otwór drzwiowy przemknął latający kształt, w pierwszej chwili przypominający ogromnego ptaka, ale przecież... przecież wcale nim niebędący.

– Czy to są... – sapnął Orgo, ale nie dokończył. Porwał miecz i jednym kopnięciem rozrzucił ognisko, po czym przypadł do framugi.

W resztkach światła słonecznego dostrzegł kształt kobiety w długim, powłóczystym płaszczu, która podnosiła się z trudem, wspierając się na czymś, co przypominało łopatę do pieczenia chleba. Zachwiała się, łapiąc równowagę, a potem potrząsnęła głową, poprawiła fryzurę i splunęła siarczysto.

– Ale... – wybełkotała. – Ale przyjechałam.

Na ciemnym dziedzińcu załopotały kolejne płaszcze. Dwie inne kobiety biegły w stronę trzeciej, która teraz systematycznymi ruchami badała sobie nos i kości policzkowe.

– Pokaż łeb, stara – zawołała jedna z nich, choć jej głos niemalże zagłuszył podmuch wiatru. – Nie jest źle, do wesela się zagoi.

– Wesela? Chyba też w coś przywalilaś, i to czolem, co?

– Miotła cała? – spytała druga z kobiet.

– Na łopacie przyleciałam. Hej, patrzcie! To chyba Eulalia! – krzyknęła ofiara wypadku, całkiem zapominając o bólu i wstrząsie. – Jasna dupa, ta to już kompletnie lądować nie potrafi! Chowaj się kto może!

Trzy kobiety rozbiegły się, powiewając płaszczami, a wstrząśnięty Urgo patrzył, jak z nieba dosłownie spada czwarta. Miotła, koziołkując, z trzaskiem uderzyła w bruk, a kobieta ze stęknieniem wpadła na cembrowinę studni i na niej zwiśla. Oszołomiony Urgo patrzył, jak ta, przeklinając straszliwie, spelza z niej i wstaje, obmacując sobie żebra.

– Można wiedzieć – warknęła – co strzeliło szefowej do łba? Musiałeśmy się akurat dzisiaj spotykać? Przy takim wietrze?

– Jak ci pogoda nie pasuje – odcięła się inna – następnym razem na kucyku przyjeżdż.

– Posłuchaj, szmato niewydarzona, jak ci zaraz...

*

– Urgo – syknęła Sara. – Tu są dzieci.

– Nie przerywaj chłopu, bo jeszcze straci rytm – zarechotał Gramm.

– Mów dalej, Urgo. – Żychłoń wychylił się ku rycerzowi. W jego przymrużonych, przekrwionych oczach pojawił się osobliwy błysk.

Urgo odkasznął, nieco spłoszonym wzrokiem omiótł zasłuchane dzieci i podjął opowieść.

*

Wymiana zdań na ciemnym dziedzińcu była ostra, ale pomimo parokrotnych zapewnień nie doprowadziła do rękoczynów, być może dlatego, że wrzeszczące na siebie kobiety rozpędziła inna, która wylądowała z gracją, ale zatoczyła się parokrotnie i rymnęła na bruk.

– Cholercia mać! – wrzasnęła. – Całkiem sobie kolano rozwalitałam, cholercia!

– Bo tak to już, cholercia, jest, jak trzeba latać przy cholerciovym wietrze – wtrąciła inna.

– Weź mnie, cholercia, wiatrem pupy nie zawracaj – westchnęła nowo przybyła. – Co innego mnie zdekoncentrowało. Ja tu, cholercia, rycerza czuję.

Ze świstem wciągnęła powietrze przez nos i spojrzała na drzwi, za którymi ukrywał się Urgo. A potem ruszyła prosto ku nim.

Była drobną kobietą o czarnych, potarganych od wiatru włosach i owalnej, zawziętej twarzy. Nie wydawała się godnym przeciwnikiem dla uzbrojonego po zęby, zahartowanego rycerza, ale w jej postawie, spojrzeniu i sposobie chodzenia było coś, co odbierało pewność siebie i kazało przemyśleć każde wypowiedziane słowo.

Urgo, wiedząc, że kryjąc się za framugą, robi z siebie idiotę, wyprostował się i cofnął o krok, a do tego demonstracyjnie wsunął miecz do pochwy, by wiadomo było, że nie żywi złych zamiarów. Kobieta stanęła na progu, wzięła się pod boki i rozejrzała krytycznie, ostentacyjnie marszcząc nos.

– Nie jeden, ale trzech. Nic dziwnego, że już nad zamkiem was wyczułam.

– Szlachetna pani – odezwał się Urgo. – Nazywam się...

– To twoje onuce? – Przeniosła spojrzenie na zwisające z powały niewielkie płachty materiału. – Na Los, chłopie. Przyjmij dobrą radę. Nie warto aż tak bardzo przywiązywać się do rzeczy materialnych, nawet jeśli dostałeś je po dziadku.

– Nazywam się Orgo Rosomak – zagrzmiał Orgo, którego najwyraźniej trudniej było przegadać. – I służę księciu Stefanowi. Nie wiem, kim jesteście, i nie obchodzi mnie to. Chcemy jedynie...

Z nieba sfrunął kolejny kształt łopoczący polami płaszcza.

– Czekał, co? – Czarnowłosa z trudem parsknęła śmiechem. – Książęcy rycerz? Szykują się niezłe jaja. Jest już szefowa?

– Jestem.

Krąg kobiet z miotłami rozstąpił się, by zrobić miejsce nowo przybyłej. Czarnowłosa również się odsunęła, a wtedy Urgo rozdziawił usta i wybałuszył oczy. Rozrzucone tu i tam węgielki nie dawały wiele światła, ale i tak wiedział, że się nie myli. Odruchowo rymnął na kolana, a kątem oka dojrzał, że to samo zrobili Orgo i Korneliusz.

– Pani, czynisz nam, eee... zaszczyt! – wymamrotał wstrząśnięty Orgo.

– Cholercia mać – powiedziała księżna Marianna, żona księcia Ruperta i matka księżniczki Matylidy, po czym ciężko wsparła się na miotle.

*

Rozmowa, którą księżna odbywała z Orgo, przeciągała się. Urgo ukucnął i oparł się plecami o zimną ścianę, zastanawiając się, czy nie powinien na nowo rozniecić ognia. Co chwila wyglądał na dziedziniec, gdzie grupa kobiet, nazywanych przezeń w myślach wiedźmami, rosła z każdą chwilą. Wiatr był porywisty, przez co każde kolejne lądowanie przeradzało się w dramatyczne wyzwanie, ale przynajmniej zajmowało czymś wiedźmy, niebywale zafrapowane obecnością trójki rycerzy. Najwyraźniej żadnej z nich nawet do głowy nie przyszło, że ich pojawienie się jest czystym zbiegiem okoliczności, i uznawały ich

za prezent od księżnej, którą między sobą nazywały szefową. W głośnych rozmowach przerywanych wybuchami histerycznego śmiechu pojawiały się coraz to śmielsze propozycje wykorzystania każdego z nich.

Urgo, człowiek o czystym sercu i prostolinijnej naturze, cieszył się, że było zbyt ciemno, by Korneliusz mógł ujrzeć rumieńce na jego obliczu. Młodzieniec, który wiercił się pod przeciwną ścianą, przypuszczalnie przeżywał podobne katusze, tym bardziej że dotyczyła go zdecydowana większość uwag i propozycji padających z ust wiedźm.

Urgo wychylił się więc po raz kolejny za framugę i ku swej wielkiej uldze ujrzał Orgo, który szedł ku nim. Gdy stanął w wejściu, rzucił krótko:

– Zbierajcie rzeczy. Wynosimy się stąd.

*

Urgo potrząsnął głową, próbując się pozbyć echa pełnego zawodu wycia, jakim pożegnały ich wiedźmy, a potem wciągnął w płuca haust zimnego powietrza. Śnieg był coraz gęstszy, a las naokoło ciemny i nieprzenikniony. Nic nie wskazywało na to, że zdołają znaleźć jakieś bezpieczne schronienie na tę noc, ale mimo to w głębi serca się cieszył, że udało im się wyrwać z miejsca, gdzie najwyraźniej odbywały się cykliczne sabaty czarownic.

I to wysoko postawionych czarownic.

Zimny wiatr smagał ich twarze i Urgo nie po raz pierwszy pożałował, że zgubił gdzieś szalik, zrobiony dlań na drutach przez Andreę.

– Przynajmniej już wiemy, czemu wszyscy wolą się trzymać od tego zamku z daleka – powiedział głośno, po czym uświadomił sobie, że były to pierwsze słowa, które wypowiedział od chwili wyjazdu przez bramę.

– A ja wiem, dlaczego książe Rupert w ostatniej chwili dołączył tę przeklętą dziurę do listy miejsc, które koniecznie musimy odwiedzić – wycedził Orgo. – Najwidoczniej miał jakieś podejrzenia i uznał, że warto je sprawdzić. A najlepiej, jeśli zrobi to wędrowny rycerz Doli wespół z bratem, na którego ma haka.

Zerknął z ukosa na Korneliusza, ale chłopak nie wychwycił aluzji.

– O czym tak długo rozmawiałeś z księżną? – spytał Urgo.

– Głównie to ona mówiła. – Orgo się skrzywił. – A jeśli wyjąć z tego groźby, w sumie wiele nie powiedziała.

– Groźby? – przeraził się Korneliusz.

– Całkiem konkretne – westchnął jego ojciec. – Oszczędzę ci szczegółów co do mnie, ale powtórzę ci jej pogrożki w twoim kierunku. Oświadczyła, że jeśli piśniesz komukolwiek choć słowo o tym, co widziałeś w Twardzielcu, wyda Matyldę za twoje całkowite

przeciwieństwo i każe ci oglądać ich noc poślubną z klatki, a potem cię wykastruje, byś nigdy nie miał szansy tego powtórzyć.

Korneliusz pobrał tak bardzo, że jego twarz wręcz jaśniała w mroku.

– I nie stanąłeś w mojej obronie?

– Zrobiłem jedyną rzecz, którą w tej sytuacji zrobić można było – prychnął Orgo. – Milczałem.

– Mnie też zagroziła? – spytał Urgo.

– Tobie nie. Uznała, że rycerze Doli to matoly do tego stopnia przejęte własną misją, że nie mają nawet sposobności paplać o tym, co widzieli.

– A tobie?

– O, i to jak. Praktycznie skazała mnie na śmierć, a wyrok łaskawie uchyli, jeśli zbadam dla niej pewną sprawę. Otóż jedna z nich, niejaka Walentyna, od pewnego czasu unika kontaktu z resztą. Mam się dowiedzieć dlaczego. Ja, rycerz! – Orgo huknął nagle z wściekłością. – Ja mam szpiegować jakąś bzdziągnę tylko po to, by móc dalej służyć księciu i księżnej, najwyraźniej opętanych intrygami!

– Możesz zostać rycerzem Doli – mruknął Urgo.

– Chyba cię pocięło, braciszku.

Nad ich głowami śmignęła kolejna wiedźma, łopocząc połami płaszcza. Urgo odprowadził ją wzrokiem, a gdy spojrzał z powrotem na trakt, zamarł.

Z naprzeciwka nadjeżdżał bowiem samotny jeździec. Barczysty i masywny, zmierzał kłusem w stronę Twardzielca. W ciemnościach trudno było rozpoznać jego oblicze, ale przytroczona do pleców szeroka tarcza, spod której wystawała włócznia, sugerowały, że mają do czynienia z wojownikiem.

– Zły kierunek, dobry panie! – rozdarł się piskliwym głosem Korneliusz. – Zamek zajęty i raczej nie spodoba ci się to, przez kogo!

Gdy nieznamy się zbliżył, było widać, że przygląda się trójce rycerzy przez krótki moment, a potem nieoczekiwanie przyspiesza, jakby nie chciał mieć z nimi do czynienia.

Urgo zmarszczył brwi. Niepisany zwyczaj mówił, że mijający się na trakcie wędrowcy wymieniają się wieściami, zwłaszcza jeśli gdzieś w pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo. Jeśli ktoś kontaktu unikał, mógł mieć nieczyste sumienie, a to się rycerzowi nie podobało. Co więcej, odniósł dziwne wrażenie, że w sylwetce nadjeżdżającego jeźdźca kryje się coś znajomego.

Wyteżył więc wzrok, ale to Orgo rozpoznał go jako pierwszy.

– Księżę? – zawołał zduszonym głosem, w którym kryło się całkowite zaskoczenie.

Wąski różek księżycyca dawał niewiele światła, dokładnie tyle, by rozpoznać rysy twarzy mijanego wędrowca. I Urgo, ku swemu wielkiemu zdumieniu, dostrzegł nastroszone brwi, krótką brodę i wykrzywione wargi księcia Ruperta. Na obliczu władcy Sokolnika

brakowało jednak zaskoczenia, którego Urgo spodziewałby się w tej sytuacji – zamiast tego wydawało mu się, że widzi niechęć, a być może nawet lęk.

Potem Rupert przyspieszył do galopu.

– Książę! – krzyknął za nim Urgo. – To zły pomysł! Nie jedź tam!

– Mieszymy się w to? – zapytał z wahaniem Urgo. – Księżna Marianna najwyraźniej wołała ukryć swój sekret przed światem.

– A książę Rupert najwyraźniej odkrył go sam, bez naszego udziału – wycedził Urgo. – Nie myśmy go tu ściągnęli. Nie my ponosimy winę. Nie nasza to sprawa.

Urgo usłyszał w głosie brata wielką urazę, która była uzasadniona, ale zupełnie nie na miejscu. Otwierał już usta, by przypomnieć mu o mściwości rządzących i ich zamilowaniu do zrzucania winy na kogo popadnie, ale uprzedził go Korneliusz.

– Wujku – spytał z wahaniem. – Dlaczego się świecisz?

Dopiero teraz Urgo uświadomił sobie, że wokół jego ciała unosi się słaba poświata. Spojrzał na mieniącą się lekko rękawicę, a wtedy jego ciało przeszył dreszcz zimniejszy od czochrających puszczę wichrów.

– Złe – szepnął i się rozejrzał.

Urgo na tyle znalazł brata, by wiedzieć, że ten nie rzuca słów na wiatr.

– Gdzie? – syknął, zaciskając dłoń na rękojeści miecza. – Czai się przed nami?

– Nie. – Urgo spojrział za siebie i przełknął ślinę. – Właśnie nas minęło.

– Książę? – spytał z niedowierzaniem Urgo.

– Wszystko na to wskazuje. – Urgo już zawracał konia. – Wygląda na to, że jednak musimy się wmieszać. Gońmy za księciem!

I pognali.

Książę Rupert najwyraźniej wyczuł, że ktoś go ściga, bo popędził konia. Urgo cwałował za nim i przez moment wydawało mu się, że skraca dystans, ale było to jedynie złudzenie. Koń Urgo był mocnym, wytrzymałym zwierzęciem, weteranem setek szlaków, ale nie nadawał się przecież do wyścigów. Co więcej, był już znużony wielodniową włóczęgą po Sokolniku, podczas gdy książę dosiadał silnego, rycerskiego rumaka, zdolnego do wielkiego wysiłku.

Szlak wił się i piął coraz bardziej stromo w górę, co dodatkowo wyczerpywało siły wierzchowca. Masyw Twardzielca czerniał na tle nieba i Urgo popędzał konia, ale w myślach godził się z tym, że Ruperta nie dopędzi. Umykający książę nikł już w mroku.

Cokolwiek miało się rozegrać w Sokolniku, obędzie się bez niego.

Zerknął za siebie i ujrzał, że Urgo, dosiadający ciężkiego, grubokościstego rumaka, mierzy się z tym samym problemem. Zaskoczył go jednakże Korneliusz. Młodzieniec jakimś cudem zdołał zatrzymać młodego oficerskiego konia, którego przejął podczas ostatnich perypetii w Sokolniku. Młode, silne i obciążone młodym, gibkim jeźdźcem

zwierzę wreszcie mogło pokazać, na co je stać. Urgo ujrzał, jak młodzieniec wyprzedza ojca, który coś do niego krzyczał, a gdy spojrział na Korneliusza ponownie, ten już się z nim równał.

– Naprzód! – darł się z entuzjazmem. – Bić Złe!

– Zwolnij, durniu! – ryczał za nim Orgo. – Zwolnij, bo sobie biedy napytasz!

Żadna moc nie przemówiłaby jednak do rozsądku pijanemu od zapału młodzieńcowi, któremu wiek i tak nie pozwalał na inne postrzeganie świata niż w czerni i bieli. Głuchy na wrzaski ojca i ostrzeżenia samego Urgo, rozwrzeszczany Korneliusz oddalał się coraz bardziej, aż zrównał się z księciem.

– Zatrzymaj się! – krzyczał Urgo. – Nie rób nic głupiego!

Na takie ostrzeżenia było już jednak o wiele za późno i gdy do bramy zamku zabrakło dosłownie kilkunastu kroków, Korneliusz z przeraźliwym, łamiącym się wrzaskiem przeskoczył na rumaka ściganego człowieka.

Czyn Korneliusza mógł się okazać błędem na dziesiątkach płaszczyzn. Przecież poświęta widoczna wokół Urgo mogła być wywołana przez obecność innej, dobrze ukrytej istoty. Przecież mimo wszystko mogli ulec złudzeniu w ciemnościach i rzucić się w pogoń za człowiekiem, który tylko przypominał Ruperta. Przecież sam książę mógł doskonale wiedzieć, co robi, i przykładowo prowadzić własne śledztwo.

Poza tym nie ściąga się z siodła potencjalnego teścia!

Na wszystkie te uwagi było jednak o wiele za późno, bo Korneliusz i domniemany książę Rupert runęli na ziemię z grzmotnięciem, które zdawało się wstrząsać fundamentami zamku.

A potem wydarzyło się coś, od czego Urgo szybciej zabiło serce.

Rupert był doświadczonym wojownikiem, który nie dawał się łatwo zaskoczyć, i można się było spodziewać, że od razu rozpozna drącego się histerycznie Korneliusza i będzie próbował go ofuknąć. Tymczasem ten, wylądowawszy na zmarzniętej ziemi, nawet na niego nie warknął. Poderwał się błyskawicznie i ciosem ogromnej pięści odrzucił Korneliusza w tył, a potem rzucił się w stronę rumaka.

Odurzony ciosem młodzieniec był jednak na tyle przytomny, by złapać przeciwnika za nogę i spowodować jego upadek. Zdobył w ten sposób kilka dodatkowych sekund, a to wystarczyło, by Urgo się z nimi zrównał.

I wtedy spostrzegł, że jego aura znów przybrała na sile.

– Książę! – huknął mimo to z siodła. – Książę, nie poznajesz? To mój bratanek, Korneliusz! Syn Orgo Rosomaka, twego rycerza!

Rupert zdołał się poderwać. Z dziką furią, która zniekształciła jego oblicze, wyszarpnął miecz i z głuchym rykiem rzucił się na Korneliusza.

– Z drogi, smarkaczu! Pożałujesz, że stanąłeś nam na drodze!

Nam? – przemknęło Urgo przez myśl, ale wtem wydarzyły się trzy rzeczy, które nie pozwoliły mu się na tym skupić.

Najpierw Rupert ciął mieczem z morderczą zjadłością, której nawet doświadczony wojownik nie zdołałby stawić czoła. Korneliusz umknął mu spod ostrza tylko dlatego, że z góry porzucił wszelkie myśli o sztuce szermierczej i pozwolił, by zawaładnęła nim dzika panika. Rzucił się do ucieczki, a Rupert, rozwścieczony niecelnym ciosem, skoczył za nim.

Urgo spiął konia, chcąc ruszyć bratankowi z pomocą, ale wyprzedził go Orgo.

Brat nie dbał już o to, czy ma do czynienia z prawdziwym księciem Rupertem, czy też nie. Rozpędził konia do szarży i wjechał prosto na nacierającego Ruperta. Ten zatoczył się i wpadł między drzewa porastające brzeg traktu, a Orgo, już z mieczem w dłoni, zeskokczył z siodła i runął w ślad za nim.

Na Urgo zaś wpadło coś latającego i łopoczącego połamami płaszcza.

Nie spodziewał się ataku z nieba, a uderzenie końcem mioty w splot słoneczny dosłownie wysadziło go z siodła. Padł na plecy – cieniutka warstwa śniegu złagodziła upadek, ale rycerza zamroczyło. Zerwał się błyskawicznie, posłuszny instynktowi, i odwrócił się tam, skąd jego zdaniem mógł nadejść atak. Z trudem łapiąc oddech, spoglądał teraz ku górze, ostaniając się wymachami miecza.

Ostra stal wbiła mu się w bok.

Z wykrzywionych ust rycerza wyrwał się głuchy jęk, a ramię trzymające miecz wykonało ostry zamach. Czuł, że ostrze wbija się w czyjeś ciało. Odwrócił się, otwierając szeroko oczy, i ujrzał wiedźmę, która chwilę temu przemknęła mu nad głową. Dłonią, z której właśnie wysuwał się zakrwawiony sztylet, usiłowała zatamować krew z szerokiej rany na brzuchu, ale Urgo od razu odgadł, że jest już za późno.

Cios, który zadał wiedźmie, musiał okazać się śmiertelny.

Nigdy wcześniej nie walczył z kobietą, nie mówiąc już o zadaniu jej rany. Przerażony zrobił krok naprzód i wyciągnął drżącą dłoń ku przeciwnicze, ale wtedy ta poderwała sztylet z zakrwawionego śniegu i rzuciła się do ataku. Jej bladą twarz wykrzywiła wściekłość, jaką Urgo rzadko widywał, a z ust wyrwał się upiorny wprost skrzek.

Rycerz pchnął odruchowo i trafił w samo serce.

Skrzek wiedźmy przeobraził się w bulgot, po czym ta plunęła krwią i zsunęła się z ostrza miecza. Urgo przyglądał się ze zgrozą, jak z rannej wiedźmy uchodzi życie, a potem złapał się za własny bok. Dłoń natychmiast zrobiła się lepka od krwi.

Serce biło mu jak szalone. Skądś dobiegał tryumfalny ryk Orgo zmieszany ze szczękami oręża, dalej słyszał chóralny zaśpiew wiedźm, które przyzywały Los. Ktoś przedzierał się między drzewami, potykając się o własne nogi.

– Wujku! – sapał Korneliusz. – Wujku! Jesteś ranny?

– Nie – wymamrotał Urgo, pospiesznie cofając dłoń. – To tylko draśnięcie. Gdzie twój ojciec? Gdzie książkę?

– Nie wiem! Tam gdzieś. – Młodzieniec machał ręką. – Na Dole, co tu się wyrabia? Widziałeś to czarne coś nad zamkiem?

– Nie! – wychrypiął Urgo.

– To chyba jakiś duch! Mówiłem, że zamek jest przeklęty! Mówiłem, a nikt mi nie wierzył!

– Potem – sapnął Urgo. – Potem będziesz się wymądrzał. Teraz trzeba pomóc twemu ojcu.

*

– Nie przypomina wam to czegoś? – spytałem nagle, rozglądając się po słuchających.

– Oczywiście, że tak! – Gramm walnął pięścią w stół. – Dureń Urgo znowu oberwał kosą i się nikomu nie przyznał, bo szlachetnie jest cierpieć w samotności!

– Ja nie o tym, Majster. – Przeniosłem spojrzenie na Sarę. – Kompletnie nie o tym. Nie widzicie tu znajomego schematu? Twardzielec został zaatakowany...

– I obroniony przez dzielnych rycerzy – przerwała mi pospiesznie żona i zerknęła na zasłuchane dzieciaki. – Urgo, upierasz się przy tym, że to opowieść dla dzieci?

– No pewnie, mammo! – westchnął z zachwytem Edwin, a pozostali chłopcy pokiwali z entuzjazmem głową. – Super historia! Są miecze, więdźmy, konie i zamek!

– A jedna pani powiedziała kuj... – zaczął zarumieniony z wrażenia Nuut, ale Salia przecięła wywód dobrze wycelowanym kuksańcem.

– Tak – powiedział zamyślony Urgo. – To historia jak najbardziej dla dzieci. Pozwól, że ją skończę.

*

Blask łopoczącego na wietrze płomienia pochodni zmienił twarz Marianny w płataninę cieni. Stała nieruchomo jak posąg i wpatrywała się w straszliwie posiekane ciało swego męża. Obok niego stał zdyszany Orgo, który wbił zboczony krwią miecz w ziemię i oparł się o niego całym ciężarem ciała.

– Pani – zaczęła chrapliwym głosem, ale Marianna uciszyła go niecierpliwym gestem i podeszła krok bliżej, nie odrywając wzroku od zwłok.

Urgo, wsparty na ramieniu Korneliusza, zaciskał zęby, by nie zdradzić się z bólem. Jednocześnie skupił uwagę na obliczu księżnej, które pozostawało niemalże całkowicie nieporuszone. Minęła dłuższa chwila, nim w końcu podniosła spojrzenie.

– Dobra – powiedziała. – Napatrzyłam się. Już po kres życia będę pamiętać, jak wygląda ten drań po tym, jak się dostanie pod czyjeś ostrze. Nie wykluczam, że to może nawet pozytywnie wpłynąć na naszą relację.

– Co takiego mówisz, pani? – wychrypiał z niedowierzaniem Orgo.

– To nie Rupert – prychnęła lekceważąco Marianna. – Wygląda jak on, jest ubrany w to, co on, nawet śmierdzi jak on, ale to nie jest mój mąż. Po pierwsze, przybył tu na obcym koniu, a ten drań nigdy nie rozstaje się z tym swoim cuchnącym mułem. Po drugie, ma cudzy miecz, a nikt lepiej ode mnie nie wie, jak bardzo ten bałwan potrafi się przywiązać do kawałka żelaza. Innymi słowy, Rupert nie wyruszyłby na wyprawę w głąsę na obcym koniu z nie swoim mieczem, a do tego samotnie.

– Nie sądzisz, pani, że to trochę za mało, by mieć pewność? – spytał Orgo.

Marianna milczała przez dłuższą chwilę. Słychać było tylko świst wiatru, pochlipywanie Korneliusza i pokrzykiwanie wieźm, które przetrząsały okolice zamku. Urgo zaczął już myśleć, że jego brat zadał księżnej niewłaściwe pytanie, a władczyni Sokolnika zbiera się na wybuch, lecz ta w końcu uśmiechnęła się szeroko.

– Tak, to za mało – przyznała. – Pewność bierze się z czegoś innego, mój cny rycerzu. Od wielu, wielu lat darzę mego męża... cóż, rozmaitymi uczuciami o różnych stopniach natężenia, niektórymi na tyle intensywnymi, że po prostu wiem, że to nie on. Wystarczy ci takie wyjaśnienie?

– Tak i nie – rzekł Orgo z udawaną obojętnością, ale widać było, że odczuwa ogromną ulgę. – Jeśli bowiem to nie książę Rupert, to kim był ów człowiek? Dlaczego wyglądał tak jak on? Po co zmierzał do Twardzielca?

– To było Złe – wtrącił się do rozmowy Urgo.

Marianna zawiesiła na nim zadumane spojrzenie.

– Złe – powtórzyła. – Bez wątpienia. Zajęła was walka pod bramą i zapewne nie wiecie, że ja i moje konfraterki również stoczyłyśmy bitwę. Władzę nad zamkiem próbowała przejąć jakaś niematerialna istota, którą z braku lepszego terminu nazwę upiorem, lecz w przeciwieństwie do upiора próbowała ona zniewolić nasze umysły. Na szczęście umknęła, gdy zaczęłyśmy przyzywać Los. Przypuszczam więc, że to coś – z pogardą trąciła stopą zwłoki przypominające z wyglądu jej męża – miało odwrócić naszą uwagę i ułatwić natarcie temu nadprzyrodzonemu plugastwu. Na szczęście nie daliście się tak do końca wygonić z zamku i przybyliście nam z pomocą.

Jej wzrok błędził od Orgo do Urgo, aż w końcu spoczął na Korneliuszu, a wtedy pojawiło się w nim coś ciepłego. Otworzyła usta, by coś dodać, ale wtedy spośród drzew

wypadła któraś z jej towarzyszek z pochodnią w dłoni, wciąż utykając po mało udanym lądowaniu.

– Szefowo – zawołała. – Znalazłyśmy Walentynę, a raczej to, co z niej zostało. Wygląda na to, że z tym śledztwem wcale nie trzeba się spieszyć.

– To dobrze – skwitowała zimno księżna. – Wizję któraś już miała?

– Nic nowego. – Wiedźma skrzywiła się i pomasowała po obolałej goleni. – Wciąż to samo. Z trzech żywotów nieszczęście utkane, sobie przeciwstawnych, jak przepowiedziane...

– Czy wy musicie wszystko rymować? – Księżna zmarszczyła brwi. – Naprawdę nie macie cholercia, co robić?

– Wie szefowa, tak jest elegancko. – Wiedźma nadeła się, nieco obrażona. – Ale jasne, można mniej uroczyć. Rozchodzi się mniej więcej o to, że nastąpiło nowe nieszczęście, które jest trojaki. Nie są to trzy klęski, ale jedna składająca się z trzech elementów, które idealnie ze sobą współpracują, ale jednocześnie stanowią swoje zaprzeczenie. I od razu zaznaczam, że nic z tego nie kapuję.

– Ja też nie – powiedziała Marianna. Odszukała wzrokiem Urgo. – Ale Kociółek może się w tym połapie. Jedź więc i opowiedz mu o tym wszystkim.

*

– A więc tak oto Dola zesłała nam wszystkim bardzo cenną lekcję – zakończył uroczyć Urgo, spoglądając na dzieci. – Trzej rycerze na zawsze zapamiętali, że nie wolno odwracać się od potrzebujących, nawet jeśli ci wcześniej okazali ci nieuprzejmość.

Dzieciaki skwapliwie pokiwały główkami, choć widać było, że nie wszystkie połączyły wniosek z samą opowieścią.

– A teraz – rycerz klasnął w dłonie – mam dla was dwie propozycje: posprzątać ze stołu i umyć naczynia albo natychmiast pobiegniecie bawić się w śniegu!

Rozwrzeszczana czereda umknęła z izby w tempie, którego nie powstydziałaby się letnia burza, i już po chwili za oknami rozpętała się radosna bójka na śnieżki. Gramm złapał Zwierzaka, który odruchowo chciał wybiec za dziećmi, i posadził go obok siebie, a potem skrzywił się wymownie i spojrzął na Urgo.

– A ty, przyjacielu, jakieś osobiste wnioski również wyciągnąłeś?

– Tak – powiedział skromnie rycerz, pochylając głowę. – Masz świętą rację. Powinienem był dać sobie opatrzeć ranę, gdy była ku temu okazja. Zbagatelizowałem ją, co było błędem, bo okazała się poważniejsza, niż myślałem.

Ledwie dotarłem do sierocińca, a tam straciłem przytomność. Gdybym na czas znalazł się w Gryfie, oszczędziłbym Sarze stresu... – Zerknął na nią przepraszająco. – Wybac mi. Bardzo żałuję, że cię na to naraziłem.

Sara machnęła dłonią, co nie wyszło przekonująco, bo oczy wezbrały jej łzami.

– Nie przejmuj się – powiedziała z trudem, gdyż emocje dławily jej głos. – Przynajmniej...

– Źle się stało. – Urgo przeniósł spojrzenie na Dislai. – Naraziłem was wszystkich. Naraziłem sierociniec.

– Przestań się biczować, synu – mruknął Vitalis. – Przecież wszystko dobrze się skończyło, a wiedza o tym, coś przeżył w tym całym Twardzielcu, chyba nie pomogłaby kapłankom przegnać czarnego piździajstwa. A tak przynajmniej wiemy, że Dola jest po naszej stronie.

– I Los – dodał z naciskiem Żychłoń. – Żadna z wiedźm nawet nie wspomniała o Doli.

– Zastanówmy się lepiej nad ostrzeżeniem przekazanym przez Mariannę – przerwałem im, trąc skronie pięściami. – Klęska, która składa się z trzech elementów? Idealnie ze sobą zespolonych, ale mimo to przeciwstawnych? Władczyni Sokolnika ma chyba o mnie zawyżone mniemanie, bo nic z tego nie kapuję. Mieliśmy zmiennokształtnego, który współpracował z upiorem czy czymś tam...

Przerwał mi stłumiony odgłos walenia do bram i czyjeś wołanie, z trudem przebijające się przez radosne wrzaski dzieci. Spojrzałem z niepokojem na Sarę, a potem podniosłem się, zarzuciłem kapotę na ramiona i złapałem wiszący przy drzwiach miecz. Wychodząc na świeże powietrze, zarejestrowałem kątem oka, że idą za mną Gramm oraz Urgo, zamyślony Żychłoń podnosi się z ławy, skądś zjawił się Eliah, a za resztą drepcze Zwierzak.

Lekko się do siebie uśmiechnąłem. Już nie bałem się niczego.

– Panie Edmundzie złociuteńki! – zaskamlał Szmyrgiel, gdy stanąłem nad bramą i spojrzałem w dół. – O, jak się cieszę, że pana widzę! Dobrze się pan miewa, prawda? I żoneczka również? Eee... otwarte? Otwarte, prawda? Wpuści mnie pan? Oczywiście, że mnie pan wpuści, przecież dobre pan ma serce, wszyscy to mówią...

– Czego chcesz, Szmyrgiel? Dziwną sobie porę wybrałeś na odwiedzin! – zawołałem ostro.

– Dziwną jak dziwną, cóż mogę rzec, panie Edmundzie złociuteńki! – Szmyrgiel załamał ręce. – Jacyś wojskowi się pojawili w okolicy, tedy zacząłem szukać schronienia, zanim inni się tu zwałą. Wiesz pan, jacy są ludzie. Tłoczą się,

pchają, krzyczą, dzieciaki się drą. Nie takie słodkie maluchy jak te wasze, rzecz jasna...

– Wojskowi? – przerwałem mu ostro. – Hej, Zwierzak! Otwórz no furtkę!

Szczęknięta zasuwa i Szmyrgiel wpadł do środka, po czym truchtem ruszył w stronę wejścia do karczmy. Po kilku zaledwie krokach odbił się od szerokiej piersi Gramma.

– Panie krasnolud, no co pan! – wybełkotał zaskoczony. – Na zimnie będziemy stać?

Złapałem go za ramię i mocnym szarpnięciem obróciłem ku sobie.

– Jacy wojskowi? – wycodziłem.

– A cholera ich wie, panie Edmundzie! – Szmyrgiel wzruszył chudymi ramionkami. – Nie przyglądałem się, panie! Od razu zem dyla dał! Gdzie mnie tam, panie, do wojny. Ja spokojny człowiek jestem!

Potrząsnąłem nim ostrzej, niż zamierzałem.

– Mów wszystko, co zapamiętałeś!

– Jeźdźcy! – bełkotał targany przybysz. – Dużo jeźdźców! Z tuzin albo dwa! Straszne mordy! Długaśne włócznie, tarcze i inne takie! Z kielichem! Takim fioletowym czy różowym, nie przyglądałem się. Zatrzymali się w Rympale, bo zdrożeni, a tam cyrk jakiś stanął, ale ja dobrze wiem, na co się zanos! Panie Edmundzie złociuteńki, starczy mi ciepły kąt, kocyk i trzy posiłki dziennie! Dużo nie...

– Cicho bądź! – syknąłem i ponownie wbiegłem po schodach na mur, by spojrzeć w stronę Rympału.

Znad zasłoniętych przez las zabudowań unosiły się smużki dymu. Zacisnąłem mocno zęby i powoli zszedłem na dół, by stanąć przed resztą drużyny. Z izby wyszła Sara, a za nią trójka kapłanów oraz Andrea. Wszyscy przyglądali mi się z uwagą i napięciem, a ja uświadomiłem sobie, że moje myśli rozpoczęły dobrze mi znaną gonitwę.

– Musimy na moment zapomnieć o Złym i o słowach księżnej Marianny – powiedziałem. – Mamy o wiele pilniejsze zadanie do wykonania.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Odkąd zaczęliśmy jeździć po Dolinie i świadczyć usługi jako drużyna do zadań specjalnych, przyszło nam zajmować się najrozmaitszymi rzeczami. Najpierw eskortowaliśmy karawany, szukaliśmy zaginionych ludzi i odbijaliśmy zakładników. Później zdarzyło nam się zorganizować porwanie pewnej księżnej, powstrzymać inwazję trolli, bronić zagubionej strażnicy przed dzikimi faunami, a dosłownie przed paroma dniami udaremniliśmy – i to w niepełnym składzie – natarcie Fryderyka na Zagórek. Do tego przez cały czas blokowaliśmy najrozmaitsze posunięcia Złego.

W świetle naszych dotychczasowych dokonań starcie z oddziałem wrogiej kawalerii wydawało się po prostu kolejnym, wyższym etapem rozwoju, o czym w ramach wzmacniania morale nie omieszkalem napomknąć moim towarzyszom. Ci pokiwali skwapliwie głowami, co najprawdopodobniej oznaczało, że sami doszli do tych wniosków i udawali, że się zgadzają, by nie robić mi przykrości. Bo wszyscy byliśmy realistami i wiedzieliśmy, że szansa na uporanie się z wrogą kawalerią w szóstkę jest doprawdy znikoma.

Tym bardziej że, jak się wnet przekonałem, Szmyrgiel zwiął z Rympału tak szybko, że jedynym zauważonym przez niego szczegółem był fioletowy kielich. Liczyć ich nawet nie próbował, bo przybyszów nie było tuzin czy dwa, ale przynajmniej sześć, co mocno podnosiło poziom trudności wyzwania.

Cóż. Szanse mieliśmy mizerne, ale przecież walczyliśmy o swoje. Tego starcia po prostu nie mogliśmy przegrać, a sam postanowiłem, że podejmę największe ryzyko. Ruszyłem na spotkanie z przywódcą wrogiego oddziału.

Przez moment wsłuchiwałem się w otaczające nas odgłosy. Wojownicy księcia Fryderyka rozprawiali beztrąsko przy ogniskach, suto okraszając wypowiedzi przekleństwami. Skądś dobiegały odgłosy kłótni, ktoś inny próbował śpiewać, uciszany ze złością przez kompana. Słyszałem zgrzyt polerowanych mieczy i rżenie koni, a z dala dochodziły wybuchy chóralnego śmiechu. Widok przesłaniały mi co prawda ściany namiotu, ale doświadczenie zebrane podczas Waśni nie pozostawiało żadnych wątpliwości – tym razem mieliśmy do czynienia nie z bandą wystraszonych rekrutów, ale z oddziałem zahartowanych najemników.

Odwrociłem więc wzrok ku goszczącemu mnie dowódcy i powiedziałem dobitnie:

– Pięć mohinów za wóz z zaopatrzeniem.

– Pięć – zadumał się przywódca Fryderykowych najemników. – To całkiem sporo.

Oficer nosił rangę kapitana i kazał się nazywać Mordęga, ale jak dotąd nie zdążyłem sobie wyrobić o nim opinii, głównie dlatego, że bardziej od rozmowy ze mną angażowało go wydłubywanie resztek obiadu spomiędzy zębów. Zauważyłem jedynie, że jest barczystym mężczyzną o wielkich, twardych dłoniach i ogorzalej twarzy, ale bezustannie zezował na boki i nie zdążyłem nawet mu spojrzeć w oczy.

– To zależy, co znajdzie pan na wozie, panie kapitanie – powiedziałem. – A upchnie się tam naprawdę sporo dobrego, zapewniam pana. Sporo chlebów, szynka, trochę sera, ceber twarogu, worek rzepy, beczka piwa i...

– Brzmi kusząco, mości Kufelek. – Mordęga grzebał przy użębieniu małym palcem lewej ręki. – Ale ja nie mam pięciu mohinów.

Pryszczaty sierżant o okrutnej twarzy, który siedział obok swego dowódcy na derce, zarechotał głośno, aż obleciały mnie ciarki. Mimo to nadal spoglądałem na najemnika z niezmaconym spokojem.

– Gwoli ścisłości – Mordęga wyciągnął palec z ust i przyjrzał się mu z zauważalną dezaprobatą – nie mam nawet jednego. Mówię tu, zaznaczam, o budżecie kompanijnym, który w zasadzie nie istnieje. A wiecie dłaczego, mości Kufelek?

Po raz pierwszy zerknął na mnie i ujrzałem w jego oczach bezdenną, rybią pustkę.

– Ano dlatego, że księżę Fryderyk mocno się tą okolicą rozczarował – powiedział powoli, przyglądając mi się z nieprzyjemną obojętnością. – Wysłał tu

przede mną paru chłopą pod wodzą niejakiego Mocarza, by przeprowadził werbunek, a ci, wystaw pan sobie, nie wrócili.

– Zasadzka – dodał sierżant, który, jak się okazało, miał paskudny zwyczaj plucia podczas mówienia. – Ktoś nam ubił sporo wojska. Konusy jakieś. Koboldy czy chuj wie co.

– Tak było – przytaknął Mordęga, który powrócił do dłubania i czynił to teraz z takim entuzjazmem, że aż musiał zadrzeć głowę ku górze, gdzie przez dziurę w suficie namiotu umykał dym z ogniska. – Nieważne zresztą, kto strzelał. Ważne, kto oberwał. Jak ja powiedziałem? Że się ksiązę rozczarował? No, tom się źle wyraził. Otóż ksiązę się rozsierdził jak rzadko i mówi mi: „Mordęga, weź swoich chwatów i odwiedź ten cały Rympał. Przejeźdź się po okolicy, spal to i owo i zrabuj, co się da. Jeśli się okaże, że warto tam coś zająć, to zajmij, ale bez przesady. Jedziesz tam po to, by kmioty poczuły, że bardzo mnie obraziły. Żarcie dla chłopaków będziesz ogarniał we własnym zakresie, co?”. Rozumiesz, Kufelek, o co się rozchodzi?

Zdołałem utrzymać chłodny uśmiech negocjatora.

– Rozumiem. A nie obrazi się pan, kapitanie, jeśli podeślę wóz z zaopatrzeniem jako prezent? I może poproszę pana, by nie palił jednego gospodarstwa? Jednego, niedużego. Ksiązę na pewno nie poczuje się waszym przeoczeniem dotknięty.

– Pewnie nie – zadumał się Mordęga i znów zaprzestał wysiłków. – Choć nie wiem. Ale mi się wbiło, zaraz mnie szlag trafi. Parskun, pożycz mi nóż.

Sierżant wyciągnął paskudnie wyglądający majcher, a kapitan powrócił do pracy.

– I jeśli chcesz, podeślij ten wóz – dodał. – Tylko, cholera, po co? Kawalerzyści to bystry naród, ale pamięć mają krótką. Co będzie, jak mimo twej szczodrości, Kufelek, i tak owo gospodarstwo złupią?

W jego oczach błysnęło coś wzgardliwego i obojętnego, lecz udałem, że niczego nie dostrzegam. Ukłoniłem się więc uniznienie i poderwałem z derki, na której kazano mi usiąść.

– Dorzucę więc drugą beczkę piwa dla poprawy pamięci waszych wojowników, panie kapitanie, a wam dołożę dzban najlepszego miodu, kosz z serdelkami i nieco suszonego pstrąga. Żebyście pamiętali, że nie wszyscy w okolicy tacy niewdzięczni.

– A skoro już o okolicy rozmawiamy – odezwał się z nagłym ożywieniem Mordęga – to rzeknij mi, mości Kufelku, gdzie się wszyscy podziiali, co?

Zamrugalem oczami z udawanym niedowierzaniem.

– Jacy wszyscy?

– No, wszyscy. – Kapitan zatoczył łuk nożem. – Miejscowi. Chaty puste, obory puste, ba, nawet spichlerze puste. Cud, że woda w studniach została.

– Pewnie zauważyli, że nadjeżdżacie, i pochowali się po lasach – powiedziałem, wzruszając ramionami. – Wie pan, jacy są ludzie.

– No wiem. Sęk w tym, że podejrzane mi się to wydaje. Musieli mieć rozstawionych zwiadowców i z góry upatrzone kryjówki. Ba, zapewne nawet zawczasu umieścili tam część chudoby. – Dłoń z nożem zamarała, a Mordęga wbił we mnie nieprzyjemne, puste spojrzenie. Czułem się, jakbym się wytarzał w gnijących rybach. – Nie wiesz może, mości Kufelku, gdzie się pochowali?

– Nie – odparłem z przekonaniem, bo naprawdę tego nie wiedziałem.

– A nie wiesz może, czy nie czają się gdzieś po krzakach z łukami, by szyć w moich wojaków? – Wzrok Mordęgi stawał się coraz cięższy.

– Nie wiem – przyznałem. – Wiem tyle, że zasadzkę na ludzi onego Mocarza urządziły jakieś gobliny, które potem ukradły łodzie w okolicznych wsiach i ruszyły Krwawicą na północ. A miejscowi... – Znów wzruszyłem ramionami. – Jak się ktoś raz sparzy, to ognia unika. Niektórzy wynieśli się z tych okolic, inni się ukryli. Co ja tam wiem. Ja, jak widzi pan kapitan, na współpracę gotowy. Po krzakach się nie chowam.

– No nie – przyznał Mordęga. – A co więcej, to, co gadasz, w miarę pokrywa się z moimi informacjami. W tych domostwach, które spaliłem, jacyś twoi bliscy mieszkali?

– Nie, panie kapitanie.

– To dobrze, mości Kufelek, dobrze. Bo ciemno się zrobiło i trzeba było sobie jakoś drogę oświetlić.

Przez moment badał wielkimi paluchami zęby, a potem wsunął czubek noża w intrygującą go szczelinę.

– Idśpotenpiephonywóh – wymamrotał, dlubiąc z zapalem prawdziwego rzemieślnika. – Pahshuncieodhowazi.

– Że co? – zamrugalem.

– Masz iść po wóz, a ja pójdę z tobą – wycedził sierżant, wstając. – Już raz odwiedziłem te okolice i źle się to dla moich kompanów skończyło. Na tyle źle, bym nikomu nie ufał.

– Pohekajtociodamnóh! – zawołał Mordęga.

– Dzięki, szefie, obejdzie się.

– Natomiast... – Wyciągnąłem koszyk trzymany dotąd za plecami. – Flaszeczka zacnego trójniaka, słoiczek miodu i trochę wypieków. I za pańskim pozwoleniem

napomknę dobremu sierżantowi, który patrzy mi na życzliwego człowieka, o owym gospodarstwie, które wypadaloby od pożogi oszczędzić.

Mordega parsknął coś, co mogło być zarówno jakąś informacją, jak i kolejną częścią zabiegów dentystycznych, po czym opuściliśmy przepelniony dymem namiot i ruszyliśmy szybkim krokiem przez obozowisko najemników. Przez cały czas czułem na plecach niechętny wzrok sierżanta Parskuna, który mamrotał coś do siebie i nie pozwalał mi się skupić.

Mimo to miałem już pierwsze wnioski. Otóż dowódca najemników zdecydowanie należał do grupy owych niebezpiecznych, sprawnych i bezwzględnych żołnierzy, których naprawdę nie chciałem nigdy urzyć w okolicy Gryfa. Wydawał się jednak całkowicie rozluźniony, jakby nie do końca dowierzał, że jemu i jego ludziom coś mogłoby tu grozić, choć przecież znał los oddziału Mocarza. Być może stanowiło to o jego słabości, jak do tej pory jedynej, którą stwierdziłem.

Bo oddział wydawał się zwarty i gotowy na wszystko. Mijałem ogniska, przy których siedzieli jego podwładni, i rozglądałem się dyskretnie na boki. Wszędzie dostrzegałem zaprawionych w bojach mężczyzn, którzy emanowali agresywną pewnością siebie. Rozmawiali cicho i leniwie, jakby wystarczyło wskoczyć na konia i potrząsnąć włócznią, a świat już leżał u ich stóp. Gdzieś wychyciłem zawziętą kłótnię, gdzieś rechotano przy grze w kości, gdzie indziej dwóch wojowników mocowało się na śniegu przy dopingu kompanów.

– Rekrutów wieszysz, Parskun? – zapytał któryś z siedzących przy ogniu ludzi, siwowłosy weteran polerujący ostrze wielkiego topora.

Sierżant warknął coś, na co żołnierz zareagował głośnym śmiechem, i pokręcił głową.

No tak. Był jeszcze Parskun. Sierżant bez wątpienia należał do niedobitków oddziału Mocarza i w formacji Mordegi odgrywał zapewne rolę doradcy i przewodnika, co czyniło go groźnym przeciwnikiem. Ponadto dotychczasowe doświadczenie mówiło, że to właśnie podoficerowie stanowili kościec każdego oddziału – bez grupy żytych z wojskiem sierżantów i kaprali, którzy wdrażali rozkazy dowódcy, nawet najlepszy oddział stawał się podatny na chaos. Zdecydowanie należało się go pozbyć.

Dopóki Parskun wbijał we mnie podejrzliwy wzrok, dopóty nasz plan był mocno zagrożony. A był to, przyznawałem z bólem, jeden z najbardziej szalonych i nieprawdopodobnych planów, jakie kiedykolwiek wprowadziłem w życie.

Rety, przeszło mi przez myśl, to samo mówiłem o planie ocalenia Zagórka i uratowania dzieciaków z sierocińca. Zaczynam chyba nadużywać cierpliwości Doli.

Zbliżaliśmy się w stronę miejsca, gdzie rozlegały się najczęstsze wybuchy śmiechu. Grupka wojowników, którzy rozsiedli się na derkach i owczych skórach, wpatrywała się w stojący przed nimi wóz, z którego usunięto burtę, dzięki czemu przemienił się w niewielką scenę, opromienioną dwiema latarniami. Stał tam aktor ubrany w powłóczystą błękitną szatę z gwiazdami i kometami, wymachując czymś, co przypominało teleskop. Kłaniał się i gestykułował obficie, a każde słowo kierował do leżącego na stoliku obok worka. Ten, o dziwo, poruszał się, jakby w jego wnętrzu kryło się coś żywego, ale jednocześnie bezcielesnego.

– Doprawdy? – Aktor, w którym z niemalym trudem rozpoznałem Alberta, wdziękzył się i znów się uklonił przed workiem, zamiatając podłogę lokami peruki. – To wielkie wieści natury politycznej. Natychmiast przekażę je naszemu panu! A rzeknij mi jeszcze, och potężny Worku Jasnowidzenia, jakim mianem określiłbyś Stefana podczas polowania?

– Dupa – rzekł worek, a przysłuchujący się wymianie zdań wojownicy znów parsknęli śmiechem. Aktor-astronom zmarszczył jednak brwi.

– Tym mianem określiłeś już Stefana w siodle. Jesteś pewien, że dupa?

– Fifol – powiedział worek i aż podskoczył, zadowolony z siebie, a słuchacze zarechotali zgodnie.

Astronom uderzył się z egzaltacją w czoło.

– No tak! – zawołał. – Teraz mój horoskop jest już kompletny! Choć zaraz, zaraz, nie... Jeszcze jedna ważna informacja! Rzeknij mi, o wszechwiedzący Worku Jasnowidzenia, czym jest Stefan w łożnicy?

– Pipa! – oświadczył worek.

Wojownicy wyli z uciechy i klaskali głośno, najwyraźniej w pełni doceniając repertuar Wystrzałowej Trupy. Gdzieś mignęła mi udręczona twarz Liwii, która najwyraźniej miała inne zdanie na temat prezentowanego artystycznego poziomu, ale nie był to czas i miejsce, by rozwodzić się nad żołnierskim gustami. Wzrokiem odszukałem Żychłonia, który stał kilka kroków od wozu, mieszał w kotle nad ogniem i raz na jakiś czas obdarzał wojaków miną tak głupkowatą, że nikt, kto by go nie znał, nie zacząłby go podejrzewać nawet o szczątki zdrowego rozsądku. Zdusiłem uśmiech – znakomicie odgrywał swoją rolę, która była filarem naszego straceńczego planu.

Na wozie pojawił się rozradowany Zwierzak, który zagrał wesołą melodyjkę na fujarce, kwitując tym samym występ.

– A teraz – astronom uklonił się publiczności i pokazał wszystkim lunetę, która okazała się pusta w środku – poprosimy o skromne datki na rzecz funduszu przewidywania przyszłości i łatania dziur we wszechmocnym Worku Jasnowidzenia! Aby pomóc wam rozsypać sakiewki, nasz ciura Zdechłoni poczęstuje waszmościów grzany winem!

Przez twarz Żychłonia przemknął niezrozumiały grymas, natychmiast zastąpiony jeszcze szerszym i głupszym uśmiechem. Odruchowo przeliczyłem widownię. Składała się z dwóch tuzinów wojaków, z których część niechętnie wysypywała miedziaki i wsypywała je do pustej lunety Alberta, ale większość tłoczyła się wokół garnca Żychłonia.

Dwa tuziny! – przeszło mi przez myśl. Trochę za mało.

– Patrzenie, jacy hojni – warknął wściekłym głosem sierżant. – Wydają pieniądze na *kulturę*, a za trzy dni na piwo będą pożyczać. Banda durniów. Daleko ten twój wóz, Kufelek?

– Tam stoi, za drzewami! – Wskazałem skraj lasu killkadziesiąt kroków za drugim z wozów cyrkowych, gdzie stali wartownicy, jeden potężnie zbudowany i rośły, a drugi niski, niemalże karłowaty, ale za to barczysty.

– Prędzej sam pieniądze po zmarłym dziadku na *kulturę* wydam, niż zapuszczę się z obcym między drzewa w tej pieprzonej okolicy! – wycharczał sierżant i nim przetarłem oczy, kiwał już na trójkę najbliższych żołnierzy. – Hej, wy tam! – wołał. – Chodźcie tu!

Pokraśniali nieco najemnicy niechętnie spojrzeli na sierżanta i pospiesznie dopili zawartość kubków, jakby się obawiali, że Parskun każe im wszystko wylać, a potem podeszli do przełożonego, zerkając ukradkiem na niewielką scenę, gdzie nadal tańczył goblin z fujarką. Dostrzegłem, jak wielu spośród tych, którzy już zdolali pociągnąć kilka tęgich łyków, zgromadziło się wokół sceny, gdzie przytupywali i klaskali do rytmu muzyki z energią raczej przeczącą ich aparycji.

Parskun obrzucił scenę przypadkowym spojrzeniem i naraz poczerwieniał.

– Hej, co to ma znaczyć... Przecież to on! – wrzasnął z wściekłością, celując drżącym palcem w Zwierzaka. – To ten przeklęty konus! To oni zaatakowali ludzi Mocarza!

Serce zabiło mi szybciej.

– Panie sierżancie, przecież to tylko jakiś aktorzyzna... – usiłowałem zaoponować, ale Parskun już brnął przez tłum ku niewielkiej scenie, wymachując rękami i wrzeszcząc. Nawet najbardziej ubawieni najemnicy cichli

i odsuwali się na boki, tym bardziej że sierżant złapał za miecz i wyszarpnął go z pochwy. Zwierzak zamarł w połowie ruchu i przestał grać.

– To jeden z nich! – darł się sierżant. – To jeden z tych obwiesi! Rozbójnik!

Był coraz bliżej sceny, a mnie nagle skuło zimne przerażenie. Nie dość, że nasz szalony, niemożliwy wręcz plan zawisł właśnie na włosku, to jeszcze Zwierzak znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie! Zauważyłem, że dłoń Żychłonia twardnieje na rękojeści chochli, a sam w rozpacz rozejrzałem się w poszukiwaniu broni.

Parskun był już przy scenie i wygrażał mieczem, dygocząc ze złości i żądry zemsty.

– Złaż na dół, konusie! – wrzeszczał, aż jego głos przechodził w przeraźliwy pisk. – Flaki z ciebie wypruję, ty człekokształtna żabo!

Ciął mieczem, ale Zwierzak uskoczył zwinnie do tyłu. Chlasnął po raz drugi, tym razem sięgając dalej, ale niespodziewanie na scenie pojawił się ktoś inny.

– Cóż to za dzikie wrzaski, panie sierżancie? – zawołała Liwia, która zwinnie przydepnęła Parskunowi nadgarstek, a potem pochyliła się ku niemu. Jej długie loki zsunęły się z ramion i zatańczyły niczym kurtyna, wśród której ział jej kuszący dekolt, głęboki mimo zimna. – Wydaje się pan czymś przestraszony! Przecież z pana zahartowany wojak, panie sierżancie!

Wyprostowała się i zarzuciła włosy na plecy wystudowanym gestem, który przyciągnął uwagę wszystkich dookoła, łącznie z ludźmi siedzącymi nadal przy ogniskach, a potem ujęła się pod boki, by wyeksponować biust w inny sposób.

– Złaż! – charczał Parskun. – Złaż mi z ręki i daj mi utłuc to błotne ścierwo...

– To? – Liwia wskazała Zwierzaka. – Przecież to Kulfon! Mój oswojony goblin! Przygarnęłam go w Wichrze i grać na fujarce nauczyłam!

Nadal przydeptując dłoń sierżanta, nachyliła się i zgrabnie podniosła łańcuch, który odchodził od kostki Zwierzaka. Zupełnie go nie zauważyłem.

– Puść mnie do niego!

– Je z miski... – Liwia zaczęła wyliczać na palcach. – Załatwia się na dworze, liczy do dziesięciu i nawet śpiewa, jak się mu piwa poleje. Chcecie posłuchać?

Kilku wojowników przytaknęło gromkimi głosami, inni zaklaskali. Krótka interwencja uwodzicielskiej Liwii wystarczyła, by nastrój zaczął natychmiast wracać, a dwóch czy trzech najemników zaczęło już namawiać Parskuna, by dał sobie spokój z goblinem.

– Panie sierżancie! – wołali. – Maszkara fajnie gra, a pani ładnie prosi! O, patrz pan! Patrz pan, jak ładnie!

Liwia znów ukloniła się zamasyście, a potem zatupała, wznosząc kokieteryjnie rękę nad głowę i obracając się wokół własnej osi. Uwolniła przy tym ramię Parskuna, ale niby od niechcienia odkopnęła jego miecz.

– Albo nie! – zawołała. – Chcecie, by Kulfon zaśpiewał, to go sami poproście, choć mimo wszystko dobrze to sobie przemyślcie! Póki co umiłem wam czas tańcem! I zapraszam na wino, póki jeszcze coś zostało!

Zwierzak zręcznie pochwycił fujarkę i zakręcił nią między palcami, a potem zagrał kolejną melodię, jeszcze skoczniejszą od poprzedniej. Liwia zapłasała z fantazją, a Żychłoń zamachał chochłą, zapraszając kolejnych spragnionych. Albert wycofał się, jakby zrozumiał, że dalsze zbieranie pieniędzy w tej sytuacji może zostać źle odebrane, Worek Jasnowidzenia dorzucał do ogólnego zamieszania znane sobie nazwy genitaliów, a wściekle protestujący Parskun został dyskretnie, acz stanowczo odciągnięty od sceny przez kilku rosnących żołnierzy.

Odetchnąłem z ulgą. Liwia, tańcząca na scenie do rytmu Zwierzakowej fujarki, uratowała zarówno honor sztuki – przynajmniej w swoim mniemaniu – jak i los całej okolicy, ale sukces był niemalże równie daleki i ulotny jak w chwili, gdy wyruszyliśmy z Gryfa.

Dostrzegłem jednakże dla siebie kolejną szansę. Prześlizgnąłem się między dwoma żołnierzami, przypadłem do Żychłonia i nabrałem pełen kubek wina prosto z kotła, ignorując obelgi i szturchnięcia oburzonych żołnierzy. Któryś wymierzył mi nawet solidnego kopniaka, ale i tak udało się donieść przynajmniej połowę zawartości do wciąż rozwścieczonego Parskuna.

– Zabiję! – syczał purpurowy na twarzy sierżant, nie spuszczać oczu z podrygującego w ślad za Liwią Zwierzaka. – Dopadnę gadzinę i wyduszę życie!

– I słusznie! – wysapałem, wciskając mu kubek do rąk. – Wiesz pan, jak pluje jedno z drugim?

Parskun złapał kubek i wychłptał jego zawartość, a potem odrzucił naczynie na śnieg i spojrzął na mnie ze złością.

– Jeszcze ty, glizdo? – wysyczał. – Kanalio równie obleśna, jak ten konus z piszczalką.

– Ale za to z wozem pełnym spyży! – Wyprostowałem się z dumą. – I niech się nie nazywam Kufelek, jeśli nie dam panu tego, co sobie pan zażyczy!

Parskun wykrzywił się wściekle i z rozmachem kopnął przechodzącego żołnierza, który o mało nie wpadł do ogniska.

– A z wami, gady, porachuję się jutro! – wychrypiał, grożąc pięścią, ale mało kto zwrócił uwagę na pogrożki, bo dynamiczny występ Liwii przyciągał coraz

większą widownię. Wściekły sierżant wyrwał więc z tłumu trzech wojowników, którzy właśnie ustawili się w kolejce po wino, profilaktycznie obrugał ich od stóp do głów i kazał ruszyć za sobą.

Potruchtałem przodem, kłaniając się w pas i nieustannie zapewniając Parskuna o mojej lojalności i najwyższej jakości moich produktów. Prowadziłem ich jak najdalej od dwójki wartowników, gdyż obawiałem się, że sierżant z zawodowej przyzwoitości opieprzy również ich, ale ten najwyraźniej nadal nie przestawał rozpamiętywać doznanego upokorzenia, gdyż nawet na nich nie spojrzał.

Zaczął zwalniać dopiero, gdy ujrzał wóz.

Nie było to łatwe, bo zapadł już zmierzch. Niebo było bezchmurne i blask księżyca odbijał się od śniegu, ale wóz zlewał się niemalże całkowicie z gęstwiną bezlistnego lasu i gdyby nie prychnięcie konia, sam miałbym trudności, by go wypatrzeć.

– O, tam jest! Tam stoi! Chodźcie, panie sierżancie! Mam beczułkę trójniaka, którą chętnie się podzielę. Na co mi wino? Co tu świętować? Znaczy się, chętnie wypiję lampkę na cześć naszego nowego pana, ale niekoniecznie dzisiaj. Chodźcie!

Sierżant nieco zwolnił.

– Chodźcie. Tam stoi! Tam!

– Stoi! – powiedział Parskun, choć dziwnie bełkotliwie. – Stoi. Tam.

– Pewnie, że stoi! Jak obiecywałem! Wóz jak się patrzy! Dwa koła z przodu, dwa z tyłu, ośka jedna, ośka druga!

– Ośka druga! – powtórzył Parskun, a potem klasnął, podskoczył, zatupał, zatoczył się i siadł na śniegu.

Idący za nami najemnicy przyspieszyli.

– Ejże! – huknął jeden z nich. – Panie sierżancie, co się dzieje? Zachorzał pan czy jak?

Inny, bardziej domyślny, przypadł do mnie i obrócił mnie ku sobie jednym gwałtownym szarpnięciem.

– Podaliście coś sierżantowi, co, mości Kufelek? Na zasadzkę mi to wszystko patrzy! – wycedził, po czym złapał mnie za poły płaszcza i przyciągnął ku sobie, by przytknąć mi nóż do gardła. – Łapcie sierżanta! – krzyknął. – Bierzemy tego pizdzielca i wynosimy się stąd.

– Gadali... – odezwał się trzeci, już z mieczem w ręku. – Gadali, że to nieprzyjazna okolica. Nie lza tak po ciemku między drzewa, nie lza...

Zrobiło mi się zimno.

– Dalej, chłopcy! – syknął ten, który trzymał nóż przy mojej szyi. – Wynosimy się stąd!

Zerknął przy tym w bok na swoich kompanów podnoszących ze śniegu nagle osłabłego, ale osobliwie pogodnego sierżanta, co dało mi króciutką sekundę na jedyną reakcję, na którą w tej sytuacji mogłem się zdobyć. Gwałtownym szarpnięciem wyrwałem się napastnikowi i runąłem na śnieg. Ten warknął wściekle i chlasnął nożem tak, że aż poczułem podmuch, ale na szczęście niecelnie.

Nad moim ramieniem z wizgiem przemknęła strzała i z nieprzyjemnym łupnięciem wbiła się w pierś najemnika. W tej samej chwili obaj wartownicy, skradający się za Parskunową eskortą, wyrosli jak spod ziemi. Pierwszy z nich, niski i krępy, złapał zaskoczonego najemnika i zamaszystym szarpnięciem posłał go na ziemię, a potem z lubością kopnął w brzuch, po czym poprawił. Drugi, znacznie wyższy, ale równie dobrze zbudowany, grzmotnął trzeciego żołnierza głowicą miecza w potylicę.

– Ośka druga! – wymamrotał Parskun, próbując się podnieść. – Druuu... uuga!

Dźwignąłem się na nogi i zdałem sobie sprawę, że ręce trzęsą mi się jak w malignie. Przez chwilę nie mogłem złapać tchu.

– Kociołek? – spytał Gramm i poprawił mundur. – Nic ci nie jest, chłopie?

– Nie, nic – wykrztusiłem. – Wszystko gra. Dzięki, Eliah. Celny strzał.

Elf zeskoczył z wozu, gdzie przebierali nogami dwaj uprzednio złapani i skrupulatnie skępowani najemnicy, którzy użyczyli Grammowi i Urgo swoich tunik z fioletowym kielichem.

– Kolejna faza? – spytał krótko.

Trwała jedna z owych mroźnych, księżycowych nocy, kiedy to dźwięk niesie się na wiele mil. Wyraźnie słyszałem dzięki temu skoczną melodię fujarki i dziesiątki radosnych, nucących melodię głosów.

– Tak – oceniłem po chwili. – Działaj.

Pospiesznie ściągnęliśmy tunikę jednemu z nieprzytomnych żołnierzy. Wciągnąłem ją na siebie, przypasałem sobie jego miecz i nałożyłem hełm, a Urgo i Gramm, nie siląc się na zbytnią delikatność, spętali pozostałych dwóch razem z ich wciąż rozanielonym sierżantem i ułożyli na wozie obok pozostałych jeńców. Trupa odciągnęliśmy w krzaki, a potem pobiegliśmy prosto ku obozowisku ludzi Mordęgi.

Mogłem sobie pogratulować pierwszego sukcesu. Udało się nam wyeliminować z walki sześciu zaprawionych w bojach najemników wraz z ich podejrzliwym sierżantem, a do tego nikt nie odniósł nawet skaleczenia. Co

więcej, dzięki wydatnej pomocy Liwii udało się wprowadzić w życie dwa inne, równie ważne elementy mego planu. Nerwy miałem napięte jak postronki, ale wreszcie pozwoliłem sobie na odrobinę nadziei.

Uda się. Musi się udać. Przecież tu chodzi o Gryfa. O naszą okolicę. Naszych sąsiadów. Nawet o Szmyrgła i tych matolów z Rympału.

W głowach Gramma i Urgo najprawdopodobniej kołatały się te same myśli, bo żaden z nas nie okazał ani cienia wahania czy lęku. Nieco zasapani wypadliśmy z lasu i skierowaliśmy się w samo serce obozowiska, gdzie staliśmy się świadkami najdziwniejszej sceny, jaką kiedykolwiek na oczy widziałem.

Liwia tańcowała na śniegu, zamiatając suknią to w jedną, to w drugą stronę, a obok niej podrygiwał Zwierzak, już bez łańcucha, ani na moment nie przestając wygrywać kolejnej wesołej melodii. Oboje byli tak pochłonięci chwilą, że chyba zupełnie nie zdawali sobie sprawy z tego, że za ich plecami podskakuje długi szereg rozbawionych mężczyzn. Ci zaś, najwidoczniej całkiem zapomniawszy o obowiązkach, przytupywali, klaskali i głośno nucili melodie goblina.

Zatrzymaliśmy się jak wryci.

– Czy wy widzicie to samo, co ja? – wychrypiął zdyszany Gramm.

– Niemożliwe – wymamrotałem. – To działa.

Sekrety mikstury, którą uwarzył Żychłóń, oczywiście niknęły w mrokach dziejów, w związku z czym on sam nie wiedział, czy je dobrze spamiętał, tym bardziej że nigdy dotąd czegoś takiego nie przygotowywał. Niewykluczone więc, że przesadził z ilością i mocą niektórych składników, bo zmieszany z grzonym winem wywar miał jedynie nieco oszołomić Mordęgowych wojowników i uczynić ich podatnymi na sugestię. Nikt nie przewidział, że po kilku łykach staną się bandą roztańczonych półgłówków, którzy uformują długiego węża i ruszą w ślad za Liwią i Zwierzakiem.

Ci zaś prowadzili płasających najemników prosto w stronę lasu.

– Przynajmniej dwudziestu – przeliczyłem szybko. – Czyli została jakaś połowa!

Omiotłem wzrokiem resztę wojowników, którzy z niedowierzaniem i rozbawieniem przyglądali się dzikim harcom znad swoich ognisk. Kilku jednak powstało i obserwowało scenę z niepokojem, a ten i ów wołał głośno, próbując zatrzymać kompanów. Któryś z żołnierzy biegł w stronę namiotu Mordęgi.

Spojrzałem na tanecznego węża. Liwia i Zwierzak zniknęły między drzewami, a za nimi pierwsi wojownicy. Jeśli ich kapitan nie zareaguje odpowiednio szybko, mieliśmy sporą szansę...

– Ja nie o tym – syknął Gramm. – Patrz!

Gruby paluch krasnoluda wskazywał Urgo. Wokół rycerza unosiła się lekka, ale wyraźna poświata.

Złe.

– Nie – jęknąłem. – Tylko tego brakowało.

I wtedy – i to wcale nie przez Złe – wszystko zaczęło się walić.

Mordęga wystrzelił z namiotu niczym pocisk wyrzucony przez katapultę, wymachując ciężką maczugą.

– A wy dokąd, owrzodziałe mordy! – ryknął z furją, która mogłaby wybić dziurę w murze zamku. – Stać! Stać, bo batożyć będę, aż się posram z wysiłku! Stać!

Nie przestając wrzeszczeć, rzucił się do pościgu za roztańczonym, nikiem w lesie węzem, a kilku przytomniejszych żołnierzy skoczyło w ślad za nim. Dołączali do nich kolejni.

– Ochłap! Brzydala! – sapał w biegu Mordęga, oglądając się za siebie. – Weźcie paru ludzi i ściągnijcie kilkanaście koni! Jesion i Kamlot! Złapcie tych cholernych cyrkowców! Zwłaszcza tego pieprzonego łysego dziada, co nalewał wino! A gdzie jest Parskun?

– Poszedł do lasu z tym Kufelkiem! – krzyknął ktoś.

– O ja pier... Motyka, weź dwóch ludzi i leć zobaczyć, co z nim! Kufelka możesz sobie rozwlóczyć, jak masz ochotę! A reszta za mną! Coś tu się dzieje! Coś niedobrego! A wy stać! – ryknął znów. – Stać, wy pierdowachy w gnoju utyłane! Niech ja was...

Rozkaszłał się i zwolnił, ale i tak był szybszy od upojonych Żychłoniowym specyfikiem tancerzy, zwłaszcza że ci zaczęli się już potykać w zaspach. Patrzyłem na to ze zgrozą – od początku podejrzewałem, że mimo beztroskiej pozy Mordęga to zahartowany oficer, który odnajdzie się w każdej sytuacji i wyprowadzi oddział z każdej opresji. Wystarczyło kilka rozkazów, by pędząca za nim banda żołdaków rozpadła się na parę mniejszych oddziałów, każdy z wyraźnie wytyczonym celem. Kilku uzbrojonych po zęby drabów opadło wozy cyrkowców, inni biegli do lasu, gdzie lada chwila mieli ujrzeć nasz wóz z jeńcami, a Mordęga parł naprzód za tancerzami.

Sukinsyn w jednej chwili zablokował wszystkie moje dokonania. Miałem wrażenie, że wrogi dowódca zarzucił na mnie sieć, spod której niby wciąż mogłem się wygrzebać, ale lada szarpnięcie mogło przekreślić wszelkie moje nadzieje.

Przez moment nie wiedziałem, co począć.

Rozwścieczony Mordęga rzucił się na najwolniejszego z tancerzy, ogłuszył go ciosem potężnego kułaka w skroń, a potem skoczył w ślad za następnym. Żałowałem, że nie ma przy mnie Eliaha lub Zwierzaka, którzy potrafiliby nawet z tej odległości powalić najemnika jedną celną strzałą. Żałowałem, że sam nie potrafię dobrze strzelać z łuku, żałowałem, że nie znalazłem sposobu, by wcześniej pozbawić kompanię dowódcy.

Wszystkiego żałowałem.

– Kociołek! – wrzasnął Gramm, wyczuwając moje zawahanie. – Ocknij się! Działać trzeba!

– Za szybko – odrzyknąłem. – To wszystko dzieje się za szybko. Vitalis nigdy nie zdąży...

Nagle ziemia zadrżała pod kopytami rozpędzonych koni. Zacisnąłem powieki i wyobraziłem sobie wyłaniających się z mroku kawalerzystów Mordęgi, pochylonych nad karkami swych koni, lecz wtedy nad tętent kopyt wzbił się nowy odgłos.

Był nieprzyjemny, przeraźliwy, niemalże bolesny, ale kojarzył mi się tylko dobrze.

Warkotka Sary.

Otworzyłem oczy i ujrzałem pierwsze konie wypadające z mroku. Żaden z nich nie nosił siodła ani jeźdźca, a wszystkie biegly w chaosie, z rozwianymi grzywami, uciekając przed nieprzyjaznym dźwiękiem, który ranił ich wrażliwe uszy. Na moich oczach wpadały między namioty, trącały tyczki, przeskakiwały nad płomieniami i znikaly w mroku.

– Eliah! – wykrzyknął Uργο z nieklamany podziwem. – Elf uwolnił konie!

Z całego serca współczułem wartownikom stojącym między Eliahem a jego celem, ale jednocześnie podziękowałem w myślach Doli za to, że mogłem zaliczyć tego czubka do grona moich najbliższych przyjaciół. Znów poczułem nadzieję, tym bardziej że przypomniałem sobie o jeszcze jednym asie ukrytym w rękawie. Co prawda Żychłoń ostrzegwał, że broń może się okazać obosieczna albo zawieść kompletnie, ale nie miałem wyboru.

Musiałem spróbować.

– Chłopaki – sapnąłem. – Pora na coś naprawdę porąbanego.

W oczach Gramma błysnęła dzikość.

– Myślisz o tym, co ja? – spytał i podniósł topór.

– O tym też, Majster. Naprzód!

Wśród najemników zapanowało zamieszanie, bo Mordęga zapomniał na moment o oddalających się tancerzach i wybiegł naprzeciw koniom. Krzyczał

wściekle i próbował je łapać, a jego ludzie bez namysłu dołączyli do niego. Oddział natychmiast utracił spójność, tym bardziej że konie, zaskoczone pojawieniem się usiłujących je pochwycić ludzi, rozbiegły się we wszystkie strony, potęgując tylko zamieszanie. Do głuchego tupotu dołączyły teraz dzikie przekleństwa i przeraźliwe rzenie, nad którym przez cały czas wisiało obłąkańcze wycie odległej warkotki.

W tym chaosie dosłownie nikt nie zwrócił uwagi na trzech kolejnych żołnierzy, którzy śmiało wbiegli między uganiających się za rumakami wojowników.

– Co tu się, kurwa, wyprawia! – darł się Mordęga. – Łapać konie! Łapać te cholerne szkapy!

Pierwszego wojownika, który stał na szeroko rozstawionych nogach i wyciągał ręce, próbując złapać kłusującego ogiera za ogłowie, kopnąłem w wewnętrzną stronę kolana, a gdy się przewrócił, powtórzyłem kopniak, ale w bok, a potem w brzuch. Innego, który obejrzał się na mnie z zaskoczeniem, z całej siły rąbnąłem łokciem w szczękę, a potem podciąłem wedle podstawowych reguł walki karczemnej i grzmotnąłem w łeb. Trzeciego już zaskoczyć nie zdołałem.

Był to jeden z pierwszych najemników, którzy zdołali zatrzymać konia i wspiać się na jego grzbiet. Siedział na oklep, ale wystarczył mi jeden rzut oka, by ocenić, że znakomicie sobie radził. Trzymając się jedną ręką grzywy, pędził prosto na mnie, wymachując toporem z przerażającą swobodą. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

Dla wojownika walczącego pieszo nie ma nic gorszego niż atak doświadczonego jeźdźca, zwłaszcza gdy ów pieszy jest, jak ja, w zasadzie amatorem, jeśli chodzi o walkę wręcz. Człowiek na koniu ma jednak przewagę szybkości i wysokości, lepiej umie ocenić zamiary przeciwnika, a odpowiednio poprowadzony rumak może roztrącać i miażdżyć wrogów. W sytuacji, w której się znalazłem, pozostawało mi w zasadzie jedno rozwiązanie – skoro przeciwnik trzymał broń w prawej dłoni, ja rzuciłem się w lewo, by znaleźć się poza jego zasięgiem.

Nie przewidziałem tego, że wojownik w ostatniej chwili przerzuci topór do drugiej ręki i będzie ciąć z ogromną siłą.

Z pomocą przyszła mi panika. W okamgnieniu odwróciłem się i padłem na zmarzniętą ziemię, a podmuch opadającego ostrza owionął mi twarz. Odruchowo spojrzałem za siebie i przez dwa, trzy uderzenia serca, gdy mój przeciwnik zawracał, obserwowałem wywołany przez siebie chaos. Gdzieś płonęły namioty, miotaly się rozszalałe, przerażone konie osaczane przez

jeźdźców, dudniła ziemia, niosły się dzikie wrzaski, a chaos przebijały kolejne rozkazy. Dosłyszałem ryk szarżującego Gramma, choć nie mogłem go wypatrzeć, dostrzegłem natomiast Urgo, zwartego w walce z przynajmniej dwoma przeciwnikami.

Dostrzegłem też Mordęgę, który stał kilkadziesiąt kroków dalej, w samym środku największego zamieszania, ale mimo to zdołał mnie wypatrzeć. Nie słyszałem jego rozkazów, ale wyczułem na sobie jego nienawistny wzrok. Zrozumiał, że mości Kufelek od samego początku próbował go wyprowadzić w pole, a teraz miał zamiar dać upust swej wściekłości.

Mowa ciała dowódcy najemników była czytelna – wymierzył we mnie mieczem i wrzasnął coś ze wszystkich sił. Kilku jego żołnierzy rzuciło się w moim kierunku.

Cudownie. Zupełnie jakbym już nie miał na karku topornika na koniu.

Zerknąłem za siebie i ujrzałem, że jeździec zdołał już zawrócić i od kolejnego ciosu toporem dzieliło mnie raptem kilka uderzeń serca. Rzuciłem się na zmarzniętą ziemię i przetoczyłem, jednocześnie wyrывая z za pasa worek, w którym kryła się moja ostatnia broń.

Mam nadzieję, Żychłoń, że się mylisz, pomyślałem, rozsypując worek.

Ku mojej zgrozie nic z niego nie wyleciało, ale wydawało mi się, że lekko sflaczał. Na kolejne wnioski nie miałem już czasu – potoczyłem się w bok, by uniknąć ciosu toporem. Poczułem kolejny zimny podmuch powietrza, gdy wrogie ostrze przemknęło tuż nad moją głową. Łomot kopyt ogłuszył mnie do tego stopnia, że nawet nie zarejestrowałem, że odbiłem się od czyichś nóg. Zerwałem się odruchowo, odepchnąłem jakiegoś człowieka, który na szczęście był odwrócony do mnie plecami, uchyliłem się przed ciosem znikąd, znów uskokyłem przed opadającym toporem. Ktoś się darł z bólu, ktoś ciskał przekleństwa, huczały płomienie, rżały konie.

Jak długo? – zadałem sobie w myślach pytanie, potykając się o czyjąś włócznię. Jak długo uda mi się jeszcze uciekać?

Skądś wiedziałem, że topornik na koniu znów na mnie szarżuje, zawziąwszy się, by ze mną skończyć. Zostały mi sekundy.

– Grzesznicy! – zawył potężny głos wysoko nad nami. – Łajdaki o nieczystych sumieniach, niewiele od bydła lepsi! Ukorzcie się! Oczyszćcie swe dusze!

Nie byłem na to gotowy, ale przynajmniej wiedziałem, że na coś się zanosi. Ścigający mnie jeździec już takiej wiedzy nie miał. Gdzieś zgubiłem miecz, ale wciąż miałem nóż, który wyszarpnąłem z pochwy. Obróciłem się ku memu prześladowcy, który podobnie jak wielu innych spoglądał teraz w niebo

z bezgranicznym zdumieniem na twarzy. Wiedziałem, że to doświadczony wojownik i lada moment opanuje zaskoczenie. Miałem naprawdę niewiele czasu.

Ale wystarczyło.

Skoczyłem prosto na wciąż kłusującego konia, wyminąłem go i w przelocie wbiłem nóż w udo najemnika. Ten zawył z bólu i zamierzył się odruchowo toporem, ale chybił, a ja już zdążyłem złapać go drugą ręką za pas i szarpnąć w dół z całą siłą, którą mogły zrodzić tylko rozpacz i determinacja. Wojownik, nie przestając wrzeszczeć, grzmotnął o ziemię i zwinął się w kłębek, próbując wyrwać nóż z rany, a ja przeskoczyłem nad nim. Spróbowałem pochwycić uciekającego konia, a ten wykorzystał okazję i czmychnął, obsypując mnie grudkami ziemi spod kopyt.

– Jak śmiecie stawać do walki z brudnymi duszami? – grzmiał uwolniony z worka upiór. – Myślicie, durnie, że Dola przyjmie was do siebie tylko dlatego, że stanęliście do walki ze Złem? Myślicie, że to czyni was wyjątkowymi? Otóż nie! Wpierw musicie się ukorzyć! Przebłagać Dolę za swe grzechy! Plugawcy!

Nie miałem pojęcia, dlaczego upiornik, z którym zaznajomił się Żychłōn, postanowił zatrzymać upiora po fanatycznym kapłanie Doli, który zapewne wstrząsał sumieniami walczących z inwazją Złego, ale w tej sytuacji mogłem się tylko cieszyć z jego decyzji. Przerażający głos rozlewał się po całym niebie i wydawał się dobiegać zewsząd, jakby upiór, sfrustrowany latami uwięzienia w worku, postanowił wywrzeszczeć swoją złość. Z tego, co udawało mi się dostrzec, podziałało – niektórzy z żołnierzy kłęczeli na stratowanym śniegu, a inni nadal rozglądali się z oszołomieniem i przestraciem, ale na samego Mordęgę kazanie niestety nie podziałało.

Nadal parł ku mnie z mieczem w dłoni i żądzą mordu w oczach.

A ja byłem bezbronny.

Nagle jednak poniosło się od lasu:

– Dawajcie, chłopcy! Bić takich synów!

Mordęga ocknął się i spojrzał za siebie, a wtedy zwolnił, aż się zatrzymał, a jego miecz opadł. Nim znów się odezwał, minęło kilka sekund, co najlepiej świadczyło o jego wstrząsie, a potem powrócił do wrzeszczenia:

– Do mnie! Przebijamy się do obozu! Do mnie! Po konie! Łapać konie! Wycofujemy się!

W jego głosie pobrzmiwał teraz niepokój, być może nawet strach, a ja z niedowierzaniem uświadomiłem sobie, że chyba o mnie zapomniał. Cóż, miał jednak inny problem na głowie – z lasu wypadł bowiem uzbrojony w kosy,

siekiery, kije i motyki tłum rozwścieczonych chłopów z Rympału i okolic, prowadzony przez samego Vitalisa. Sędziwy kapłan, który gnał naprzód z wigorem młodzieniaszka, powiewając długą brodą i wygrazając wielką chochlą, wydał mi się najpiękniejszym widokiem w całym moim życiu.

– Nie uciekajcie! – grzmiał upiór. – Ukorzcie się! Na kolana, bydłeta o sercach przeżartych grzechem!

– Otóż to! Na kolana, mysie chujki! – wrzeszczał Vitalis, który zwolnił na moment, by wymierzyć kopniaka jakiemuś leżącemu na śniegu najemnikowi. – Naprzód!

– Wypalmy grzech! – wył upiór.

– Wypalmy! Wypalmy! – darł się Vitalis.

Dziesiątki, może nawet setki żądnych zemsty gospodarzy i gospodyń gnały za wycofującymi się ku obozowisku wojownikami i wokół nas zrobiło się nagle pusto. Ostatkiem siły woli powstrzymałem się przed tym, by usiąść.

– Kociołek – wychrypiał Gramm.

Odwróciłem się. Krasnolud szedł ku mnie, utykając i wspierając się na toporze. Był zbryzgany krwią, ale na pierwszy rzut oka nie odniósł większych ran.

– Kociołek, długo to jeszcze będzie wyło? – Wskazał niebo. – Ja zaraz dostanę na łeb, a Urgo... Cóż, jego już chyba możemy skreślić.

Wskazał rycerza, który wbił miecz w ziemię i opadł na jedno kolano, pochylając głowę.

– Dobrze, że teraz, a nie w trakcie walki – spróbowałem zażartować, ale z mego gardła wydobył się skrzek.

– Dołączymy do nich? – zaproponował krasnolud i wskazał prowadzoną przez Vitalisa chmarę, która właśnie zalała obozowisko. W blasku płonących namiotów dostrzegłem sylwetki najemników, którzy w pośpiechu formowali kolisko. Za ich plecami znikali w mroku ci, którym udało się w porę dopaść koni. Tryumfalny wrzask gospodarzy potężniał i zagłuszał wycie upióra.

– Nie – wychrypiałem. – Nie mam już sił na bieganie. Chodźmy lepiej do Urgo i sprawdźmy, czy bałwan znowu nie ukrywa jakiejś rany.

Zrobiłem krok ku klęczącemu Urgo i wtedy spostrzegłem, że rycerza nadal spowija jasna aura.

– Na Dołę! – zakląłem i podniosłem czyjąś porzuconą włócznię. – Gramm, to nie koniec!

– Edmund! – dobiegł skądś krzyk Sary.

Odrzuciłem się i ujrzałem moją żonę biegnącą przez pobożowisko w asyście Eliaha, który nadal trzymał strzałę na cięciwie łuku. Rozłożyłem ramiona i uściskałem ją ze wszystkich sił.

– Nic ci nie jest? – wyszeptałem jej do ucha.

– Nie! – Sara oddychała szybko, a jej oczy błyszczały strachem i uniesieniem. – Nie, Eliah był cały czas przy mnie. Edmund, jak on walczy... Załatwił tych wartowników dosłownie w okamgnieniu, a potem... potem tylko spłoszyliśmy te konie i... na Dole, przecież ty jesteś ranny!

– Nie! – potrząsnąłem głową. – Nic mi nie jest!

– Tak? Znam już jednego idiotę, który tak gadał, i wszyscy popadliśmy później...

– Nie, naprawdę wszystko w porządku!

Przycisnąłem ją do siebie i ucałowałem w czoło, a potem odnalazłem wzrokiem elfa, który stał przy nas bez słowa, ciemny i groźny niczym cmentarne widmo. Skinąłem mu głową, na co ten odpowiedział tym samym. Nie potrzebowało nic więcej, by wiedział, że jestem mu winien dozgonną wdzięczność.

W tej samej chwili przypadł do nas zziębnięty Zwierzak, a Urgo, słysząc nasze słowa, odwrócił głowę i podniósł się z klęczek. Nadal jaśniał.

– To nie koniec – wysapałem, gdy zebraliśmy się razem. – Gdzieś tu jest Złe!

Odruchowo zasłoniłem sobą Sarę, a reszta bez słowa uformowała najeżony ostrzami krąg wokół nas. Eliah wodził grotem strzały to w jedną, to w drugą stronę, Zwierzak ścisnął po nożu w każdej dłoni, Gramm sapał cicho, celując toporem w mrok, a Urgo uniósł miecz, szepcząc pod nosem modlitwę. Wszyscy oddychaliśmy szybko, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność, o wiele intensywniejszą w blasku płonących namiotów.

– Ukorzcie się! Błagajcie o przebaczenie swych win! – wył upiór, jakby rozwścieczony tym, że nikt już nie zwracał na niego uwagi.

– A gdzie Żychłoni? – spytał nagle Zwierzak.

Serce zabiło mi szybciej. Ostatni raz go widziałem, jak nalewał wino stojącym w kolejce żołnierzom. A potem... Rety, tyle się działo...

– Cholera jasna... – syknąłem. – Ktoś go widział?

Mój wzrok skakał po nieruchomych ciałach na śniegu. Wszyscy leżący mieli na sobie wojskowe płaszcze oraz tuniki z fioletowym kielichem, a wielu nosiło hełmy. Żaden z nich nie wyglądał na Żychłonia, ale nie chciałem uwierzyć nadziei.

Dolo, nie pozwól, by mu się coś stało! – jęknąłem w myślach. Nie opuszczaj nas, Los.

– Tam – zawołał zduszonym głosem Urgo. Jego aura wydawała się jaśniejsza niż wcześniej.

Z ciemności wychynęła istota, która na pierwszy rzut oka przypominała Człekonia. Dostrzegłem muskularny tułów z masywną klatką piersiową oraz wyrastający z niej korpus człowieczy, ale coś się w nim nie zgadzało. Coś przeczyło wspomnieniu, jakie przechowywałem w pamięci.

– To nie nilfhaag – odezwał się nagle wysokim głosem Eliah i podniósł łuk, napinając go płynnym ruchem.

Ziemia zadrżała pod naszymi stopami, gdy nieznamoma bestia ruszyła ku nam. Sądząc po samym tylko dudnieniu, była przynajmniej dwakroć cięższa od największego znanego mi konia, a gdy znalazła się w zasięgu światła rzucanego przez dopalające się już namioty, wychwyciłem niepokojący szczegół.

Bestia miała ludzki korpus i ludzkie ramiona, ale nad muskularnymi, rozrośniętymi barkami wznosił się byczy łeb z rozłożystymi rogami. Potwór nieco zwolnił, jakby chciał, byśmy dobrze się przyjrzeni jego majestatowi, a potem prychnął i rzucił się do miażdżącej szarży prosto na nas.

– Sara! – zawołał Urgo. Gdyby nie było to niemożliwe, przysięgłbym, że w jego oczach błysnęły przestrasz. – Uciekaj!

– Nie! – syknąłem. – Nie teraz!

Przytrzymałem ją za rękę.

– Jeszcze to bydlę nas wyminie i rzuci się w ślad za tobą. Zaczнешz uciekać dopiero, gdy go zwiążemy walką!

– Edmund, ja nie mogę... – zaczęła Sara, ale urwała.

Oboje wiedzieliśmy, że nie tyle może, co wręcz musi. W karczmie czekały dzieciaki.

Na dalsze rozmowy nie było już czasu. Gramm rozstawił szerzej nogi i wzniosł topór do ciosu znad głowy, przy nim jak posąg trwał Urgo ze zdobyczną tarczą i mieczem gotowym do ciosu. Ustawiłem się tuż obok niego i mocniej uchwyciłem włócznię, gotów wbić ją w bok szarżującej bestii. W dłoniach Zwierzaka błysnęły dwa sztylety.

– Szerzej! – wrzasnąłem, o dziwo równym, mocnym głosem, a moi przyjaciele błyskawicznie utworzyli półksiężyc. – Eliah, masz coś na to bydlę?

Odpowiedzią był furkot obciążonych ciężarkami lin, które pomknęły ku nadciągającej bestii. Elf rzucił celnie – krąg lin wirował tuż nad ziemią i z idealną precyzją oplótł muskularne nogi potwora. Wyraźnie widziałem, jak zaciskają się na pęcinach, ale nagle pękają, rozerwane z niewyobrażalną siłą. Szarżujące stworzenie nawet się nie potknęło.

Mamy przerwane, przeszło mi przez myśl. Jednak przegraliśmy.

Postąpiłem, podnosząc miecz. Dystans malał w zatrważającym tempie i nagle uświadomiłem sobie, że przypuszczalnie zostało mi kilka sekund życia. W ślepiach niby-byka połyskiwała zgoła ludzka nienawiść połączona z przeświadczeniem o własnej niezniszczalności.

Dolo, nie opuszczaj nas!

– Sara, teraz! Ucie...

Powietrzem nagle wstrząsnęła moc, z którą nigdy wcześniej się nie spotkałem. Coś uderzyło w szarżującą bestię, która w mgnieniu oka zapłonęła złotą aurą. Nawet nie zwolniła – nadal gnała prosto na nas, ale wydawała się już niematerialna, jakby uderzenie mocy wyszarpnęło z niej cielesność. To, co nadal pędziło ku nam, było tylko złocistym obrysem, który gasł z każdą chwilą, aż znikł całkowicie kilka kroków przed naszym szeregiem. Gramm z dzikim rykiem zamachnął się toporem, ale ten przeciął powietrze.

Potwór Złego znikł bez śladu.

– I pozamiatane – wychrypiał Żychłoń. – Eliah, podziękuj Człekonowi. Niezłe te nowe glify.

*

Długo nie opuszczało mnie przeświadczenie, że jeszcze nie powinniśmy opuszczać placu boju, bo być może wciąż mamy tu coś do zrobienia. Nie byłem pewien, czy Vitalis i mściciele z okolicznych wsi poradzą sobie z wrogiem, ale tryumfalne wrzaski, którymi rozbrzmiewała ciemność, sugerowały, że niedobitki armii Mordęgi spotkał przerażający koniec. Nie chciałem się przyglądać scenom kaźni, a tym bardziej nie życzyłem sobie, by patrzyła na to Sara. Chciałem się upewnić, czy Zwiewna Liwia i Wystrzałowa Trupa są bezpieczni, ale przy wozach cyrkowych nie było nikogo, co zapewne oznaczało, że artyści pognali w ślad za chłopstwem, by łupami wesprzeć fundusz krzewienia kultury.

Zawróciliśmy więc do wozu, gdzie nadal tkwili nasi jeńcy, niektórzy wciąż nieprzytomni, ale wszyscy dobrze skrępowani. Parskun powitał mnie rozanielonym uśmiechem, wymierzyłem mu więc siarczasty policzek, by dostroić go do rzeczywistości, i jeszcze kilka, by w niej pozostał, a potem powiedziałem wolno i wyraźnie:

– Uwolnimy was, Parskun, bo nic tu po was. Wracajcie do siebie i opowiedzcie wszędzie, że tego miejsca strzegą złe moce, a przybyć tu mogą jedynie ci, którzy

mają w sercach dobro. Reszta zbierze tęgi wpierdol.

– Ukorzcie się! – zawył z desperacją odległy upiór.

– No właśnie. Zostawimy wam trochę jedzenia, jeden nóż i dobrą radę, byście się raczej pospieszyli. Miejscowym zaraz się skończą gardła do poderżnięcia.

Uwolniliśmy ich, wymierzyliliśmy na pożegnanie kilka kopniaków, a potem zawróciliśmy wóz i ruszyliśmy powoli do domu.

Była cicha, gwiazdzista noc. Z oddali wciąż dobiegały okrzyki miejscowych gospodarzy, którzy po raz pierwszy w życiu posmakowali krwi, od czasu do czasu przerywane wrzaskami bólu i przerażenia. Upiór wył z coraz większą rozpaczą, wreszcie zrozumiał, że nikomu nie zdoła przemówić do rozumu. Na wozie panowała cisza i czułem, jak emocje stygną, a w ich miejsce pojawia się przytłaczające wprost znużenie.

Rozejrzałem się. Odwrócony plecami krasnolud lekko kiwał głową, jakby nucił w myślach jakąś melodię. Urgo przymknął oczy, najwyraźniej próbując poukładać sobie wydarzenia w głowie. Śmiertelnie znużony Żychłōń oparł głowę o burtę wozu i pochrapywał. Zwierzak uśmiechał się głupkowato, jakby już nie pamiętał, co się wydarzyło przed chwilą, a nieruchomy Eliah spoglądał w mrok za nami. Sara to zamykała, to otwierała oczy, a wtedy zawsze odszukiwała mój wzrok i próbowała się uśmiechnąć.

Odpowiadałem tym samym.

Mimo coraz większego znużenia czułem w sobie obowiązek coś powiedzieć. By wygłosić kilka słów, które w jakiś sposób podsumują nasz wysiłek i ukazać wszystkim, ile udało nam się dokonać.

– Coś mi mówi, że księżę Fryderyk na jakiś czas porzuci zamysł atakowania naszych okolic – powiedziałem, siląc się na beztroski ton. – Najpierw dzięki nieświadomemu wsparciu pobratymców Zwierzaka stracił oddział Mocarza. Potem razem z Żychłoniem i Eliahem załatwiliśmy bandę, która płynęła na Zagórek, a teraz rozbiliśmy mu oddział najmiej kawalerii Mordegi.

– A do tego – ocknął się Żychłōń – wkrótce do Krzemyku dotrą wieści o tym, że to przeklęta kraina. Nielatwo będzie o kolejnych rekrutów.

Wymieniliśmy się spojrzeniami, jakbyśmy obaj pomyśleli dokładnie o tym samym. Kupiliśmy sobie i naszej krainie trochę czasu, ale wcale nie święty spokój. Wiedzieliśmy, że Fryderyk nie poprzestanie na tych nieśmiałych w sumie próbach, tym bardziej że ponad wszelką wątpliwość księciem kierowało Złe. Zdobyliśmy na to dowód podczas akcji w leśnym dworku, a owo rogate bydło, w ostatniej chwili zniszczone przez Żychłonia, stanowiło kolejny.

Mieliśmy przeciwko sobie siłę znacznie poważniejszą od samego tylko księcia i jego armii, a to oznaczało, że nie wygraliśmy wojny, a zaledwie małą potyczkę. Musieliśmy znaleźć sposób, by pokonać samo Złe. Trzeba było uciąć łeb wężowi, który coraz mocniej dusił całą Dolinę.

Ale jak?

– Ciekawe, czy Mordęga przeżył – odezwał się Urgo.

– Mam nadzieję, że nie – mruknąłem. – Mam już wystarczająco dużo wrogów. Na szczęście pozbyliśmy się tego przeklętego Mocarza Muchomorka, bo ten też długo by nam nie darował.

– Pozbyliście się? – Urgo przyglądał mi się z uwagą. – Jesteś tego pewien? Wiesz, jak to jest z kanałiami. Często okazują się nad wyraz żywotne.

– Właściwie – zabębniłem palcami po burcie wozu – to pewności nie mam. Jego ślad nagle się urwał, a nieopodal znajdowało się siedlisko mantykory. Chyba logiczne, że porwało go coś latającego.

– Mantykory to padlinożercy – powiedziała zmęczonym głosem Sara. – Jeśli ów Muchomorek wciąż żył, mantykora nie byłaby nim zainteresowana.

– Nie? – zaciętrzewiłem się, gotów bronić swojej racji. – Ale Żychłoń powiedział, że mantykory czasem łapią ofiary i czekają, aż zdechną.

– W czasach głodu – mruknęła Sara. – Powiedz mi lepiej inną rzecz. Ten Muchomorek nadal miał na sobie czerwoną czapkę?

– Nie wiem – zamrugąłem. – A jaki ma to związek z jego losem?

– Ano taki, że czerwień to kolor krwi. Mantykora nie ruszy kogoś, kogo uzna za krwawiącego, bo w jej odczuciu ciągle żyje.

Przygryzłem popękana wargę.

– A więc Muchomorka mógł porwać ktoś inny. Ktoś albo coś. Na Dolę, co? Co może unieść dorosłego człowieka i zabrać go ze sobą?

– Parszywiec? – zaproponował Zwierzak.

– Nie, one same ledwie latają. To musiało być coś o wiele większego.

– A to ma teraz jakieś znaczenie? – odezwał się Gramm. – Co nas to obchodzi? Zawładnęło mną dziwne uczucie, które podszeptało mi, że sprawa dotyczy nas, i to jak najbardziej.

– A jest jakieś bydlę Złego, które umie latać?

– To coś, co zżarło dziadków w Przylęgu – mruknął rozbudzony Żychłoń.

Owo uczucie przeobrażało się w dziki niepokój, choć jeszcze nie umiałem odnaleźć przyczyn.

– Szlag – zaklął przysłuchujący się rozmowie Gramm. – Naprawdę nie wiem, po co drążyście temat. Odparliśmy trzy ataki i czas wyluzować, a wy ciągle

gadacie o nieszczęściach... Dziś już się nic nie wydarzy!

Trzy. Ataki. Nieszczęścia.

– Poczekaj! – zawołałem nagle, poruszony przez dobór słów krasnoluda. – Urgo, przypomnij: co ci powiedziała ta wiedźma?

– Że nastąpił jakieś trojaki nieszczęście – wymamrotał rycerz. – Klęska złożona z trzech elementów, które ze sobą współpracują, ale są dla siebie przeciwieństwem.

– Co zaatakowało ów sabat księżnej Marianny w Twardzielcu? Zmiennokształtna istota Złego, coś na kształt upiora oraz wiedźma? – mówiłem coraz szybciej. – Przeciwieństwa... No tak! Istota cielesna Złego jest zaprzeczeniem istoty niematerialnej Złego, a im obu przeczy zwykły człowiek!

– Sugerujecie, że chodzi o kolejną wiedźmę na miotle? – spytała z niedowierzaniem Sara.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Istota, która wymordowała strażników Przylęgu, potrafiła latać. Być może zmiennokształtny mógl rozwinąć skrzydła na tyle, by poderwać Muchomorka w powietrze!

– To mocno naciągane – powiedział Gramm, ale już mniej pewnie.

– Tylko tak ci się wydaje. – Zaciśnąłem zęby, gdyż przeszył mnie zimny dreszcz. – Znaleźliśmy tylko dwa trupy, prawda?

– Tak. – Żychłoń wpatrywał się we mnie intensywnie. – Tyczki i Kudłaka.

– Zabrakło zaś Bulwy, który podczas naszej wizyty wygadywał niespójne rzeczy, przez cały czas dziwnie na mnie patrzył, a na koniec zlął do Mocarza, jakby chciał z nim pogadać. – Potarłem czoło. – Czy to możliwe, by Bulwa zniknął już wcześniej, a jego miejsce zajął zmiennokształtny?

– Uznałbym, że bredzisz – rzekł powoli guślarz – gdyby nie to, że podczas drugiej wizyty w Zagórku agent Złego powitał nas słowami rozmowy, którą sam odbyłeś. Swój głos usłyszałeś, prawda?

– Ten, który przyszedł pod Gryfa, brzmiał idealnie jak Urgo. – Sara mężnie powstrzymała się od zerknięcia na rycerza. – Najwidoczniej zdolność mimikry doprowadziły do perfekcji.

– Czyli zaraz... Mieliliśmy upiora! – Zwierzak liczył na palcach. – Mieliliśmy zmiennokształtnego... Brakuje człowieka.

– Muchomorek – wycedził Eliah.

– Ale po co człowiek? – Sara wodziła po nas przestraszonym spojrzeniem. – W porównaniu z tymi istotami człowiek przecież niewiele może!

– Może przejść przez glify! – mruknął całkiem rozbudzony Żychłoń.

– A do tego przypuszczalnie żyje – westchnął Gramm. – No dobra. Warto było rozgrzebać temat.

– Coś mi mówi – wymamrotałem – że tej nocy nie położymy się szybko spać.

EPILOG

Gwiazdy rozsiane na zimowym niebie niczym zagubione okruszki lodu wciąż migotały, choć wschodni nieboskłon rumienił się już nieśmiało. Sylwetki ośmiu jeźdźców, którzy wychynęli z Dzikowego Lasu, wciąż były zaledwie ciemnymi konturami, w których nie sposób było rozpoznać jakiegokolwiek szczegółu.

Widziałem tylko tyle, że pierwszy z nich trzymał w dłoni pochodnię. Nie zwalnając, wyciągnął ją ku sąsiedniemu jeźdźcowi, który odpalił własną i podał ogień trzeciemu. Po chwili wszystkich ośmiu pędziło naprzód, wznosząc wysoko łopoczące na wietrze płomienie. W mroku nocy przypominali rozpędanego, ognistego węża.

Gnali prosto na Gryfa, świadomi tego, że nawet jeśli zatrzymają ich zamknięte mury, zdołają dorzucić pochodnię na dach drewnutni, obory czy stajni. Mogli spalić kuźnię Gramma czy warsztat powroźniczy Eliaha, mogli przewracać ule czy spalić bramę, a potem wdrzeć się do środka.

Celowali prosto w serce tego, co każdy z nas kochał.

Dlatego też nie miałem zamiaru czekać, aż dotrą pod bramy Gryfa.

– Teraz! – krzyknąłem.

Nawet jeśli mój krzyk przebił się przez łoskot kopyt nadciągającej drużyny, nie miało to znaczenia ani dla nas, ani dla napastników.

Nad zmarzniętym traktem zafurkotał bolas Eliaha, który z niewysłowioną precyzją oplótł pęciny pierwszego z nadciągających rumaków. Ten, nawet nie w połowie tak silny, jak rogata bestia Złego, zarżał przeraźliwie i runął na ziemię, a jadący tuż za nim, zaskoczony do granic, próbował uskoczyć. Wpadł jednakże w głęboką zaspę, targnął się w bok i zrzucił jeźdźca z siodła. Trzeciego z nich trafiła strzała Zwierzaka tuż pod nosal hełmu.

A potem skoczyliśmy do ataku, cicho, niemalże bezgłośnie. Kątem oka widziałem, jak zasapany Żychłoń przypada do jeźdźca zrzuconego z konia i z rozmachem spuszcza kij na jego hełm. Któryś z pozostałych, zapanowawszy już nad koniem, skoczył na guślarza, ale zatrzymała go kolejna celna strzała, chyba puszczonej przez Eliaha. Inny jeździec zaatakował z góry Urgo, który zwinnie przyjął uderzenie na klingę, przekierował jego energię w bok, a sam złapał jeźdźca za nadgarstek i ściągnął go na ziemię. Gdzieś między końmi mignął wznoszony do uderzenia topór Gramma, a potem poniósł się jakiś przeraźliwy wrzask.

Dzikowy Las zamilkł, przerażony echemi krzyków rannych i rżenia koni. W śniegu dopalały się porzucone pochodnie, które rzucały naokoło olbrzymie, roztańczone cienie.

Odbiłem czyjeś uderzenie, nawet nie patrząc, skąd padło. Kierowałem się prosto na jeźdźca, który dosiadał pierwszego konia, teraz zrywającego się wreszcie na cztery nogi. Poznałem go od razu, choć miał hełm zamiast czerwonej czapeczki.

– Witaj, Mocarz – syknąłem, przyspieszając.

Rycerz również usiłował się podnieść, ale przeszkodziła mu w tym lewa noga, zmiażdżona przez przewracającego się rumaka, być może złamana. Zdołał uklęknąć, krzywiąc się z bólu, a nawet wyszarpnąć miecz z pochwy, ale byłem szybszy.

Z rozpędu kopnąłem go w szczękę.

Mało rzeczy w życiu wyszło mi tak dobrze jak ten jeden kopniak. Mocarz zachwiał się i runął na plecy, plując krwią, a ja przypadłem doń, wyszarpnąłem mu miecz i przygniotłem mu pierś kolanami, jednocześnie podnosząc upuszczoną przezeń, parskającą i syczącą pochodnię.

– Myślisz, że ujdzie ci to na sucho? – wybełkotał rycerz, plując pokruszonymi zębami. – Spójrz tylko na siebie, kuchto! Chcesz się mierzyć z mocą Złotrojga? Wiesz, na co się porywasz?

Skądś dobiegł urywany wrzask ostatniego z dobijanych towarzyszy Muchomorka.

– Człowieku, jak ty potrafisz nastraszyć – wycedziłem sucho i tłącą się pochodnię strąciłem mu hełm z głowy. Buchnęły iskry. – Gdzie czapeczkę przepieprzyłeś, co?

Dookoła czerniały już postacie moich towarzyszy. Wokół ich ust gromadziły się obłoczki pary.

– Spalimy tę twoją dziurę – bełkotał Muchomorek, krztusząc się krwią. Wytrzeszczał obłąkańczo oczy, wpatrując się we mnie i zgoła nie dostrzegając pochodni, która na nowo rozjarzyła się ogniem. – Porozwalam głowy twoim bachorom, a twoją żonę...

Kopnąłem go jeszcze raz, tym razem w miejsce cenione przez każdego mężczyznę, a potem w inne, mniej wartościowe, ale równie wrażliwe. Muchomorek wygiął się w pałąk, a z jego ust wyrwał się przeraźliwy skowyt. Odczekałem chwilę, a potem rąbnąłem go obcasem w złamany piszczel. Stałem nieruchomo, czekając, aż przestanie się wydzierać, a potem nogą obróciłem ku sobie jego zlaną potem, wykrzywioną z bólu twarz.

– Posłuchaj, Muchomorek, bo cierpliwość mi się kończy. Mogę się znęcać nad tobą w nieskończoność, ale nie chcę, nie muszę i nie będę, jeśli mi powiesz, gdzie szukać tego, kto steruje Fryderykiem. Jak się nazywa najważniejszy agent Złego w Krzemyku?

Muchomorek splunął mi krwią pod nogi.

– Wymordujemy cały twój ród! – wychrypiał z trudem, a potem nabrał tchu i wrzasnął. – Będziecie więc się z bólu tygodniami! Każdy z was, gnijące psy!

– Brzmi trochę jak ten upiór z Żychłoniowego worka – zauważył wsparty na toporze Gramm.

– I też sobie z gościem nie pogadasz – dodał sam guślarz.

– No nie – rzekłem. – Nie pogadam.

Po czym wpakowałem pochodnię prosto w rozwarte szeroko usta napastnika. Poniósł się stłumiony, nieludzki wrzask, a ja odruchowo cofnąłem się o krok, bo oszalały z bólu, dymiący agent Złego nagle poderwał się do pozycji siedzącej. Obiema rękami złapał za uchwyt pochodni, a ja wykonałem instynktowne pchnięcie, w które włożyłem tyle siły, że ostrze, rozpruwszy ciasne ogniwa kolczugi, wyszło między łopatkami. Dymiąca pochodnia, którą Mocarz zdołał wyszarpnąć sobie z poranionych ust, spadła na śnieg, a po chwili osunął się również on sam.

Poczekalem, aż znieruchomieje, po czym wsparłem stopę o jego pierś i uwolniłem ostrze.

– Zagroziłeś mojemu domowi – wycodziłem, wpatrując się w nieruchomą twarz przeciwnika. – Zagroziłeś mojej rodzinie, a to był wielki błąd. Dość tanio się wykpiłeś.

Wtedy znużenie dopadło mnie ponownie, tym razem tak obezwładniające, że z trudem je pokonałem. Bo wciąż trzeba było ściągnąć poległych w jedno miejsce, wyłapać konie, pozbierać broń i ekwipunek zabitych. Broń miałem zamiar

częściowo zachować, a resztę rozdać okolicznej ludności. Podobnie planowałem postąpić z końmi – miejscowym z pewnością kilkanaście sztuk by się przydało, a resztę należało posłać na północ jako dar księciu Stefanowi. Może zagwarantowalibyśmy sobie tym w przyszłości jego większą przychylność.

Może należałoby poszukać jakiejś nowej zbroi dla Urgo? Może namówić Vitalisa, by postawił jakieś wieże strażnicze czy stopy sygnałowe? Może...

Złapałem się na tym, że stoję oparty o drzewo, a moje myśli, rozpędzając znużenie, wędrują coraz dalej i dalej, szerzej i szerzej, aż obejmują całą Dolinę. Uwikłany w ich gonitwę, dopiero po chwili zauważyłem, że reszta drużyny stoi wokół mnie.

– Wszystko gotowe – powiedział Gramm w imieniu reszty. – Broń na wozie, szkapy wylapane, truposze w jednym miejscu. Wracamy czy może jeszcze jakaś bójka nas czeka?

Zaśmiał się przy tym, ale w jego głosie zabrzmiało źle skrywane znużenie.

– Wracamy do domu – odparłem. – Żadnych bójek. Musimy się wyspać, a z rana... – Spojrzałem na różowiejące niebo na wschodzie i uśmiechnąłem się ze zmęczeniem. – A po południu naradzimy się z Dislai, Werbeną i Vitalisem, czy dzieciaki z sierocińca zostają u nas, czy wracają do siebie. Trzeba będzie też objechać okolicę w poszukiwaniu niedobitków, a zwłaszcza Mordegi.

– Tym ja się zajmę – odezwał się dudniącym głosem Urgo. – To ja jestem tu od rycerskich wypraw w nieznanie. Poza tym jestem wam coś winien.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem, ale zapał, płonący w oczach Urgo, z góry odbierał nadzieję na jakiegokolwiek negocjacje w tej kwestii.

– Ja zaś muszę jak najszybciej wysłać listy do Stefana, Yanny i Ruperta, by opowiedzieć im o wszystkim, co tu się wydarzyło – rzekłem. – I co planujemy.

– A co planujemy? – spytał beztrząsliwie Zwierzak.

– Nie udało nam się znaleźć dusz trolli. Mam nadzieję, że nikt nas nie ubiegł, ale póki co musimy zrezygnować z dalszych poszukiwań. Nie ma też co się łudzić, że ktoś nas wyręczy w tym, co najważniejsze, czyli w walce ze Złem. Po Dniu Zstąpienia Doli udamy się do Krzemyka, przyjaciele. Zakradniemy się na wrogie terytorium i nie spoczniemy, póki nie zniszczymy tego, który kieruje Fryderykiem.

Elijah skinął głową, Żychłoń uśmiechnął się pod nosem, Urgo odetchnął, jakby dokładnie tego się spodziewał, a Zwierzak chyba już nie słuchał. Zaniepokoił się natomiast Gramm.

– Po Dniu Zstąpienia Doli, tak? – spytał z nadzieją.

– Tak.

- Czyli będzie kaczką?
- Jak dam radę upiec. Wiesz, ile jest zawsze roboty.
- Dobra. – Krasnolud się rozpromienił. – Postaram się nie przeszkadzać, a więc być może się wyrobicie. Wchodzę w to.
- Świetnie. – Uśmiechnąłem się. – Czas wracać do Gryfa.

*

Emocje nie pozwoliły mi zasnąć. Ucałowałem czeszącą włosy Sarę i zapewniłem ją, że wszystko już będzie dobrze. Przez chwilę, groźnie porykując, uganiałem się za dziećmi wokół stołu w głównej izbie, a potem wycalowałem Salię, która wskoczyła mi w ramiona i podejrzanie długo nie chciała mnie puścić. Wyślizgnąłem się Andrei, która chciała złapać mnie za rękę i zaśpiewać ze mną psalm dziękczynny. Trafiłem na podwórze, gdzie najpierw wytarposiłem Paprocha, a potem wykopałem Szmyrgła, który już się zagnieżdżył w drewnie, a po powrocie wziąłem garniec grzańca, zamknąłem się w pokoju i zabrałem do pisania listów. Całej trójce książąt dokładnie opisałem starcia o Zagórek, Przylęg i okolice Gryfa, potem ostrzegłem ich przed Złotrogiem i owym przerażającym półbykiem. Dodałem informację o tym, że Fryderyk nastaje na kapłanów Doli, i przedstawiłem wszystkie dowody na to, że został opętany przez Złe.

Zakończyłem pracę w południe, a potem raz jeszcze wybiegłem myślami w przyszłość. Skłoniło mnie to, by znów zamoczyć pióro w kałamarzu i napisać jeszcze jeden list:

Córeczko,

niezbadane są decyzje Doli i może być tak, że niedługo po raz ostatni ułożę Ciebie i Twoich braci do snu. Może być i tak, że niebawem opowiem Wam ostatnią bajkę i stoczę z Wami ostatnią bitwę na poduszki. Może być tak dlatego, że Dolinie od wielu, wielu miesięcy zagraża Złe, i ja wraz z Twoimi wujkami postanowiliśmy stawić mu czoła.

Piszę o tym Tobie, a nie Twoim braciom, bo odziedziczyłaś po mamie wielki spryt i umiejętność obserwacji. Wiele próbowaliśmy przed Tobą ukryć, by nie burzyć Ci dzieciństwa trudnymi sprawami, ale i tak zapewne wielu rzeczy się domyślasz, co zresztą napawa mnie wielką dumą.

Będę zaś jeszcze bardziej dumny, jeśli mi wybaczysz. Wiem, że powinienem być przy Tobie, chłopcach i mamie. Powinienem prowadzić karczmę, gotować i opowiadać Wam zabawne historyjki. Nigdy nie powinienem Was opuszczać i tak właśnie by było w idealnym świecie. Niestety, przyszło nam żyć w takim, który chce nam zniszczyć Złe.

Nie mogę siedzieć beczynn timer i czekać, aż któryś z książąt wreszcie przybędzie z armią. Ruszam z przyjaciółmi, by samemu spróbować zażegnać wielkie zagrożenie. Nie zadręczaj mamy pytaniami, bo ona źle znosi rozłąkę – obiecuję, że w stosownym czasie sam opowiem Ci o wszystkim. I przysięgam Ci, że nasza rozłąka nie potrwa długo i zrobię wszystko, byśmy wszyscy znów szczęśliwie wrócili do Gryfa.

Gdyby jednak było inaczej, spróbuj zastąpić mnie w roli tego, który opowiada bajki. I zbuduj sobie takie życie, które będzie przynosiło szczęście każdego dnia.

*Kocham Cię,
tata*



Ciąg dalszy nastąpi...

Powrót do Gryfa

Copyright © Marcin Mortka 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2019

Redakcja – Joanna Mika, Magdalena Stonawska

Korekta – Anna Strożek

Projekt typograficzny i skład – Natalia Patorska

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN epub: 9788383302621

ISBN mobi: 9788383302614



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka-Rzemieniec, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski,

Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaż

www.wsqn.pl

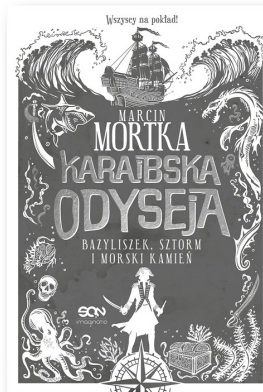
www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

WSZYSCY NA POKŁAD!

William O'Connor, były kapitan okrętu kaperskiego, a obecnie szczęśliwy mąż i plantator, powoli dochodzi do wniosku, że chyba jednak szczęśliwy nie jest, zwłaszcza po tym, jak jego serdeczny przyjaciel, Vincent Fowler, pokazuje mu zgrabną fregatę na sprzedaż. William nabiera więc z wolna ochoty, by popełnić życiowy błąd, ale uprzedza go przeznaczenie, które zrzuca mu na głowę klęskę żywiołową. Dostojnie.

A potem nie ma już czasu na nic. Trzeba przecież uciekać przed lufami wrogiego okrętu, ratować damy z opresji (nawet jeśli miano dam nie do końca do nich pasuje), walczyć z prastarymi demonami, zmagać się ze sztormem i paskudną kłutwą, rozgryźć spisek rządowy i okiełznać pewnego krokodyla, ale przede wszystkim William musi zbadać, na czym polegało drugie życie jego ukochanej żony Manieli.



**CZY UDA MU SIĘ ZMIERZYĆ ZE WSZYSTKIMI TRUDNOŚCIAMI,
KTÓRE RZUCIŁ MU LOS?**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

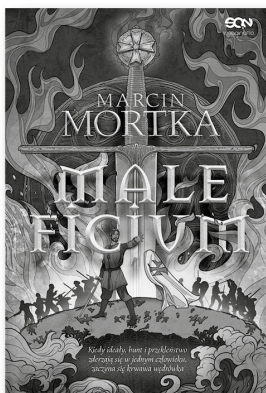
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.lobotiga.pl**

CO ZAKOPYWANO POD DROGOWSKAZEM NA ROZSTAJACH DRÓG?

Bruno Calazzo, nazywany przez braci z zakonu szpitalników wiedźmim synem, co noc widzi twarz kobiety pływającej na stosie, a za dnia ma silne przeczucie, że na Malcie, nową ojczyznę zakonu, spadnie nieszczęście.

W istocie, nadchodzące dni okażą się dla niego trudną próbą. Atak tureckich piratów pod wodzą słynnego Turguta Reisa, który nie wie, czemu zdaje się żywić urazę do Brunona, uwolni łańcuch zdarzeń. Przybliżą one młodego rycerza do odkrycia tajemnicy jego pochodzenia – sekretu strzeżonego przed nim przez same władze zakonu. Przeszkodami w drodze do jego wyjaśnienia okażą się także czarna magia, demony zakazane przez Biblię i zwykła ludzka zawiść



POZNAJ SEKRETY XV-WIECZNEJ MALTY

Szukaj w dobrych księgarniach



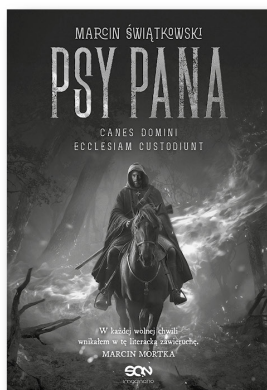
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

WIELKA HISTORIA, KTÓRA EWOLUJE NA OCZACH CZYTELNIKA

Rok 1633, ogarnięte wojną trzydziestoletnią Niemcy. Katarzyna von Besserer, nastoletnia szlachcianka utalentowana w dziedzinie czarów, musi uciekać przed dominikanami-inkwizytorami. Celem dziewczyny jest uniwersytet w Lejdzie, gdzie obiecano jej schronienie.

Równolegle dominikański zakonnik, Dominik Erquicia, poszukuje magicznych manuskryptów. Jego wyprawa obfituje w przygody, w wyniku których niejednokrotnie wpada on w poważne tarapaty. Różne sploty okoliczności sprawiają, że Katarzyna i Dominik spotykają się w trakcie wielkiej bitwy między protestantami a katolikami. Wskutek działań tych dwojga starcie przybiera nieoczekiwany obrót. A historia zmienia swój bieg...



MAGIA. INKWIZYCJA. PRZYGODA.

Szukaj w dobrych księgarniach



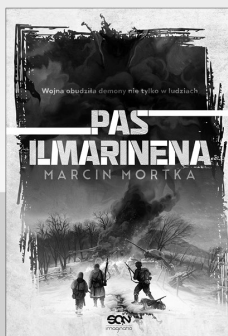
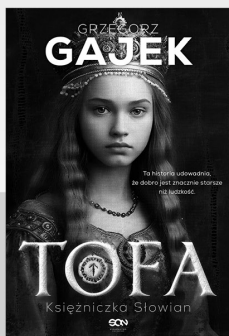
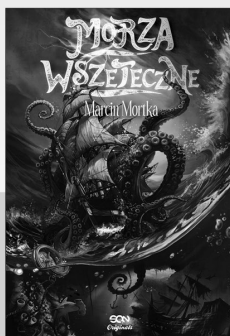
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym
istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje
dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję,
że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL labotiga.pl